ROK 68my

KURJER WARSZAWSKI



1888

MEISENBACH, Mchn.

TREŚĆ NUMERU:



WŁADYSŁAW CZACHÓRSKI.

* * *

— Pieśni moja ty pieśni,
Czemu łkanie cię dławi?
Ty brzmisz coraz boleśniéj,
Coraz smętniej a łzawiej!
— Mnież radości być gońcem,
Dziecku bladej niedoli?
Jam nie wzrosła pod słońcem,
Ani z soli, ni z roli,
Ale z tego, co boli.

Jam sierotą od mała,
Grób był moim piastunem,
Matka w łzach mnie kąpała,
Powijała całunem.
Mnie nie dobiegł do ucha
Gwar dziecięcej swawoli,
Wkoło pusto... noc głucha...
Jam nie z soli, ni z roli,
Ale z tego, co boli!

Wiosna sieje czar słodki,
Kwitną łąki i drzewa,
Nie dla smutnej sierotki
Ziarno w kłosie dojrzewa.
Znika gwiazdka za gwiazdką,
We mgle gaśnie powoli,
Wiatr spustoszył mi gniazdko,
Jam nie z soli, ni z roli,
Ale z tego, co boli!

Moje gniazdko tam w lesie
Wczas zamiecie rozwiały,
Wiatr mnie porwał i niesie
Na wysoki złom skały.
Po przeczystym lazurze
Wzrok zataczam sokoli;
Pierś podniosłam nad burze,
Bom nie z soli, ni z roli,
Ale z tego, co boli!

Seweryna Duchińska.

Z KSIĘGI UMARŁYCH.

W dziale niniejszym dajemy poezje zgasłych już pieśniarzy naszych, dotąd nigdzie nie drukowane.

BAJKA *)

WIERSZ OKOLICZNOŚCIOWY

Adama Mickiewicza,

(z papierów rodzinnych p. Władysława Mickiewicza w Paryżu).

Ludzie na czystem polu stawiali dom nowy,
Opodal z ropuchami kłóciły się sowy.
Rzekła sowa:— To dla mnie budują pokoje!
A ropucha ziewnęła:—Moje to są, moje.
Rzekł człowiek:—Sowy dotąd żyły w rozwalinach,
A ropuchy w pogniłych ścianach i szczelinach,
My budujem podłogę czystą i dach nowy,
A gdzież tam będzie miejsce dla żab i dla sowy!..

Adam Mickiewicz

*) W pierwszych latach pobytu swojego w Paryżu Adam Mickiewicz narażony był na dziwnie namiętne napaści. Niektórzy z rodaków, ci zwłaszcza, co cały czas tracili na kuciu programów, komitetowaniu, głosowaniu, wyborach i t. d., nie mogli darować Mickiewiczowi, iż do ich bezowocnych rozpraw mieszać się nie chciał. Miotano więc nań paszkwile i oszczerstwa, pochodzące naturalnie od ludzi niskiej wartości moralnéj. Była chwila, iż Mickiewicz chciał wierszem ich wychłostać, zaniechał jednak myśli prowadzenia polemiki z krzykaczami, dla których pogarda i milczenie było najwłaściwszą karą. Z chwili przecież owej przelotnego zamiaru pozostał ten oto wiersz, który powyżej w całości przytoczyliśmy.

ŚPIEW GUŚLARZA.

Niedrukowany fragment z poematu „Król Duch"

JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

(Z archiwum Hrabiego Dzieduszyckiego we Lwowie).

„Piast się pokłonił Bogu Aniołowi",
Śpiewał wieszcz w starych pogańskich gontynach,
Gdzie na mogiłce piasku, śród płomieni
Siedział kniaź, z panów gromadą— w czerwieni...

W środku siedzieli w szatach, purpurowi
Książęta, pany, radne i koniuszne,
A guślarz śpiewał i swojemu snowi
Spraszał za świadki upiory zaduszne...
„W on czas uderzył czołem Aniołowi
" Piast... i rzekł: oto mam dzieciątka słuszne,
Błogosław, proszę, położywszy dłonie
Na moich dziatkach i na mojej żonie.

Lecz anioł nie chciał starszego Wodana,
A błogosławił tylko Ziemowita.
A żona siadła w końcu zagniewana,
Bo pyszną była. Zazdrosna kobieta!
Więc kiedy odszedł złoty poseł Pana,
Usiadła w kącie, fartuchem nakryta,
Aż ją zapytał mąż z uśmiechem w oku:
Czego tam smęci, usiadłszy na boku?

I rzekła Pycha: *) A toś nie uważał,
Jak anioł naszym Wodanem pomiatał?
Przed Bogiem syna naszego spotwarzał
I mnie... Bogdajby piorun mnie zdruzgotał!
Teraz Ziemowit kwiaty będzie stwarzał,
Pszczołami rządził — a bratem szamotał,
A matki swojej starej nie posłucha —
A domem całym wzgardzi — bo wziął ducha!

Niesprawiedliwość mi się wielka dzieje,
I krzywda wielka mi przyszła od Boga,
Bóg Ziemowita światłem przyodzieje,
A od Wodana pójdzie wstręt i trwoga...
Teraz patrz — już włos — na tamtym jaśnieje,
A twarz Wodana ciemna jest i sroga,
Srodze mnie Pan Bóg w żywot mój ugodził,
Ten wziął — a tamten pierwej się narodził.

I poszedł smętny Piast ku swoim pszczołom,
Sad szczepił, a rój wylatywał złoty
I osłonecznił głowę dwom Aniołom
Z tęcz... które wyszły jak ogień przez płoty...
A wszedłszy rzekły: pozdrowienie ziołom —
Szczęście domowi, gdzie zakwitły cnoty,
A niechaj nie zna snu tyran okrutny,
I niechaj nigdy nie śpi! — Czemuś smutny?

I rzekł na to Piast — przebywam w spokoju,
Ale mi żona moja nie śpi cicha. —

*) Tak nazywa poeta Rzepichę.

To mówiąc, ukląkł na kiju przy zdroju
I szlochał... Duchy zaś na to: że Pycha
Tu chce w rodzeństwie twojem niepokoju —
Bóg ją z ojczyzny swej przyszłej wypycha,
Ty jednak nie trać słowem ani kijem —
Złej, aż ją sami, wygnawszy — zabijem...

I płakał gorzko Piast. A jego żona
Przyzwawszy k' sobie synka Ziemowita,
Podniosła jemu w ramionach ramiona
I rzekła: Czuj duch, który serce chwyta,
A dziecko z matki się ciepłego łona
Zaczęło wdzięczyć — jak róża rozkwita,
Mówiąc: oto mam w rączkach moję duszę,
Wezmę czego chcę—rozkocham, co ruszę...

A matka, słysząc to, rączki te kładła
Na syna swego czarnego Wodana,
I sama on duch aniołowy kradła,
I płomieniami czuła się oblana,
I synów swoich wszystkie myśli zgadła
I rzekła: W Imię Boga, mego Pana,
Czeka mię jakaś wielka droga — pilna!
Widzę przed sobą czary — jestem silna!

I namówiwszy się z Wodanem — rzekła:
„Przybiorę różne do pomocy dusze,
„Chociażbym cały świat na siebie wściekła,
„Upiorów wojsko podziemne poruszę.
„Pójdźmy ztąd do trzech pustelników z piekła
„Na górze Zober.—Pójdźmy w leśną głuszę,
„Gdzie żyją straszni ci trzej pustelnicy
„Pod strażą orła, gadziny i lwicy.—

„Świętopełk, niegdyś król Czech i Morawy,
„Zniknąwszy wojsku swemu nakształt mary,

. . . .

„Do nich się udał i piekielne czary
„Czynił i wskrzeszał z grobów ogniojawy.
„Znany rapsodom ów monarcha stary,
„Owszem, na dziadach ma modły śpiewane;
„Takiej korony jak on — ja dostanę".

To mówiąc, wzięła Wodana za rękę —
I biegła... A mąż ją spotkał u proga,
Więc rzekła: idę patrzeć na jutrzenkę —
Gwiazdę, wstającą na końcu rozłoga.
A Piast pogroził—w niebo podniósł rękę
I rzekł: jutrzenka jest jak oko Boga.
Przed rankiem wstaje — słońca się nie wstydzi,
Do serc przenika, jako miecz, i widzi... —

A Pycha, fartuch zwinąwszy na głowie,
Z synaczkiem biegła po łąkach i rosach;
I napotkali ją dwaj aniołowie
Z kwiatami, z gwiazdy złotemi na włosach,
— Gdzie idziesz?... rzekli, a ona odpowie:
— Gwiazdy północnej szukam na niebiosach.
A oni na to:—Od męża uciekłaś,
A gwiazdy szukasz? teraz prawdę rzekłaś.

Znikli, a ona dalej zadyszana
Biegła, Wodana zaś za rączkę wlekła,
A różne na nią wiekuiste Pana
Sługi i różne pochodnice z piekła
Patrzały, jedna jak głowa urwana,
Druga jak ręka, która mieczem siekła,
Upiory, światła w niebiosach podróżne,
Przylatujące na nią — gwiazdy różne.

I przerażone w niej duchowe soki
W ocet się ostry kłamstwem zamieniły,
Ogniste za nią leciały obłoki —
I po cmentarzach widziała mogiły,
Z których wychodził skier obrus szeroki.
A ciała na dnie, jak w szkle widne były,
Przy każdej kładce i przy każdym moście,
Mogiła, jak szkło z ognia — a w niej koście.

I rzekła: Wejdźmy na cmentarz, Wodanie,
A weźmy duchy przez cielesne bole,
Bo to nauka przez ciał ogłaskanie,
Anioły wolne ducha brać w niewolę.
Czynią, co zechcesz, skoro w zaprzedanie
Pójdą... a wzrok je twój na wskróś przekole,
A potem w swoje łańcuchy obwinie,
W siebie je wchłonie, sam w ich koście wpłynie.



HENRYK SIEMIRADZKI.



JULIUSZ KOSSAK.

Oto są zgniłe cmentarne pruchniska,
Których się dusze po śmierci trzymają —
Zatrwóż je o kość — nie bój się, że błyska —
I światła dziwne po mogiłach wstają...
Rzekła: a różne zaklęte świetliska —
Zmuszone powstać — wstały wielką zgrają;
Każdy duch z własnym żegnał się kurhanem,
I poleciały wszystkie za Wodanem.

I będąc, jak Bóg, a Pycha Boginią,
Przyszli na górę Zober — Wodan z Pychą,
Gdzie czarownicy nad leśną pustynią,
Nie jedną duszę tak jak listek lichą
Zwiędłą... na węglach palą, wiatr z niej czynią —
Służkę zbolałą, nikczemną i cichą.
Lub każą jasnej chodzić po jeziorze,
I koralami ust — psuć *) sługi Boże.

Z tych dusz jakoby wilgotne kolory
Opromieniały pustelników skałę,
Ci we mgle kiedy zaczną swe nieszpory,
A czarne płaszcze swe zamienią w białe,
To pod płytami tych skał, czarne bory
Drżą... ptaszki siedzą w liściach oniemiałe,
A dalej srebrne jakieś błyszczy morze —
Jezioro... dzwony dzwoniły w jeziorze.

I pustelniki te Wodan połamał
Duchem — a matka im rzekła: widzicie,
Oto Bóg, który nigdy mi nie kłamał,
Przysłał to cudu pierworodne dziecię,
Chciejcie, co on chce — On was Bogiem łamał,
Siłami, które w bożym są błękicie —
A wam ta siła więcej nie zaszkodzi —
Owszem, królestwo ducha ku wam schodzi.

I pokłonili się trzej pustelnicy,
I rzekli: czego chce Wodan — my chcemy.
A Wodan w niebo krzyknął: błyskawicy!
I ogień wielki z twarzą złotą — niemy —
Jak duch trwający, jak mgła z okolicy
Północnej — po nad sosny i czeremy,
Rozciągnął straszny płaszcz ze złotej lamy,
Podobny do krwi, ogniska i plamy.

I rzekła Pycha: Teraz nieomylna
Jestem we wróżbach moich! Pan mnie słucha!
Wysłuchał mię mój Pan Bóg — jestem silna!
Królestwo w ręku mam, mam berło ducha!
Lecz siła pięciu ludzi i mogilna,
To jeszcze dla mnie nic — podpora krucha,
Mocarzy świata wezwę. Jak prorocy,
Siłę już świata mam — lecz wezwę mocy!

Rzekła — i Cesarz wielki Romy — Otto
Usłyszał i rzekł: w ręku mam Słowiany,
I szedł na górę sam — a pod ciemnotą
Sosen, pod skałą ukrył swe Rzymiany,
Ukrył girlandę swoich orłów złotą,
I miecz narodów wszystkich krwią zbryzgany,
A rzekł do swoich: wyostrzcie pałasze,
Słowo wam Lachów dam! Już Lachy nasze!

Rzekł i na górę wstąpiwszy w koronie,
Uczcił niewiastę i syna i starce
Mówiąc: Przyniosłem tu duchowi dłonie,
A guślarzowi cześć i tej guślarce.
Albo was wesprę — albo was obronię,
Albo świat, który was nie wyzna, skarcę!“
. . . .
Tak śpiewał guślarz! . . . .

ONGI I DZIŚ.
DUMKA
J. BOHDANA ZALESKIEGO.

(Z papierów rodzinnych).

Cyt, cyt! stepowa nuta podzwania
W rozjęk miarowy, przeciągły, miękki,
W symfonję ptasząt onych zarania;
Niepoliczone dźwięki, rozdźwięki,
Niby kobierzec z kwiecia, podściela
Na dumy, dumki dla marzyciela.

Stepowa nuto, luba, rodzima!
Nie dla mnie gody już rusałkowe;
Ogłuchłych uszu czar się nie ima,
Ni działa paproć na siwą głowę;
Zmarniałem dawno na poniewierce.
Lodowacieje oko i serce.

Ongi, och, nuto! na Ukrainie
W dumki i szumki wcieliłem siebie;
Rozśpiewanemu ongi, jak ninie,
Było mi błogo z tobą, jak w niebie!
Rozśpiewanemu tam na uboczu,
Zcałowywałaś słodkie łzy z oczu.

Z tobą ja, nuto, Bojan senliwy,
Kwiatu paproci szukał na cuda,
Ducha od stepu poczuł podrywy,
Dniepr ku mnie hukał trąbami Błuda,
Ługi, ostrowy, ojców mogiły
Żywemi słowy dumom wtórzyły.

A dziś, stepowa nuto rodzima,
Nie dla mnie gody już rusałkowe!
Ogłuchłych uszu czar się nie ima,
Ni działa paproć na siwą głowę!
Zmarniałem dawno na poniewierce,
Lodowacieje oko i serce!

---

*) Kusić.

DO SYROKOMLI
WIERSZ
Antoniego Góreckiego.

(ze zbiorów po Wacławie Szymanowskim).

Kondratowiczu, pozdrawia cię mile
Starzec, stawiący już nogę w mogile!
Doszły do niego twe pieśni donośne...
O! nie ustawaj, ciesz kraj przez twe pienie,
Zarobisz sobie na wieczne zbawienie.

Wiersz ten, pisany był w Paryżu w r. 1857-ym. Jak wiadomo, Górecki urodził się w roku 1787-ym w Województwie Wileńskiem, zmarł d. 18 Września r. 1861-go.

NA ZGON „DZIADKA”
WIERSZ
Władysława Syrokomli.

(ze zbioru Adama Pługa).

„Niechże będzie pochwalony!
Więc i umrę, kiedy chcecie.
Czegoż włóczyć się po świecie,
Gdy nie dają do skarbony?
U bogacza gdzieś przy oknie
Nieraz długo człowiek stawał,
Długo marznie się i moknie,
Nim wyniosą chleba kawał.
Kościół święty, matkę naszą,
Reformami ludzie straszą!
A jak pocznie mądra rada
Głosić postęp radykalny,
To i proboszcz nie przegada,
Cóż dopiero dziad szpitalny?
Och! czy mojej starej głowie
Zbijać mądre ich androny?!
Jedno umiem, jedno mówię:
Niechże będzie pochwalony!“

Mało komu wiadomo iż w r. 1846-ym Syrokomla zamyślił był wydawać pismo zbiorowe p. t. *Dziadek kościelny*. Tak je nazwać chciał nie ztąd tylko, że dochód z niego miał być obrócony na restaurację kościoła parafialnego w Mirze, z którego zacnym i niepospolicie światłym proboszczem, ks. Łoppą, łączyła go serdeczna zażyłość, lecz i dla tego jeszcze, co wyraził w liście swym do Pługa temi słowy:

Chciałbym w „Dziadku“ swym wyrazić myśl ślepej uległości dla wiary świętej. Chciałbym powiedzieć, lub dać do zrozumienia, że rozum ludzki nie będzie upokorzonym, jeśli, podciągając wszystko pod swoje wszechstronne badanie, uklęknie przed ewangelją i zechce jéj wierzyć in verba magistri. Ot co jest. Pojmujesz, że nie myślę wdawać się w spory z filozofją, w której jestem tak słaby, ale to, co mówię, ma tylko być duchem „Dziadka“.

Projekt ten nie doszedł do skutku, a jedyną po nim pamiątką skreślony *ex abrupto* w liście, do Pługa pisanym, wierszyk niniejszy, nie pomieszczony w zbiorze poezyj, a więc ogółowi nieznany. Po wyliczeniu przeszkód, dla których musiał wydawnictwa zaniechać Syrokomla tak swój list kończy:

„Dałem tedy po łbie „Dziadkowi“. Skonał biedak, a umierając rzekł“.. (tu następuje przytoczony wierszyk).

DO *
WIERSZ
ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA.

Nie wiem, czy jest taki drugi
Cudowny malarz na świecie,
Coby u swojej sztalugi,
Malując kogoś w portrecie,
Razem i siebie samego
Malował w duszy tamtego.

Tak się zdarzyło dziś ze mną...
I gdy czas, słońce, powietrze,
Twarz mą może z płótna zetrze,
Z tą, co mi weszła do duszy;
Czas będzie walczył daremnie,
I pierwej kosę swą skruszy,
Niż ją w niej przyćmi lub wzruszy.

DLA DZIEWIC.
Wiersz
Wacława Szymanowskiego.

(Ze zbiorów rodzinnych).

W pokoiku jasno, biało,
Sprzęt i ściany czystość stroi,
A od okna, wśród powoi,
Boże słonko zawitało.

Ciągnie smugą długą, jasną,
A w niej mżą się złote pyły,
Co jak gdyby w słońcu żyły,
To zatleją, to znów gasną.

Już z kościołka bliskiej wieży
Dzwonek wzywa do mszy rannej,
Przed obrazem Maryi Panny
Młode dziewczę krzyżem leży.

Ciemne włosy twarz obwiodły
I rękoma je obsłania,
A pokornie pośród łkania
Śle do niebios rzewne modły.

„Najświętsza Matko, co w utrapieniu
Zsyłasz nam biednym pociechy zdrój,
Ufam świętemu twemu ramieniu,
Prawdy mi drogę ukaż w zwątpieniu
I umysł słaby rozjaśnij mój—

I całą ducha mojego siłą
I całej myśli pragnieniem mej,
Zanim się ciało skryje mogiłą,
Chcę, żeby serce dla ciebie biło
Zdala od świata pokusy złej.

Ale zbyt wątłe są moje chęci,
Zbyt silny powab światowych snów,
Nim się myśl moja w Tobie uświęci,
Znów wir światowy zabrzmi w pamięci,
Na drogę błędu powracam znów.

Ciągła się walka w sercu mem toczy,
I duszę ciągła tęsknota rwie,
Próżno ku Tobie odwracam oczy:
Wiecznie je dobro światowe mroczy,
O Matko Boża, chciej wspomódz mnie.

Człowiecza miłość serce zamąca
I z nieba w ziemski pociąga kraj,
Ale ciemności wzrok mój roztrąca,
Ty wiesz, że kocham, o kochająca!
Ty wiesz, że cierpię, więc pomoc daj.

Jakież tu moje jest powołanie,
I jakiż wybór uczynić mam?
Czy wcielić w życie ludzkie kochanie,
Czyli doczesne moje mieszkanie
Zawrzeć pod strażą zakonnych bram?

Przyszłość przedemną chmury rozpiętrza,
Srogie zwątpienie udręcza mnie—
Zajrzyj do serca mojego wnętrza,
Zechciej mnie natchnąć, Matko, Najświętsza,
Przez pamięć Syna zaklinam Cię."

Tak dziewczę gorąco modliło się w ciszy
Aż nagle nad sobą głos wielki usłyszy:

„Córko, me życie rozważyć chciej—
Jam nie w zakonie spędziła lata,
Ale zamknięta w miłości mej,
W niej oddzieliłam serce od świata,
W niej moje szczęście i siła.

Z rodziną w wieczny związana ślub,
Do niej tuliłam duszę zranioną,
Dla niej przetrwałam dni krwawych prób,
Bom była córką, bom była żoną,
Bom syna światu spowiła.

Twoja tu ufność nie marny kwiat,
Co wstaje z wiosną i zwiędnie z wiosną,
Bo w zakres życia twojego lat
Stwórca splótł dolę szczęściem radosną,
I swoich męczarń katusze.

A więc tą drogą, co wskazał Bóg,
Musisz podążać stale i wiernie,
Musisz, nim wstąpisz w wieczności próg,
Znieść wszystkie w życiu kwiaty i ciernie,
Co pieszczą i krwawią duszę.

Jako ja, życie ku twoim skłoń
I pod domową zamknij je strzechą,
A opiekuńcza niech twoja dłoń
Będzie im szczęściem, wsparciem, pociechą,
Ku Bogu ducha w nich wspieraj;

A gdy tym synom miłości twym
Męki zgotuje złość krwawa ziemi,
Gdy krzyż na barkach zaciąży im,
Ty na Golgotę podążysz z niemi,
Z niemi cierp, płacz i umieraj.

A gdy się spełni ofiara twa,
Poświęcisz Bogu twoje cierpienie,
Niech z głębi serca przeczysta łza
Z ziemi pod niebios wzleci sklepienie,
Przetrwaj wśród cierni i głogu.

Męczeństwo twoje w dłoń Bozką złóż,
Która dla szczęścia w przepaść nas strąca,
Jak ja, cierpliwie znoś życie burz,
A kochająca i bolejąca
Tak, jak ja, odżyjesz w Bogu."

LIST
do Ludwika Osińskiego

WIERSZEM NAPISANY

przez

F. S. Dmochowskiego.

(Ze zbioru po Wacławie Szymanowskim).

Ciebie, na ziemi naszej Feba namiestniku,
O pomoc w słabym upraszam wierszyku,
Mnie, ucznia twego, gdy niezbyte sprawy,
Na czas w kłótliwe zagnały Kujawy.
Feb rozgniewany za karę
Zesłał mi procesów parę.

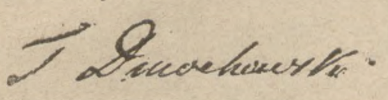


JÓZEF BRANDT.



TEODOR AXENTOWICZ.

I w tak gwałtownej, zostając potrzebie,
Tłomaczu „Cyda“ piszę do ciebie.
Lecz czas mi skończyć te próżne frazesa.
Krótko powiem: pieniędzy nie mam na procesa!
A nie dostawszy ich w całem mieście,
Upraszam o złotych dwieście.
Oddać je w Maju przyrzekam święcie,
I melodramy tłómaczyć w procencie,
A wszyscy wiedzą, że sztuka taka,
Lepsza niźli „Andromaka“.
Lub, jeśli przyjmiesz, panie, monetę miarową,
Zapłacę tragedją nową...
Dam wiersze gładkie, wiersze pięknie brzmiące,
Za dwieście złotych całe dwa tysiące!
Jak świat światem, sądzę,
Nie było wierszy za tańsze pieniądze.
Na wszystko musi przystać, rad nie rad,
Zadłużony wieśniak i chudy literat.



Pisany d. 22-go Stycznia r. 1811-go. Osiński tłómaczył „Cyda" Kornela i na powitanie Napoleona napisał dramat liryczny „Andromedę". Ur. 1775, um. 1838 r.; pod koniec życia objął dyrekcję teatru warszawskiego.

DAWNE CZASY—DOBRE CZASY.

SATYRA

Artura Bartelsa,

(ze zbioru p. Kazimierza Bartoszewicza w Krakowie).

Słyszę pochwały często czasów dawnych.
Co w nich lepszego było, nie pojmuję:
Mało dziś mamy w życiu chwil zabawnych
Ale by dawniej były, też nie czuję.
Tak samo, jak dziś, jedli, pili, spali,
Tak się rządzili i tak cięli lasy
I tylko więcej uszu obcinali
W te dawne czasy!

Czy patrjotyzm naówczas był wyższy,
Tego nie widzę — mamy jego ślady,
Bo od magnatów do warstwy najniższej,
Wszyscy do kraju należeli zdrady;
Tak samo wszystkiem egoizm kierował,
A czy na tronie był Piast, czy też Sasy,
Każdy o swoje tylko się targował
W te dobre czasy!

Może moralność? gdzież to ona była?
W miastach, nie powiem, bezecna rozpusta,
Jak dziś, tak dawniej po nich się gnieździła,
Raziła oczy i kalała usta.—
A na prowincji, jak dziś tak i zawsze
Kilku rej wiodło, małpowały masy,
Skarbiąc magnatów względy najłaskawsze
W te dobre czasy!

Nie ukształcenie, — bo dotychczas mamy
W wielkich archiwach niezatarte ślady
Światła tych panów — a największe damy
Ledwie list zbazgrać mogły od parady,
Dziś francuzczyznę mieszamy do mowy,
Dawniej łacinę — a u wyższéj klasy,
Z skutków widzimy, jakie były głowy
W te dobre czasy!

. . . .

Weźmiemy równość szlachecką — ciemnota
Większa, jak dzisiaj—pochlebstwo możniejszym
Prawie bez granic—a największa cnota,
Że się brat magnat bratał z bratem mniejszym;
Choć na zagrodzie równy wojewodzie,
Szlachcic brał sute na kobiercu basy,
A wziąwszy wioskę, rzecz kończył na zgodzie
W te dobre czasy!

Wolności złotéj mamy dość owocy:
Wolność zrywania sejmów i sejmików,
Wolność spędzania na hulance nocy,
A dnia wśród intryg, hałasów i krzyków,
Wolność służenia na magnackim dworze,
Jedzenia z kotła z kapustą kiełbasy,
I błaznowania, jak pan był w humorze,
W te dobre czasy!

A niepodległość! zawsze ten podlegał,
Kto był uboższy — bogatszy przemagał,
A za tę równość, której tak przestrzegał,
Pan posłuszeństwa ślepego wymagał:
Rozkazał w prawo — szlachcic ruszał w prawo,
W lewo, szedł w lewo, jak koń u kolasy,
A kto możniejszy, miał za sobą prawo
W te dobre czasy!

Gryźć twardy Alwar do gęstej już brody,
Liznąć statutu, próżniaczyć przy dworze
Pana hetmana albo wojewody,
Wykpić wioszczynę przy zdarzonej porze,
Albo zastawę, potem, wziąwszy żonę,
Jeść, pić i hulać, popuściwszy pasy —
To było życie szlachty tak sławione
W te dobre czasy!

Życie zaś panów: gołą szlachtę poić,
By im służyła w kłótniach między sobą,
Zakłócać sejmy, nadużycia broić,
Kraj swój okrywać hańbą i żałobą,
Wykpiwać z królów starostwa intratne,
Stroić się w pióra, futra i kutasy,
Oto są rysy magnatów wydatne
W te dobre czasy!

I to jest wszystko, czem się odznaczały
Te czasy, dzisiaj tak bardzo chwalone!
Lecz tak, jak każde, i one też miały
I swoje cnoty i swą dobrą stronę,
I ludzi dzielnych, tylko znów nie tyle,
Jak chcą starego trybu mecenasy,
Co wierzą, stojąc na kraju mogile,
W te dobre czasy!

Jedno nailepsze, ot że się rąbano
Lepiej, jak dzisiaj — przynajmniej na sucho
Obelg honoru, jak dziś, nie puszczano,
I jeśli szlachcic dał drugiemu w ucho,
Ciepłym szampanem nie kończyli sprawy,
Lecz każdy w ręce, i dalej w zapasy.
A jak się bili, to nie dla zabawy
W te dobre czasy!

A jednak wolę ja te nasze wady
Jak zagranicznych historji plugastwa
Wszak mimo błędów były tu zasady
Rządu, wolności, cnót i prawodawstwa.
Głupstwem dopiero tak nas nakarmiły
Te obieralne Francuzy i Sasy,
I bodaj nigdy już nam nie świeciły
Ich dobre czasy!

. . . .

Były niezgody, ale w nich trucizna
Nie szła bezwstydnie z sztyletem w zapasy;
U nas choroba — wszędzie zaś zgnilizna
Była w te czasy!

DZIENNIK J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Rok 1850).

(Z papierów rodzinnych za upoważnieniem p. Franciszka Kraszewskiego)

W roku 1850, dnia 7 listopada, J. I. Kraszewski zaczął spisywać „Dziennik“, t. j. wypadki dnia, własne spostrzeżenia, przeczucia, notatki prac literackich, gospodarskich i t. p.

Dziennik ten prowadził systematycznie do 6 marca r. 1853.

Adam Pług, pisząc życiorys w książce, poświęconej J. I. Kraszewskiemu, z okoliczności jubileuszu 50-cio letniej jego pracy literackiej, wspomina, iż z r. 1850-go i późniejszych nie ma wiele wiadomości o życiu Kraszewskiego. Sam zaś jubilat, który udzielał wskazówek do życiorysu, nie wspomniał nic o istniejącym dzienniku z tych właśnie lat, w którym zapisał wiele ciekawych faktów, tak z życia społecznego, jak i odnoszących się do jego osoby. Zapewne były to jego poufne zwierzenia przed samym sobą i dla tego zachował je w tajemnicy.

Dziś, gdy już mogiła pokrywa jego śmiertelne szczątki, zwierzenia te mogą ujrzeć światło druku, zwłaszcza, że nam odsłaniają poniekąd duszę człowieka, nie pisarza, co też nadaje im szczególną wartość.

Ś. p. Kraszewski miał zamiar, jak się ze wstępu dziennika okazuje, prowadzić go stale; zamiaru tego nie urzeczywistnił.

Poniżej dajemy tę część „Dziennika“, która spisana została i dotyczy w całości r. 1850-go, dalsze notatki zaś wydrukujemy w następnych numerach *Kurjera.*

---

*
* *

Rok 1850 dn. 7 go listopada (wtorek) Hubin.

Dziś, przerzucając papiery moje i przenosząc się do świeżo zbudowanego pokoju, spotkałem stare moje notatki dziecinne i żałowałem, żem sobie nie zadał pracy choć krótki dziennik pisać dla siebie.

Tak to się potem mile czyta — a życie tak płynie, zmienia się i zapomina; więc chcę wieczorem kilku słowy każdy dzień zapisać, jeśli czas pozwoli. Późno to zaczynam, bo w skończonym 38 r. życia i blizki pewnie końca zawodu, którego chwile najwięcej zajmujące już przeszły; ale lepiej późno, niż nigdy.

Dziś otrzymałem listy z Krakowa od L. Siemieńskiego i Grabowskiego, tyczące się mojej Historji Polski. Łatwiej to było pomyśleć, niż dokonać, taki ogrom pracy, a tak rozpierzchłe materyały. Czy się to kiedy dokończy — niewiem. List także od Wolfa, tyczący się umowy o Podróż malowniczą po Polsce, od której wiele wymaga, a za którą niewiele ofiarować może.

Chciałbym starych i nowszych zbiór listów ułożyć i oprawić—dobra i to pamiątka. Człowiek ich chciwy, są to zeschłe listki życia... Przepisuję „Kordeckiego“—co mi Bóg da za to — nie wiem...

9 listopada (czwartek).

Gazety piszą o wynalazku p. Benoit, który za pomocą ślimaczków obiecuje ustanowić komunikację między ludźmi w najdalszych świata krańcach — jest to fakt mistyczny, niestety! ale gdyby nim nie był?... Co wynalazków! do czego przyjdzie ludzkość? Czy one wszystkie razem wpłyną na zmianę związków społecznych i bytu człowieka?

Postęp jest, to niechybna. Szkoda, że nie wiemy, czy to, co się nam postępem widzi, jest nim wistocie, i że dopiero z dalszego stanowiska sądzić o tem można. Balon „Eol“ Fr. Mackemayera ma lecieć z Madrytu, kierując się na pewno do Londynu mimo wiatrów. Daguerotyp odbija, tworząc kolorami, elektryczność nosi myśli ludzkie — a człowiek tak się temu dziwi, jakby przed 800 laty.

Francja i Anglja co do moralności, co do postępu duchowego nie stoi wyżej od nas, owszem, nasz lud jest daleko moralniejszy. Co innego jest postęp materjalny, co innego postęp umysłowy, duchowy; bo w tem wszystkiem, co się zowie obecnie postępem, niema ducha. Są to zabawki, wygódki i nic więcej; człek się niemi zajmuje—ale nie wznosi... Przywiązuje do ziemi i staje podłym dla żywota, który z ducha! Czy tak lepiej — nie wiem.

Odrodzenie się ludzkości nie przyjdzie przez wynalazki, ale przez naukę Chrystusową, rozumnie a zdrowo w serca wlaną...

10 listopada (piątek).

Dzień, jakby wiosenny, z pod śniegu w wielu miejscach widać trawę i rośliny, co się zielenią, jak umysły, które wśród starości umieją być młode, ale to rzadko. Jakiś żółty kwiatek, z pod śniegu wyszły, ze swemi gronkami złocistemi zastanowił mnie; biedne stworzonko — w porę się wybrał kwitnąć!

15 listopada (środa).

Jest wiele ludzi, których kochamy, mało takich, z którymi byśmy się żyć ciągle ośmielili. Życie wspólne stoi na ofiarach rodzinnych, a te znów czasem są ciężkie. Samemu smutno — z kimś ciężko, i cóż to za życie? Życie! Kto pragnie szczęścia, powinien się nauczyć nic nie chcieć koniecznie.

16 listopada (czwartek).

Jak to się człowiek odmienia. Dziś odebrałem jeden z najzjadliwszych paszkwilów, jakie mnie w życiu spotkały. Dawniej byłaby mnie od niego srodze bolała głowa, i miotałbym się, i mógłbym zrobić to głupstwo, żebym odpisał; dziś trochę mi było przykro, ale bólu ani gniewu nie czułem, boć to był artykuł wściekle głupi i wściekle zły. Życie literackie jest tem okropne, że się człowiek sam stawia pod pręgierzem, na oczy ludziom. I tak siły nieraz umysłowe, i twe dary, i prace, i to, co od losu zawisło, i prywatne życie twoje, wszystko, aż do najdrobniejszych żywota wypadków, paszkwilistom za tło służą.

27 listopada (poniedziałek).

Wielka nowina! Chateaubriand, ów wielki Chateaubriand upadł. Zabiły go we Francyi pamiętniki pogrobowe, zabiły od powstania; ludzie wszystkich stronnictw uznali go tylko bohaterskim egoistą. Jedenaście tomów zbudował na jednem: Ja i Napoleon, a zwłaszcza Ja! I mnie oburzyło, czytając to uwielbianie siebie, to kadzidło nudne, ten egoizm, ślepy aż do śmieszności—te wspomnienia „nie wiedzieli, że to ja“, „gdyby wiedzieli, że to ja“ — Ja, ja i ja!... Ale czyż ta ludzka słabość nie jest już do darowania?... Francja upadnie, niema już w niej czci dla niebioga, a narody póty żyją, póki choć co piękne i wielkie czcić umieją.

30 listopada (czwartek).

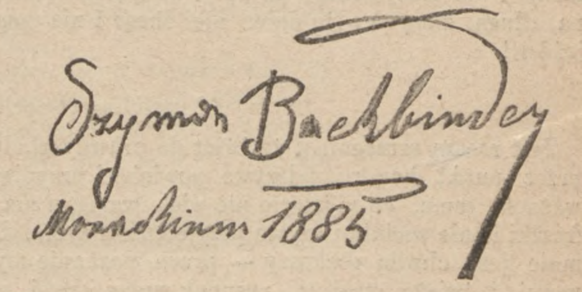
Dnia 17 listopada zacząłem przepisywać tom 2-gi „Kordeckiego„, a dziś go skończyłem, w dniach 13-stu, z których najmniej cztery nic nie pisałem. Niech idzie w świat ludziom na pociechę, a Bogu na chwałę, sądzę, że to jedna z lepszych moich powieści, wiele ducha i prostoty. Czułem zawsze, pisząc, co się ma podobać więcej i co ma mieć więcej rozgłosu. Zdaje mi się, że „Kordecki" powinien być uczuty i z historycznych powieści moich, które dotąd mi się nie udawały [1]), do czego się chętnie przyznaję — ta pewnie najlepsza. Bierze ją p. Adam Zawadzki za 240 rs. [2]) i 25 egzemplarzy, tyle pracy a taka drobina pieniędzy—(ale co rozkoszy w pisaniu!). Pisałem go w boleściach, bo nosząc plaster emetykowy na karku i ledwie mogąc się ruszyć (tak jak „Sfinxa" w łóżku). Daj mu Boże powodzenie, ale któż kiedy zgadł, jak książka przyjętą będzie przez świat?... Najlepsze rachuby zawodzą, a ojciec o dziecięciu sądzić podobno nie ma prawa.

2 grudnia (sobota).

Literatura francuzka śpi, czy drzemie, Hugo politykuje, Lamartine pokutuje, Dumas szyje romansięta, Sue deputuje, a pani Sand siwieje; został się Gauthier, który zbyt utył, Umerval, który się rozpisuje po feljetonach, i kilku, o których wspominać nie warto.

1) Rok 1850.
2) Ówcześnie.







JULJUSZ HERMAN.

3 grudnia (niedziela).

Z rana ślicznie było i ciepło, jeździłem konno około dwóch godzin. Zacząłem rysunek katedry krakowskiej, ale nie wiem jeszcze, czy to malować będę, bo mi się zdaje, że przedmiot zbyt na wielką skalę nie będzie robił effektu.

4 grudnia (poniedziałek).

Są dziwne przeznaczenia... chociaż wiary do tego nie przykładam, muszę jednak wspomnieć tu, że przez całą młodość moją zawsze każdego miesiąca *czwarty* dzień był mi nieszczęśliwy i wszystkie nieszczęścia, straty bolesne, strapienia duszy, przykrości, spotykały mnie czwartego. Widząc, że mi Bóg przypomina pokutę, zacząłem był pościć, ale dziś zmieniło się to na modlitwy pokutne.



ZYGMUNT AJDUKIEWICZ.

7 grudnia (czwartek).

Czytałem piękne, bardzo piękne, zwłaszcza co do języka, pełnego barwy, przekłady Syrokomli: Kochanowskiego i Klonowicza. Będzie z niego pisarz, pisarz choć nie grajek, ale pracownik użyteczny i niezmordowany i cały w sobie; wszystką siłę oddaje umysłowej pracy: wyrobi się na człowieka. I oto poeta czasem, aż na geniusz zarywa, a jego genialna forma i język — szata...

9 grudnia (sobota).

Po południu przyjechał staruszek, ksiądz Kozłowski, Trynitarz; kto wie, czy to u nas nie ostatnie w swoim rodzaju zjawisko — 76 letni starzec był niegdyś żonaty, był wędrującym księgarzem a wreszcie, owdowiawszy, i bibliotekę swą ofiarując zakonowi, do niego wstąpił.

Rzeźwy i wesoły starowina. Kto nam jemu podobnych kwestarzy zastąpi? a jednak to mili goście, zdaje się, jakby przyjeżdżali nie z sąsiednich klasztorów, ale z XVI lub XVII wieku do nas.

11 grudnia (poniedziałek).

Przepisuję „Komedjantów“ tom 2-gi, zbieram się malować Tarnów. Dzień mroźny, zwozili stertę żytnią, ostatnią niestety! dobrze się zachowała, dzięki Bogu, i słoma, jak złotko, wygląda, to dachy podszyje poczciwa — bo czegóż to św. chleb nie daje... z siebie. Pomimo mrozu dzień był pochmurny i tak niezmiernie krótki, że ledwieś wstał, już się kładniesz. Wysłałem na pocztę z listami i do Maraczyńskiego po farby i do Każyńskiego po nuty, bo trzeba resorsów na długą zimę w Hubinie, nie chcąc i nie mogąc jeździć!

12 grudnia (wtorek).

Jest rzeczą szczególną, że świat do prawdy kładnie przez punkt honoru fałszywe powieści i przypisuje ważność temu, co w istocie nie wiele warte, a ma za fraszki istnie wielkie i czyste przyjemności życia. Dla mnie jest chwilą rozkoszy — praca, poznanie myśli nowej i świeżo strojnej, rysunek cudzy i swój, piękna muzyka, piękny utwór filozoficzny, moralny, literacki. Znów czasem połowa świata ma to za fraszkę. Widzimy większą część ludzi śmiejących się z tych przyjemności i traktujących je za dzieciństwa. Gdzież prawda, czy u nich, czy z nami. Lecz mi się zdaje, co mnie podnosi, uszlachetnia i uszczęśliwia bez zgryzoty, bez szkody, poczciwie — to musi być prawdą prawdziwą. Jednak spojrzyjmy, jak to ona zapoznana, a jak poważni ludzie serjo kłopocą się i nudzą, ubiegając za wstążką, za znaczeniem, oklaskiem i Bóg wie tam jeszcze czem, opłacającem się upokorzeniem i strapieniami bez liku. Wiem, że ci, co kochają sztukę — naprzykład literaturę, książki, myśl... uchodzą pospolicie za czczych, są bawidełkiem tłumu, który się z nich śmieje i ich radość, nawet czystą, za dzieciństwo mieni. Jest to nie tylko u nas — ale po całym świecie. A dopóki tak będzie — nie wiem, jestto upadek [1]) i t. d.

16 grudnia (sobota).

Malowałem dalej Tarnów. Piszę „Komedjantów“ Tom 2-gi.

— Gra każda, nawet szachy, jest szkodliwą, gra w karty, losowa, budzi chciwość..... Patrzę na to, jak dzieci i starsi grają w fortunkę i jak to ich rozdraźnia, gdy przegrywają —jaka chciwość jest w oczach. Biedni ludzie! Ile razy spojrzysz z wysoka na człowieka, nie płacz, nie śmiech, ale litość głęboka uciska serce: nędzne, słabe i niepojęte stworzenia!

18 grudnia (poniedziałek).

Dzień jasny; malowałem dalej Tarnów, mniej z niego kontent jestem, rysunek, koloryt, światło zbyt realne.

Pisałem „Komedjantów“.

Wielka reguła w życiu być powinna: niczego nieżądaj, niczego się nie spodziewaj, niczego nie lękaj, na wszystko gotuj; ale któż to potrafi? nie ja.

[1]) Rok 1850.



TEODOR AXENTOWICZ.

Pol stroi fortepian... dobra figura w powieści, jak opowiada o sobie i o Olizarze—o zakładzie z nim, że łatwo po cynie roztopionej pływać będzie; o wygraniu zakładu, spaleniu kartki tej przez wspaniałomyślność i o intencji Olizara dania mu wioski dożywociem. Niestety, śniło mu się to tylko, ale miał choć sen dobry.

19 grudnia (wtorek).

Malowałem Tarnów trochę lepiej. Czytałem Pussina p. Gaulb: S. Germ. Lichota wielka a deklamacja pusta, bez sądu, bez myśli — i sztychy dodane bez rysunku, bez sztuki... tandetne, nie dają wyobrażenia o tem, czem Pussin celował — stylu.

Wielki to malarz, dla rozumu i umysłu, jak go nazwano, ale wcale nie dla serca — trochę teatralny w kompozycji. Zachwycenie św. Pawła pięknie ugrupowane, ale zawsze to Ezechiel Rafaela! — uniknąć było trudno, bo przedmiot podobny.

20 grudnia (środa).

Miałbym dziś co zanotować, gdyby mi czasu stało. Z rana był hr. Tadeusz. Po obiedzie przyszła poczta i przyjechał Tomaszewski [2]). W czasie kolacyi okropny przestrach, bo ogień się zajął w kominie kredensowym, zobaczyliśmy światło w oknach, płomień buchnął i wkrótce zgasł. Bogu niech będą dzięki, że nas uchował od tego.

[2]) Doktór med. zam. w Łucku.



WACŁAW SZYMANOWSKI.

21 grudnia (czwartek).

Do połowy dnia bawił Tomaszewski. Przyszły 3-y drzeworyty z moich rysunków i portret Rzew skiego z Petersburga. Biedny Tomaszewski, ma n nję, przywiduje mu się, że go wszyscy swatają, go wszyscy żenią, i że każda kobieta najczulsze na niego okiem spogląda, dobry typ do powieśc a może lepszy jeszcze do komedyi.

23 grudnia (sobota).

Dziś wedle starych obyczajów z opłatkiem, sianem i snopem samotną obchodziliśmy wigilją, sami jedni, nikomu do nas nie pilno, nikomu za nami nie tęskno—a my do nikogo dojechać nie możemy. Dzień przytem ponury, smutny i t. d. Stare obyczaje!—co w nich za urok? Jestli to urok węzła, co nas z grobami i ze zgasłym już żywotem łączy, urok jedności z rodziną pradziadów, olbrzymów, większych od nas sercem i głową... To pewna, że każdy narodowo-religijny obchód robi wielkie, uroczyste wrażen i winniśmy szanować je, jak relikwie ducha. Ale przykro samym być w te dnie, gdy są krewni, rodzice, bracia, swoi, coby podzielili *wspólnie* opłatek, chleb i życia chwilę, tak szybko upływającą... Nikogo! nikogo! za to wspomnienia umarłych cisną się słowami tych, co z nami łamali opłatek—a dziś tylko wiecznego odpocznienia proszą... Pokój wam, pokój, jakiego świat dać nie może!

24 grudnia (niedziela).

Dziś skończyłem Tarnów, nie jest to obraz całkiem dobry, ale zły nie jest, mało effektu — tylko figurki w ogóle dosyć się udały.

Dumas fils pisze romanse, wyraźna fabryka po śmierci ojca (będzie mógł napisać mu nekrolo i dodać na nim: *Son fils inconsolable continue le meme commerce, Rue, Nro*). Jak daleko Dumasowi dzisiaj do Dumasa pierwszych dramatów i wrażeń, jak się zużył i na zdawkową monetę zmienił swe złoto... nauka dla wielu.

25 grudnia (poniedziałek).

Pierwszy dzień świąt upłynął nam, jak inne, ale ludzie nie pamiętają Bożego Narodzenia bez mrozu, co dziwniejsza, że nietylko tego dnia, ale jeszcze niemieliśmy go. Ziemia rozmarzła, powietrze wilgotne dotąd.

26 grudnia (wtorek).

Malowałem widok Armeński — *Erzerum* (Meczet), który co do kolorytu bardzo się udał. Jestto maleńki widoczek, ale świeżutki bardzo i tem ładny. Jutro chcę robić drugi w tym rodzaju widok Krymu (Góra Trapezus—stół). Dziś dzień kolędy odwiecznej, dwa razy już śpiew się odzywał pod oknami naszemi. To dopiero początek... zwyczaje—rzecz święta... Jedliśmy też wilją na sianie ze struclem, który dziecię spowinięte przypomina. Snop stał w kącie.

27 grudnia (środa).

Malowałem Czatyrdach maleńki, świeżutki, ale to ma minę akwarelli. Jutro zrobię w tym sposobie Surem dla Frania. Dziś mróz i śnieg z nocy upadł. Jeźli mróz wytrwa, zimę może nareszcie będziemy mieli—co daj Boże. Głowa boli, trzeba to gryzmolenie rzucić.

31 grudnia (niedziela).

Ostatni dzień 1850 roku, o którym nie wiem, co napisać, ani go chwalić, ani ganić zbytecznie; przywlókł się, jak inne lata w kolejach strapień i przyjemności, smutku i błysków wesela — i dziś mu niepowrotnie dzień ostatni!— Żegnaj więc roku! bliżej tobą do grobu, bliżej do sądu, do wieczności — do końca... Żegnaj nieurodzajny 50-ty a przyprowadź ze sobą w kłosy uwieńczonego następcę, przywiedź spokój — nie bogactwo, bo tego nie chcę, ale skromny dostatek, ale bezpieczeństwo jutra, pracę owocową, ciszę domową, i światu te fraszki, któremi bawisz twe dzieci, drobne przyjemności życia i często zastępującego wielce... i... zresztą tyś tajemniczy! z twarzą zakrytą, z piersią, obwiniętą w pieluchy, w bandolety



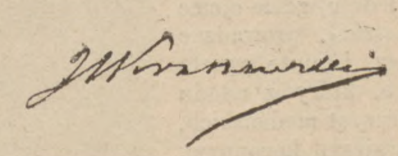


A. WIERUSZ-KOWALSKI.

posągów egipskich. Któż cię odgadnie... od jutra po dniu, jak na różaniec paciorki spadać zaczną i dni twoje i zasłony... dowiemy się, lub nie dowiemy, bo kto wie swój koniec i grób?...

Dzień był mroźny, z bólem głowy i moim i Zosi [3]) Jaś stękał, jam malował trochę (Tyniec) i cisza zwyczajna... Jutro może mieć będziemy gości... i życzenia. Tak o nie łatwo, jak trudno o to, żeby się ziściły. Powtórzmy jeszcze moje: spokój, zdrowie, trochę chleba, książek i przyjemnych twarzy nam wszystkim; więcej nie żądam. Błogosław Boże i stań się wola Twoja. Amen. 1851.

[3]) Żony.





FRANCISZEK STREITT.



A. WIERUSZ-KOWALSKI.

Z TEKI WSPÓŁCZESNYCH.

WIZYTA W PLENNEJ.

(*Z niewydanej powieści*).

Tak rozmawiali Czubaty z pułkownikiem, aż im się pokazały dworskie zabudowania w Plennej.

Dziwna-to tam była ta siedziba szlachecka. Dawnemi czasy stał tam zamek obronny, z ogromną wieżą okrągłą, opatrzoną otworami do zataczania armat; zamek ten był okolony murem obronnym dosyć wysokim z trzech stron, a plecami opierał się o wzgórze skaliste, nieprzystępne ani dla konnych, ani dla pieszych. Ale już w przeszłym wieku zamek przeszedł w ruinę, a została się tylko wieża i mur okolny z bramą żelazną. Do tej wieży przybudowano wielki dwór modrzewiowy z piętrem, przytykającem do wierzchu wieży i ogromnym gankiem, opartym na ośmiu słupach. Z czasem zaś przystawiono jeszcze, to do starego dworu, to do wieży, rozmaitego kształtu budynki, tak, że trzeba było tam jakiś czas mieszkać, aby się z wnętrzem tych zabudowań obeznać.

Majątek był rezydencyą starożytnej i sławnej rodziny Korabitów-Laskowskich, ale dzisiaj rezydowała na nim kobieta, matrona bardzo poważna i używająca wielkiego respektu w całem sąsiedztwie. Czy ją szczerze kochano, to trudno wiedzieć, bo szlachta nasza czasem dla bardzo błahych powodów odmawia swoich sympatyj; ale to pewna, że byli tacy, którzy się jej obawiali dla jej rozumu i prawdomówności. Pochodziła ona z równie starożytnego rodu Ossorjów-Bukowskich, wychowywała się w Wiedniu, gdzie ojciec jej przez wiele lat mieszkał, prowadząc jakieś zawikłane procesy, i tamże wyszła za pana Laskowskiego, który z młodu wszedł w służbę arcyksiążąt modeńskich, a umarł austrjackim krajczym koronnym. Pani krajczyna miała z nim syna jedynaka, który przeciw jej woli wychowywał się w akademii inżenierów wiedeńskiej, a potem służył jakiś czas w wojsku, dopiero-co służbę porzucił i właśnie przyjechał do matki. Była-to kobieta słusznego wzrostu, nie otyła, ale zbudowana barczysto, o twarzy pięknej, lecz teraz już chropowatej cokolwiek, i siwiejących włosach, staroświeckim czepcem nakrytych; mówiła głosem nizkim, na pozór także chropawym, ale umiejącym także przybierać tony ujmującej dobroduszności.

Kiedy pułkownik z Czubatym zajechali przed ganek, nikt do nich nie wyszedł, zapewne dlatego, że była to jeszcze bardzo ranna godzina. Weszli zatem do przedpokoju, a tam zastali starego kamerdynera, który ubrany w czarny frak i białą chustkę na szyi i w białej szlafmycy na głowie, siedział przy oknie i robił na drutach pończochę. Kamerdyner ten był rodem czech, zwał się Cybulka, służył jeszcze u ojca krajczynej w Wiedniu, a teraz był już na łaskawym chlebie, ale jeszcze zawsze pełnił służbę pierwszego kamerdynera. Cybulka poznał zaraz pułkownika, przemówił do niego po niemiecku, pocałował go w rękę i otworzył mu drzwi do ogromnej komnaty, która choć opatrzona licznemi oknami, lecz obwieszona ciężkiemi kotarami i zastawiona starożytnemi sprzętami, była cokolwiek posępną. Wszedłszy tam, kiedy Cybulka poszedł ich zameldować, Czubaty skręcił nosem i rzekł szeptem do pułkownika:

— Jakoś dziwnie niemcem tu pachnie. Toż nie wiem, czem nam tutaj zakadzą.

A wtem weszła krajczyna. Za nią wbiegły dwa mopsy niemieckie i rzuciły się z piskliwem szczekaniem na Czubatego rajtuzy, ale zwietrzywszy tłusty szuwaks, którym ten stary legionista miał zwyczaj maścić swe buty, jakoś przycichły.

— Jak się masz, mój drużbo, — rzekła krajczyna łaskawie do pułkownika, który, będąc sam w akademji inżenierów, na jej weselu drużbował, — Bóg ci zapłać, żeś sobie przecie raz Plennę przypomniał. Twoją żonę widziałam w niedzielę w jezuickiej kaplicy i wiem, że jest zdrowa i ślicznie wygląda. Wiem także, że macie gościa Imć pana Borcha. Powiadano mi, że z wielkim dworem przyjechał i ma odbierać Leśniowę od Łosia. No, a jak-to tam z Łosiem?



FRANCISZEK EJSMONT.

— Jak dotąd, wszystko w najlepszym porządku.

— To chwała Bogu. Inaczej byłabym tam jakieś słówko dodała. Spodziewam się, że przecież kiedyś mi przyślesz hrabiego Borcha. Podobno-to także wojskowy, będzie kompanja dla mego Walka. No, a kogóż mi to przywozisz? Mości Czubaty, dajże mi rękę. Rzadko ja waści widuję, boś na mnie nie łaskaw, ale znam dobrze i mam dla waści konsyderację. Natłukłeś się waść niemało po świecie; no, ale masz przecie na czem odpocząć, rządzisz się dobrze, jak słyszę, masz piękną żonę, Bóg ci dał synka— a tak jeszcze jakoś Bóg łaskaw, może się też i nad nami zmiłuje. Ale wy głodni, bądźcie cierpliwi, zaraz nam dadzą śniadanie, to się i pożywicie. Siadajcież sobie tymczasem i pogadajmy.

Krajczyna siadła w swoim ulubionym fotelu przy stole, oni koło niej; Czubaty się na takie serdeczne przyjęcie rozczulił i chciał dziękować, ale wobec krajczynej niełatwo było przyjść do słowa. Pułkownik ledwie ją spytał o syna, kiedy ona zaraz głos zabrała i tak mówiła:

— Mój Walek (Panie Boże odpuść tym, co go pod niemiecką opiekę oddali aż do pełnoletności!) przecie nareszcie odzyskał wolność. Skończywszy akademję, trzeba mu to przyznać, że z wielką dystynkcją, wstąpił, jako podporucznik, do artyleryi, już w kilka miesięcy awansował na porucznika, a tej jesieni byłby już kapitanem, ale jak tylko dwudziesty czwarty rok skończył, upadam do nóg. Opieka się skończyła, wziął dymisję, i przeszłego tygodnia przyjechał. Zaraz go obaczycie.

Jakoż istotnie w tej chwili weszło dwóch młodych ludzi do komnaty.

Pierwszy z nich był wzrostu miernego, cery opalonej, z dużym nosem chrząstkowatym i wybitnemi rysami twarzy, znamionującemi energję; toż i jego czupryna tak czarna, że za oczy chwytała, podnosiła jeszcze to samo wrażenie; ale jego oczy, choć także czarne i błyszczące, patrzały wzrokiem dziwnie nieśmiałym, jakoż i w całej jego postaci przebijała się uderzająca skromność i jakby niepewność siebie samego. Widać było na pierwszy rzut oka młodzieńca, który przeżył swe życie w twardej subordynacji i jeszcze nigdy nie stał na własnych nogach.

Natomiast drugi miał całkiem inne wejrzenie. Był on dużo słuszniejszy, bardzo jasny blondyn z dużemi niebieskiemi oczyma i małemi w górę podkręconemi wąsami, bardzo kształtnej budowy i ruchów, odznaczających się ową elegancją wytworną, którą pod owe czasy tak wysoko ceniono w salonach; z wypukłą piersią, mocno spięty w pasie, miał przytem także postać cokolwiek wojskową, lecz przedewszystkiem uderzał wyrazem swobodnej wesołości, bez troski na gładkiej swej twarzy i ową pewnością siebie, która świadczy o stanowczości charakteru, a często jest także znamieniem przedsiębierczości. Zgoła była to postać bardzo sympatycznego młodzieńca, który nas pociąga ku sobie, bo widzimy na pierwsze spojrzenie, że ma przyszłość przed sobą, a zarazem czujemy, że tę przyszłość we własnem ma ręku.

— Otóż mój Walek—rzekła krajczyna, pokazując na pierwszego—ale uprzedzam was, że się z nim nie rozmówicie po polsku, tak mu tam niemcy złamali język w tej akademji. Trzeba z nim mówić po francusku, albo, kto umie, po włosku, bo do niemczyzny was nie zapraszam. A to jest pan pułkownik Wisłocki... a to pan Czubaty, także z gwardji napoleońskiej.

Na to obydwa goście wstali z swych krzeseł, Walek wyprężył się jak prosty żołnierz, a pułkownik także się wyprostował, ale czy to bez żadnej myśli, czy pod wpływem nieprzyjemnego wrażenia, przemówił do niego po niemiecku, pytając go o lata służby i dodając łaskawie, że i on także wyszedł z tej akademji. Zgoła, była to konwersacja bardzo grzeczna, lecz sztywna. Pułkownik ruszył się mówić z porucznikiem, tak, że nawet Czubaty to uczuł, zaraz też się zbliżył do Walka i zaczął z nim mówić po włosku.

— A asindzi, mój drużbo—zauważyła krajczyna—mówisz jeszcze po niemiecku, jak niemiec...

Pułkownik uśmiechnął się na to i spytał:

— A któż jest ten drugi młodzieniec?

— A to jest ten sam Dziaduski, synowiec nieboszczyka mojego męża, za którym przed trzema laty pisałeś list do pułkownika Bogusławskiego. Czy nie pamiętasz?

— A jużci pamiętam—odpowiedział Wisłocki, kłaniając się uprzejmie Dziaduskiemu—ale nie wiedziałem, że się wstawiam za tak przystojnym młodzień-



KSAWERY SIEKIERZ.



WŁADYSŁAW WANKIE.

cem. Więc jakże tam, mój młody panie, czy mój list przydał się na co? czy Bogusławski jeszcze mnie sobie przypomniał?

— Bardzo pułkownikowi dziękuję —odpowiedział wesoło Dziaduski— i bardzo się cieszę, że mam sposobność podziękowania, które oddawna mi ciąży na sercu. Bogusławski sobie pułkownika zaraz przypomniał, powiadał mi, żeście panowie niedawno co przedtem widzieli się w Warszawie, i treści listu wysłuchał, bo już w kilka miesięcy potem, zrobił mnie podporucznikiem.

— W czwartym pułku linjowym —rzekł na to pułkownik—przyznaj że, iż to nie bagatela. Ale musiałeś sam mieć szczęście do ludzi, bo to tam w tym pułku nie znają protekcji.

— Z początku bardzo łaskawi byli na mnie — odpowiedział Dziaduski—ale później...

— Jakto? więc już nie służysz?

— O! szkoda mówić—przerwała krajczyna — Imć pan Dziaduski, zamiast czekać spokojnie, aż pora przyjdzie po temu, awanturował się z oficerami i wyzywał ich na rękę. Udało się raz, udało się i drugi, ale nareszcie się to doniosło—a wtedy, gdyby był nie czmychnął zawczasu, byłby pewnie poszedł na dwadzieścia lat do kozy. A i tak go tam podobno osądzono zaocznie.

— Hm, — mruknął na to pułkownik, — gruba to sprawa... ale znów z drugiej strony krew nie woda...

Pułkownik był widocznie bardzo zaambarasowany, bo końcem końców miał zbiega przed sobą, za co kula w łeb w każdej armji, o co mniejsza, lecz jest to także rzecz niehonorowa. Ale znów z drugiej strony... bardzo mu się ten młodzieniec podobał. Wisłocki był zatem w wielkim kłopocie, ale wydobył go zeń Czubaty, bo usłyszawszy, co tam Dziaduski pobroił, porwał go w swoje ramiona, wyściskał za ręce i zaraz się z obydwoma żołnierzami w kąt zaprowadził na koleżeńską rozmowę.

Dano znać do śniadania, przy którem się wesoło bawiono, rozmawiając po polsku, po włosku, po niemiecku i po francusku, tylko spraw publicznych nie dotykano, bo były przy stole jakieś stare guwernantki i panny respektowe, kapelan domowy i karzeł hiszpan, który Czubatego w doskonały humor wprowadził, mówiąc z nim po hiszpańsku. Dopiero po śniadaniu krajczyna zaprowadziła się z pułkownikiem do swojej ulubionej komnaty i zasiadła z nim do poufnej rozmowy. Czubaty z obydwoma młodymi



JULJAN FAŁAT.



JACEK MALCZEWSKI.

oficerami zasiadł w drugim pokoju. wypytując Walka ciekawie o jego służbę artylerzycką, a Dziaduskiego o pojedynki warszawskie. Pułkownik skorzystał z tej sposobności, aby zwrócić uwagę krajczyny na nastąpić mogące wypadki i podsunąć jej myśl, że obowiązkiem młodzieży jest służba... bez względu na to, jakie tam który z nich ma przekonania polityczne. Ale krajczyna przyjęła te wiadomości i uwagi dość chłodno.

— Nie potrzebuję cię zapewniać — mówiła do pułkownika — jak mnie to zawsze bolało, że mój syn się tak niemczy. Jakoż, będąc przed rokiem w Warszawie, myślałam o tem, aby tam wstąpił do wojska, jak tylko się tutaj uwolni. W tym celu pozawiązywałam tam trochę stosunków, do czego mój krewny, pułkownik Bukowski, był mi bardzo pomocnym. Ale od czasu, jak przed kilkoma miesiącami zjechał do mnie Dziaduski... zaczęłam się zastanawiać — a teraz postanowiłam zaczekać do wiosny.

— Powiedz-że mi, pani siostro — Wisłocki tak ją nazywał, bo była mu krewną po babce — czy nie możnaby jakoś Dziaduskiemu dopomódz? bo żal mi tego młodzieńca. Osądzony zaocznie za pojedynek, to prawda, ale zawsze to jest dezercja. Już się tam nie będzie mógł nigdy pokazać, a do tego podobno i nie bogaty...

— Dziaduski — mówiła krajczyna — dziś nie bogaty, ale ma bezdzietnego stryja w krakowskiem, którego majątek szacują na dwa miljony. O to tedy nie ma się co kłopotać. Ale, między nami mówiąc, wisus-to wielki. Ja jego kocham, bo to krew nasza, a zresztą taki-to wisus, że go trudno nie kochać. Ale mam ja z nim niemało zmartwienia. Nie dosyć, że mi wszystkie konie zajeżdża, ale jeszcze i żadna panna służąca nie może przejść przez kurytarz, żeby jej choć zdaleka nie cmoknął. On myśli, że ja o tem nie wiem, ale asindzi wiesz, że u mnie mysz się w swej dziurze nie ruszy, ażebym jej nie spostrzegła. Pozaprzeszłej niedzieli przyparł nawet popadję do kąta i wycałował na piękne, i tak mu się to udało, że go ksiądz złapał na gorącym uczynku. Bóg wie, coby się było z tego zrobiło, ale przecież jakoś uspokoiłam księdza, że poszlę grzesznika nazajutrz do spowiedzi...

— Jeżeli go ksiądz złapał na gorącym uczynku — zawołał pułkownik — to djabli mu tam po tej spowiedzi. Chyba, że się przed nim samym spowiadał...

— Nie, jeździł do Urwisk, bo i tam także dojeżdża, a wraca czasem dopiero, jak kury pieją. Może tam jeszcze i Salusię spowiada. Zgoła cały dom mi przewrócił do góry nogami. Jest z tego czasem niemała rozrywka, na co ja się w mojej samotności nie skarżę, ale nieraz więcej, jak trzeba. To tylko jedno w tem mnie pociesza, że mój Walek się przy nim rozrusza, bo go tam niemcy już tak zachmurzyli, że jak kanonik wyglądał. A to niedobrze w tym wieku. Tak tedy mój dom się trochę ożywił, a jeżeli jest przy tem nieco pustoty, to może nam to Pan Bóg w swej łasce przebaczy.

Pułkownikowi przypomniał się jego własny wiek młody, więc znowu się rozpogodził i rzekł wesoło:

— Młodym godzi się trochę poszumieć, aż póki się nie wyszumią. I myśmy także szumieli za naszej młodości.

Krajczyna na to machnęła ręką z uśmiechem, jak gdyby chciała powiedzieć, że lepiej o tem nie wspominać, jakoż zmieniła przedmiot rozmowy, powtarzarzając raz jeszcze:

— Więc Borch kontent był z Łosia, to mnie bardzo cieszy. Bo prawdę mówiąc, sama nie wiem co tam panowie sąsiedzi chcą od niego: słyszę tylko, że ten mu nie ufa, a ów o coś go podejrzywa, ale nigdym się nie mogła dowiedzieć, co oni mu zarzucają. Ja jego znam od lat blizko trzydziestu. I ja też nie miałam nigdy gorących sympatyj dla niego, bo raz mi się zdawał zanadto mądry, a drugi raz zanadto hulaka; ocierał się zawsze o wszystkich, a nawet często zjawiał się tam, gdzie go nie posiano, mimo to, nikt go właściwie nie znał, bo z nikim zażyłości nie szukał, a stąd niby jakąś tajemnicą był otoczony: ale ja byłam zawsze z nim w zgodzie i nie wiem prawdziwie, za cobym go mogła potępić. Raz tylko miałam z nim sprzeczkę, a to natenczas, kiedy mi się oświadczył o rękę Salusi. Bo ja znałam dziewczynę. Wychowali ją u Salezjanek, obyczaje tam bardzo surowe, ale temperamentu żaden klasztor nie zmieni. Salusia od śmierci ojca, bo matka ją odumarła jeszcze w kolebce, bywała u mnie w Wiedniu co niedzielę i święto: poznałam ją z blizka i zawsze sobie mówiłam: Tej trzeba męża, coby go wszystkim innym można postawić za przykład. Aż tu zjawia się Łoś. Pomyślałam sobie zaraz: Ten jegomość oczywiście oszalał: jej lat siedmnaście, a jemu czterdzieści z okładem, do czegoby to było podobne? Ale, jak asindzi powiadasz, znów z drugiej strony... panna bez posagu, nawet i bez przytułku, ja jedna miałam nad nią opiekę, a wtedy już na wsi mieszkałam i tylko czasami dojeżdżałam do Wiednia, więc nie można było bardzo przebierać. A Łoś się uparł jak kozieł i obiecywał jej znaczne zapisy. Jednak dopełniłam obowiązku sumienia i dałam mu delikatnie do zrozumienia, co o tem myślę, mówiąc:—Mój mości hrabio, tak mi się zdaje, że to partja nie dla ciebie. Nim pójdziesz do spowiedzi do księdza, raczejbyś się pierwej wyspowiadał przed samym sobą, a jeśli siebie nie okłamiesz, to się jeszcze rozmyślisz. To dziewczyna jak iskra, a tobie już czupryna wylazła — a jeszcze podobno do tego i gościec cię łupi po kościach. Więc rozważ to sobie, bo jeśli ty z cukierkami się wybierasz w tę drogę, co je teraz jej nosisz, to ty się swoich uszu nie domacasz pomiędzy rogami, które powyrastają na twojej głowie. Bo ja wierzę w cnotliwość kobiet, jako też i wielkie cnoty w kobietach widziałam, ale tego trudno od mężatki wymagać, aby na cukierkach poprzestała.—Ale on rzecze: — Mam ja rozum mościa dobrodziejko, bywałem ja już w różnych opałach i zawsze z nich wychodziłem zwycięsko. — Otóż to racja! Toż właśnie dlatego, żeś już bywał w tylu opałach, że ci aż czupryna wylazła, powinieneś się zastanowić, nim się rzucisz w te nowe opały, jakie taka siarczysta dziewczyna ci sprawi. Ale to już pierwszą miłość trudno wybić z głowy, a nie dopiero ostatnią. A co tam do tej Salusi przystąpiło, że poszła za niego, to już tam nie wiem, bom i jej także perswadowała: ale podobno duszno było pannie w klasztorze. Toż i mniszki mi tak radziły, żeby to wydać za mąż, jak tylko przyzwoity kawaler się trafi. Więc ja nic sobie nie mam do wyrzucenia. No, i jakoś dotychczas jest spokój. Łoś kontent, jeszcze sobie czasem ze mnie żartuje, żem go ostrzegała, a i Salusia się wcale nie skarży. Ale ja, kiedy ją widzę, jak się chichocze z chłopcami, że aż cały dom za nią chodzi, to nieraz pocierpam i niedowierzam, i mówię sobie: Bodajbym się omyliła, ale przecież tak mi się zdaje, że ona jeszcze kiedyś tak tego Łosia rozniesie, jak u mnie niedawno młode konie rozniosły starą landarę, że i kół nie można było odszukać po polach...

Pułkownika bardzo te rzeczy bawiły, ale że już było z południa a on chciał jeszcze panów Lipskich odwiedzić, więc spojrzał na zegarek i zaczął się żegnać.

— Jedźcież sobie zdrowi, — rzekła krajczyna do niego i do Czubatego, który tymczasem ją w rękę całował, — nie zatrzymuję was, bo to dzisiaj dzień krótki. Nie wyprowadzam was, bo od kilku dni nie wychodzę z pokoju, toż i wyjechać nie mogę. Ale zamawiam sobie łaskę twoją dla mego Walka, który w tych dniach wraz z Dziaduskim wam się pokłoni w Wisłoku.

Pułkownik uścisnął ręce Walka i Dziaduskiego, zaprosił ich do siebie i wyszedł wraz z nimi. Lecz kiedy weszli do sieni, Czubaty przeprosił go, że skoczy jeszcze na chwilkę do Dziaduskiego, który mu chce jakieś nowe pistolety pokazać, i zniknął z obydwoma młodymi ludźmi w bocznym kurytarzu. Pułkownik tedy sam wyszedł na ganek i właśnie dał znak swemu stangretowi, który stał przed stajniami, aby zajeżdżał, kiedy wtem ujrzał zajeżdżającą w bramę dwoma anglezami karetę.

Kareta zajechała przed ganek, a z niej wyskoczyła Salusia, świeżuteńka, różowa i uśmiechnięta jak zawsze, ale jakby roztargniona cokolwiek i bardzo się czegoś spiesząca. Ścisnęła pułkownika za rękę i spytała go prędko.

— Jest tu ten szelma Dziaduski?

Na to pułkownik w głos się roześmiał i rzekł:

— Jest szelma Dziaduski, właśnie go widziałem, jak w kurytarzu całował popadję.

— Dam ja jemu popadję! — zawołała Salusia, — właśnie potom tu przyjechała.

Jednak się wprędce spostrzegła i zapytała trochę spokojniej

— A pułkownik już odjeżdża?

— Już, — odpowiedział Wisłocki, — ciotka dziś w nienajlepszym humorze. Pułkownicy u niej już za nic, zdaje się, że już sama awansowała na jenerała.

A w tem wszedł Czubaty z obydwoma młodymi ludźmi na ganek, Dziaduski przyskoczył do Salusi, ale ona go odsunęła od siebie i pobiegła do ciotki — a pułkownik z Czubatym wsiedli na wózek i odjechali.

Zygmunt Kaczkowski.

DWAJ BRACIA.

Nie pozostawałem z nieboszczykiem Karolem Pińkowskim w stosunkach zażyłości ścisłej. Znałem się z nim jednak, i dosyć nawet blizko. Zeszliśmy się w Paryżu, w r. 1866.

Pińkowskich było dwóch — bracia rodzeni: Adolf i Karol. Adolf, starszy, zajmował się naukami przyrodniczemi. Był to młody człowiek, wątły, cichy i skromny. Obok nauk przyrodniczych, które stanowiły jego specjalność, studjował specjalność innego rodzaju, będącą niekoniecznie z geologją, mineralogją, botaniką i zoologją w styczności bezpośredniej. Interesowała go jedna z instytucyj społecznych, ta mianowicie, co ma na celu przestrzeganie i utrzymywanie porządku publicznego. Zaciekawiała go policja z tej zwłaszcza strony, z której działalność jej opiera się na kombinacjach psychicznych. Studjował ją; zrobił sobie z tego rodzaj fachu amatorskiego, któremu się oddawał duszą całą. Miał też do tego minę odpowiednią. Był milczący i słuchający; w każdym, z kim się schodził, widział przedmiot nadający się do zakresu studjów jego i każdy przedmiot taki analizował, ważąc słowa, wejrzenia, uśmiechy, wyraz i grę fizjognomii. Ztąd w obcowaniu z nim doznawało się przykrości niejakiej, wiedziało się bowiem, że ma on na myśli zapytania, tyczące się ułomności natury ludzkiej, sprowadzającej nieporządek w społeczeństwie, a mianowicie: skłonności do kłamstwa, kradzieży i morderstwa. Zawadzało to w stosunkach z nim, widziało się w nim bowiem sędziego śledczego, dla którego wyraz każdy, intonacja głosu, skinienie, mrugnięcie powieki stanowiło premissę do wyciągania wniosków i budowania aktu oskarżenia. Mimo to, Adolf P. dużo liczył przyjaciół. Przyjaźń zapewniały mu: gruntowna, murowana uczciwość i bezgraniczna w niesieniu usług i pomocy gotowość. Studja jego policyjne byłyby go doprowadziły do studjów filozoficznych. Miał po temu materjał bogaty, podstawę szeroką i punkt wychodni pewny w naukach przyrodniczych. Niestety, śmierć przedwczesna nie dała pracownikowi temu rozwinąć się i wyrobić należycie. Pozostało po nim prac kilka drobnych drukowanych, rozrzuconych po pismach krajowych i zagranicznych polskich. Pozostały oraz notaty i zapiski, które przepadły.

Brat młodszy najmniejszego do niego nie miał podobieństwa. Różnica pomiędzy nimi zachodziła zupełna we względzie każdym, zaczynając od powierzchowności. Nie znając skłonności Adolfa do badań specjalnych, można było od pierwszego oka rzutu wziąć go bądź za myśliciela, bądź też za poetę. Podejrzywanie go o służenie Apollinowi usprawiedliwiały: regularne i kształtne oblicza jego rysy, jakoteż rozlana na nich bladość i strzelający z oczu wyraz tęsknoty głębokiej. Znając go z widzenia jeno, ani się domyślać można było, w jakich się on grzebie materjałach i domysł zwracał się ku pierwiastkom artystycznym, przejawiającym się pod postacią zadumy w jego oczach, na jego czole i na powierzchowności całej, powierzchowności, która w Karolu nie pozwalała się zgoła domyślać poety. Karol poetą?...

Kiedym się z nim po raz pierwszy spotkał, nic przedtem o nim nie słyszałem. Nazwisko jego było mi zupełnie obce. Zafrapowała mnie gadatliwość jego — gadatliwość, w której przebijała się literatura. Poznałem, że mam przed sobą młodego człowieka, jeżeli nie osobiście do fachu autorskiego wkluczonego, to pozostającego w blizkich z fachem tym stosunkach. Wiedział, co się na polu tem zrobiło i robi. Zaciekawiło mnie to do niego; zapytałem, co za jeden? a gdy mi odpowiedziano: „Poeta“ — w zdumieniu zawołałem:

— Być nie może!...

Wykrzyknik ten nie na swojem znajdował się miejscu, powód bowiem onego tkwił w zewnętrzności Karola, zewnętrzności nieponętnej w stopniu najwyższym, chudej, mizerackiej, zaznaczonej głową dużą, rysami oblicza niekształtnemi, nosem szerokim, ustami wielkiemi i wilgotnemi, czołem bąbiastem i cerą plamistą. Oczy jeno żywe i czarne posiadały blask, który w sobie coś pociągającego miał. Blask ów atoli nie neutralizował wrażenia, jakie w całości wzięta postać wywierała. Z tem wszystkiem, w zdumieniu mojem i w wykrzykniku sensu nie było, nie istnieje bowiem reguła, przepisująca piękność dla tych, co się mlekiem muz karmią. Kodeksy poetyczne nie wymagają od rymotwórców kształtności postaci i poprawności rysów oblicza. We względzie tym jednak bałamuciły mnie wielce i usprawiedliwiały trochę portrety poetów: Göthego, Schillera, Byrona, Słowackiego, Krasińskiego, zwłaszcza zaś Mickiewicza, którego do r. 1866 nie widziałem inaczej, jak na wizerunku, przedstawiającym autora „Sonetów krymskich“, wspartego na skale Adjudahu. Znałem przytem osobiście: Karola Brzozowskiego, Henryka Jabłońskiego, Romana Zmorskiego, Ryszarda Berwińskiego, Michała Czajkowskiego, Padalicę, Kornela Ujejskiego, Mieczysława Romanowskiego i innych: każdy z nich, jeżeli temu ideałowi poety, jaki malarz na górze krymskiej, w burce i w koszuli na piersiach otwartej skreślił, nie odpowiadał, to przynajmniej był do człowieka podobny. W Karolu zaś Pińkowskim podobieństwo to chromało. Postacią swoją zewnętrzną zajmował on stanowisko pośrednie pomiędzy człowiekiem a przedstawicielem tego



Z. JASIŃSKI.



I. JABŁOŃSKI.

w szeregu istot organicznych gatunku, co się do gatunku *homo* zbliża najbardziej. Ztąd poszło zdumienie moje, które pozostało we mnie mimowolnie i trwało bardzo krótko, wnet bowiem przyszła rozwaga i powiedziałem sobie:

— Wolno przecie człowiekowi być i brzydkim i poetą...

Zdumienie to przeminęło; następnie jednak przyszło inne, gdym się z Karolem Pińkowskim poznał bliżej nieco. Polegało ono na tem, że K. P. nie posiadał świadomości istoty powierzchowności swojej, nie posiadał świadomości tej do tego stopnia, że miał siebie w obec płci pięknej za *irresistible*. Stanowiło to słabość jego — rodzaj pomieszania umysłowego, nie przynoszącego szkody ani ujmy najmniejszej nikomu, z wyjątkiem jego samego. Był on przeświadczony, przekonany, że się w nim kocha kobieta każda, bez względu na to, czy jest, czy nie jest mężatką. Z przekonania tego sekretu nie robił.

— O — powiadał zazwyczaj z giestem znaczącym, gdy się o jakiej pannie X. albo pani Y. zgadało — Henrysia, Zosiunia... znamy się...

Pochodziło to zapewne ztąd, że płeć piękna okazywała mu ten rodzaj spółczucia, którego rodzicem jest politowanie. On jednak brał je w znaczeniu miłosnego do osoby swojej pociągu i bez zawahania się najmniejszego wszystkie na drodze żywota swego spotykane Henrysie i Zosiunie zaliczał do grona ofiar swoich. Zaliczając, wymieniał je bez ceremonji po imieniu i nazwisku. Byłoby to dla panien i pań tych kompromitującem, gdyby kto temu wierzył. Nie wierzył nikt, tylko on sam; on jednak wierzył całą duszy swojej potęgą, i w kierunku wiary tej zwracał drogę swoją poetyczno-życiową. Roił o kwiatach, woniach, pieśniach, zachwytach; przedmiot onych prowadził go; widział na niebie swojem gwiazdę świetlaną, ku niej podążał z uśmiechem na ustach—zaszedł na krawędź przepaści i runął.



SZYMON BUCHBINDER.

Była to natura nawskroś poetyczna, ptasia, nie troszcząca się o dzień dzisiejszy, nie myśląca o jutrze. Majątku nie posiadał żadnego; czynności żadnej zarobkowej jąć się nie był w stanie; gniotła go też bieda sroga. Zdarzały się dnie, w których na ząb położyć nie miał co — chleba suchego ani kawałeczka. W razach takich ratował się na wzór tego mniej więcej, jak się ratują wróble miejskie i niekiedy doznawał uczynności ze strony takiej, z której się takowej najmniej spodziewać należało. Zdarzyło mu się to z garkuchniarzem pewnym.

W r. 1867, za przewodem nieobecnych Leonarda Rettla, kilku nas trafiło do garkuchni, położonej w pobliżu *Jardin des Plantes*. Rettel, jako towiańszczyk, na kuchni się znał i zaręczał, że w „dziurce" onej dają zdrowo, smacznie i tanio. Taniość sprawdzoną być mogła; co się zaś tyczy zalet innych, wierzyliśmy mu na słowo i schodziliśmy się regularnie na obiady w sali jadalnej, będącej oraz i kuchnią, w której do stołu usługiwał sam gospodarz, człek rosły, barczysty, surowy i ponury. Przychodził tam i Karol Pińkowski. Płaciliśmy gotówką — płacił i on tak długo, póki mógł. Od czasu do czasu sakiewki w domu „zapominał". W razie takim uiszczał



STANISŁAW DĘBICKI.



JAN CHEŁMIŃSKI.

się w dniu następnym, niekiedy razem za dni trzy, a nawet i cztery; gospodarz okazywał, że mu się to niepodoba, tolerował jednak „zapominania“ te, odpowiadając pomrukiem:

— *C'est ça...*

Zdarzało się, że *c'est ça* powtarzało się tydzień cały, czy dłużej nawet, dzień po dniu, i w końcu powtarzać się przestało dla tej przyczyny prostej i naturalnej, że się Karol Pińkowski nie pokazywał. Minął dzień, drugi, trzeci, francuz nie mówił nic; zapytał wreszcie:

— Cóż przyjaciel wasz, *monsieur Charles?*

— Nie przyszedł...

— Czemu?...

Ktoś dał mu odpowiedź jakąś, na którą on odmruknął i dalej, jak zwykle, służbę swoją pełnił.

Znów obiadów parę upłynęło w nieobecności pana Karola, który, płacić czem nie mając, narażać się nie chciał na brutalność gospodarza, połączoną z odmówieniem nadal kredytu. Tego ostatniego pewnym był, zamierzył więc przyjść nie pierwej, aż znajdzie się w możności zwrócenia długu, wynoszącego kilka franków. Po kilka, po kilkanaście franków kapało mu z prac jego literackich: z powieści, z korespondencyj, czekał więc na tę z nieba mannę, spadającą zazwyczaj później jak potrzeba, a tymczasem... trapiący go głód oszukiwał. Na to sposobem, jednym z najbardziej wypróbowanych, jest: sen; kto śpi, ten nietylko nie grzeszy, ale także — i jeść nie chce. Wynika ztąd naturalny pomiędzy grzechem a głodem związek—związek, wytłómaczony dostatecznie przez moralistów i socjologów, w którym jedna atoli strona do wytłómaczenia pozostaje. Jakim jest stosunek głodu do snu? Kwestja ta tyczy się fizjologii, ta zaś—o ile wiem — nie zajmowała się nią specjalnie i nie rozstrzygnęła jej stanowczo. W ogóle sen stworzeń żyjących otacza tajemniczość pewna, a w niej tkwi tajemniczość specjalna, tycząca się odżywiania. Faktem jest jednak, że dla człowieka zgłodniałego sen jest rodzajem reparacji, wzmacniającej energję moralną. Doświadczyłem tego na sobie; doświadczył tego na sobie Karol Pińkowski, który, gdy do dziurki obok *Jardin des Plantes* chodzić zaprzestał, sypiał po nocach i po dniach całych prawie. W ciągu doby każdej wstawał na godzin parę późnym wieczorem, celem oddawania wizyt spółziomkom, u których gości przyjmowano herbatą z ciastkami i rogalikami. Ciastka wszelako i rogaliki głodu nie zaspakajały, spożywane bowiem były wobec płci pięknej, to jest, pod okiem ofiar poety. W położeniu takiem mógłże on się zapychać? A więc—i tu zachodziło głodu oszukiwanie. Z wieczora wracając, marzył o chylących się w reprezentujące ramiona jego piszczele i o tulących się do jego deki piersiowej dziewicach; do łóżka głodny szedł; w łóżku w ciągu dalszym o tychże dziewicach roił; zasypiał; śnił o nich i sny słodkie przeciągał jaknajdłużej, aż do dnia następnego. Tak mu upływały —w rozkoszy—dzień po dniu. Najrozkoszniejszemi bywały sny porankowe.

Poranku pewnego, kiedy coś słodko śnił i marzył, ze snu rozbudziło go nagle silne do drzwi pukanie.

— Proszę!—krzyknął, oczy przecierając i szeroko a ciekawie je otwierając w przypuszczeniu, ażali nie pojawi się postać jaka powiewna.



PIOTR STACHIEWICZ.



WŁADYSŁAW SZERNER.



STANISŁAW ROSTWOROWSKI.

Drzwi się otworzyły i próg przekroczyła postać wcale, niestety! nie powiewna. Ukazał się mu w całej brutalnej ponurości swojej gargociarz.

— Hę... dzień dobry, *monsieur Charles*...

— Dzień dobry panu, kochany panie... — odparł Pińkowski, modulując głos na skalę uprzejmości jak najczulszej.

— Co słychać?...

— Ano... nic... wszystko dobrze... Niechże pan siada, panie kochany...

— Ja tu nie na siedzenie, ale dla zapytania przychodzę: czemum ciebie od dni pięciu na obiedzie nie oglądał?...

— Czemu?... uhm... ehm... — jął pan Karol dyszkantem bąkać, szukając w myśli wymówki, któraby wierzyciela rozbroiła. Miałem trochę zatrudnienia w stronie Magdaleny... Byłem zajęty... roztargniony... Pan jednak, panie kochany, bądź... o!... bądź... pewny... że...

— Czyś przez czas ten jadał? — przerwał gargociarz brutalnie.

— Jakże.... no... — zaprotestował Pińkowski.

— Czyś jadał?..

— Zkądżebym... tego... te!... — zaprotestował jeszcze mocniej.

— Czyś jadał, pytam?...

— No jadałem... — odrzekł w końcu.

— Nie potłuściałeś... — odparł francuz, z podełba patrząc, głową kiwając i złośliwie się uśmiechając.—Kłamiesz, mój kochany... Znam się na tem... Owóż—tu głos i palec podniósł—nie bądź głupi i nie stroń od obiadów moich, inaczej bowiem... wiadomości będziesz miał o mnie...

— Ależ ja, panie... coś tam... dłużen panu jestem...

— A bah!.. — odburknął francuz, dodał: „Do widzenia“ i wyszedł.

Tegoż samego dnia zajście z gargociarzem Pińkowski przy stole nam opowiedział i zapytał:

— Od kogo on adres mój dostał?...

Podejrzenie padło na Rettla, ale się Rettel do tego nie przyznał. Siekierka pomiędzy nami utonęła i ja tylko co do osoby mojej tę mam pewność, żem francuzowi adresu nie udzielił, nie będąc przezeń o takowy pytany. W dziurce schodziłem się z Pińkowskim dni następnych. Trwało to niedługo, niebawem bowiem Paryż opuściłem i straciłem poetę z oczów na zawsze. Ze słyszenia przeto tylko znanemi mi są koleje, jakie przechodził później. Z Paryża, złą dolą kołatany, do Lwowa się dostał i rozpił. Gdzie mianowicie smutny ten nałóg, który takim, jak Włodz. Wolski, Rysz. Berwiński, Jan Lam, innym jeszcze, a pomiędzy nimi i kobiecie jednej, skrzydła połamał, jemu się udzielił? Może w Paryżu — nie wiem tego; kiedym go znał, ani się na to zanosiło. Z nałogiem oparł się w Warszawie, gdzie w ostateczną wtrącony nędzę, umarł i pochować go nie było za co. Szkoda go.

Szkoda i Karola i Adolfa. Pierwszy posiadał talent rzeczywisty, który się przejawiał przebłyskami, a byłby niezawodnie jaśniał w ciągłości artystycznej, gdyby nie brak chleba powszedniego. Brakowi temu zaradzać usiłował Adolf, ale na dwóch starczyć nie mógł, wpadł przeto w niedostatek i ten go do grobu wpędził. Z Adolfa pożytek byłaby miała nauka. Specjalność, w jakiej się rozmiłował, prowadziła go drogą prostą w sam głąb filozofii — do badań psychologicznych. Nie miał jednak co jeść. Znając fakty podobne, czuje się do społeczeństwa, co karmi i tuczy nieużytków tyle, żal głęboki. A!...

T. T. Jeż.



ALEKSANDER GIERYMSKI.



FRANCISZEK EJSMOND.



JÓZEF WODZIŃSKI.

Rosło jej w rękach, nitki rosły w bunty;
Dwa półtoraczne przykupiła grunty,
A i tę łąkę pod lasem, od Kuby,
Co z sąsiadami wodził się za czuby
Po wszystkich sądach, tak procesa lubił.
Aż poszedł z torbą — i już się odczubił;
Mnogo bogactwa w polach i do skrzyni
Nagromadziła mądra gospodyni.

Na jej obejściu królewskie dostatki;
Jaka chudoba — budowle — i statki!
Stajnia, kieby dwór — czy nie?... A stodoła?
Może na chłopa niższa od kościoła,
A może więcej. Taka w tem dziwota,
Jakby dla ścieżki stały wielkie wrota;
Bo chałupina, w której Jaga mieszka,
Mała, wdeptana i krzywa jak ścieżka.
A gdy się ludzie dziwią, tak im mówi:
Dobrze w tej chacie było chrześcianowi;
Niech sobie krzywa, byle mnie nie krzywa,
A tum rodzona, i była szczęśliwa.
Inne na swarnię założenie mają,
Ona na miłość, i w niej się kochają.
Nie długo mi żyć, nieboszczyk mój śni się
Co noc, już szuka za mną, widzi mi się.
Tu niech mi Janek przywiedzie swą młodę,
Tu niech mu pierwsze kwili na urodę,
Potem niech stawia, gdy go zrobię pankiem,
O dwóch kominach choćby dom i z gankiem!



ANTONI PIOTROWSKI.

BABIE ŁATO.

Słonko świeci, nie grzeje,
Ruń na polach szarzeje,
Wietrzyk nici rozwiesza srebrzone;

Dziewczę, chłopiec, ot dzieci,
Rade słonku, że świeci,
Wiotką przędzą jesienną się cieszą.

* * *

Słońce z wiosną gorące
Pójdzie lasem, po łące,
Błyśnie zieleń i kwiecie barwione;

Dziewczę, chłopiec, gdy z wiosną
Rychło, dużo urosną,
Czy przez pola do siebie pośpieszą?

Alf.



TADEUSZ RYBKOWSKI.

PTASIE GNIAZDKO.

I.

Już to nasz Janek, co siedzi na końcu,
Można powiedzieć, że rodził się w słońcu,
Taka mu jasność i w twarzy i w życiu;
Bo choć go ojciec odumarł w powiciu,
No, ale matka, niewiasta wspaniała,
Ta mu za siebie i za ojca stała.
Mówiła: Młodam, z czarnemi oczyma...
Nie chcę! i nie dam Jankowi ojczyma;
Ono śmiejące pod piersiami leży,
Anoż je potem chłopisko uderzy!
Mówiła jeszcze: Rzetelne wdowieństwo
To jakby drugie a lepsze panieństwo.
Boć przetrudniejsze; ja mój wdowi wianek
Poniosę w niebo, gdzie mój mąż-kochanek.
A już Pan Jezus taką dał mi duszę,
Że co zamyślę, a chcę — robić muszę;
I zrobię. Rzekła — a jak zamyśliła,
Tak i zrobiła ta osoba miła.

Żaden chłop duży lepiej nie harował
Jako ta matka, nim syn się wychował;
Co inny w palce, to ona rękoma
Chwyta, okrutnie na pracę łakoma.
Zawsze na nogach widział ją doświtek;
Wołała: Hajże! Spanie nie pożytek.



A. KOZAKIEWICZ.

Tak mówi. Chatę podlepia, podpiera...
Stoi krzywula, Jaga nie umiera.

Hej Janek, Janek— chłopak bujny, krewki,
Kiedy przechodzi czerwienieją dziewki,
Kiedy się śmieje, to jak tęcza która,
Ano kiedy zły, to jak czarna chmura.
Matkę miłuje baczny na jej wolę,
On jej: „zazulo"— ona mu: „sokole"...
Przed matką czuj-duch, dla innych nie czujny;
W kupę się nie wziął, dla tego podwójny,
Jak orzech dwojniak, co to jeden zdrowy,
A drugi swistun; bije mu do głowy,
Ni ztąd ni zowąd krew nim często rusza —
Jeszcze dopyta kiedy paralusza.

Hardy jest, w sobie bardzo zadufany,
Żeby nie taki, kłaśćby go do rany,
Teraz on innym tylko kułak kładzie
Na grzbiety, prędki w ladajakiej zwadzie;
Dyzmie, basiście, czy łba nierozwalił
Basem?... Rozwalił — i jeszcze się chwalił.
A pytaj, za co? że człeczek podpiły
Zdrzemnął się trochę w graniu... Jezu miły!—
Taki ten Janek — byle co, pięść w górę!
Szczęście popsuło w nim dobrą naturę;
Niechno go kiedy przywali nieszczęście,
To spokornieje — i zwisną mu pięście.

II.

Gdybyście stali na wysokiej wieży,
Widzielibyście Janka jak należy.

Ja i ztąd widzę. Wyszedł teraz z boru,
W nową sukmanę odzian dla honoru,
Kapelusz z pawiem zawiesił nad uchem,
Kontentny bardzo, że czuje się zuchem;
Za pas szeroki wepchał dwa kułaki,
Idzie hukając, niby panicz jaki,
Co panicz! — idzie kieby królik młody
Co nawołuje: klękajcie narody!

Na przełaj idzie, pilno mu i śpieszno:
Wraca do domu z nowiną ucieszną.
Widać stodołę, co byłaby bliska
Gdyby nie łąka (bo potem pastwiska)
Z trawą w pas; wkrótce będą ją zmiatali.
On nic nie pyta, środkiem łąki wali!
Nie żal jej — mówi — bo to łąka pańska;
A szkoda szkodą, rzecz niechrześcijańska—
I brnie! głęboka staje za nim ścieżka.
Zdybie polowy, to dobędę mieszka,
Tak znowu mówi — co? albom nie bogacz?
A przytem bodę — tom bogacz i rogacz!
I brnie aż kipi, nasz Janek jegomość.
Jakąż on matce nieść może wiadomość,
Dla której cudzą sponiewierał łąkę?
Na granatowej sukmanie ma mąkę,
Widzicie; w mące pośpiechu przyczyna,
Albowiem w mące radosna nowina.

A tom was zagadł — myślicie, nie wiecie;
Z młyna on wraca — resztę zrozumiecie,
Z młyna on wraca, od Jacka, młynarza,
Znakomitego na świat gospodarza,
Co zdawna dzierży wielki młyn na Wólce,
Ztąd o pół mili, przy Maryjopólce.
Hej! trzos u niego i jagła i Jagna,
Warto doń chodzić przez skały i bagna!
Janek nie chodził, lecz na skrzydłach latał,
I córkę Jacka dziś właśnie zaswatał,
Różne w niej widząc przymiotów zadatki,
I ten, że miała imię jego matki;
Panna nadobna, pracowna, pobożna,
Przytem kibitna, jak jaka wielmożna...
Szczęście miał!

Słońce zachodzi w cichości,
Na sen spokojny świat idzie w miłości,
Biała po łąkach ścieli się pościółka,
Wraca do ula zapóźniona pszczółka
Na rozkwieconej zabawiwszy niwie,
Półsenny chruściel skrzypie żałobliwie,
Na Anioł Pański dzwońce najprzód dzwonią,
Zanim je głosy z dzwonnicy dogonią;
Ptaszek na gniazdku skrzydełka rozkłada,
Okrywa małe, bo już rosa pada.
Nebo jak wielkie, niebieskie pastwisko,
Kędy na krańcu dogasa ognisko;
Białawe chmurki rozbite na runo,
Jak stado gąsiąt gdzieś na nocleg suną;
I jedna tylko skłębiona, ponura,
Pośrodku nieba stoi czarna chmura,
Dziwnym trafunkiem podobna do byka:
Nogi, dwa rogi ma bestyja dzika
I łeb spuszczony; wiatr skądciś nią trącił
I huk się rozległ — czem szpetnie zamącił
Miłą pogodę ciszy i słodyczy...
To krótkie grzmienie znaczyło: byk ryczy.

Najadł się trawy osieł bałabański,
Wybrnął nareszcie Janek z łąki pańskiej,
I zły, bo zmęczon, dżga dalej bez drogi;
Wtem mu ptaszyna furnęła z pod nogi!...



WŁODZIMIERZ TETMEJER.

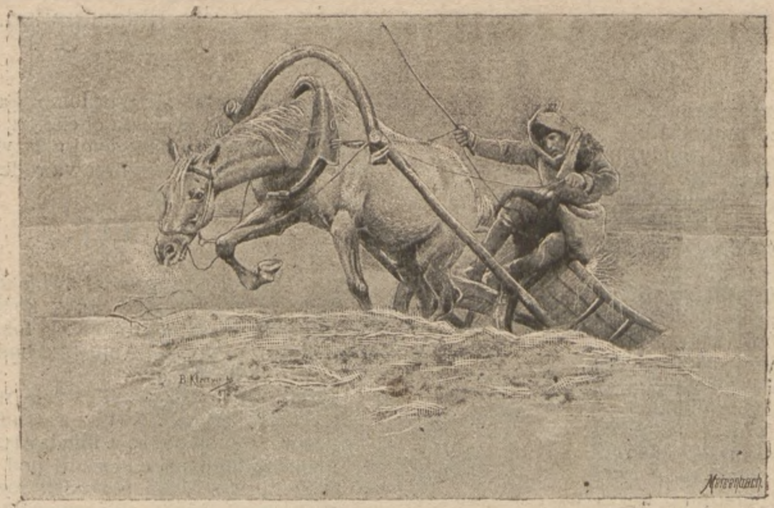
Patrzy — gniazdeczko pod cierniowym krzakiem,
W niem czworo piskląt spi uśpieniem takiem,
Jakby świat cały był mu gniazdem błogiem,
Niebo skrzydłami matki, matka — Bogiem.
Inaczej mówiąc, taką to maleństwo
Czuło spokojność snu i bezpieczeństwo.

Co robisz Janku¿ Bodajbyś nie dożył!
Pod gniazdo koniec buciska podłożył
I machnął nogą! Niepatrząc szedł dalej.

Patrzało na to słońce, co się pali.
W górę porwane, jakby wichru siłą,
Gniazdko dopiero tam się przechyliło,
I wyleciały z niego cztery ciałka...
Kiedy posucha, to ziemia nie miałka —
Jedno nieboże na grudę spiczastą
Na wznak upadło — i leży jak ciasto:
Trupek; niewinna ofiara dotknięta
Bezmyślną złością ludzką, jak rączęta
Rozkrzyżowała swe gołe skrzydełka.
Drugie, tuż obok, złamało widełka
Skrzydlne, a z dzióbka krew mu się wylewa,
Drży, czasem zadrga — teraz często ziewa...
Kona... nakoniec nóżki wyciągnęło...
Na boleść krótką zbudzone — usnęło.
Najnieszczęśliwsze trzecie, bo upadło
Na krzak cierniowy, na kolcu osiadło,
I jak na szpilce gdy motyl się wierci,
Przez długie męki iść musi do śmierci;
Dziwny twój koniec, mój maleńki ptaku,
Tak dawniej ludzi wieszano na haku.
Czwarte opodal w trawę odleciało
Żywe i zdrowe — widne jego ciało,
Czeka spokojne na żarłoczną wronę,
Co nadlatuje — i będzie zjedzone.

W powietrzu płacz, krzyk... jakby coś krzyczało:
Co mi się stało! ach! co mi się stało!
Co mi się stało!... A za co? A za co?
Czemu mnie skrzywdził ten człowiek ladaco?!
I ja stworzenie boże!!...

Tym lamentem,
Za swem potomstwem, zgładzonem ze szczętem,
Zawodzi biedna matka nieszczęśliwa;



BOHDAN KLECZYŃSKI.



MARJAN ZARĘBSKI.

Spada na trupki sama ledwie żywa,
Włóczy skrzydłami około tej bryły,
Podobnej marom; potem od mogiły
Goni za Jankiem rozogniona złością;
Lecz żal silniejszy, bo z większą szybkością
Wraca z pół drogi, a lecąc dojrzała
Cierń, gdzie się męczy jej ptaszyna mała;
Trzepocąc w miejscu nad nią się unosi,
Całe stworzenie o ratunek prosi,
Probuje dziobkiem oderwać dziecinę,
Obraca ciałko, co krwawe i sine,
A wszystko na nic, na nic... Trudne rzeczy,
Sama na cierniach tylko się kaleczy.

Widząc, że próżny ratunek dla dzieci,
Teraz już matka wprost na Janka leci;
Nie miał on czasu, by odejść daleko:
Działo się krótko, (choć słowa się wleką)
Już jest przy Janku, okrąża go z krzykiem,
Bije na niego w zagniewaniu dzikiem,
Zdawałoby się, że mu do ócz skacze,
A swoim głosem klnie, klnie, a nie płacze;
Na jakieś widmo urósł ptaszek mały...
Aż stanął Janek — a to gad zuchwały!
Zamruczał. — Chce iść... z miejsca się nie rusza...



LUDWIK KURELLA.



S. HIRSZENBERG.

Nazad go ciągnie, nazad, jego dusza!
Nie wie dla czego, i co mu kazało
Wracać — a wrócił: szedł wolno, nieśmiało,
Przyszedł gdzie ciernie i kretowin kupki,
Ujrzał na bryle dwa leżące trupki...
No, to komedja — tfy! — wyrzekł i splunął,
Machnąwszy ręką, swą drogą posunął.

Czekajno chłopcze, nie pędź, coś ci powiem.
Widzisz, Bóg darzy ciebie dobrem zdrowiem:
Dał ci urodę i majętność sporą,
Co innym ot tak, tobie w dziesięcioro;
Matka cię strzegła, niby swoje oko,
Kochała ciebie miłością głęboką
Jak morze, wielką jak niebo bez granic...
Ty miłość ptasiej matki miałeś za nic!
I dziś Bóg dobry dał ci nie to ino,
Związał twe serce z pobożną dziewczyną,
Spiesząc do matki w skok, na jednej nodze,
By ją ucieszyć — zabijasz po drodze!
Najprzód bijałeś, a teraz zabijasz.
Tak, tak — zabijasz!! Jak wąż się wywijasz
W mem ręku — mówisz, że to swawoleństwo
Głupie ot sobie - a to bezeceństwo!
Czem obrażona jest jasność niebieska...
Twa dusza za to odpowie nie kieska!
Bo to nie łąka, którą stratowałeś.
Odbierasz życie, a życia nie dałeś!
Idź, idź!... Opatrzność, to sąd nieustanny —
Niech cię ratuje łaska Matki-Panny!

Tymczasem matka ptaszęca w tę chmurę
Wzleciała, co ma wejrzenia ponure
Jak byk. A chmura: „Ptaszku, gdzie ci droga"
— Puszczaj, ja lecę ze skargą do Boga;
Widziałaś chmuro?
— Widziałam i płaczę.
— Łzy nie pomogą na moje rozpacze...
— Mam ogień i grad!
— Cóż z tego — i inni
Mogliby przytem szkodę mieć, niewinni.
Odrzekło dobre i rozumne ptaszę.
A chmura: „Pójdą więc na lasy nasze,
Rozpowiem wszystko, niech radzą"...
I żwawo
Mrukliwa chmura puszcza się na prawo
Na wielkie bory do Czarnego Kąta,
Kędy siekiera zdawna się nie krząta
I siedzą sobie w spokoju staruchy.

Po chwili w borach szum przeciągnął głuchy,
I zaraz powstał skrzyp, łomot gałęzi,
Jak gdyby wyrwać się chciały z uwięzi;
Ale niebawem gniew swój uciszyły,
I hen, za północ coś drzewa radziły.

III.

Hej! stara chato, prostuj swoje ściany!
Idzie z weselem twój Janek kochany;
Hej! stara chato, zmiana w tobie będzie:
Jedno ubędzie, a dwoje przybędzie.

Minęło lato: przywiódł swoją młodę;
Nadeszło drugie: kwili na urodę
Pierwsze niemowlę, a między tym czasem
Ponieśli Jagę na cmentarz pod lasem —
Bo taki w świecie porządek rozumny:
Wchodzą kołyski, skąd wychodzą trumny.



DĘBICKI.

Kiedy ostatnia jej przyszła godzina,
To się podniosła, przywołała syna,
Wody popiła, bo pierś miała suchą,
I tak mu rzekła cichutko na ucho,
Aby Jankowa żona nie słyszała,
Co o piec wsparta, garnków pilnowała,
Łzy ocierając:
— Mnie do nieboszczyka
Już czas, mój Janku... furtka się odmyka.
Hajże, iść trzeba, długie było spanie.
Już mi zabłysło niebieskie świtanie.
Słuchaj coć powiem, a bierz to do głowy:
W tobie są różne niedobre narowy,
Hardyś, zuchwały, nie niższy nikomu...
Tyś swawoleństwa czynił pokryjomu.
Mówię ci, trzymaj przy sobie kułaki!!...
No, nie płacz Janku, nie zawsze ty taki.

Śmierć moja ciebie nad miarę zbogaca,
A nie bądź dumny, bo to moja praca.
Tyś nic nie zrobił, i nic nie zasłużył,
Inoś się Bogu za łaski zadłużył.
Bądź ludziom dobry, a biednym najlepszy,
Człowiek łagodny i zdrowszy, i krzepszy.
No, bądź zdrów.... koniom nie żałuj obroku,
A nową chatę buduj aż po roku.
No, bądź zdrów dziecko, mój ty złoty Janku,
Mój ty po mężu jedyny kochanku.

A niech przystąpi tu do mnie i twoja....
Kocha cię.... jakby druga dusza moja...
I dobra, dobra... to nie stukaj na nią....
Szanuj ją.... po mnie, ona w chacie panią.
Klęknijcie.... jeszcze krzyżyki położę
Na wasze głowy... potem umrę może...
Wstań... (powstał Janek) nie... niech ona wstanie...
(I bardzo ciche już było szeptanie —
Głowę o łono synowéj oparła —)
Ten krzyżyk temu... temu....
I umarła.

*

Głupi, kto szukana smutek lekarstwa,
Głupszy, kto daje rady, bo to łgarstwa;
„Nie myśl, a pracuj" — ktoś jak z książki czyta —
Ba, człek się chwyta, praca się nie chwyta —
A w sercu boleść, w głowie siedzi troska,
Jak ćwieki siedzą!... *Czas i łaska boska*

Te są doktory jedyne na smutki —
Ja to znam.
Chłopy, wy zaraz do wódki!
W smutkach pijacie, w radościach pijacie,
A potém bieda... źle tak, panie bracie.

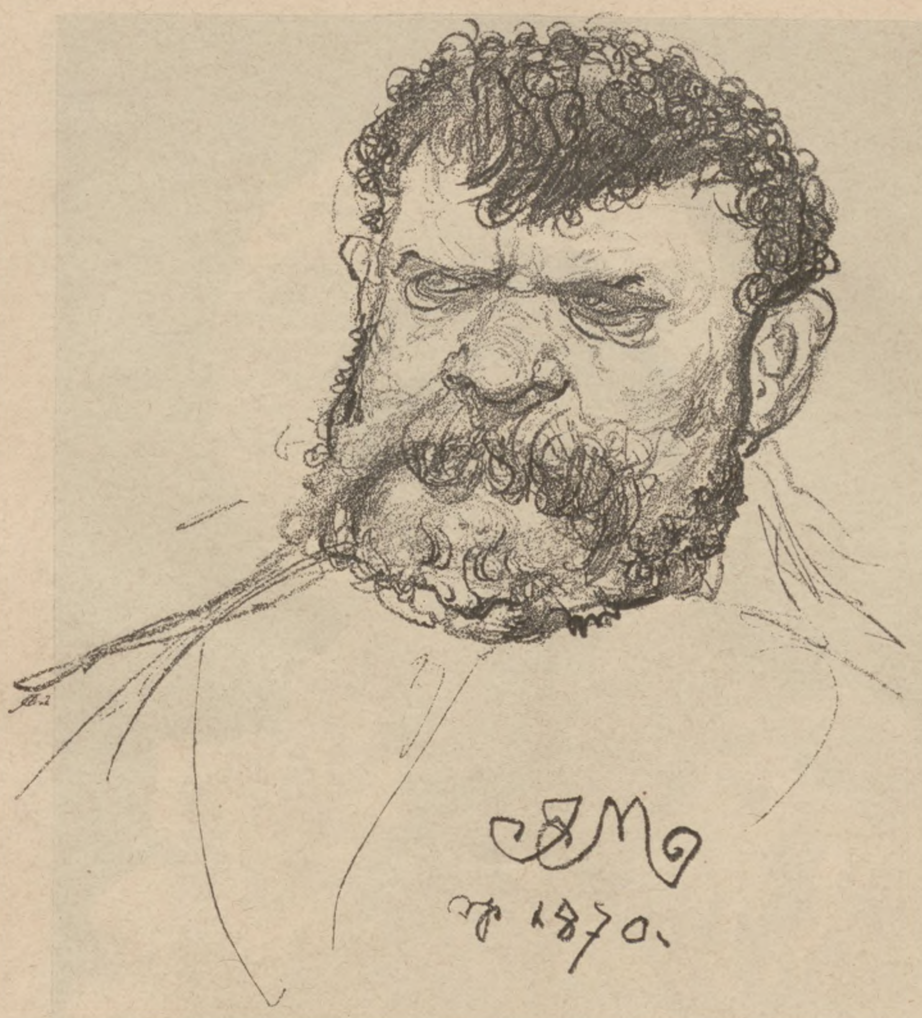
Janek po karczmach nie szukał ratunku,
Skuteczniejszego, ale zażył trunku,
Gdy w jego chacie, jakby gość niebieski,
Zjawił się chłopak maleńki i rzeski.
Jego po matce ciężka, gruba żałość
Wnet ustąpiła — bo o żonę dbałość,
Nowe dla dziecka uczucie gorące,
Nad jego smutkiem były wszechmogące.
Teraz to małe powija i huśta,
Co moment kładzie mu na czółko usta,
Twarz jego chmurna zrobiła się cicha,
Jakby mu z piersi ciężar spadł — tak wzdycha.
A gdy po roku brał się do budowy,
Znowu rozkosze biły mu do głowy;
A do budowy brał się niepomału,
Sporo pięknego ściągnął materyału,
A mianowicie od Czarnego Kąta,
Gdzie już siekiera niemiecka się krząta,
Bo wielkie dobra te żyd niemiec kupił,
Kiedy szlachcica najprzód lichwą złupił.

Dzisiaj u Janka domu zakładziny.
Będą zaciągać grube podwaliny
Z twardego dębu; zeszła się nielada
Do tego aktu sąsiadów gromada.
Jest i muzyka, w niej Dyzma basista,
Co gra nie czysto, lecz pija do czysta,
Lubiący w każdej okazji ochłapki;
Nieufny, patrzy z pod zimowej czapki —
Bo wziął zimową, przezorny — gdyż czasem
Łeb jego senny spotyka się z basem.

Cieślom przewodzi majster co się zowie,
Lepszego szukać choćby i w Krakowie;
W krótkim kubraczku, młody, zwinny, krępy,
A z ócz wyziera mu rozum nie tępy,
Wie co wart, głośno swoją godność czuje,
I jak oficer, tak komenderuje.

Słuchajcie Janie, rzekł Janek do majstra,
Wy niby stolarz od hebla i klajstra,
Zróbże mi ganek, Pana Boga chwalić,
Siedzieć w nim będę, by cygara palić;
A na tym ganku zrób różne figlasy —
Gdy starczy kieski, to wystarczą lasy.
Zróbże, by szukać drugiego ze świecą.
— Chyba się z dworską nie znacie kaplicą,
Odburknął majster. — Przy niej, gdzie jasiony
Tam dom! a ganki het! na wszystkie strony!
Kto go zbudował dla starszego pana?...
Kto?... Ja. Zobaczcie jaka tam werana! *)
A z francuzkiego robiłem rysunku —
Uczcie innego, nie miejcie frasunku.

*) Majster zapewnie chciał powiedzieć: *weranda*, co znaczy: ganek długi, zwykle idący przez całą szerokość domu.



JAN MATEJKO.



ŻELECHOWSKI.



ARTUR G.



KONOPACKI.

Przytem, choć bogacz, jesteście nieukiem:
Stolarz nie klajstrem robi — lecz karukiem.

Śmieją się chłopy. Janek zaciął zęby,
Ostrego słowa by nie puścić z gęby;
Dbał on o majstra — więc zawołał rychło:
Żono, daj flachę! — i wszystko ucichło.
Nim podwaliny zaciągniemy raźno,
Trzeba przed ludźmi wystąpić pokaźno,
I nie żałować gdy łakną i pragną —
Szepnął jej Janek — idźże moja Jagno,
Zbierz kumy, swachy, przygotuj śniadanie;



TADEUSZ AJDUKIEWICZ.

Chłopca tu zostaw, nic mu się nie stanie,
Niech śpi w kołysce.
Odeszła — a Janek:
Niech żyje majster setny — i mój ganek!
Przechylił flaszkę — i krążyła czarka.

Gdy leją, czasem przebiera się miarka.
Dyzma już drzemie — lecz Janek był trzeźwy,
Tylko na podziw rozkoszny i rzeźwy;
Zaś innym iskry w oczach się paliły,
A każdy czując potrojone siły
Gadał o sile, a gadał z ratafji:
Ten to, ten owo udźwignąć potrafi.
Janek uśmiechał się tylko, a hardo —
Mówię wam: trzeźwy był — głowę miał twardą.

Wiosna i ranek — słońce promieniste —
Kwitną czereśnie — niebo jak szkło czyste —
A tylko jedna skłębiona, ponura,
Pośrodku nieba stoi czarna chmura,
Dziwnym trafunkiem podobna do byka.

Janek już dłużej nie wstrzyma języka;
Sam zawadyjak, samochwalca, śmiałek,
Nie lubił słuchać od innych przechwałek,
Także od majstra konfuzję chciał zmazać,
Więc tak zawoła, aby się pokazać:
Ja się nie chwalę, a wy się chwalicie —
Z Czarnego Kąta ot ten bal — widzicie?
Kto go poniesie sam, wziąwszy na barki?
A cóż? Nikt? nikt z was do tego nie szparki?
— Nikt, nikt — odrzekli.
— Daj Dyzmie szturchańca,
I graj muzyka, graj! jakby do tańca —
Zawołał Janek.



ANDRIOLLI.

Przyklęknął — i dźwignął
Belek na barki — sam siebie prześcignął!
Szedł, szedł... okropnie na twarzy czerwony.
Przystanął—szedł, szedł... chwiał się na dwie strony.
Szedł, szedł... a nogi stawia jak dwie kłody.
— Już dosyć! krzyczą. — Szedł dalej bez szkody,
Raptem! natrafił na grudę spiczastą,
Potknął się, zachwiał — i upadł jak ciasto...
Belek odskoczył na bok....

Jezus—Marya! Zabite! zabite!!
Już leci Jagna! Już ono przykryte
Matką, co padła na dziecko zemdlona....
Nie chcę! nie widzę więcej.....

*

Krwią zbroczona,
Dziko patrząca, stanęła przed mężem:
Kto ty? kto ty? Mów!... Tyś zdrajca i wężem!
Tyś zwodził mnie, świat... Krew była na tobie!
Krew była! Ciebie ktoś przeklina w grobie!
Mnie mówi to — tu!.. tylko nie wiem kogo...
Gadaj mi zaraz!
— Nikogo, nikogo...
Jak małe dziecko bełkoce i kwili

Spłakany Janek — i do nóg się chyli.
— Wójta wołajcie!... on kogoś ograbił
Z żywota... Gadaj, kogoś przedtem zabił?!
Tyś zbój! inaczej Bógby się nie srożył
Nad tobą... Żyłeś, abyś tego dożył!!
Teraz pójdziemy każde swoją drogą....
Tobie kajdany, mnie grób....
— Ja nikogo...
Nikogo... jęczy, i tarza się w prochu,
Cały rozbity w rozpaczy i szlochu.

Aże i ona w łzy się roztopiła:
Gdzie moje złotko, gdzie dziecina miła...
Gdzie, gdzie!...
I zwisła w objęciu kum, swatek,
Najnieszczęśliwsza na tej ziemi z matek.

U rogu starej chaty on ukląknął
I o słup bije głową, aż słup stęknął;
Potem skamieniał i oczy wyszczerzył
Martwe, jakoby klęczący już nie żył,
Potem się zatrząsł, jak ten, co zaczyna
Zbierać swe myśli i coś przypomina....
Aż nagle podniósł krzyk straszny, gorący:
Tyś Bóg! Wiesz wszystko, Boże wszechmogący!
I padł....
Po kątach kryje się gromada,
Milcząca, chmurna, przestraszona, blada.

IV.

Jesiennym liściem łatwo wiatr pomiecie;
Było, żem długo wędrował po świecie,
I syt wróciłem świata i hałasu.
Rok temu, w lato, poszedłem do lasu
Użyć zapachu sosen i paproci,
I na pagórku, co mniej się wilgoci,
Tam, położywszy się twarzą do góry,
Patrzałem w duszę własną i na chmury.
Przedemną mała łączka, kilka krzaków —
Na łączce kwiaty, w krzakach świegot ptaków.

Głos mnie dochodzi — widzę, niedaleczko
Siedzi na ziemi i trzyma gniazdeczko
Niby pastusze jakieś, chłopak mały —
I powtarzając: Już się wylęgały!...
Jedno o drugie bije jajka ptasie,
Aż mu nad głową ktoś krzyknął: A za się!
I za czuprynę, i w głowę go tłucze,



F. Kostrzewski.

— A to co wyjmujeta?
— O, das ist nasz żelazny kanclerz.
— Oloboga!.....

I raz wraz woła: A ja cię oduczę!....
— Po coś to robił?
— Ja chciał „jajeczniczy“...
Skomli chłopiątko, trzymane na smyczy,
A krew mu ciecze z nosa z inną cieczą.
— Masz jajecznicę! Kaleczysz, kaleczą! —
I znów go tyrpie i okłada szpetnie —
Kto?... Nie zgadniecie — Dziewczę ośmioletnie.

Puść go! krzyknąłem i z ratunkiem śpieszę.
Chłopak się wyrwał i już w pole czesze,
A ona stoi, z przerwy zła okrutnie,
W boki się wziąwszy patrzy na mnie butnie.
— Dla czego biłaś? pytam niby w gniewie —
— Biłam, bom mocna — Ten pyta, kto nie wie.
A ja znów: Czyjaś?
— Swoja — Skąd ciekawość?
Więc ja inaczej: Jeżeli łaskawość,
Niechże panienka odpowie statecznie,
Bo teraz pytam bez gniewu i grzecznie.
A ona na to: Tak, to co innego;
Najstarsza córka ja u ojca swego,
I zwę się Jaguś.
Nie minęła chwila,
A już Jagusia do mnie się przymila,
I między nami już śmieszki i fraszki,
I rozpowiada, jak miłuje ptaszki,
Jak u nich w domu, w czereśniowym sadzie,
Na bezpieczeństwo ptak swe gniazdo kładzie,



A. ALEKSANDROWICZ.



ST. LENC.



P. SZYNDLER.

I mówi jeszcze, że źli ludzie gardzą
Ptakiem i bydłem, a pan ojciec bardzo
To nakazują, by kochać zwierzęta —
Bo one sługi, a ludzie panięta,
Jako nauczał nas święty Franciszek;
Że ona serce ma lepsze do pliszek,
Bo każda żwawa i ogonkiem kiwa.
Więc pytam: jak się jej ojciec nazywa.
Jan się nazywa, a pan wójt u ludzi,
Wójtem jest w gminie, kochają go chudzi,
I zawsze u nich przed gankiem żebracy —
A ojciec mówią: To także są ptacy,
I choć nie sieją, potrzebują ziarna,
A kto im skąpi, temu praca marna.
I pytam jeszcze: Matka żyje?
— Żyje.
— A dzieci wiele?
— Jest tego jak maku;
Najmniejsze leżeć mogłoby w przetaku.

Idziemy razem pięknie, pomaleńku,
W miłej rozmowie, jej ręka w mem ręku —
W drugiej zaś niosła leśnych kwiatów snopek,
Pewnie nie mniejszy jak ów bity chłopek.
To na co? pytam.
— Na grób, gdzie nasz Bartek;
Piorun go zabił w czwartek, a dziś czwartek.
— Kogo?
— Braciszka.
— Dawno?
— Mnie na świecie
Nie było jeszcze. Kwiatki nosim w lecie,
W zimie przed lampą modlimy się szczerze...
Ho! ja uczona na wszystkie pacierze.

Ścieżka szła żytem w lewo, zaś na prawo
Moja ścieżyna zieloną murawą;
Gdy przyszło żegnać się, Jaguś tak rzecze:
— Ja jegomości powiem, co mnie piecze.
Ja na początku była dla was harda —
Nie mówcie ojcu — bo skóra nie twarda,
A oni biją za to, jak przedwczora,
I wciąż wołają: Pokora, pokora!
Więc obiecałem i pocałowałem,
A że się znalazł piernik, ten jej dałem.
I poszła lewą ścieżką między żytem,
I utonęła w tem życie rozkwitem.

*

Ażeby lepiej to, co chciałem, dowieść,
Powiem wam jeszcze niedługą przypowieść.

Był pan — ten człeka sobie przysposobił,
Potem go rządcą i kasjerem zrobił.
Zdając mu kasę, rzekł: Na swe odzienie
Bierz ile zechcesz, i na pożywienie —
A żeś łakomnik i nieladajaki,
To bierz dowolnie na różne przysmaki —
Niech wiedzą, żem ci nad miarę życzliwy;
Jeżeli pieniądz znajdziesz zły, fałszywy,
Możesz go zniszczyć; a zgubisz przypadkiem,
I to nie będzie przeciw tobie świadkiem;
Słowem rządź kasą w każdej swej potrzebie,
By z dobrą wolą. Spuszczam się na ciebie...

A no, już kasjer rządzi się i szasta.
Brał na tysiące dla siebie, nie na sta —
Pan nic; na wszystkie rozpuścił się żądze,
Jak woda ciekły mu w ręku pieniądze —
Pan nic. Aż razu pewnego, pan widzi,
(Co opowiadać tylko, człek się wstydzi)
Że jego kasjer (bodaj go zdeptali)
W staw rzuca złoto, a banknoty pali —
Wszystko walorne! — Gadaj, kto ci kazał?
Po co to?
— Abym moją moc pokazał!
Odrzekł, a mówiąc, ani okiem zmrużył.
Powiedzcie — na co taki człek zasłużył?!...

Panem jest Pan Bóg — kasa, to zwierzęta —
Kasjer, to człowiek w swej pysze bez pęta.

Kornel z Pawłowa.

Krótkie dzieje długiego życia.

Siódmy krzyżyk dobiega mu już do kresu. Za trzy lata krzepki starzec skończy siedmdziesiąty rok życia. Daj mu Boże doczekać i lat matuzalowych dożyć.

Miał już w wieku XVIII imiennika, ale z innej zupełnie rodziny, i chociażby rad, przyznać się do niego nie może. Imię, które nosi, na krótko zabłysło w r. 1761, aby już w 1764 zagasnąć. Odtąd przez lat pięćdziesiąt sześć nie słyszano o *Kurjerze Warszawskim.*

Dzisiejszy *Kurjer* ukazał się pierwszy raz w d. 1 stycznia 1821 roku. Założyli go: Ludwik Dmuszewski, aktor, autor dramatyczny i jeden z „honoratiorów" miasta, oraz Brunon Kiciński, syn znakomitego obywatela, Piusa, sam poważny publicysta, poeta i tłómacz poezji. Gorzkie on już przebył doświadczenie na dziennikarskim chlebie.

Było tedy aż dwóch redaktorów-wydawców na jedno pismo, do którego prowadzenia wystarczała wybornie $^1/_{12}$ część jednego, najzupełniej przeciętnego człowieka. Trudno sobie wyobrazić skromniejsze początki. *Kurjer Warszawski* z roku 1821 jest to świstek podłużny o 2 stronicach, a 3 łamach, obejmujący wszystkiego od pierwszej do ostatniej litery niecałe 200 wierszy drobnego druku, pastwiącego się nad wzrokiem. A za ten druk niegodziwy potrzeba było płacić bajecznie. Dwieście wierszy na cały rok kosztowało *32 złote.* Na całym świecie chyba nie było droższej gazety.

Kurjer wychodził wówczas 6 razy tygodniowo. Jeden dzień święcił, ale, rzecz osobliwa, nie niedzielę, tylko sobotę. W ten tylko jeden dzień nie darzył prenumeratorów swoich ani wiadomościami warszawskiemi, ani „pogłoskami, biegającemi w stolicy", ani wiadomościami zagranicznemi „bez czynienia uwag", ani doniesieniami z województw, ani wreszcie ogłoszeniami po 3 grosze, które jednakże, pomimo tych 3-ch groszy, rzadkiemi bywały ptakami. Wiadomości zagraniczne miały dla siebie uprzywilejowane dwa dni tygodnia: niedzielę i czwartek. Jeden numer w tygodniu poświęcany bywał opisowi stanu miasta Warszawy, a literalnie cały N. 27 z r. 1821 wypełniła lista „wszystkich członków rzeczywistych, składających zgromadzenie kupców miasta stołecznego Warszawy"—rzecz pod względem publicystycznym niezmiernie zajmująca.

Drukował się ówczesny świstek w drukarni przy ulicy Ś. Jerzego pod N. 1782. O godzinie 5-ej wychodził z pod prasy, o 6-ej był w kantorach. Później pozyskał własną drukarnię, złożoną z jednego zecera, jednego presera i jednej prasy. Prasa była drewniana, kantory i prenumeratorowie zjednywani przy ponczyku. Cała redakcja, administracja i drukarnia mieściły się w dwóch izdebkach w antresoli domu, w którym *Kurjer* do dziś dnia ma swe siedlisko. I tego jeszcze było zawiele. Na cały rok zużywano zaledwie 100 ryz papieru maleńkiego formatu.

W końcu roku 1821 Kiciński zostawia w *Kurjerze* samego Dmuszewskiego, który dzień 1 kwietnia 1824 r. (N. 79) upamiętnia w dziejach świata zmianą formatu z prostokąta na kwadrat, do jednej ćwiartki dodaje drugą, zasób wiadomości pomnaża prawie w dwójnasób, zwiększa liczbę liter i same litery.

Kurjer przetrzymał wszystkie wielkie i małe wypadki aż do śmierci Dmuszewskiego w roku 1845. O duszę jego dbał redaktor-wydawca, o ciało — p. Maciej Brochnocki: zecer i administrator, poborca dochodów i redaktor ogłoszeń — wszystko! *Kurjer* przeniósł się był z czasem z antresoli na dół, do domku jednopiętrowego w dzisiejszej posesji pana Stępkowskiego. Przed domkiem rosła pochylona romantyczna akacja, kilkanaście lat temu wycięta barbarzyńskim toporem postępu. Za romantyczną akacją miał ów p. Maciej Brochnocki rezydencję swoją i swój lufcik, niezbędny dla licznych jego urzędów. Stojąc przy kaszcie i składając *Kurjera,* p. Maciej przez ten lufcik przyjmował ogłoszenia i prenumeratę. Odziewał on *Kurjera,* pieścił i cackał, stroił w pieski i domy, i wtedy dopiero puszczał go na wesołą wędrówkę po mieście. Dla nowellisty p. Brochnocki był

nieoszacowanym okazem człowieczeństwa. Mały, różowiuchny, z żywemi, błyszczącemi się jeszcze w starości oczyma, miewał on awanturki miłosne w latach, w których inni ludzie zażywają już tylko tabakę; przez życie przeszedł gładko, bez wstrząśnień; nie czuł nawet biedy, która go nigdy nie odstępowała. Kulminacyjny punkt swego życia opowiedział mi raz z naiwnością dziecka. Kiedy wszyscy na ulicę wybiegali, on zrobił więcej od wszystkich: ukrył się za kasztą tak dobrze, iż go najbliżsi nawet nie znaleźli. Był wtedy zecerem u Gałęzowskiego przy ulicy Żabiej. Mając już z górą lat ośmdziesiąt, opuścił dopiero zecerstwo w *Kurjerze Warszawskim*, a w cztery lata później umarł jako emeryt.

Po Dmuszewskim objął redakcję p. Karol Kucz, urzędnik Najwyższej izby obrachunkowej, człowiek wesoły, znany z wierszy i powiastek w *Nadwiślaninie* i *Przeglądzie Warszawskim*. Przy poprzednio już zwiększonym formacie, a niezwiększonej cenie, nowy redaktor wzbogacił programat sprawozdaniami z życia towarzyskiego Warszawy, wiadomościami literackiemi, artykułami nadsyłanemi — najczęściej z redakcyi. W latach 1850 — 1860 *Kurjer* sumiennie spełniał obowiązki sprawozdawcy balowego: żadna suknia znakomitszej damy nie uszła



LUDWIK DMUSZEWSKI.

jego orlego wzroku. Powoli zwiększał swą objętość, a treść urozmaicał; miewał czasem i poważniejsze artykuliki, odważał się na większe rozmaitości, nawet polemizował; przemawiał prozą i wierszem.

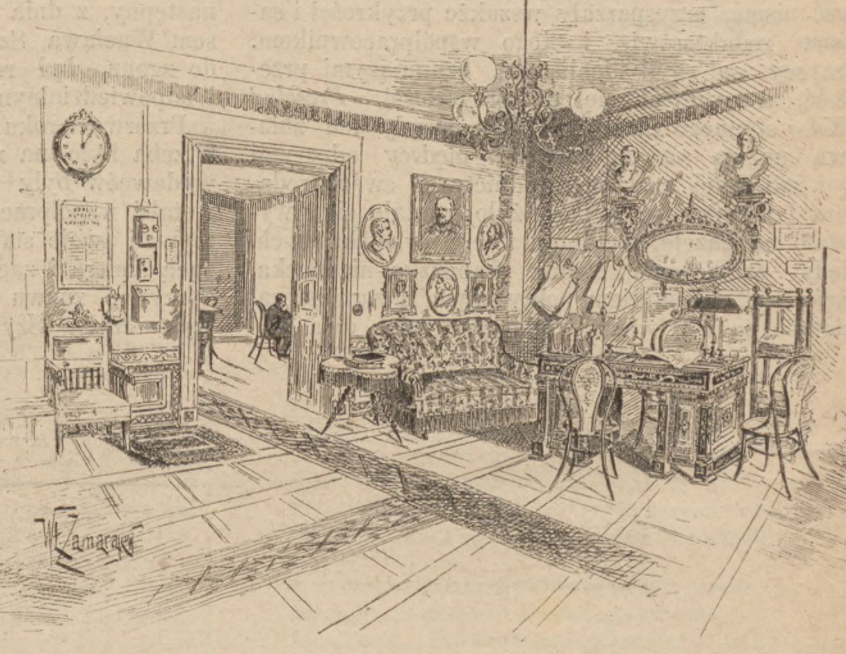
Tak upłynęło lat dwadzieścia. Okoliczności oderwały p. Kucza od redakcji. Nastały dni bezkrólewia. Zmieniały się nazwiska Odyńca, Zborowskiego, Chęcińskiego, Stanisława Bogusławskiego, jako głównych, faktycznych, lub odpowiedzialnych kierowników. Pismo upadało coraz bardziej: zamiast zysków, przynosiło straty ogromne.

Właściciele oddali go w dzierżawę Wacławowi Szymanowskiemu, który wszedłszy we współkę z pp. Gebethnerem i Wolffem i z Mironem (Aleksandrem Michaux), zabrał się raźno do podniesienia czasopisma, liczącego już tylko 1,200 prenumeratorów.

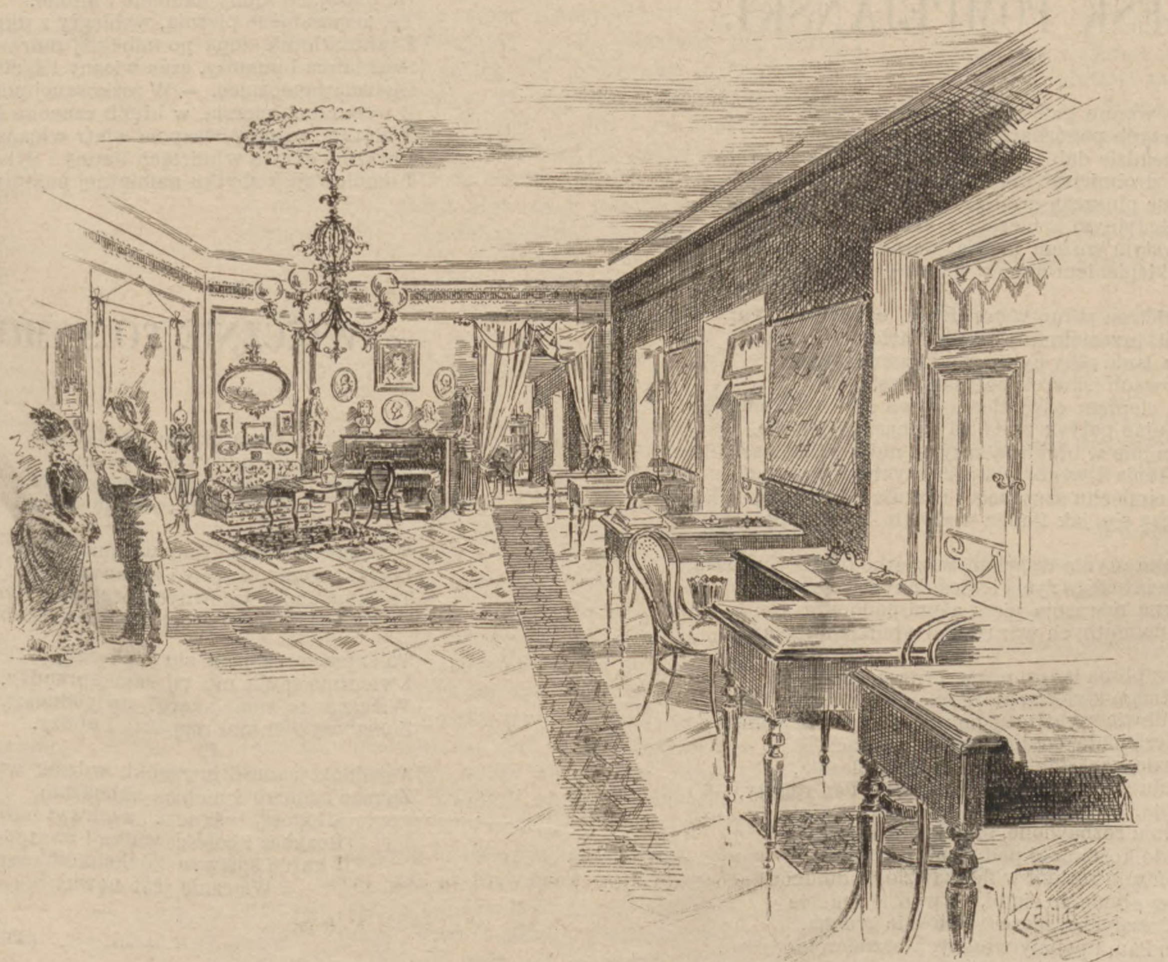
Było to w końcu 1867 r. Pierwsza odezwa nowego redaktora nosi datę 29 stycznia 1868 r. Redakcję stanowili wówczas, prócz głównego redaktora, Jan Chęciński, Juljan Heppen i Miron. Wacław Szymanowski, dzięki doświadczeniu, nabytemu jeszcze w *Dzienniku Warszawskim* i w *Kronice*, temperamentowi prawdziwego dziennikarza, talentowi swojemu i umiejętności jednania sobie



DAWNA REDAKCJA.



NOWA REDAKCJA.



SALON REDAKCYJNY.

sił potrzebnych — miał w *Kurjerze* trud wprawdzie ciężki, ale wdzięczny. Zorganizował służbę reporterską, wprowadził krótkie przeglądy literackie, sprawozdania z prelekcyj, z teatru i muzyki, otworzył wstęp poezji i nowelli, rozszerzył i wewnętrznie podniósł wiadomości polityczne, uzupełnił je depeszami telegraficznemi; na wszystkich polach starał się o wiadomości szybkie a pewne — i powoli wprowadzał artykuły rozumowane o życiu społecznem. Dbałości swojej o potrzeby czytelników odrazu dowiódł, dając już w lutym 1868 r. dokładne sprawozdania i doskonałą mapę okolic Pułtuska, w których spadł pamiętny bolid z dnia 30 stycznia t. r.

Od czasów Szymanowskiego, *Kurjer*, obok rzeczy miejscowych, uprawiał już i ogólne, dotyczące całego kraju; w sądach starał się zachowywać sumienność — adoracji wypierał się słowy i czynami okazywał, że jej nie hołduje. Zmysł moralny miał bardzo delikatny: odwodził nawet od czytania *Orbeki* Kraszewskiego.

Zgromadził Szymanowski naokoło siebie grono ludzi, prawie bez wyjątku młodych, gorących i przejętych gorączką pisania. Wraz z nimi zjawiły się po raz pierwszy w *Kurjerze* przekonania. Błyskały pojęcia społeczne, filozoficzne i estetyczne, i wywoływały polemiki, które wzmagając poczytność pisma, przysparzały wszakże przykrości i samemu redaktorowi, i jego współpracownikom. Wszyscy oni byli idealistami, szanującymi przeszłość, a rwącymi się do przyszłości. *Przegląd* i *Kolce* słynnego Dzikowskiego, darzyły ich zbiorową nazwą *siedmiu mędrców*; mędrcy odgryzali się i szli dalej pod przewodnictwem swego redaktora i przyjaciela. Pismo żyło, ruszało się, wyrastało na gazetę, na organ interesów społecznych. Kiedy wybuchnęła wojna francuzko-niemiecka, *Kurjer* był dziennikiem politycznym i zamieszczał dziennie po 500 wierszy polityki; miał dwa osobne buletyny codziennie: jeden wojenny, drugi polityczny; obfitością doniesień telegraficznych prześcignął większe gazety. Za ciasno mu już było w dawnym formacie; w r. 1871 miał format prawie już dzisiejszy. U ogółu czytającego znajdował coraz większe uznanie.

Ciągły wzrost materyalny wstrzymały nagle nieprzewidziane okoliczności. W grudniu 1870 r. i w styczniu roku następnego, pismo, zamiast wychodzić tego samego dnia wieczorem, ukazywało się dopiero we 24, a nawet w 36 godzin później. Czekał je los jeszcze gorszy, i naraz znalazło się bez uznanego na zewnątrz redaktora. Szymanowski żył, pracował w *Kurjerze*, ale zastępowali go w odpowiedzialności to nieżyjący już Juljan Statkowski, radca stanu, to major Jundziłł, urzędnik Banku Polskiego, człowiek, który umiał po sobie pozostawić miłe wspomnienie.

Nakoniec przyszedł cios ostateczny. W r. 1872 *Kurjer* wyszedł po raz ostatni d. 21 listopada (Nr 259), a w r. 1873 ukazał się dopiero d. 14 stycznia. Przez miesiąc i 23 dni wcale nie istniał. Prenumeratorowie, którzy go nie odbiegli, otrzymywali *Gazetę Polską*. Zdołano nareszcie znaleźć redaktora odpowiedzialnego w osobie p. Hermana Benniego, i ten przez 3 lata i 4 miesiące, do 13 maja 1876 r. (Nr 106), podpisywał *Kurjera*. Numer następny, z dnia 15 maja, wyszedł już z podpisem Wacława Szymanowskiego, który odtąd, aż do zgonu, był redaktorem, zarazem faktycznym i odpowiedzialnym.

Przerwa z roku 1872/3 wstrząsnęła bytem *Kurjera*. Trzeba było na nowo piąć się pod górę. Straty wydawców były ogromne, ale współredaktorowie i stalsi współpracownicy nic nie ucierpieli: otrzymywali swoje stałe honorarja. Przeczekano grożącą śmierć i zaczęto żyć na nowo; a trzeba było zaczynać znowu niemal od początku. Trzy lata wystarczyły Szymanowskiemu na przywrócenie *Kurjerowi* utraconego stanowiska, przy pomocy dawnych sił, odświeżanych nowemi żywiołami. Na Nowy Rok 1876 mógł już *Kurjer* pochlubić się swym wzrostem od czasów Dmuszewskiego. Posiadał już wtedy w redakcji osób 10, reporterów 11, w administracyi osób 5, zecerów 13, chłopców drukarskich 4, presserów 10, w służbie ogólnéj 6, roznosicieli 33. W r. 1875 zużył 6,610 ryz papieru; drukował się na dwóch maszynach: jednej Königa i Bauera, drugiej Marinoniego; jedna z nich odbijała 3, druga 5 tysięcy egzemplarzy na godzinę. Wprawiał je w ruch motor gazowy Hugona.

Lata 1876—1883 są latami ciągłego zewnętrznego wzrostu i wewnętrznego postępu. Dzierżawa zamienia się w tych latach na własność. Z grona współpracowników ubywa wielu dawniejszych, ale przybywają nowi; zbiorowa siła pracy wzmaga się ciągle. *Kurjer* ma już tylu prenumeratorów, że mu dwie owe maszyny nie wystarczają; przyjmuje systemat druku cylindrycznego sterjotypowego i drukuje się na papierze bez końca. Na Nowy Rok 1881 wychodzi pierwszy *numer noworoczny*, a w nim ukazują się nietylko nazwiska współpracowników, ale i najpierwsze imiona literackie. W d. 1 Kwietnia 1883 r., obok wydania wieczornego, występuje poranne, z obfitemi telegramami politycznemi. *Kurjer* staje się pismem literackiem, codziennem, wychodzącem nawet w niedziele i święta, i odtąd ma już we wszystkiem dzisiejszą swą postać.

Człowiek, który energją i talentem swoim głównie zapewnił *Kurjerowi* wewnętrzne warunki pomyślności,—umiera po długich cierpieniach, w dniu 20 Grudnia 1886 roku.

Dalsze koleje *Kurjera* są w zbyt świeżej jeszcze pamięci, aby je tu przypominać było potrzeba.

Stanisław Krzemiński.

FRESK POMPEJAŃSKI.

Zielone wonne gaje rozsiadły się w koło,
Po uroczych pagórkach zbiegając w doliny.
Gdzieniegdzie dąb lub kasztan podnosi swe czoło
Po nad drobniejsze mirty, laury i jaśminy;
Łagodnie pluszczą źródła, skryte gdzieś w zieleni,
I z melodyjnym szmerem z skał ściekają dalej,
Srebrzystym wężem migną wśród łomu kamieni
I pod sklepieniem dębów w cichéj płyną fali.

W powietrzu pełno woni, ciepła, barw i blasku,
I błękit, przesiąknięty tem światłem gorącem,
Zda się lśnić niby pyłkiem złotawego piasku
I tęczowych iskierek połyskać tysiącem.
W tem ciepłem oświetleniu żywa drzew zieloność,
Przyjmując połysk złoty na szmaragdy swoje,
Harmonijnie w błękitną spływa nieskończoność.
Gaje, błonia i wzgórza i przejrzyste zdroje,
Pełne uśmiechu szczęścia i rozkoszy dreszczu,
Wdzięczą się, jak Danae w złotym bóstwa deszczu.

Wszystko płynie weselem, wszystko tchnie rozkoszą,
Czarem młodego życia i wiośnianych rojeń,
I miłosne marzenia pierś ziemi podnoszą
Żądzą namiętnych wzruszeń i słodkich upojeń.

Różowo płoną laury, mirty prószą śniegiem
Delikatnego kwiecia, które wietrzyk strąca,
I wstydliwie szeleszczą po nad wody brzegiem,
Gdy pierś białą odsłoni Najada płynąca.
Na głazie, zarośniętym jedwabistą pleśnią,
W cieniu starych kasztanów, siedzi Pan rogaty,
Ucieszne bóstwo lasów — i weselną pieśnią
Wypełnia rozbawione, szalejące światy.
Kosmate koźle nogi podwinął pod siebie
I uwieńczon różami w flet zawzięcie dmucha —
A śpiew płynie po ziemi, po wodzie i niebie
I kwili, wzdycha, pieści i miłośnie grucha,
Aż sam Pan, upojony własnych brzmień słodycza,
Twarz przekrzywia podziwem i muska swą brodę,
Patrząc się, jak artysta, z miną tajemniczą
Na pląsające Nimfy nadobne i młode.
Te, przywabione pieśnią, wybiegły z ukrycia
I tańczą lotną stopą po miękkiej murawie,
Szał tańca i pustoty, czas wiosny i życia
Ogarnia taneczniee. — W rozkosznej postawie,
Z wzburzoną piersią, w błękit rzucone świetlany
Wzlatują, rozpuściwszy na wiatr włosów sploty,
I drażnią skryte w mirtach Fauny i Sylwany,
I omdlewają z zbytku namiętnej pustoty.

El...y.

WIECZNIE TO SAMO.

Wiecznie ta sama płynie zjawisk fala
I wciąż obrazy odnawia te same,
Wiecznie jutrzenka swe ognie zapala,
Z mgieł purpurowych tworząc słońcu bramę.

Wiecznie te same czary wiosna niesie
Blaski i wonie, kwiaty i zieloność,
Te same chóry śpiewnych ptasząt w lesie,
Tę samą tęsknych pragnień nieskończoność.

Tą samą serca poją się rozkoszą,
I wiecznie snują nić tej samej przędzy,
Wiecznie te same skargi się podnoszą
Z ciemnej otchłani rozpaczy i nędzy.

A jednak jasność jutrzenki, wdzięk wiosny,
Ziemia i morze i niebios sklepienie,
Młodość, tęsknota i zachwyt miłosny,
Rozkosz i boleść, walka i zwątpienie
I każda śpiewna kochanków rozmowa
Wiecznie jest nowa!

El...y.

KRĄG PRZEMIAN.

Dnia słoneczność, wiosny tchnienie,
Morza piany i błękity,
W jedno zlały się widzenie,
W cudną postać Afrodyty.

Wymarzona piękność ciała,
Nawpół boska, wpół kobieca,
Wyższy polot żądzom dała,
Nieśmiertelną miłość wznieca.

A miłosnych pragnień siła,
Ku zwycięzkiej dążąc chwale,
W biegu swoim potrąciła
Różnobarwnych uczuć falę.

Każda fala, kręgi duże
Zataczając, rośnie, wzbiera...
I kochanków mirt i róże
Zmienia w wawrzyn bohatera.

Sen rozkoszny, sen miłosny,
Choć go jedne serca prześnią,
Wraca na świat wdziękiem wiosny,
Blaskiem, wonią, barwą, pieśnią.

Zawiedzionych serc tęsknota,
Piękność, która z ciałem ginie,
Wschodzi w świeżych dniach żywota
W poświęcenia wielkim czynie.

To, co było czynem wczora,
Dziś jest pieśnią lub legendą,
A gdy nowa przyjdzie pora,
Pieśni w czyn się zmieniać będą!

El...y.

WIDMO POETY.

We mgle wieczornej usiadło
Samotne, blade widziadło,
Przy drodze koło cmentarza —
I wzdycha, płacze, narzeka,
I o niewdzięczność oskarża
Serce człowieka.

„Co robisz—pytam—nad ziemią,
„Gdy inne widma już drzemią
„I żywych więcej nie trwożą?
„Jaka zgryzota Cię budzi?
„I po co z wieczorną zorzą
„Wracasz do ludzi?"

„Co robię? pytasz, co robię?
„Czy nie wiesz, jak straszno w grobie
„W wieczystej zostawać nocy,
„I widzieć, jak żywych tłuszcza
„Grób nasz samotny, sierocy,
„Bez łez opuszcza?

„Ty nie wiesz jak to, ach! boli,
„Gdy świat rozerwie powoli
„Wszystkie serdeczne ogniwa,
„I jak pierś naszą przygniata
„Milcząca, zimna, wzgardliwa
„Niepamięć świata.

„Dlatego wstaję z mogiły
„I dążę, gdzie dla mnie biły
„Serca kochanków tysiąca...
„Lecz choć wyciągam ramiona,
„Każdy mnie z gniewem odtrąca
„Od swego łona.

„Nic nie chcą wiedzieć już o mnie,
„Choć przysięgali niezłomnie
„Dochować miłość i wiarę.
„Więc wracam i patrzę zdala,
„Jak wszystkie wspomnienia stare
„Unosi fala."

„Więc nie masz w świecie nikogo,
„Któremu byłaby drogą
„Twa pamięć, samotny cieniu?
„Za jakie grzechy i winy
„Przestałeś żyć już w wspomnieniu
„Bratniej drużyny?"

„Ach! serce ludzkie tak zmienne,
„Dawszy mi łoże kamienne,
„Cień zapomnienia głęboki
„Nad grobem mym rozpostarło,
„Choć jestem całej epoki
„Myślą umarłą."

El...y.
(Asnyk).

O RÓŻNYCH RAKACH, TRAPIĄCYCH LUDZKOŚĆ.

(Z notatek śledziennika).

— Tak. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta narośl w głębi pańskiego gardła—w kanale oddechowym, po prawej stronie wiązadeł—to rak.

— I jakże go będziesz leczyć, doktorze?

— Można leczyć w różny sposób; ale to się na nic nie przyda, bo rak jest nieuleczalny.

To jest charakterystyką naszego wieku, wieku ścisłego badania i głębokiej wiedzy. Umiemy zrobić dokładną djagnozę chorób cielesnych i społecznych; tylko ich leczyć nie umiemy. Nienasycona ciekawość pcha ludzi do zaglądania każdej kwestji pod podszewkę. Podobni są w tem do owego malca, co dostał piękny balonik na gwiazdkę i chciał się koniecznie dowiedzieć, co tam w środku? Dotąd majstrował, dłubał, skubał, aż balonik pękł i z pięknego cacka zrobił się flaczek, nieprzydatny do zabawy.

Tak samo i my dłubiemy dziury we wszystkich złudzeniach, któremi bawili się ojcowie nasi, aby sobie zdobyć wiedzę tego, co tam w środku. Medycyna nachlastała trupów bez miary, powynajdywała różne choróbska, o których się naszym przodkom ani śniło, znakomicie umie wyjaśnić za pomocą baccillusów tworzenie się suchot w piersiach, raka w żołądku — tylko nie umie naprawić dziury w baloniku, nie umie leczyć suchot, ani raka.

Znałem jedną babę wiejską, która narzekała zawsze przedemną, że jak raz zjadła na wielkanoc jakąś niestrawną kiełbasę, tak odtąd ciągle siedzi i siedzi jej w żołądku i niczem wyprowadzić jej nie mogła. Jak się później we dworze dowiedziałem, to ta baba miała raka, tylko że nie wiedziała o tem i wierzyła, że to niestrawiona kiełbasa tak jej dolega. Miała nadzieję, że prędzej czy później to paskustwo wyjdzie z niej—i nie trapiła się tem zbytecznie. Na tydzień przed śmiercią jeszcze darła pierze i kołysała najmłodszego wnuka. Czyż jej nie lepiej było z tą niewiadomością? Coby jej przyszło z tego, gdyby wiedziała, że to rak, choroba nieuleczalna, na którą musi koniecznie umrzeć, i umierała codzień je strachu przed śmiercią?

Teraz ludzie niby mędrsi; ale czy przez to szczęśliwsi, to wielkie pytanie. Dawniej dzieciak zachorował, dało mu się ślazu lub rumianku i był zdrów. Teraz młode mamy, z poradnikami lekarskiemi w ręku, w lada kaszlu dziecka odnajdują pierwsze symptomata dławca, a w wymiotach, które sprowadziło niepomierne objadanie się karmelkami, zapowiedź choroby mózgowej—i dalej co tchu posyłać po doktora, jeżeli nie po dwóch. Doktorom z tem nieźle; ale czy ludziom zdrowo i przyjemnie żyć w tej ciągłej obawie śmierci, czy to nie rozstraja nerwów i nie mnoży histeryczek—to pytanie.

Albo z temi bakterjami, proszę państwa, jak zaczęli uczeni chemicy i zoologowie odkrywać je w wodzie, w powietrzu, w mleku, we włosach, owocach, w mięsie, tak człowiek teraz dalibóg i jeść, i pić, i oddychać się boi, żeby się jakiego choróbska nie nabawić. Nawet do całowania straciło się ochotę, odkąd się wie, że tą drogą łatwo do dyfterji albo innej, jeszcze gorszej choroby przyjść można. Ładna historja! I dziwić się tu potem, że ludziska chodzą wystraszeni, powarzeni, jakby nieswoi. Powieściopisarze także zaczynają się bawić w straszenie ludzi. Dawniej, panie, czytywało się powieści, w których może mniej było prawdy, dużo zmyśleń, fantazji, nieprawdopodobieństw, ale to rozweselało umysł i dawało ochotę do życia, bo pokazywało je z najprzyjemniejszej strony; bohaterskie czyny fantastycznych bohaterów odmładzały i nawet tchórza zachęcały do bohaterskich czynów. A dziś powieściopisarze sprzysięgli się, aby nam zbrzydzić życie, pokazując jego okropności i bezeceństwa. Jak zaczną rozbierać bohatera do naga w obliczu publiczności—a co gorsza, wobec kobiet, krajać mu duszę i ciało anatomicznym nożem, pokazywać każdą narośl, każdy wrzód, każdą bliznę i badać umiejętnie, którą chorobę ten lub ta odziedziczyli po rodzicach, a którą po dziadkach, a którą znowu sami własnoręcznie sobie przysporzyli—to aż się niedobrze robi człowiekowi, jakby do prosektorjum wlazł albo do szpitala. Jest w tem wszystkiem, co prawda, dużo prawdy, tylko nie ma nic, coby człowieka rozweselić mogło, podnieść na duchu, zachęcić do życia.

Ja się zgadzam z tymi panami i paniami (bo i panie biorą się do tych anatomicznych studjów), że to życie podłe, liche, złe, djabła warte, ale właśnie dlatego, że jest takie, trzeba je jako tako ubrać, ocukrzyć odrobiną złudzeń i poezji, żeby je łatwiej przełknąć można. Żołnierzowi, co idzie do boju, nie mówi się o śmierci, tylko o zwycięztwie; nie pokazuje się mu lazaretu i skrwawionych trupów, tylko gra mu się piękne marsze. Otóż mnie się zdaje, że literatura nadobna powinna być taką muzyką, coby nam, idącym na ciężki bój z losem, przygrywała.

Złudzenie daje pociechę i nadzieję, która podtrzymuje siły i dodaje odwagi. Widziałem męża przy łożu żony, konającej na piersiową chorobę. Zawsze koło wieczora robiło się chorej tak dobrze, że i ona i on wierzyli w polepszenie. Ale przyszedł doktor, założył termometr pod pachę i wytłómaczył mężowi, że to polepszenie pewne sprawia gorączka, gorączka 40.5. Biedny mąż wpadał wtedy w rozpacz, a chora na twarzy jego przerażonej, której nie był w stanie zamaskować udanym spokojem, czytała straszny wyrok dla siebie. Poradziłem mu, żeby zamknął drzwi przed nosem doktorowi. Zyskał na tem tyle przynajmniej, że mógł się łudzić nadzieją. I łudzili się jeszcze przez kilka tygodni, zamiast umierać z trwogi przed śmiercią. Na godzinę przed skonaniem chora układała z nim razem plan podróży na przyszłą wiosnę do Szwajcarji. Umarła, a raczej usnęła, trzymając go za rękę, z uśmiechem na ustach, marząc o tej podróży. Takiego pięknego złudzenia nie byłby w stanie dać jej najuczeńszy doktor.

Widziałem znowu raz ojca przy kolebce dziecka. Wpatrując się w twarz niemowlęcia, miał wzrok ponury i bolesny. Zapytany przezemnie, wyspowiadał mi się w sekrecie przed żoną, że drży o przyszłość malca, bo dopatrzył się w nim rysów babki, która skończyła w domu obłąkanych. Gdyby ten człowiek nie był czytał o atawizmie, dziedziczności chorób, nie znał historji Rougeonów-Macquartów zolowskich, byłby pewnie z rozkoszą huśtał swego malca, marząc wesoło o świetnej jego przyszłości. Refleksja i wiedza zabiły w nim szczęście. I dziwić się tu potem, że ludzie tak chowani zapomnieli się śmiać i weselić, że robią się coraz więcej nerwowi, pesymistyczni i apatyczni?...

Michał Bałucki.

Z NATURY.

POD LIPĄ.

Siadłem, aby posłuchać, co też mówią drzewa
W dzień upalny, gdy liście szepcą tyche zrzadka;
Siadłem, a tuż sfrunęła z lipowego kwiatka
Złota pszczółka zobaczyć, jak to człowiek ziewa...

I pewno się zdziwiła ta moja sąsiadka,
Że kiedy światel z nieba sypie się ulewa,
Są tacy, których nuda i smutek owiewa,
I którzy biorą lipy za swych dumań świadka.

Nuda?—tak. Czasem ręce opadną, a myśli
Plączą się i nie mogą wyjść z tych czarów koła,
W którym duch niedościgłe obrazy wciąż kreśli—

A smutek? O, szczęśliwaś ty pszczółko wesoła,
Co pijesz miodne soki z lipowego kwiata!
Nie dziw się, człowiek często zbiera żółć wśród świata...

NAD JEZIOREM.

Cisza była, i z jezior jasnego zwierciadła
Spoglądały złotawe chmurki i błękity;
Niebo było w jeziorze, a razem odbity
Obraz brzegów zielonych, który toń wykradła.

I cudne były owe w krysztale widziadła:
Lilje, nadbrzeżne kwiaty, i traw aksamity,
I gąszczu ciemny kontur w złoty haft obszyty,
I z srebrnym liściem brzoza, co nad brzegiem siadła.

Cisza była, i wody jeziora drzemały.—
Nagle wicher się zerwał i porobił skazy
Na gładkiej toni; cudne zniknęły obrazy.

Teraz fala się burzy i zwichrzone wały
Pełzną szare, w obręcze zwinięte, jak żmije,
Nie żal: sny były piękne, lecz tu fala—żyje!

Z NAD MORZA.

Biegła pędem, jak gdyby staczając się z góry,
Która przedemną czarną piętrzyła się ścianą,
Fala, świecąc na grzbiecie swym perłową pianą;
Lecz u brzegu skarlały olbrzyma kontury.

A kiedy ją na piasku ujrzałem rozlaną,
Była jak pasmo deszczu, z ciemnej spadłe chmury.
I korna była służka z tej mórz sinych córy,
Chociaż mi takie dziwy o niej powiadano.

Wtedy, gdy do stóp moich czołgała się z szumem,
Żal mi było tej dumy morza ukorzonej,
I pobladłych szmaragdów z Neptuna korony.

Wtedy wyrzekłem sobie w przekonaniu szczerem,
Że godność swą należy chować i w pokoju:
Być dębem, a nie lichą gałązką powoju.

TRISTITIA LUNAE.

Gdybym nie wiedział, że już zgasło życie
Na błędnym globie, co nocą przyświeca,
Zgadłbym to pewnie po blasku księżyca,
Gdy trupią twarzą spogląda w zenicie.

Może w tem właśnie leży tajemnica
Tych smutków, które budzą się w nas skrycie,
Gdy srebrny miesiąc płynie po błękicie
I w bladość stroi zadumane lica.

Te blaski drżące, odbite od globu,
Niby od trumny błyszczącego wieka,
Przynoszą smutek i chłód mają grobu.

Tak wśród cteru nad głową człowieka
Pisze *memento mori* księżyc blady,
A gwiazd ku niemu patrzą się gromady.

Bożydar.

RORATY.

(Urywek ze wspomnień.)

...Parę dni następnych po św. Mikołaju, to znowu u dzieci czas ustawicznego oczekiwania wigilji i Bożego Narodzenia.

W ciągu tego czasu ciągle coś nowego podnieca i tak już mocno podrażnioną imaginację dziecka i co chwila przypomina zbliżające się uroczystości. Są to rzeczy niezwykłe, tylko w tej porze roku się zdarzające, i dlatego, jako coś nadzwyczajnego, robiące silne wrażenie na młodocianych umysłach.

Z jakiemż zdumieniem i ciekawością, nie otrząsłszy się jeszcze ze snu, spostrzegaliśmy, że starsi członkowie rodziny, kiedy my, najmłodsi, nie wyszliśmy jeszcze z łóżek, powracali już zkądsiś do domu, i zapytywaliśmy o to, gdzie byli?

— Na roratach — odpowiadano nam, a to niezrozumiałe, tajemnicze słowo otwierało znowu nowe widnokręgi fantazji i w młodych główkach nieokreślone rodziło pojęcia.

Nie dziw, że każde z dzieci pragnęło być na roratach i zobaczyć je jaknajprędzej. Ale nieraz dużo wody upłynęło, zanim do tego przyszło. Na roraty trzeba wstać wcześnie, o godzinie piątej, wtenczas, kiedy na grudniowem niebie gruba noc jeszcze zalega, więc choć postanowienie wieczorem było jaknajmocniejsze, rano, kiedy nas budzono, ociężała głowa odmawiała posłuszeństwa, nie chciała się podnieść i tuliła napowrót do poduszki. Tak niejednego dnia, gdy starsi poszli, my zostaliśmy śpiący w łóżkach, żałując potem swej ospałości po niewczasie.

Nareszcie musiała nadejść przecie ta szczęśliwa chwila, żeśmy się zdobyli na krok heroiczny i wstali razem z innymi. Ubieramy się przy świetle—to już pierwsza nadzwyczajność i uciecha! — wychodzimy na ulicę, a tu, chociaż to już rano, ciemno i latarnie się świecą, jak wieczór, jak w nocy.

Ucieszeni tą niezwykłością, stąpamy po chrupiącym pod nogami śniegu, oglądamy się po ulicach, które tak uroczyście jakoś wyglądają, bo okna są wszędzie ciemne, sklepy i domy pozamykane i tylko tu i owdzie wymknie się ktoś z bramy, albo jakaś gromadka, której nie widać wyraźnie w mroku nocnym, posuwa się cicho, w podobnym jak my dążąc celu. Zdaleka słychać dzwonek na sygnaturce, zwołujący pobożnych. Już i widać oświetlone okna kościoła, których nigdy w tym stanie nie widzieliśmy. Poważny organ dolatuje do naszych uszu.

Wchodzimy do kościoła.

Tu całkiem inaczej, niż zwyczajnie we dnie, kiedy nas na nabożeństwo prowadzono! Tajemnicza noc panuje teraz w kościele, której cienie rozpraszają tylko tu i owdzie świece na ołtarzach płonące, albo małe światełka, błyszczące po ławkach. Ten kawałek świeczki przykleił do ławki, ten postawił na niej krążek stoczka, a inny znów trzyma w ręku dużą świecę. Wszyscy przyświecają sobie nad książkami do nabożeństwa i przygarbieni, cicho, albo wysyłając czasami głośniejsze westchnienie, czytają z nich modlitwy. Ci, co czytać nie umieją, obracają w palcach różaniec, lub z rękami złożonemi odmawiają pacierze a na ich twarze rozmodlone, jakby w obrazach Rembrandta, pada łuna od świec lub stoczków najbliższych sąsiadów.

Roraty więc to msza, to nabożeństwo, jak inne, ale dla świeżego umysłu dziecka rzecz to tak nadzwyczajna, tyle mająca uroku...

Adam Belcikowski.

Z drugiej części „Salwatora."

...Bobyście jeszcze pomyśleli może,
Żem ja gdzie przepadł bez śladu i wieści
Z tem sercem mojem—zimnem na boleści,
Co przyczyniają słabym wasze noże.
O nie! Ja żyję! I muza mnie pieści,
Wciąż zapraszając na spoczynku łoże.
I ja się kładę czasem na tem łożu,
Ale dla żartu tylko; bo się zrywam
Z niego znów mocy pełen—i w bezdrożu
Głupstw waszych (tak ja żywot wasz nazywam)
Szukając drogi—znów płynę po morzu
Życia... Znów płynę... Tonę—i wypływam.

I wiatry silne dmą w mej łodzi żagle,
Które na szał ich ja wtedy rozwieram...
Nieraz mi w piersi duch przycicha nagle,
Że zda się z pracy wielkiej już zamieram;
Lecz ja znów wstaję, i łódkę mą naglę
Do brzegu, póty, aż ją w ląd upieram.

Co mi tam wiry! co mi tam odmęty!
Szatan nie na to, by bał się tych rzeczy!
On w piekła pieczy, nie w Boga jest pieczy,
I w moc on inną, niż boska, zaklęty—
Gdy słabnie—upór i duma go leczy
Od strachu, w którym drży chór niebian święty.

Co mi tam wiry i co mi odmęty!
Im większa burza, tem ja hardziej płynę.
Wiem, że od mocy niczyjej nie zginę,
Bom nie z waszego nasienia poczęty.
Gdy zaś Bóg kiedy w mój statek uderzy,
Tem lepiej!... Boga znienawidzę szczerzej!

Bom nie jest wcale szatan dla Miłości,
Ani on nie jest wcale dla Pokory,
Ale dla Groźby i Złości jest szatan:
Złość musi płodzić!... on z Złością tak zbratan,
Jak wy z Niemocą... i niebios przestwory
Drżą, gdy pod Górą on czasem zagości!

Więc mówię: „ustąp!" wichrowi. On ginie.
Do skały powiem „usuń się!"—i skała
Przed sterem moim przechyla się cała,
Że przez nią łódź ma, jak przez mgłę, popłynie.
A łódź ta moja—mówią—jest tak mała,
Że orzechowej podobna łupinie.

Tak! Wam nieznane są cuda zaklęcia,
Które moc czarta na tym świecie tworzy,
I też nie wiecie, że przed nią się korzy
Wszystko, cokolwiek ma swój byt—*z poczęcia*;
Że bez początku jest ten rywal Boży,
Co nie zapragnął nigdy... wniebowzięcia!

Bogumił Aspis.

Książki ze strychu.

Po zmarłym urzędniku biura rachunkowego spadkobiercy ubożuchnego mienia nieboszczyka wystawili pozostałe ruchomości na sprzedaż z pod młotka, a że to było publikowane nawet przez gazety, więc przez ciekawość i ja tam zaszedłem, nietyle w chęci kupna, które według spisu wystawionych na licytację przedmiotów nie budziło we mnie szczególnego interesu, ile w zamiarze naocznego śledzenia tej akcji, której smutnego zazwyczaj widoku los mi dotąd jakoś łaskawie zaoszczędził.

Mały pokoik nieboszczyka, w którym czuć było jeszcze swąd od świec woskowych, zmieszany z rozsiadłą po kątach wilgocią, napełniony był szczelnie kupującymi.

Kobiety ze szczególną troskliwością przezierały bieliznę, ułożoną na starej komodzie, i naczynia kuchenne, stojące pod stołem; żydzi kłócili się zawzięcie o nabycie starego fraka i podniszczonego dobrze szlafroka; jakiś zawiesisty jegomość próbował ciągu fajki z niewielką wprawdzie antypką, ale za to z przyzwoitym bursztynem u mundsztuka; gwar i hałas napełniał izbę, a woźny sądowy wykrzykiwał nieustannie: „dwa reńskie! reński! pięćdziesiąt centów!" i tak *in minus*, aż kończył, ocierając kraciastą chustką uznojone czoło, stereotypową formułką: „niech panu służy na zdrowie!"

Już wszystkie prawie sprzęty zostały zlicytowane; tu i owdzie jeszcze toczył się targ o mniejszej wartości drobiazgi, aż wreszcie i ta resztka przeszła w ręce nabywców.

— Czy jest tam co jeszcze?— zagadnął pan pisarz woźnego.

— Ot—machnął ręką—jest jeszcze kupka jakiegoś śmiecia: stare książki ze strychu, ale kto to kupi?

I podniósł z kąta związany szpagatem pęk kilkunastu książek starych, zaprószonych; snać mało do nich w ostatnich latach zaglądano.

— A co za to?—zapytałem, przystępując do stołu.

Pan pisarz spojrzał na mnie z pod okularów, jak na natręta, którego radby się corychlej pozbyć, bo widać było, iż go ta cała czynność porządnie już znudziła—potem odszukał odnośnego numeru w regestrze i rzekł lekceważącym tonem.

— *Kawałki* te otaksowane zostały na dwa reńskie i centów dwadzieścia.

Nie targując się, zapłaciłem, bo jako literatowi, wstyd mi było zmniejszać wartość umysłowej pracy ludzkiej, i zabrawszy książki pod pachę, wyszedłem.

Wróciwszy do domu, nie miałem nic pilniejszego, jak rozejrzeć się w moim nabytku. Rozwiązałem sznurek, krępujący nielitościwie biedne niewolnice, tak, że aż poprzegryzał kompaturki, i zacząłem rozczytywać się w tytułach.

Miał rację pan woźny sądowy, traktując mój nabytek pogardliwem mianem śmiecia. Był on istotnie śmietnikiem książkowych rupieci. Jakiś defektowy egzemplarz powieści Kock'a w nędznym przekładzie polskim, sennik egipski, siedmioraki sposób kładzenia kabały, ucieszny poemat (!) o Kiwonie, żydowskim męczenniku, i tym podobne arcydzieła rozpoczynały poczet książek z bibljoteki ś. p. rachmistrza, niedobrze wróżąc o dalszych zasobach umysłowej jego spiżarki.

W samej rzeczy i to, com dalej przerzucał, a raczej odrzucał na ziemię, bynajmniej nie zachwycało. Straciłem już nawet nadzieję wydobycia z pośrodka tych plew literackich jakiego zdrowego ziarna, gdy wtem uderzyła moją uwagę osobliwsza książeczka, niezwykle małego formatu, oprawna w skórkę i już zdala, jak stare wino, trącąca myszką, której tytuł brzmiał w całości:

Tariffa,
to iest sposób rachowania,
przez który każdy kupuiący abo sprzedaiący
barzo snadnie znaleść może wszelkiey rzeczy summę.

W Krakowie, druk gocki, wprawdzie bez roku wydania, ale po charakterze czcionek pozwalający wnosić, że należy do XVII-go wieku. Poniżej głównego tytułu znalazłem uwagę, co do owego sposobu rachowania: „iako go używać, w przemowie do czytelnika na końcu dostateczną naukę obaczysz."

Obaczmyż więc.

Nieznany autor tej ciekawej tabliczki Pitagoresa, zajmującej w 32-ce 100 stronic numerowanych, a 16 nieliczbowych, z wielką w istocie ścisłością, jak zresztą na matematyka przystało, objaśnia sposób zastosowania swojej metody. Lecz co mnie najwięcej uderzyło, to zakończenie owej przemowy: „*Tu ia iuż kończę*—mówi autor — *a ty, czytelniku łaskawy, bądź wdzięczen pracy, która się dla twego pożytku podięła.*"

Takim to tonem i z takiem poczuciem godności osobistej przemawia do publiczności autor XVII-go wieku! Dziś czasy inne; dziś najgłośniejszy nawet pisarz musi być wdzięczny, jeśli dzieło jego wysoka szlachta i światła publiczność weźmie łaskawie do ręki, a krytyk z profesji przyzna mu półgębkiem, że jego praca da się jako tako czytać... Nie ty, czytelniku, masz być wdzięczny za pracę, która się dla twego pożytku podjęła, ale ty, biedny autorze, że cię raczono przeczytać. *Tempora mutantur*... lecz czy ta zmiana w lekceważącem traktowaniu umysłowej pracy wychodzi na korzyść piśmiennictwa, niech mi wolno będzie powątpiewać.

Nie żałowałem już zawodu, jaki mnie spotkał z powodu kupna owych książek ze strychu. Ta jedna opłaciła mi wszystko sowicie, bo wzbudziła we mnie szlachetną dumę autorską, bo podnieciła ambicję literata, bo wreszcie nasunęła mi pod pióro ten oto drobny obrazek, który tu na widok publiczny wystawiam, *a ty, czytelniku, bądź wdzięczen pracy, która się dla twego pożytku podjęła!*

Lwów. *Władysław Belza.*

DWIE MATKI.

Nad siedzącą poważnie w swem gniazdku dzierlatką
Litowała się wielce kukułka wesoła.
— Można przecież—mówiła—być najlepszą matką,
Nie niańcząc bezustanku piskląt w pocie czoła!
Niańczyć—*fi donc chère amie!* Po co się tak męczyć?
Czyż nie stokroć wygodniej sroką się wyręczyć?
Wierz mi, droga, żadna dama
Nie zajmuje się tem sama,
I dystyngowane ptaki
Przyjęły już system taki.
Twoja rola litość budzi,
Wyrzekać się świata, ludzi,
Całe życie nic nie użyć,
U siebie za niańkę służyć!
Lecz (tu wzięła się pod boki)
Od czegóżby były sroki?
Ale choć ptaszyna płocha,
Trochę serjo, żartem trocha,
Rzecz swą długo wywodziła,
Dzierlatka się nie ruszyła.

* * *

Wiatr jesienny ostatnie zmiatał liście z drzewa,
Niebo szarym całunem nad ziemią zawisło,
Już kukułka nie kuka, skowronek nie śpiewa,
I słońce od tygodnia bodaj nie zabłysło.
Lecz choć smutno na świecie, dzierlatce wesoło.
Siedzi dumna. Dorodnych czworo dzieci w koło,
Tak niedawno pisklęta, a dziś—ot, mój Boże,
Jak to wszystko porosło, jakie dzielne, hoże!

A jakie one dobre, kochane te dziatki,
Co tylko które znajdzie, wnet niesie do matki.
O! nie zazna staruszka najmniejszej niedoli,
Bo na to dziatwa wdzięczna nigdy nie pozwoli.
Wszak ona dla tej dziatwy tylko żyła w lato,
Niech więc dziś ma wygody i opiekę za to!
Gdy tak ptasząt rodzina spędza chwile razem,
Będąc szczęścia trwałego prawdziwym obrazem,
Nagle kukułka się zjawia
I tak przemawia:
— *Bon jour chèrie!* Cóż u ciebie?
Ah, jestem w wielkiej potrzebie.
Wszak nie odmówisz, kochanie?
Ot: daj mi co na śniadanie!
— Całem sercem, lecz, dla Boga,
Jak wyglądasz, moja droga?
Wynędzniała, głodna, biedna,
I w podróży sama jedna
Wśród takiej, jak dziś, zamieci?
A gdzież dzieci?
— Nie mam dzieci!
— Zmarły?
— Nie. To dramat cały,
Dość, że mi się *nieudały*!
Ni kukułki to, ni sroki!
Ta, co miała wieść ich kroki,
Zrazu niby matka... potem...
Eh, nie mówmy lepiej o tem!

. . . .

. . . .

Miałbym wielką ochotę spytać polskich matek,
Ile wśród nich kukułek, a ile dzierlatek?

Faustyn Bicz.

NA PRZEŁOMIE.

Lat kilkanaście upłynęło od wypadku, który uderzył gromem w przędziwo dawnych pojęć i pragnień i pchnął myśl naszego społeczeństwa na tory inne.

Kilkanaście lat — to prawie jednego pokolenia praca, jednego ogniwa historycznego nadzieje i rozczarowania.

Nadzieje—bo nie kaprys chwilowy był rodzicem ruchu, który się sam pozytywnym nazwał, nie przypadek odwrócił serca synów od wierzeń ojców. Zbytni, na fantazji tylko i uczuciu oparty idealizm starszych, musiał wytworzyć przesadną trzeźwość młodszych. Inaczej być nie mogło. A każdy świeży prąd, jakikolwiekby on był, spodziewa się, że wykona, czego poprzedni nie zdołał.

Rozczarowanie — bo zamilkł już śmiały głos młodości. Gdzież są dziś owi butni „reformatorzy", którym się zdawało, że „trwalsze stawiają ołtarze", gdzie owi junacy pióra, silni, straszni bezwzględnością swoją? Ustała wrzawa polemiczna, a miejsce jej zajęło zniechęcenie i pesymistyczne rozpamiętywanie doznanego zawodu.

Te nadzieje i rozczarowania odbiły się plastycznie w literaturze pięknej, która jest najwrażliwszym rodzajem piśmiennictwa. Świadomo, czy bezwiednie, wchłania w siebie beletrystyka wszystkie prawdy, dążenia i obłędy czasu, z którego wyrosła, i zabarwia niemi utwory swoje.

Z pełną wiarą pierwszego zapału budowała Eliza Orzeszkowa rodzinę i społeczeństwo przyszłości, starając się oddalić jaknajwięcej od typów i ideałów swoich poprzedników.

Nie po stronie bogdanek romantycznych stoi jej sympatja, nie miłość potężna, samowładna, druzgocząca wszelkie przeszkody lub konająca z żalu samolubnego, znalazła w niej mecenaskę, bo jej chłodny rozum przenosił po nad ten szał zmysłów, podsycany mirażami wyobraźni, uczucie spokojne, *rozsądne*.

Miłość, jako miłość, nie tryumfuje nigdy u Orzeszkowej, bo „gdzie jest szał, tam nie ma rozumu, a gdzie nie ma rozumu, tam szczęście kruche".

Zapatrywania Orzeszkowej podziela w tym względzie Michał Bałucki, zgadzający się z powieściopisarką litewską i w wielu innych razach. Jedynie Marrenowa została wierną potępionemu przez jej towarzyszów typowi kobiety, żyjącej przeważnie sercem.

Z romantyczną bogdanką znikli z powieści i kochankowie szerszego pokroju. Dla kogóż bowiem mieli kruszyć kopie, narażać życie swoje na niebezpieczeństwa, potykać się z przeszkodami? Żonę znajdzie każdy, kto posiada wymagane przez pannę i jej rodziców warunki. Uczucie „spokojne i rozsądne" nie bawi się w ofiary, w poświęcenia i t. p. dziwactwa. Radzi się ono rozumu, a gdy ten nie ma nic przeciw związkowi dozgonnemu, wtedy staje dziewczyna bez wyrzutów sumienia na ślubnym kobiercu i przysięga miłość i wierność. Przywiązanie wytwarza się w końcu zawsze między ludźmi uczciwymi, chyba, że czują do siebie wstręt nieprzezwyciężony.

Do kogóż mieli wzdychać kochankowie? Czy do żon, które z pękiem kluczy przy boku biegają cały dzień po domu w przydeptanych trzewiczkach, albo do dziewic, zabawiających gości rozmową o najświeższych „zdobyczach wiedzy"?

Trubadurowie wszelkiego rodzaju zapadli w otchłanie przeszłości, a zamiast nich wysunęli się naprzód fabuły powieściowej bohaterowie „kielni, młota i cyrkla", zwiastunowie szczęśliwszej przyszłości, jak mniemali ich twórcy.

Lekarze, mechanicy, inżenierowie, przyrodnicy, kupcy, wtargnęli gromadnie do beletrystyki i wyparli z niej: rycerzy, poetów, artystów, publicystów, mówców i kapłanów.

A żaden z tych ulubieńców Orzeszkowej, Bałuckiego i naśladowców ich nie posiada piersi na „miarę Fidjasza", żaden nie olśniewa szarego tłumu czy utalentowanej głowy blaskami, czy wielkiego serca gorejącym płomieniem. Są oni wszyscy ludźmi uczciwymi i wykształconymi, pragną wszyscy dobra i prawdy, lecz poruszają się w kółku bardzo ciasnem. „Porządni" to mężowie, materjał na wzorowych mężów, rzetelnych przemysłowców, sumiennych profesorów i urzędników.

Raz tylko jedyny uczuła Orzeszkowa potrzebę stworzenia typu podnioślejszego i odnalazła go w zapadłym kącie litewskim, między... ciemnymi żydami małego miasteczka.

I Bałuckiego Regina zawstydza chrześcjan potęgą swego uczucia i czystością zamiarów.

Tacy ludzie nie wybiegają oczywiście po za widnokręgi zwyczajne, nie płoną ogniami zapału, natchnienia, nie wznoszą wzroku w niebo. Cała ich istność zwraca się do spraw tej ziemi. Celem ich usiłowań dobrobyt, zdobyty wprawdzie na drodze uczciwej, lecz tylko dobrobyt materjalny.

Jeden tylko ideał w rozumieniu, uświęconem wiekami, unosi się nad beletrystyką postępową. Orzeszkowa pragnie wiedzy, której moc cudowną przypisuje. I dla Konopnickiej („*Credo*") jest wiedza absolutnym ideałem, początkiem i końcem wszelkiego pochodu do szczęścia.

Lecz i to światło nowszych czasów straciło blask dawniejszy. Praktyczność współczesna obniżyła lot nauki, jak stłumiła płomień uczucia, skrępowała skrzydła fantazji i zniwelowała charaktery. Prozaiczne dusze nowszych czasów—prawi jeden z bohaterów Orzeszkowej—wolą w objęciu pary przenosić się z miejsca na miejsce, w pogoni za... *wiedzą, bogactwami i użyciem.*

Więc to wiedza fabrykantów, przemysłowców, naturalistów, ekonomistów, wiedza praktyczna, goniąca za... bogactwami i życiem. Nie prawda jej celem, jeno dobrobyt. Tak pojęta praca umysłowa nie może oczywiście wydać bohaterów i męczenników nauki...

Jeszcze wyraźniej określa ten „trzeźwy" ideał Michał Bałucki, gdy mówi, że epoka dawniejsza musi „ustąpić nowej, praktycznej, szukającej ognia, co ma oświecić ludzkość w ziemi i na ziemi."

W ziemi i na ziemi szukano światła. Wierzono usilnie, że to światło „ziemskie" da ludzkości w ogóle upragnione szczęście, a narodowi naszemu po szczególe odrodzenie. Ale życie zadało kłam tym marzeniom mieszczańskim, przeniesionym do nas z liberalnej Europy, w której rządzą obecnie adwokaci i episjerzy.

„Suma szczęścia" nie pomnażała się, mimo trzeźwych poglądów.

Brutalny kapitał położył swą dłoń samolubną na wszelkiej pracy, fizycznej czy umysłowej, wyzyskując jej krwawy pot, a płacąc hojnie tylko tych, którzy go bawią, jako to: śpiewaków, aktorów, klownów cyrkowych, linoskoków i komedjantów różnych.

Nawet wiedza praktyczna zawiodła. Na stu inżenierów, mechaników, chemików, lekarzów, adwokatów, używa zaledwie kilku wygód, jakie daje dobrobyt.

A ta ubóstwiona wiedza — komuż wydarła ona z piersi sfinksa, uśmiechniętego tajemniczo a boleśnie? w kim zdławiła hydrę zwątpienia? Najwyższe zagadki zostały zagadkami, ciasne granice rozumu ludzkiego nie rozszerzyły się ani na milimetr. Nauka nagromadziła mnóstwo materjału, dużo trafnych, prawdziwych spostrzeżeń, ale... nic więcej.

Na materjalizmie oparta wiedza wzięła potomstwu prometeuszowemu wszystko, co pięknego i szlachetnego dla niego przeszłość stworzyła, zabrała mu: Boga, wiarę w życie pogrobowe, w duszy nieśmiertelność, w celowość świata, w miłosierdzie, ofiarność, poświęcenie, w serca ludzkiego czyste zamiary, a dała mu w zamian za to garść „faktów" i palące pragnienie użycia.

A u nas? Nigdy nie było u nas takiej biedy, jak obecnie po tylu praktycznościach.

Więc rozległa się skarga na nicość usiłowań ludzkich—optymizm zamienił się na absolutny pesymizm.

Zapowiedź tego zwrotu znajduje się już w nowelkach Bolesława Prusa. Jako beletrysta, nie apoteozuje Prus przemysłu i handlu, nie nazywa matematyki i przyrodoznawstwa jedynemi dźwigniami cywilizacji, nie zachwyca się żydami, nie kruszy kopij w imię tolerancji religijnej i swobody myśli. On kocha tych, o których liberalizm mieszczański zapomniał, których ci, co gonią za... życiem i użyciem i szukają światła... w ziemi i na ziemi, zaprzęgli do swego rydwanu.

Prus stoi na przełomie dwóch skrajnych odcieni liberalizmu, jego początku optymistycznego i pesymistycznego końca. W głębi jego serca drży skarga na przewrotność ludzką, ale wrodzona dobroć wstrzymuje go od wygłoszenia stanowczego wyroku. Uczynił to dopiero Adolf Dygasiński.

Orzeszkowa i Bałucki wierzą jeszcze w uczciwość człowieka i w nagrodę dla tych, którzy na nią zarobili. A „Mróz" Dygasińskiego ginie marnie, chociaż nie zakładał rąk po za siebie, lecz potniał na równi z wołami swojemi.

Tylko fantaści marzą o jakichś ideałach, celach, dążeniach. Złudzenie to, jak wszystko. Tylko śmieszni marzą o potędze rozumu ludzkiego, o posłannictwie wiedzy. Możemy się tylko przyjrzeć światu i sobie samym, w tym świecie umieszczonym, bo najdalszej przeszłości i najodleglejszej przyszłości nie zdołamy nigdy zrozumieć.

Oto jest odpowiedź pozytywisty na wrzawę „reformatorów" ostatniej epoki. Optymizm Orzeszkowej i Bałuckiego wydał, dojrzawszy, absolutny pesymizm Dygasińskiego.

Wszystkie ideały pozytywne zbladły w przeciągu lat kilkunastu, wszystkie typy, które miały być wzorami dla dorastającego pokolenia, zmalały niezmiernie szybko. Mężowie wiedzy praktycznej ustąpili miejsca proletarjatowi i ludowi, szczęśliwi—nieszczęśliwym. Schodzono coraz niżej po szczeblach społecznych, aż w końcu ludzi zastąpiły zwierzęta.

I stoimy znów na przełomie. Nowe typy muszą wejść do beletrystyki. Prawdopodobnie wrócimy do charakterów szerszych i podnioślejszych, które mogłyby być wzorami dla dorastającego pokolenia.

(Luźne wyjątki ze studjum p. n. „Typy i ideały pozytywnej beletrystyki polskiej".)

Teodor Jeske-Choiński.

ZAGADKA GWIAZD.

(Urywek z Pieśni Wotywnej: „Na cześć Wiary".)

. . . .

Kiedy Noc dolinowe uciszy poziomy
I nakręci sprężyny grające w eterze,
Zadumani badacze wychodzą na wieże,
Patrzą przez wieki całe w godzinnik ruchomy,
Liczbami zazębiają srebrne kołowroty,
Garście słońc, jakby piasek przesypują złoty,
I truchleją od grozy, i więdną z tęsknoty.

Napróżno Myśl człowiecza, piórkami gołębia
Chce falujące świateł przemierzyć potopy,
Nie znajdzie brzegu!—Próżno ręką Penelopy,
Supeł jednej mgławicy na nić porozkłębia,
Już sto innych się plącze!—Próżno teleskopy
Kryształami nabija—niebo się pogłębia,
Wystrzał zawsze za bliski!

— Płonna robotnica
Czuje, że w tych ułamkach jest jakiś rysunek,
Dostrzega, że w tych wirach jest jakiś kierunek,
Cóż kiedy sumy nie zna? Kształtu nie pochwyca?
Ciągle biegnie i pyta: „Czy tutaj granica?"
Nie! Już padła—ostatnie wydała już tchnienie—
A liczby za liczbami znów pędzą szalenie,
I konająca przestrzeń znów płodzi przestrzenie.

Lecz niech Wiara przeleci nad mętną pomroką
I zapali trójkątne Opatrzności oko,
A czego Myśl przez wieki nie objęła, ona
W błyskawicznem widzeniu tym znakiem dokona.

Postawi go na niebie pierwszem i dziesiątem,
I setnem i tysiącznem, i nieutrudzona
Będzie póty stawiała trójkąt za trójkątem,
Aż z łamanych tych kresek przedziwnie się złoży
Jeden zarys wszech-rzeczy, na nim—podpis boży.

Ona więcej potrafi: jej wielkie ramiona
Tak daleko sięgają, że gdy je roztworzy,
A potem wzniesie ręce związane miłośnie,
Paralaksa, modlitwy na wskróś poprzestrzela
Wszystkie kręgi stworzenia, i dłońmi dorośnie
Do słońca nad słońcami, tronu Stworzyciela.

Wiaro! Im człowiek wyższy w naukę i lata,
Zawstydzony, tem niżej pochyla kolano.
Ty jedna rozwiązujesz, nie „tutaj” związaną,
Zagadkę świata.

Deotyma.

Humoreska przez łzy.

„Żenimy się zwykle lekkomyślnie; ale potem, mając żonę i dzieci, żyjemy już poważnie, może nawet za poważnie” — napisał był raz Aleksander Drzewiecki, literat warszawski, w artykule „O stosunku rodziny do społeczeństwa”.

Rzeczywiście, ten człowiek mógł to powiedzieć o samym sobie, bo surowa powaga ciężkiej pracy stanowiła znamię jego życia.

Żona Drzewieckiego, pani Helena, wyrzucała mu nieraz w cztery oczy:

— Jak też ty mogłeś, Olesiu, oprzeć życie rodziny na kruchej i wątłej podstawie zawodu literackiego?

On uśmiechał się wtedy dobrodusznie i mówił:

— Moja Helciu, przecież to jest praca taka dobra, jak każda inna, a w dodatku jestem niezależny.

Jednak literat w głębi duszy czuł, że praca jego jest bardzo ciężka, że zależy ona od kaprysu czytającej publiczności, od samowoli krytyków, redaktorów i wydawców, że wreszcie niezawsze można tworzyć pod brzemieniem trosk różnej natury. To też życie Drzewieckiego wcale nie było wesołe.

Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby nie dzieci, ten drobiazg, który się ciągle sypał, żył, chorował, umierał... Pogrzebał jedno pan Aleksander, a wnet przybywało drugie. Takie przypadłości rodzinne łatwo jest opisywać lub opowiadać, ale strasznie ciężko brać w nich udział.

W swoim maleńkim pokoiku z oknami na podwórko, wysiadywał Drzewiecki nieraz późno w noc pisząc lub czytając, a w sąsiednim pokoju przez drzwi słyszał oddechy pięciorga dzieci, które z matką spały tam w kołyskach, łóżeczkach, na sofach. Nieraz porywał się i biegł ze świecą, bo mu się zdawało, że które z dzieci niedobry ma kaszel. Obwiódł je wszystkie wzrokiem, miał czasem chęć pocałować, ale budzić nie chciał.

Mamy właśnie dzień 1-szy grudnia. Aleksander zaraz rano wyszedł na miasto, ażeby pozbierać swoje autorskie honorarja, ponieważ całego majątku miał w kieszeni półtora rubla, a tu spoglądało na niego z przyszłości trzydzieści jeden dni zimnych, ponurych, wśród których widział w dodatku dwa uroczyste święta, obdarzające dziatwę przywilejem gwiazdkowych podarków, choinki. To przesąd! Ale któż się zrzeknie przesądu, dającego szczęście dzieciom?... W takim razie przecież lepiej przesąd usprawiedliwić. Na mieście doznał nasz literat zawodu; spodziewał się przynieść do domu sześćdziesiąt rubli, a przyniósł tylko piętnaście, bo w jednem miejscu potrącono mu starą zaliczkę, przed rokiem jeszcze wziętą na pogrzeb dziecka, w drugiem poprostu nie zapłacono, prosząc o cierpliwość, a w trzeciem obliczał sobie dwadzieścia pięć rubli, tymczasem rachunek wykazał piętnaście.

W dodatku, powracając z tymi pieniędzmi do domu, spotkał znajomego lekarza, który go nadzwyczajnie przeraził, opowiadając, że w mieście panują straszne choroby dzieci: błonica, szkarlatyna, ospa. Zgnębiony takiemi wrażeniami, Drzewiecki nie wstąpił nawet nigdzie na kawę lub kieliszek wódki. Przybywszy do domu, zasiadł natychmiast do roboty, ale zaledwie to uczynił, kiedy przy stoliku jego pojawiła się żona.

— Mężuniu—rzekła.—Czy ty wiesz, że dzisiaj pierwszy?

— A jakże, wiem!—odparł mąż, nie tracąc miny.—Masz tu tymczasem piętnaście rubli.

Żona przyjęła pieniądze, lecz coś nad niemi medytowała.

— Pewnie za mało?—zapytał Drzewiecki.

— Jeszcze się pytasz? Chyba nie wiesz, czego nam w domu brakuje? Węgli nie ma, dzieci trzeba oporządzić, święta nadchodzą, zapasów żadnych nie zrobiłam na zimę... pranie!

— Prawda, prawda... Na śmierć zapomniałem, że to zima! Moja droga, zostaw to już mnie, jeszcze parę dni, postaram się... będzie wszystko.

— Pamiętaj, Olesiu, że i ty nie masz w czem chodzić!

— Ej, ja... Co tam ja, o mnie już nie myślcie!

— Alez, człowieku, żebyś się ty zobaczył, jak ty wyglądasz! Ostatni kelner jeszcze się lepiej przedstawia. Czapczyna, Boże zlituj się, jak u mularza na bezrobociu, a to zrudziałe i wytarte palto jest wprost niemożliwe. Przecież ty się pokazać nigdzie nie możesz, brakuje ci butów, tużurka, nie mówiąc już o bieliznie...

— Cóż znowu? Ludzie, z którymi obcuję, nie zważają na takie drobiazgi... Ktoby też patrzył na mnie, jak jestem ubrany?...

— No, no! Nie zważają... Juści tobie nie przypiszą winy, ale zaraz powiedzą: Jaką ten człowiek musi mieć żonę, skoro ona znosi jego niechlujstwo!...

— Moja droga, nie przesadzajże! Jakże też można wszędzie upatrywać złośliwość? Gdyby tak było, to żyć nie warto.

— Widzisz, jaki ty jesteś egoista, próżny człowiek! Ponieważ wiesz, że cię szanują za twe prace, więc—naturalnie—nie stracisz na szacunku z powodu braku guzika u surduta. Ale o mnie czy oni dbają? Zaraz obmówią, i ciebie to nic a nic nie obchodzi...

Wyraz „egoista” w ustach żony działał na Aleksandra dotkliwie. Juścić on czuł w sobie okruch egoizmu, bo któż go nie czuje? Ale kiedy ten okruch miłości własnej wyrzuca człowiekowi żona, przyjaciel, wydaje on się wtedy ciemną plamą na charakterze. Drzewiecki czuł, że istotnie jest jednym z największych egoistów na świecie. W uznaniu tego ciężkiego grzechu nie wiedział sam, co robi, wytrząsnął ostanie pół rubla i rzekł:

— Macie wszystko, co posiadam, dajcie mi święty pokój, bo mam robotę bardzo pilną...

— Tobie się zdaje, że za wszystko można pieniędzmi zapłacić!—odrzekła z przekąsem żona—zabrała pieniądze i wyszła.

— Egoista! egoista!—huczało w uszach Aleksandrowi.—Helcia ma rację; nikt w duszy człowieka nie umie tak czytać, jak żona...

Rozłożył książki i pracował.

Zaledwie żona wyszła, kiedy pod zamkniętemi drzwiami dały się słyszeć krzyki, śmiechy i dobijania:

— Tatku, otwórz prędko!... To ja, Jadzia i Wacio!... Słyszysz, tatku?

Wstał Aleksander od książki, a zaledwie drzwi otwarł, kiedy hałaśliwie, z tupaniem, wtargnęło do niego dwoje milutkich dzieci; ta para malców z blond włoskami, niebieskiemi oczyma, rzuciła się na ojca, szarpiąc go za ręce. Dziewczynka wołała:

— Toś ty taki tatuś! Nie powiedziałeś Jadzi dzień dobry?... A pięknie, grzecznie!

Chłopczyk znowu, nie mający trzech lat jeszcze, roziskrzonemi oczkami wpatrując się w ojca, wykrzykiwał:

— Tatuś mię dziś nie pohuśtał! Tatuś nie dobli!...

Drzewiecki się nachylił, wziął wpół dziewczynkę, podniósł do ust swych i wycałował; potem zaczął huśtać uszczęśliwionego chłopczyka. Gdy to zrobił, rzekł:

— A teraz się wynoście, nie przeszkadzajcie ojcu, muszę na chleb pracować.

— Ja nie lubię chleba, ja lubię ciastka i pierniki—mówiła Jadzia.

— Niech mi tatko pokaże książkę z obrazkami, to odejdę!—napierał się Wacio.

Literat oddał dzieciom na pastwę jakieś ilustrowane dzieło i nareszcie pozbył się natrętów; ale kiedy dzieci odchodziły, widział, że mają dziurawe pończoszki i trzewiczki w bardzo złym stanie, westchnął przeto. Siadł i pracował.

Zaledwie jednak Aleksander rozpoczął swą pracę, kiedy ktoś do drzwi zadzwonił; na odgłos dzwonka dzieci rzuciły się hurmem ku drzwiom i niedługo literat ze swego pokoju posłyszał:

— Tatku! tatku!... List do tatki!

Rzeczywiście, Drzewiecki otrzymał list od jednego z wydawców, i to list bardzo uprzejmy, a tej treści:

„Ceniąc pański talent, upraszamy jaknajuprzejmiej o napisanie *humoreski* do gwiazdkowego numeru naszego pisma. Nie będziemy się spierali o wynagrodzenie, które zaraz po wręczeniu rękopisu może być wypłacone.”

To zaproszenie było bardzo na rękę Drzewieckiemu. Przecież miał sposobność zarobić około trzydziestu rubli, jeżeliby mu się udało w parę dni napisać humoreskę. Odpisał więc wydawcy list z podziękowaniem i zapewnieniem, iż się postara wywiązać z zadania.

Kiedyś tam, w młodych latach, rodzaj humorystyczny nie był obcy Aleksandrowi, sądził przeto, że i obecnie pióro nie odmówi mu posłuszeństwa. Zabrał się do roboty; rzecz dziwna, nie rozumiał, dlaczego do głowy nie przychodził żaden wesoły pomysł. Pamięcią przerzucał karty własnego życia, w którem przecież nieraz oko w oko spotykał się z istotnie uciesznemi zdarzeniami. Jednakże nie umiał sobie tego wszystkiego ani dobrze uobecnić, ani nie znajdował formy dla owej treści. Już było wpół do czwartej, a on bił się z myślami; chciał się pokonać, być wesołym i nie mógł. Pragnął zadrwić z samego siebie, bodaj z czapki, z paltota wyszarzanego, nie, nie mógł...

Nadeszła pora obiadu, na który go zwykle wzywała Jadzia z Waciem; ale dzisiaj tylko sam Wacio do drzwi zapukał, wołając:

— Plosę tatusia na obiad!

Ocknął się Drzewiecki i mimowoli zapytał głośno:

— A gdzież jest Jadzia?

— Jadzię główka boli...—odparł chłopczyk.

Podczas obiadu pani Helena zauważyła, że Jadwinia czegoś się ciągle pokłada, ziewa, a teraz oto na główkę narzeka. Aleksander myślał o humoresce, o zarobieniu blisko trzydziestu rubli, a jednocześnie przypomniał sobie to, co mu w mieście mówił lekarz o grasujących epidemjach na dzieci. Ale milczał, bo nie chciał przestraszać żony. Zaraz po obiedzie obejrzał Jadzię, zaglądał jej w gardło, w oczka, lecz nie znalazł nic trwożnego, tylko główka była nieco rozpalona. Poszedł do swego pokoju pisać humoreskę.

Zapalił lampę, zamyślił się, ale ani jedna wesoła myśl się nie znalazła. Przychodziły mu do głowy wykończone obrazy życia -- lecz wszystkie nie humorystyczne. Chciał ośmieszyć człowieka, który za zadanie życia obrał sobie pozyskanie sławy i szczególnie mu wyszedł ten człowiek. Bo oto w drodze do sławy bohatera tego spotkały dzieci wyziębnięte i w podartych trzewikach, żona zapracowana od rana do wieczora, obłudni przyjaciele, głupi doradcy, lichwiarze... Jakże to wyśmiać, kiedy się kolce takie nosi we własnej duszy?... „Nie, tego nie zrobię”—pomyślał, a w duszy swej poczuł jakąś gorycz, smutek głęboki.

Był już wieczór, a Drzewiecki pokreślił cały arkusz papieru i nie zrobił kompozycji. Wezwano go na herbatę. Zapytał, jak się ma Jadwinia.

— Jadwini jest lepiej, ale Wacio znowu poszedł do łóżka—odrzekła żona.

Aleksander obejrzał synka i przy blasku świecy spostrzegł, że dziecko ma oczka zaczerwienione. Myślał o epidemjach na dzieci i przypomniał sobie, że synek, który mu w roku zeszłym umarł, miał w początkach choroby tak samo zaczerwienione oczka. Aż zadrżał na wspomnienie, że znowu może się pojawić w domu choroba, kto wie, czy nie—śmierć. Wspomniał, że brakuje pieniędzy, a myśl o humoresce mignęła przed nim, jakby złośliwy szatan.

Znowu poszedł do swego pokoiku i myślał, ale ani jedna myśl humorystyczna nie postała w jego głowie.

— Otóż straciłem prawie cały dzień czasu i widzę, że nie będę mógł zarobić tych blisko trzydziestu rubli — mówił sam do siebie, udając się na spoczynek.

Zasnął, a rozstrojony stan duchowy dał mu sny gorączkowe, dziwne; śpiące w przyległym pokoju chore dzieci, miały marzenia daleko spokojniejsze. On wstawał, i jak lunatyk, odwiedzał Jadzię i Wacia. Puls dzieci nie przedstawiał żadnych zmian szczególnych.

Rano zdawało mu się, że śnił znakomitą humoreskę, i że ma cały jej plan w głowie ułożony.

— Napiszę ją, napiszę — myślał -- jak tylko lekarz mnie uspokoi co do zdrowia dzieci. Jestem przekonany, że mi się wybornie uda...

Sprowadził lekarza, który obejrzał przy sposobności wszystkie dzieci, i w te słowa mówił:

— U Jadwisi i Wacia nie znajduję nic niebezpiecznego: lekkie kataralne zapalenie gardła i nic więcej. Ale djeta wszystkich dzieci wymaga baczności; przedewszystkiem trzeba im koniecznie sprawić wełniane kaftaniki, rano dawać mleko prosto od krowy, a w południe po pół kieliszka starego maślacza i befsztyki. Organizmy ich wymagają koniecznie wzmocnienia, więc potrzebują sutego odżywiania oraz dostatecznego ruchu.

Lekarz odszedł. Drzewiecki wziął od żony dane jej wczoraj piętnaście rubli i, kupił za nie pięć wełnianych kaftaników, oraz pół butelki maślacza.

Jakoby uspokojony już, zasiadł do pisania humoreski. W kilka godzin potem zerwał się ze stołka, rzucił o ziemię pióro, i zawołał:

— Nie, to jest niepodobieństwo! Barbarzyństwo! Humoreski napisać nie mogę!...

Adolf Dygasiński.

MOJA CHOINKA.

Jasno i gwarno,—gdzie spojrzeć w koło—
Świat taki piękny.—wszędzie wesoło!
Światła się palą—ludzie się roją,
Każdy dziś stroi choinkę swoją —
A na choinkach światełka gorzą,
Wszyscy obchodzą *Wigilję Bożą!*
Wszystkim nadzieja światełkiem płonie
Wszystkim wesoło! w rodzinnem gronie!

Więc i ja świeczki moje dobędę,
Ubiorę drzewko do stołu siędę
I wraz z innymi marząc wesoło
Światełka złote zapalę w koło,
Aby na drzewku życia się tliły,
I na choince mojej świeciły,—
Aby świeciły—łzą i marzeniem
Na schyłku życia—pod krzyża cieniem!..
Niechaj tam Boga z innemi chwalą,
Pokąd wraz z życiem się nie dopalą!

Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström.

TEATR KRAKOWSKI.

Kochany panie! *)

Cały pogrążony w pudłach i pudełkach z kartkami tytułów, przykuty do korekty dat i nazwisk, tracę umiejętność formowania zdań, wybiegających po za ramy bibljografji. Czasem zdarza się odetchnąć, gdy, tracąc z myśli scenę życia, przeniosę wzrok na scenę udania. Możnaby o niej i o jej działaczach wiele powiedzieć, ale na to trzeba wytchnienia, spokoju, przerwania ciągnącej się bez przerwy nici bibljograficznej, nawiązanej przed lat dziesiątkami i snutej przez lat dziesiątek.

Gdyby to jeszcze na pokrzepienie jałowej niwy literackiej mojej chciała z firmamentu artystycznego jaka gwiazda spaść, opisałbym drogę jej przebiegu, bo udaję, że znam się nieco na takiej astronomji, ale, niestety! na krakowskim horyzoncie gwiazdy zdrowemi są jak ryby, a zamiast spadać, wschodzą nowe ze światłem jasnem, błyszczącem i nie przelotnem.

Kraków ma szczęście pod tym względem, że hoduje rośliny artystyczne na to, aby mu je inne miasta zabierały. U nas wyrasta improwizatorstwo sceniczne, które ma tę jedną dodatnią stronę, że nazwyczaja do rzutności akcji w najrozmaitszych sytuacjach. Artysta nie może ani zasypiać, ani odwlekać, ani powtarzać pacierza codziennego.

Każde sobotnie widowisko w Krakowie jest schadzką wszystkich gości teatralnych, a zarazem jest pierwszą właściwą próbą jeneralną aktorów, dokonywaną wobec publiczności. Ci grają z fantazją, tamci słuchają w wybornem usposobieniu. I choć jedno jest niedograne, drugie niedomówione należycie, wyrównywa braki wyrozumiałość z jednej strony, a zapał z drugiej. Tak więc bez zachodów wielkich, bez prób (odbywanych gdzieindziej po pańszczyznianemu) wielokrotnych, mijają sztuki jak w kalejdoskopie, a młodzi adepci ani wiedzą, jak się wyrabiają. Gra nie może być niedbałą, bo wysoce wykształcona publiczność czułą jest na wszelkie zaniedbanie, gdy pobłażliwą nawet na porwanie się ponad siły.

Otóż to, co stanowi istotę szkoły krakowskiej.

Jakoż artyści, skazani na ciągłe odrabianie nowych charakterów, nie umieją *mieścić się* z rolą, lecz ją tną krzyżową sztuką. Niebezpieczna to gra, łamie mierności, ale za to talenta istotne rychło wznosi na skrzydłach natchnienia. Każdy artysta ma tu sposobność wydobycia się odrazu na światło, starsi nie zasłaniają młodszych, a reżyserja pragnie, aby wszyscy dobremi rolami bywali obdzielani.

Jeżeli za Chełchowskiego wyrósł starszy Chomiński, młodziuchna Aniela Pique i inni, to zawdzięczają powodzenie swe nie samemu surowemu rygorowi, ale więcej jeszcze repertuarowi. Nie umiał wyrabiać aktorów Pfeifer, bo sam (z wyjątkiem Montricharda w „Oszustce paryskiej" i reżysera w „Adrjannie", które grał nad wyraz dobrze) był aktorem dawnej szkoły deklamatorskiej, jednakże za Pfeifra wyłoniło się kilka talentów, które później słuszną pozyskały sławę. Jeszcze w r. 1861-ym zwróciłem był uwagę na Hoffmanównę i Bendę (*Tyg. ilustr.*), gdy zjechali do Lwowa gościną z całą Pfeifra kompanją. Trupa krakowska była szczupłą, ubogą wobec lwowskiej, zarządzanej przez Nowakowskiego i Smochowskiego, a jednak w niej wyrabiali się artyści, bo im bez zazdrości dawano sposobność wyrabiania się obok artystów rutynowanych. Wyrobieni dopiero, opuszczają macierz swoją, aby wygodnie dosługiwać się w stolicy chleba emerytalnego—mówię wygodnie, bo tam układa się repertuar dla artystów ulubieńców, ale nie dla publiczności, ztąd tak tam trudno, by młodzież (na której głównie przyszłość sceny polega) zdołała zdać na tamtejszej scenie i maturę i doktorat artyzmu.

Pisałem o tem kiedyś szeroko w *Tygodniku ilustrowanym* („Słów kilka o repertuarze"), gdy wypadło wziąć w obronę scenę krakowską i zapowiedzianą w Warszawie Modrzejewską, a którą krytyka warszawska na niesłyszane nazwała jednooką między ślepymi. Stosunki nie zmieniły się od tego czasu, a scena krakowska wydaje co kilka lat tych, którzy na warszawskiej stają na pewnem stanowisku.

Być może, iż patrzę przez szkła różowe. Członek komitetu teatralnego, mając lożę do użytku, mogę mimowolnie powodować się względnością. Moralnie mógłbym się uważać za przekupionego na korzyść entreprzy teraźniejszej. Lecz przekupstwa dokonała nie entrepryza, lecz wydział krajowy, zatem maleje moja wina. Wobec tego, wolno mi śmielej twierdzić, iż pan Glikson (mogący się przepolszczyć Synem Szczęścia, bo publiczność uczęszcza gromadnie do teatru) czyni zadosyć wymaganiom, i słusznie uchwaliliśmy, aby polecić go wydziałowi krajowemu, celem wypłaty półrocznych subwencyj.

Co się dało zrobić, to uczynił. Widowiska rozpoczął od 16 go sierpnia, a do końca listopada dał 88 przedstawień, tj. w sierpniu 12, we wrześniu 31, w październiku 21, w listopadzie 24.

W liczbie 88-iu przedstawień dał utworów scenicznych 56.

Natura zdolności artystów, a zarazem zwolennictwo publiczności sprawiają, iż entrepryza nie sili się na tragedje. Grano wprawdzie „Otella", „Leara", „Hamleta", „Romea", ale tylko dla gościnnych występów Ładnowskiego. W gronie naszem, w męskim personelu, jeden Rygier jest artystą usposobionym do tragedji, reszta zapatruje się na Lubicza.

Personel uległ znacznej zmianie. Zresztą w teatrze wszystko po dawnemu, z wyjątkiem, że już między aktami nie przesuwa się z loży do loży jedna i taż sama jasnowłosa postać, witająca znajomych, szeptająca z artystkami, bo za tę włóczęgę pokutuje teraz za stolikiem redakcyjnym w Warszawie...

Zawsze życzliwy
Karol Estreicher.

*) Szanowny autor „Teatrów w Polsce" i „Bibljografji polskiej", w odpowiedzi na zaproszenie nasze, nadesłał swe uwagi o teatrze krakowskim w formie listu, do sekretarza naszej redakcji pisanego. (*Przyp. red.*)

OSZCZĘDNA.

HUMORESKA.

Pani Konstancja, zwana w małżeńskiem narzeczu „Kocią", skradała się cichutko na paluszkach do swego męża i pana, który, ze względu na „Gwiazdkę", z niezwykłą gorliwością odrabiał w domu zaległości biurowe.

Szła tak lekko, tak ostrożnie, że ani posadzka nie skrzypnęła, ani pantofelek nie stuknął, zdradzał ją tylko szelestem biały szlafroczek, mocno nakrochmalony i suto przybrany haftami, falbankami, pliskami, zakładkami i rurkami, jak przystało na domowy negliż wyprawowy, specjalnie na miodowe miesiące przygotowany.

Błękitne oczki Koci błyszczały, twarzyczka była zarumieniona, usta otworzył rozkoszny uśmiech. Podobną była w tej chwili do prawdziwej kotki, która się składa do skoku, wiedząc naprzód, że upatrzona zdobycz jej nie minie.

Pan mąż nie słyszał tego ponętnego szelestu, tego poematu bez słów, który, jak wiadomo, ma tyle odcieni, ile jest sposobów rurkowania, plisowania, podpinania, etc., etc... Pan mąż pogrążył się po same uszy w zaległościach i marzeniach o gratyfikacji.

— Kaziu!—rozległ się szept pieszczotliwy, a cichy, jak brzęczenie muszki.

— Co, duszko? Zkąd ty się tu wzięłaś?—zapytał Kazio, odwracając się.

— Kazieńku!—powtórzyła znowu pani, a w głosie jej było jeszcze więcej czułości i pieszczoty.

— Cóż takiego, moja Kociu?—dopytywał pan mąż—i, odłożywszy pióro, wziął żonę za obie rączki.

— Żebyś ty wiedział, mój Kazieńku, jaka ja byłam dziecinna! Strach, jaka dziecinna... aż mi wstyd!

Przy tem niespodzianem wyznaniu Kocia znalazła się nagle na kolanach męża i twarz z wielkiego wstydu zakryła rękami.

— Co ty wymyślasz, aniołku, bój się Boga!—zaprotestował pan Kazimierz.

— Ja nie miałam pojęcia o tem, że ty tak pracujesz... Myślałam, że chodzisz do biura tak sobie, dla stanowiska... Biedactwo moje!

Kocia, mówiąc to, patrzyła mężowi w oczy z rozrzewnieniem.

Pan Kazimierz uśmiechnął się, zadowolony niezmiernie z tej zmiany poglądów.

— Widzisz, jak cię kocham, ja myślałam, że to wszystko dlatego, że musi być, bo cóżbyśmy robili, gdyby nie było... Prawda, jakie ze mnie dziecko?

Kocia przytuliła się do męża, śmiejąc się szczerym, dziecinnym śmiechem i pocałowała go w czoło.

— Oj, dziecko! dziecko!

— Słuchaj, Kaziu!—zaczęła raptem energicznie, jak gdyby w tej chwili powzięła postanowienie—zrób mi jedną satysfakcję... Zrobisz?

— O cóż ci chodzi, aniołku?

— Powiedz najprzód, że zrobisz!...

— No zrobię, zrobię, jak cię kocham!—zapewnił pan Kazimierz.

— Proszę ciebie—rzekła teraz poważnie i stanowczo—jeżeli mnie kochasz, to mi nic nie kupuj na gwiazdkę, ale to nic a nic! Ja nie chcę, żebyś ty ślęczał po nocach i wydawał pieniądze na zbytki...

— Ależ, moja dziecino droga...—zaczął pan Kazimierz, z zachwytem patrząc na żonę—to dla mnie rzeczywiście wielka przyjemność...

— Żadnego „ale"!— przerwała Kicia-Muszka, zasłaniając mu usta drobną rączką.—Jeżeli mnie kochasz, to nic nie kupisz... Nie chcę, nie chcę, i nie chcę!... No, dajesz słowo?

— Daję... daję...—mruczał małżonek niewyraźnie, i, korzystając ze sposobności, całował różowe paluszki, które mu usta zakrywały.

— Tyle i bez tego mamy wydatków—narzekała—ty i tak zapracowywa się... zdrowia swego nie szanujesz! Ot, widzisz, trzeba rachunek zapłacić w magazynie...

— Jakiż to rachunek?—zagadnął pan Kazimierz, zdziwiony tą wiadomością.

— Wczoraj przysłali—odpowiedziała Kocia i rzuciła na stół zwinięty papierek, a potem objęła męża za szyję i przytuliła się znowu, jak ptaszyna szukająca opieki...

Pan Kazimierz z trudnością wyciągnął rękę, wziął zagadkowy świstek i czytał:

Dolman zimowy, plusz *marron*	. . rs.	80
Suknia *Visite, bleu gendarme*	. . „	74
	Razem rs.	154.

— Cóż to jest?—spytał, przeczytawszy.

— Widzisz, mój złoty, po co robić niepotrzebne wydatki, lepiej ważniejsze rzeczy pospychać... tłómaczyła Kocia przekonywająco.

— Ależ naturalnie, naturalnie...—odparł Kazio, dwuznacznie kręcąc głową.

I zabrał się do przerwanej roboty.

Es—em—er.

W KAMIENICY „POD OKRĘTEM".

(FRAGMENT).

I. A. D. milesimo sexagentesimo...

W kamienicy „pod Okrętem"
Mieszka imćpan Pieter Rzepa,
Honoraeus et famatus,
Chociaż z miny: chłop od cepa.

Na twarz spada mu czupryna
Przystrzyżona z mazowiecka;
Delja na nim dziwną modą:
Pół-hiszpańska, pół-niemiecka.

Chociaż nie jest bakałarzem,
Zna się z greką i łaciną;
Wąs ma szwedzki, brodę włoską,
A węgierskie pija wino.

Na ratuszu Pieter siada,
Kiedy sądzą winowajcę;
Jest ławnikiem, lecz niedługo
Wliczon będzie między rajce.

W starej Farze błyszczy świecznik
Jego sumptem zakupiony;
Nabył go aż w Norymberdze,
Jeżdżąc z młodu w tamte strony.

Za to w święta uroczyste,
Wśród kadzideł wonnych dymu,
Krocząc między najpierwszymi,
Trzyma kij od baldachimu...

Pieter w życiu nie dotykał
Ani szabli, ani sochy,
Służył tylko Merkuremu
I miał z winem wielkie lochy.

Ztamtąd czerpał naród wszystek
Muszkatele i rywoły,
Tokaj, seki, alikanty,
Petercyment i pinioły.

Imćpan Rzepa przez pół wieku
Jeździł lądem, pływał morzem,
I do Polski zwoził wszystko,
Czem weselić ducha możem...

Więc rycerstwo, więc mieszczanie,
Więc kościelni dostojnicy,
Sam król nawet z szumnym dworem
Do Piotrowej szli piwnicy.

Boski nektar z grubych beczek
Lał się w gardła, z gardeł w brzuchy,
Budząc miłość, trefność, wigor
I rycerskiej krwi wybuchy.

Wysychały wielkie beczki,
Lud opróżniał je do czysta,
Lecz grubiała za to skrzynia
Okowana i zamczysta...

W cudzym lochu pod Ratuszem
Już jej wkrótce było ciasno—
Więc rzekł Pieter, w łeb się drapiąc:
„Trza postawić budę własną”...

I stanęła kamienica
Wązka, długa jak Don-Kichot,
Niby krucha, a krzepciejsza
Od dzisiejszych strojnych lichot.

Po nad bramą trefnym kształtem
Okręt z głazu wyciął snycerz
Na znak, że dom wzniósł merkator,
Nie zaś rolnik, ksiądz lub rycerz.

A Pietrowi wspominało
Symboliczne to wycięcie,
Że do niego i fortuna
Przypłynęła—na okręcie.

Stary winiarz czasem marzy,
(Nie wzbronione to nikomu)
Że prozapja *Rzepae gentis*
Wyjść ma właśnie z tego domu.

Przy dukatów złudnym blasku
Osobliwe rzeczy roi:
Widzi córkę w złotej mitrze,
Widzi syna w złotej zbroi...

A gdy ducha rozkołysze,
Jeszcze dalej w przyszłość leci
I przed samym jego wzrokiem
Stają wnuki—wnuków dzieci...

Tłum potomstwa go otacza,
Rzepa w Rzepę setne chłopy,
Przy nich dziewki urodziwe,
Splendor całej Europy.

Wodze, sędzie, senatory,
Strojnym pocztem dumnie suną;
Tu lśni biret kardynalski,
Owdzie płonie „złote runo”.

Obok mężów białogłowy
W perłach, piórach, aksamicie;
Niema takich barw wirydarz
W najpiękniejszym swym rozkwicie!

Pieter śmieje się i płacze,
Pierś mu szczęściem dyszy... Nagle
Spływa okręt z ponad bramy
I rozwija wszystkie żagle.

„Hej! na pokład!—sternik woła,—
Do mnie męże i niewiasty!”
I sadowi się tłum cały
Wyzłocony, ogoniasty...

Nad załogą z wyżyn masztu
Wiewa flaga okazała,
A na fladze herb nad herby:
W czarnem polu rzepa biała!

Wpłynął okręt na błękity,
Srebrne chmurki piersią porze,
Dookoła na multankach
Aniołeczki grają boże.

Brzmi muzyka i śpiewanie,
Echo płynie, jak po stepie,
A wśród wrzawy słychać tylko:
„Rzepa... Rzepy... Rzepą... Rzepie”...

. . . .

Wiktor Gomulicki.

CO GO OCALIŁO?

HUMORESKA.

— Tak, tak, łaskawa pani—rzekł pan Tomasz, podając mi koszyk z ciastem—każdy w życiu ma swoją przełomową chwilę.

— To prawda—przytaknęłam panu Tomaszowi, biorąc kawałek piaskowej babki, ulubionego mi specjału. Siedzieliśmy właśnie przy wieczornej herbacie, a dodać muszę, że działo się to na wsi, w domu pana Tomasza, gdzie, jako dawna koleżanka jego żony, od dni kilku bawiłam w gościnie... Boże! jak ci ludzie mnie karmili. Do dziś czuję w ustach smak chrupkich, smażonych w maśle kurcząt i łykam ślinkę na wspomnienie delikatnych ponczowych galaretek, jakie kochana Zosia przyrządzała mi własnoręcznie. Ale to do rzeczy nie należy.

Do rzeczy należy tylko tyle, że siedzieliśmy przy stole: państwo Tomaszowie, ksiądz proboszcz, dwie dziewczynki z boną i ja; oraz, że pan Tomasz, czterdziestodwuletni mąż mojej koleżanki (o kilkanaście lat od niego młodszej), uważał za stosowne bawić mnie ściśle literacką rozmową. Napróżno wymawiałam się od tego zaszczytu, uprzejmy gospodarz sądził, iż nie potrafi lepiej wywiązać się ze swojej roli, jak zasięgając mego zdania o koryfeuszach wszystkich europejskich literatur, lub podnosząc różne psychologiczne subtelności i filozoficzne tezy w rodzaju ostatniego twierdzenia.

— Tak—powtórzył z naciskiem—wszyscy, jak tu jesteśmy, mieliśmy naszą przełomową chwilę: i pani, i ksiądz proboszcz, i moja Zosia, i ja. To byłoby na serjo zajmujące posiedzenie, gdybyśmy sobie wzajemnie opowiedzieli te epizody. Jak pani sądzi?

Propozycja pana Tomasza tak mnie przestraszyła, że zakrztusiłam się babką; on zaś, biorąc ten objaw za wynik radosnego wzruszenia, ogarnął nas spojrzeniem pełnem ufności i mówił dalej:

— Jestem pewny, że nasze przełomowe chwile nie są tego rodzaju, żebyśmy się z niemi kryć potrzebowali. Nieprawdaż, księże proboszczu? nieprawdaż pani? Co, Zosiu?

Ksiądz proboszcz utarł nos z powagą, Zosia, patrząca z zachwytem na swego pomysłowego małżonka (który w okolicy za luminarza miejscowej inteligencji uchodził) zachichotała głośno; co do mnie, krztusiłam się ciągle.

— Któż więc zacznie?—spytał pan Tomasz.—Naturalnie, pani. Gościowi i damie pierwszeństwo.

Połknęłam spiesznie resztę babki:

— O! nie—zawołałam gorąco—pan, jako inicjator, ma głos.

— Słusznie—rzekł ksiądz proboszcz, chowając chustkę za sutannę.

— Tak, tak, Tomciu—wykrzyknęła żona—ty nam pierwszy opowiesz.

— Dobrze—wymówił wspaniałomyślnie pan Tomasz, który, jak go podejrzewam, czyhał tylko na tę sposobność.

Rozparł się wygodnie i, patrząc na mnie, uroczyście:

— Czyby się też pani domyśliła—rzekł—że ja, jak mnie pani widzi, o mało, ale to o mało nie zostałem powieściopisarzem?

— Doprawdy? — zawołałam z niekłamanem zajęciem—i cóż pana ocaliło?

Pan Tomasz spojrzał na mnie ze zgrozą.

— Ocaliło?—powtórzył—pani to nazywa ocaleniem? Muszę wyznać, iż nie spodziewałem się podobnego poglądu z ust pani usłyszeć. Liczyłem na więcej odczucia i...

— Przepraszam—przerwałam skruszona—może się źle wyraziłam. Cóż więc panu przeszkodziło?

Pan Tomasz westchnął.

— Ach!—rzekł—piękna to była chwila i nigdy nie zapomniana, przełomowa chwila, w której popęd z łaski bożej obudził się we mnie. Fatalność nie pozwoliła mi iść za jego głosem. A jednak, kto wie, byłbym może zdobył sobie zaszczytne miejsce w literaturze.

Odchrząknął i mówił dalej:

— Było to tak: Skończyłem Marymont, miałem dwadzieścia cztery lata, byłem zdrów na ciele i umyśle, i w przejeździe na praktykę gospodarską baraszkowałem sobie trochę w Warszawie, gdy pewnego dnia, ni ztąd ni zowąd obudziłem się jakiś nie swój. Ranek był trochę mglisty, powietrze chłodne. Stanąłem przy oknie i zadumałem się. Naprzeciwko mnie, za wilgotną szybą zobaczyłem pochyloną nad robotą dziewczynę. Nie było w tem nic nadzwyczajnego. W Warszawie zawsze się naprzeciwko kogoś mieszka, a tym kimś może być równie dobrze szwaczka, jak każdy inny. Ale, jak to już rzekłem, byłem nie swój, zdenerwowany, i widok tej dziewczyny bardziej mnie jeszcze rozstroił. W dodatku zauważyłem, że miała czerwone oczy i od czasu do czasu podnosiła do nich chustkę. Może to było skutkiem kataru lub niewyspania, mnie to przecież nasunęło zaraz na myśl cały dramat.

Odstąpiłem od okna i zacząłem się przechadzać po pokoju. Coś niepojętego działo się ze mną. Ogarniało mnie pragnienie nurtowania tajemnic ludzkich bytów, ich walk, ich cichych dramatów, a jednocześnie wzrok mój, jakby ulegając magnetycznemu prądowi, zwracał się w stronę kałamarza. Oho! pomyślałem, napiszę list! Trzeba państwu bowiem wiedzieć, iż do korespondencji nie byłem nigdy skory, i ilekroć zbierało mi się na nią, akt ten poprzedzała jakaś nerwowa przypadłość.

Siadłem bezzwłocznie przy biurku, wziąłem arkusik papieru, napisałem datę i pierwsze dwa wyrazy: kochana Maryniu! (bo właśnie siostrze byłem dłużny odpowiedź) i, włożywszy pióro w usta, zadumałem się znowu. Żeby państwu stan mego umysłu jaknajdokładniej przedstawić, powiem, że doznawałem takiego uczucia, jak gdyby mi kto w głowie huśtawkę rozbujał. Skutek był taki, że zamiast zacząć, jak zwykle: „przepraszam cię, droga siostrzyczko, żem ci dotychczas na twój miły liścik nie odpowiedział”... począłem, ni ztąd ni zowąd następujący okres: „słońce chyliło się zwolna ku zachodowi. Skośne jego promienie darzyły ziemię ostatnim pocałunkiem”...

Napisawszy to, osłupiałem. Co ja robię? Co się ze mną dzieje? Cisnąłem pióro, zerwałem się z krzesła i zacząłem chodzić tam i napowrót. Z głową moją było coraz gorzej. Wszystko mi się w niej kołowało, mąciło, a w okolicy serca czułem dziwny niepokój, jakąś nieprzepartą potrzebę pisania, ale nie do siostry, tylko ot tak! albo ja wiem—do nikogo, do wszystkich. Nagle stanąłem. Niema co—pomyślałem—zostanę autorem!

Tu pan Tomasz przerwał sobie opowiadanie. Popił wystygłej herbaty i zwracając się znów do mnie:

— Przepraszam panią—rzekł—ale chciałbym wiedzieć, czy i u pani mniej więcej w ten sam sposób objawiło się po raz pierwszy natchnienie?

Mimowoli uśmiechnęłam się.

— Nie byłam nigdy natchnioną—rzekłam—ale jeżeli chodzi o moją pierwszą literacką próbę, to odbyła się ona trochę inaczej. Niech pan jednak będzie łaskaw opowiadać dalej; to istotnie rzecz zajmująca.

Pan Tomasz westchnął powtórnie i tak mówił:

— Otóż, kiedym sobie taką djagnozę mego duchowego stanu postawił, zaraz mi się jaśniej w umyśle zrobiło, ale gorączka pisania paliła mnie coraz silniej. Siadłem znów przy biurku, odrzuciłem wzgardliwie list, i na świeżym arkusiku wykaligrafowałem starannie tytuł:

„*Moja nieznajoma*”.

Nie wiedziałem jeszcze zgoła, kto nią będzie, ani co się z nią stanie, czułem tylko, że muszę napisać coś nadzwyczaj poetycznego i tajemniczego, coś, w czem będzie dużo łez, kwiatów, księżyca, mgły; wiły mi się jakieś widma blade, milczące, z cichym uśmiechem cierpienia na ustach; pragnąłem koniecznie, aby nad moją nieznajomą płakano; chciałem ją uczynić o ile można najbardziej tragiczną, interesującą, niezwykłą. Do takiego, a nie innego nastroju ducha przyczyniły mi się zapewne owe zaczerwienione oczy szwaczki, mglisty poranek i anormalność prądu, jaki mną owładnął—prądu twórczości—gdyż zazwyczaj byłem wesołego usposobienia.

Przesiedziałem w ten sposób godzin parę; nareszcie, nie wiem już po raz który, umoczyłem pióro i szybko nakreśliłem następujący początek:

„Ubierała się zawsze biało, nosiła białą różę we włosach i miała białego pudla.”

Odczytałem głośno ten frazes; wydał mi się bardzo efektownym.

Po chwili przecież wziąłem drugi arkusik, wykaligrafowałem powtórnie tytuł „Moja nieznajoma”, a pod spodem:

„Ubierała się zawsze czarno, nosiła skabiozę we włosach i miała czarnego pudla.”

Poczem oba te początki położyłem przed sobą i zadumałem się po raz trzeci, który z nich wybrać? Który bardziej przemówi do wyobraźni moich czytelników? Pierwsza wersja była poetyczniejszą, druga bardziej tajemniczą.

W tem miejscu najstarsza córeczka państwa Tomaszów, nad wiek rozwinięta dziewięcioletnia Józia, słuchająca z wielką uwagą opowiadania ojca, zaczęła się śmiać głośno.

Pan Tomasz zmarszczył brwi, niekontent z przerwy.

— Czego się śmiejesz, Józiu?—zapytał, patrząc surowo na swoją pociechę.

— A bo, proszę tatki, przypomniała mi się ta bajeczka, co to: osiołkowi w żłoby dano, w jeden owies, w drugi siano. Hi! hi! hi!

Pan Tomasz zwrócił się do żony.

— Zosiu! ile razy ci mówiłem, że dzieci rozmowom starszych nie powinny się przysłuchiwać? Każ im pójść spać.

Nastało chwilowe zamieszanie. Skonfundowane dziewczynki odeszły ze swoją ziewającą ukradkiem francuską, a pan Tomasz, odzyskawszy równowagę, zachwianą niefortunną cytatą Józi, tak dalej mówił:

— Mijały godziny, jam wciąż się wahał. Pies miał odegrać ważną rolę w dziejach „Mojej nieznajomej”—jaką? nie zdawałem sobie z tego jeszcze sprawy—ale to mi było jasnem, że barwa jego szerści wiele tu również znaczyć będzie. Głowa mnie rozbolała, głód zaczął dokuczać. Spojrzałem na zegarek i przestraszyłem się. Pora obiadowa już mijała. Wyszedłem więc, aby się posilić. Trzeba trafu, iż pierwszą istotą żywą, jaką na trotuarze spotkałem, był: biały pudel. To mnie zdecydowało. Tak; moja nieznajoma będzie się ubierała biało, będzie nosiła białą różę we włosach, będzie miała białego pudla.

Uspokojony co do wyboru, zjadłem obiad ze smakiem. Biały kolor coraz więcej zaczynał mi się podobać; dziwiłem się, żem się mógł wahać; miałem już gotowych kilka pięknych efektów bieli na tle zieleni, w wieczor-

nym mroku i tam dalej. Chodziło tylko o to, jak je zastosować. Ale to najmniejsza; byle się tylko rozmachać. Wracam tedy do siebie w najlepszej myśli, gdy wtem—co państwo powiecie—naprzeciwko mnie idzie młoda, czarno ubrana kobieta, a przy niej czarny pudel. Brakowało jej tylko skabiozy we włosach, a może i ją pod kapeluszem miała. Zdrętwiałem. Nie, to istne przeznaczenie—trudno mu się opierać! a tak mi żal było tych białych efektów!... Wieczór zastał mnie jeszcze nad obydwoma początkami. Miałem jakieś fatalistyczne przeczucie, że od dobrego wyboru zależeć będzie nietylko powodzenie „Mojej nieznajomej”, ale cała moja literacka karjera. Biedziłem się więc i wachałem, jak potępieniec. Och! te przeklęte pudle! dlaczegożem ich spotkał!

Nad ranem dopiero zasnąłem. Zbudził mnie dzwonek listonosza. List był od ojca, krótki, ale znaczący: „Ciotka twoja, Miłosińska, umarła; zapisała ci Walkowice—przyjeżdżaj.” Jezus Marja! „Moja nieznajoma”, białe i czarne pudle, skabiozy, róże w jednej chwili wywietrzały mi z głowy! Tego samego dnia już mnie w Warszawie nie było.

Interesa poczciwej ciotki okazały się nadzwyczaj zagmatwane; miałem z moją sukcesją kłopotów co niemiara, po dwóch latach dopiero odetchnąłem trochę. I co państwo powiedzą? moja autorska wena przepadła bez śladu. Spłoszył ją list ojca. A jednak!... gdybym się tak nie był nad temi nieszczęsnemi początkami wachał, byłbym może przez ten dzień i noc jakie arcydzieło napisał—i cała moja przyszłość byłaby się inaczej ułożyła!

Pan Tomasz umilkł i wysączył do dna zimną zupełnie herbatę.

— Więc początki „Mojej nieznajomej”?—zagadnęłam.

— Są u mnie schowane—odpowiedział—na wieczną rzeczy pamiątkę. Wie pani co?—zawołał, nagłą myślą ożywiony—gdybym je tak pani ofiarował? Coby też pani z niemi zrobiła?

— Ja?—odpowiedziałam z westchnieniem—ach! panie Tomaszu, nie gniewaj się pan za moją szczerość. Siedziałabym nad niemi i dzień, i noc, i jeszcze jeden dzień, w nadziei, że mnie od wyboru jaki list z wiadomością o sukcesji wybawi.

Pan Tomasz nie rozgniewał się, ale był tak zgorszony tem wyznaniem, że się już mnie o moją przełomową chwilę nie pytał.

Hajota.

WIDZIADŁA JESIENNE.

Po niebiosów przestworze chmury wciąż gromadą
Wloką się, czarne, groźne... Gęsty deszcz kaskadą
Spada, przy urągliwym zimnych wichrów wtórze,
Ani gwiazdki promyczek nie zabłyśnie w górze.
W okno moje zagląda widziadeł czereda,
Brzęczy w szyby, spokojnie pracować mi nie da,
Trupie, skrzywione twarze wpatrują się zdala,
A po niebie się chmura za chmurą przewala.

—„Hej ty! coś siadł nad księgą starą, zapyloną,
Czy ty myślisz, że z kart jej spłynie w twoje łono
Błogie uczucie, albo zbawcza myśl w nich skryta?
Z tego, co niesiem, prawa mądrość wam zaświta.
Ha, ha, pobożniś złożył skrzyżowane dłonie!
Czy może pacierz szepczesz, pochyliwszy skronie?
Czy się pogrążasz w złudnej czułych dusz nadziei,
Co się nie ziści w czasów nieżwrotnej kolei?
Rzuć to na dół dla tłumów na igraszkę marną,
My głosim niepodległość zuchwałą, bezkarną;
W przesąd wieków bezmyślna niech wierzy hołota,
Szczęście tam się poczyna, gdzie kończy się cnota!”—

I odchodzą. Za niemi znów gromada płynie
Widm, chyba narodzonych w przekleństwa godzinie,
W szybę wciskają twarze, śmiechem pokurczone,
I zdzierają w mem oknie spuszczoną zasłonę.

—„Hej ty! co wierzysz w piękno wieczne, nieśmiertelne,
Czy znasz ty nową sztukę, którą dłonie dzielne
Z błota lepią na tłumów rozkoszną zabawę?
Gdy inne dzieło twoje, rzuć je sam pod ławę.
Ty wierzysz, że ludzkością coś lepszego włada
Niż zwykłe samolubstwo, nikczemność, szkarada?
Co chcesz mamić, brzydotę przystrajając kwiatem?
Świat w bagnisku się tarza i dosyć mu na tem.”—

I odchodzą, za niemi znów gromada idzie
I woła:

—„Hej ty! który coś prawisz o wstydzie,
O cnocie, powinności, wieków ideale,
My idziemy to grzebać, co ty czcisz wytrwale.
Niesiemy niezbłagane zagłady wyroki,
Idziem pomagać owym, którzy w dół głęboki
Spychają to, co zowiem resztką strupieszałą,
By nic starego na siew nowy nie zostało.
Kto chce żyć, ten wejść musi na te nowe drogi,
Za siebie w przeszłość ciskać zarzewie pożogi,
By nie było się na co oglądać za siebie,
Kto przyszłości zapragnął, przeszłość niech pogrzebie.”—

I odchodzą, śmiech dziki jeszcze brzmi za niemi,
Wiatr świszcze, deszczu potok pluskocze po ziemi,
A ja mówię:
—„Hej! widma, wnetby was nie było,
Gdyby z chmur złote słońce jasno zaświeciło!“

Bronisław Grabowski.

Listy powszednie.

I.

Petersburg 24-go grudnia.

Żądacie odemnie artykułu noworocznego—rzeczy w szacie odświętnej. Nigdy! Mogę i umiem pracować jedynie w „budnie”: uroczystości doroczne nawet Pismo św. przeznacza na odpoczynek. Zresztą, przyrzeczenie moje, przesłane wam jeszcze w maju, miało granice najściślej określone. „Jeśli kiedykolwiek (pisałem do waszego redaktora) podczas kampanji waszej dziennikarskiej odwołać się wam wypadnie do *rezerw*—gotów jestem stanąć w szeregach”. Przytem obstaję; do żadnych parad czy to „bożonarodzennych”, czy wielkanocnych, namówić się nie dam. Przytem i broń moja nie do parady: wy tam powymyślaliście dziś sobie rozmaite repetytowki, pukające po dziesięć i piętnaście razy na minutę, djabła to w gruncie warte. My, starzy, trzymamy się swoich skałkówek z czwartego i siódmego dziesiątka lat bieżącego wieku. Mniej to pokaźne, lecz człowiek ma przynajmniej czas należycie się wpierw namyśleć, nim ładunek z lufy wywali. Szkoda tylko, że nieprzyjaciel zbyt długo jakoś mitręży z ukazaniem się na placu.

Rozejrzyjmy się więc sobie tymczasem w sytuacji.

Z uważnego zastanowienia się nad treścią i gatunkami prac, jakie codzień zapełniają kolumny *Kurjera warszawskiego*, przekonywam się naprzód, że placówka petersburska daleko lepiej jest obsadzoną, niż się można było spodziewać. Dział „Z cesarstwa” wyczerpuje najpunktualniej obfitą, choć w ogólności czczą zawartość pism nadnewskich; telegramy zaś Ajencji północnej donoszą wam o grubszych zdarzeniach chwili pierwej, niźli nam listonosze zaproszenia na widowiska. Np. oryginał dwóch ostatnich komunikatów rządowych *Nowoje Wremja* przyniosło nam jednocześnie z wydrukowanym przekładem polskim...

Bądźcobądź, sprawy potoczne z wielkiego tutejszego świata znane są wam wczas, dokładnie i w należytej pełni. Traktujecie je też, jak przystoi: z najzupełniejszą bezstronnością. Gdybym sam, na własną odpowiedzialność, do przedmiotu tego się zabrał, nic lepszego i właściwszego wymyślićbym nie potrafił. Nadto, tygodnik nasz petersburski *Kraj* rozciągnął nad tą dziedziną tak czujną, troskliwą i—rzecby prawie można—zazdrosną opiekę, że głowąby chyba trzeba nałożyć, ażeby módz coś dokładniejszego, świeższego lub pewniejszego na tem polu odszukać. Stylowo chyba dałoby się to i owo poprawić, przerobić—ale cóż, kiedy w tych znowu szrankach musiałbym się z samym sobą współubiegać i ścigać; zjadłem już właśnie zęby, zepsułem oczy, strułem do szczętu wątrobę, wymazując w *Kraju*—jako naczelny pomocnik głównego redaktora pisma, wszystkie niedorzeczności, głupstwa, niecnoty, podłości, łajdactwa, jakie nam tu na brzegi czasopiśmiennictwa nieustannie a bez miłosierdzia wyrzuca gnojna fala czasów...

Widzicie więc sami, że zagon, na którym, zarzuciwszy z czarnogórska strzelbę za plecy, mógłbym dla was cośkolwiek wyorać, dość jest, jak na dziennikarsko-nowiniarskie zadania nasze, wąskim i chudym. Ograniczyć się więc trzeba do robót, nie powiem żeby koniecznie „brakonierskich”, lecz ostatecznie, w obec ogólnych zagadnień prawno-politycznych i państwowych, których Petersburg stał się dziś dla nas ogniskiem już jedynem — ubocznych i podrzędnych. Nie znaczy to wszakże bynajmniej, aby roboty te w jakiejkolwiek mierze traciły przez to na naszej sympatji; przeciwnie: grudka ziemi własnej, którą się rękoma swemi porusza, stokroć jest niekiedy droższą i milszą od nieobjętych okiem wszechobszarów, po których się stąpa, na które się... patrzy. O takich zaś właśnie grudkach drobnych zamierzam wam pisać w pierwszym rzędzie, a więc: o nowych Włodz. Spasowicza na rzecz tutejszego katolickiego towarzystwa dobroczynności odczytach, z których osnową prelegent był łaskaw poznajomić już grono bliższych swych przyjaciół i wielbicieli na prywatnem zebraniu z d. 13-go b. m.; o świeżej pracy p. Marjana Zdziechowskiego, skreślonej po polsku i wydanej w przekładzie ruskim pod pseudonimem „Ursyna” jako „Przyczynek do psychologji ludów słowiańskich”; o p. Stanisławie Rzewuskim i jego „Faustynie”, potraktowanej przez podpisanego cokolwiek na razie za pospiesznie, za szorstko; o wspólnem wreszcie święceniu wigilji Bożego Narodzenia według kalendarza gregorjańskiego, na które w tej chwili się wybieram z mową, sążniście w głowie rozkwitającą.

A druży-li to?... sprzykrzy się komu? To jest ratunek: wycieczka w dalsze strony. Wszystkiegom na świecie doznał, wszystkiegom po kropelce mętnej zaprobował—i szczerze przed wami wyznam: jedynie do wędrówki ochotym nie stracił. Każdego nieledwie poranka pakuję książki, zwijam manatki, wyprawiam swego chłopca z matką do Wilna—i sam zmierzam na kolej po kupno biletu. Dokąd?... A no, do Moskwy, do Kijowa, do Warszawy, do Aleksandrowa, do Sosnowca... Ale nie dalej—oho, nie! jako żywo nie! Pamiętamci wszak po dziś dzień wszystkie „kuksańce” hofratów i gemeindów pruskich i austrjackich, wypychających mnie z Mysłowic do Oświęcima, to z Oświęcima do Mysłowic za to chyba wyłącznie, żem do nich po szwabsku zagadać umiał zaledwie tyle, co: „gut morgen, ps.., braty!” Tak jest, ze wszystkich manij wyleczyć się może pielgrzym, z wyjątkiem manji podróżnej. Nie trzeba, żebyście się mylili co do właściwego mego powołania literackiego.

Za ostro może wyraził się Chmielowski, powiadając: „Hodi, oprócz „Gminy” i niezliczonego mnóstwa rozpraw *w najrozmaitszych kierunkach*, nic właściwie pokaźniejszego nie dał”; cierpka to prawda, lecz cóż począć, skoro prawda? Tylko, że ani Chmielowski, ani wy nie wiecie, dlaczego... A oto dlatego, że we wszystkiem co się zowie niedołęga, czuję w sobie kawałek prawdziwego artysty dopiero na widok woza lub łodzi. Zaznaczyć przelotnie, wśród gwizdu kotła parowego, jaśniejszą nad nieznanym widnokręgiem wstęgę niebios lub zieleńszy gdzieś na obcych przestworzach zakątek ziemi, podkreślić w przejeździe na marginesie przeczytanej książki ustęp wdzięczniejszy lub zacniejszy; zarysować naprędce, pod wrażeniem dorażnego spostrzeżenia, tu profil twarzyczki łagodnej a uśmiechniętej, tam nikły cień wypadku, o którym głośniej naraz zagadali wszyscy na pokładzie życia—to jedno, cobym robić umiał i czego nigdy, nigdy kochać nie przestanę...

Ale, precz z dywagacjami! kujmy na miejscu, a *usque ad finem*, co twarda rzeczywistość do kucia nam daje!... I z tem życzeniem przednoworocznem serdecznie wszystkich was ściskam, bracia po myśli i piórze!

J. T. Hodi.

GŁOWA.

FRAGMENT.

. . . .

Sam właściciel cuda opowiadał o niej, bo pochodził z tej rasy, która specjalnie lubi się chwalić głowami. Gdy zjednałem sobie jego zaufanie, pod sekretem mi wyznał, że nieraz także się w niej piękne myśli rodzą, że radby pochwycić ją (tę głowę) oburącz, zdjąć z ramion i własnemi ustami w samo czoło pocałować.

Przeszkody czysto fizycznej natury nie pozwoliły na spełnienie tego aktu uwielbienia i czułości.

Bądź co bądź, to piękna głowa. Nie na zewnątrz, bo linje jej daleko odbiegały od typu, przez dłuto klasycznych rzeźbiarzy stworzonego... Kształt miała nieforemny, cokolwiek szpiczasty, czoło wąskie, nos duży, garbaty, brodę wystającą, a rzadki, siwiejący zarost dopełniał całości—ale wewnątrz... co tam było wewnątrz w tej głowie!

Patrzyłem nieraz w jej czarne ruchliwe oczy i jak przez okienka chciałem przez nie zajrzeć do wnętrza. Z początku było to trudno—z czasem przeszkody zniknęły, zaufanie zapełniło przepaść, która nas dzieliła od siebie... a przepaść była duża... Właściciel głowy szedł z wielkiego rodu dzieci Jakóba, którym z prawa należy dwie części świata—ja wywodziłem się od Ezawa. On był Izrael, ja Edomita, on był damski krawiec—a ja, niestety, nie wiedziałem nawet, z której strony przystąpić, aby wziąć miarę na dostojną osobę pani burmistrzowej.

Przepaść nas dzieliła. Z głowy śmieli się wszyscy—ja się nie śmiałem i zdaje się, że to nas pogodziło. Głowa potrzebowała kartofli dla swoich małych główek—ja miałem kartofle, więc to nas zbliżało jeszcze bardziej, głowa wreszcie potrzebowała ujścia dla swej mądrości—a ja byłem powolnym słuchaczem, i to ostatecznie przechyliło głowę na moją stronę...

Patrzyłem w czarne oczy, jak w szyby, i widziałem przez nie cały świat nowy, nieznany—wielki świat, przykryty małą formułką...

W tę biedną głowę kładziono coś za młodu, ale kładziono niewiele. Rabi Wigdor uczył ją czytać trochę, a stara babka Jenta napychała ją legendami. Wielki magik, kaznodzieja małej bóżniczki, rabi Jojna, sypał przed nią perły mądrości—a głowa chwytała je chciwie, łakomie komentowała, przerabiała na swój sposób, dopełniała fantazją. I powstał z tego cały świat, pełen zachwytów, podań, legend, wierzeń, ideałów...

Krawiecki interes, to jest paskudny interes—maszyny o tem wiedzą—ale gdy ręka machinalnie wykonywa ściegi, gdy oczy bezmyślnie patrzą w kawałek materji, wtenczas głowa żyje, pracuje, rozmyśla, zaludnia się postaciami różnemi, nadprzyrodzonemi najczęściej.

Przypomina sobie wszystko, co kiedykolwiek czytała, co zasłyszała gdziekolwiek, i odbywa się w niej wielka procesja wspomnień i postaci.

Nieraz spoglądałem przez owe czarne oczy, jak przez szyby, nieraz słuchałem z ciekawością przez godzinę i dłużej — a stare oczki owej głowy zapalały się, język przemawiał forsownie, łamiąc trudności wyrażeń.

Czegóż nie było w tej głowie!

Prawda... nie było jednej bagatelki — chronologji i ztąd wytwarzały się najdziwaczniejsze obrazy. Król Salomon kazał, żeby na czole tego cesarza, co Jerozolimę zburzył, usiadł mały komar, i żeby wiercił mu czaszkę na wylot; stary Akiba, co się ze swoją żoną raz na lat dwanaście widywał — rozmawiał z Mojżeszem... wielki Rambam (rabi mosze ben Majmum) wyleczył od wielkiej febry dziadka Rotszylda... Salomon, gdy przez djabła z tronu porwany i w żebraka przemieniony został, rozmawiał na pustyni ze sławnym rabinem współczesnym. Aba Bar Bar Chowe, pływając po wielkich oceanach, widział holenderskie okręty. Wielki dobroczyńca, prorok Eljasz, opiekun wszystkich biedaków i cierpiących, był niedawno w Lubartowie na jarmarku i pomógł biednemu szewcowi odzyskać ukradziony mu towar, a Ester, piękna Ester, niedawno jeszcze chodziła do różnych królów prosić, żeby złego prawa na żydów nie było.

Tłómaczyłem właścicielowi głowy, że to się jakoś jedno drugiego nie trzyma — ale on roześmiał się z politowaniem i rzekł:

— Co w mojej głowie jest—to w piśmie stoi, a co w piśmie stoi, to prawdą jest... U nas powiadają, że najlepszy towar, to pismo, a kto pisma nie zna, ten nic nie zna, a kto nic nie zna, ten nie wart żyć na świecie...

Wielka głowa!

Pytałem jej, czem ona się żywi, z czego żyje. Odrzekła, że prawie niczem; czas ciężki, roboty brak—ale przecież żyje się jakoś. Czy człowiekowi dużo potrzeba? Kąt w izbie, trochę rzodkwi, kartofli...

Pytałem tej głowy, czy jej się życie nie przykrzy, czy nie gniecie ją zbytecznym ciężarem?

Ze zdumieniem wytrzeszczyła na mnie swoje czarne oczy, nie mogąc zrozumieć pytania. Jakto? Jakim sposobem życie może być ciężarem, skoro je dał Bóg — jakim sposobem dzieci mogą być ciężarem, kiedy one są jego błogosławieństwem? Jakim sposobem rzodkiew i kartofle mogą się sprzykrzyć, kiedy od tylu wieków oczekuje na wiernych wielki wół, wielki lewiatan i wino zachowane, to samo wino, którem swego czasu córki upoiły sprawiedliwego Lota!! Jakim sposobem może się skarżyć człowiek, który się wywodzi od Jakóba? Jakim sposobem może sarkać ten, co ma głowę?!...

W izbie brudno, bo na to izba jest, w żołądku pusto, bo na to ciężkie czasy są—ale od tego jest wielka głowa, żeby o wszystkiem zapomniała. Od tego jest wielka głowa, żeby posyłała swoje myśli nad Jordan, gdzie figi rosną i takie drzewa, z których sama oliwa kapie, gdzie kozy chodzą stadami i mają mleko dla wszystkich.

Co to się dziwić, że kto taką głowę ma, ten szczęście ma, że chciałby ją z ramion zdjąć i własnemi ustami w czoło pocałować...

Nie śmiejcie się dobrzy ludzie: taka głowa—to wielka głowa, zaprawdę.

Klemens Junosza.

SIELANKA DRAMATYCZNA.

URYWEK.

Scena przedstawia ozdobnie umeblowany salonik, w głębi drzwi oszklone, prowadzące na werendę i do ogrodu.

Gustaw.—Alinka.

ALINKA *(ubrana biało, suknia i włosy upięte kwiatami, trzymając w ręku duży słomiany kapelusz, wbiega szybko do salonu, a spostrzegłszy Gustawa, zatrzymuje się nagle zakłopotana).*

A!... pan Gustaw?

GUSTAW *(który w ciągu całej sceny z lekceważeniem do Alinki mówi, jakby dziecko miał przed sobą).*

Tak, pani... czy to panią dziwi?

ALINKA *(zakłopotana coraz więcej, idzie zwolna na przód sceny, mnąc w rękach kapelusz, z przesadną powagą):*

Nie... albo tak... To jest wiedząc, jak dzisiaj panowie
W odwiedzinach wogóle skąpi są, leniwi,
By pana tu zobaczyć, nie stało mi w głowie.

GUSTAW *(na stronie)*

Jaka ona śliczniutka! ratujcie bogowie!

(do Alinki)

Jam zaprawdę grzeczniejszy, ja miałem nadzieję...

(po chwili)

Przynoszę od słoneczka „dzień dobry” panience
I wiem, że się promykiem do niej roześmieje,
Gdy ją ujrzy przed sobą w tej z kwiatów sukience.

(zbliża się do Alinki i mówi dalej, wskazując kolejno kwiatki na sukni i włosach—ona ze spuszczoną głową słucha oczarowana)

O tu, na tej różyczce, najpierw siądzie na dnie,
Potem, może bławatki światełkiem opruszy,
A może na usteczka Alinki opadnie...
Ej, ostrożnie!... bo ztamtąd więcej się nie ruszy.

(zapalając się do słów własnych)

Jakżebym chciał być słonkiem właśnie o tej porze,
Jakże chciałbym być słonka swawolnym promykiem,
Ono, chociaż mu wolno, nie opadnie może,
Ja zaś, gdybym był słonkiem, opadłbym pewnikiem.

ALINKA *(stoi chwilę milcząc, nagle budzi się, jak ze snu—figlarnie):*

O! byłoby się za co pogniewać na pana,
Słonko o takie brzydkie posądzać zamiary...

(poważniejąc, spuszcza głowę i mówi półgłosem):

Ale nie miałam serca... Byłam zasłuchana...

(po chwili)

Pan tak mówi... Doprawdy, że to jakieś czary,
Ja się będę wstydziła wyjść na słońce teraz...

(rumieniąc się)

Zdało mi się przed chwilą, że właśnie zmieniło
Różyczkę na bławatka...

(po chwili)

Zkąd pan słów dobiera?
Wszystko to takie piękne...

GUSTAW *(zadowolony z wywołanego wrażenia, z zapałem):*

Zkąd ja myśli dobieram? To historja cała!
Czasem znosi je chmurka, ta, co błękit porze,
Czasem ptaszek lub motyl, to znów muszka mała,
Woń je mieści fijołka, lub tkwią w róż kolorze,
Wpośród trawki na łące, pod kamykiem w rzeczkach,
Pełno ich jest dokoła w cudownej przyrodzie...
Są i w oczach Alinki, są na jej usteczkach,
W górach, lasach, powietrzu, na ziemi i wodzie,
Jednem słowem, gdzie spojrzeć i w nas i nad nami,
Jeno chwytać, Alinko, i zbierać rączkami.

ALINKA.

Czy je „zbierać rączkami,” czy je „zbierać głową,”
Łatwo panu tak radzić.

(smutnie)

Ja nie umiem tego,
Tyle razy już miałam różyczki przed sobą,
A przecież nie schwytałam słówka ni jednego.

(zamyślona)

Musi to być w tem jakaś nadzwyczajna sztuka,
A komu jej Bóg nie dał, nie da i nauka.

GUSTAW.

O, za wiele, Alinko, śliczną być dwa razy,
Kto takiemi oczyma spogląda w świat boży,
Temu, by mówił pięknie, zbytnie są wyrazy—
Każdem cząt spojrzeniem poematy złoży.
Czyż to nie radość wielka, czyż to nie wesele,
Nic nie mówić, a jednak powiedzieć tak wiele.
Niesłusznie właścicielka takich gwiazdek pary
Pragnie więcej uroków, czegoś jeszcze szuka,
Niechajże jej wystarczą jasnych cząt czary,
Bo komu ich Bóg nie dał, nie da mu ich sztuka.

ALINKA *(zakłopotana).*

Czyż bo tak rzeczywiście piękne oczy moje...

(po chwili z prośbą w głosie, zbliżając się do Gustawa):

Siostra wyszła na chwilę, nim powróci z miasta
Przejdźmy się po ogrodzie... Są tam róż szeregi
I fijołki na grządkach, a na drzewach gniazdka
I chmurkę zobaczymy tę, co błękit porze,
I tak w koło nas śledząc, niby tajne szpiegi,
Podsłuchamy nieznacznie, co tam o kolorze
Róż powiedzą fijołki, a ptaszki o chmurce,
Jak się trawka pokłóci z natrętnym owadem,
Za to, że ją nóżkami bez uwagi depce,
Ja będę iść za panem jego myśli śladem
I usłyszę to wszystko...

(podskakuje wesoło, klaszcząc w dłonie).

Toż to będą lekcje!...

(z prośbą).

O chodźmy, proszę, chodźmy...

(Widząc, że Gustaw nie ma zamiaru wyjść do ogrodu, staje zawiedziona, smutna).

Jak to, pan iść nie chce?...

GUSTAW *(z ironją).*

Nigdybym się na taką nie zdobył odwagę—
Rywalem być promyków słońca, to zuchwale...

(po chwili)

A propos, mam braciszka w domu, zawadjakę,
Ten bo się nawet słońca nie ulęknie wcale.
Owóż razu pewnego, przynajmniej tak mówił,
Poznając po łzach w oku, czy po smutnej mince,
Widział chrząszcza, jak płakał, że skrzydełko zgubił.
Dobrze? ja go za siebie przyślę tu Alince.
On będzie się z nią bawił i będzie ją lubił...

(widząc wzruszenie Alinki, z perswazją)

On jej więcej opowie, niż ja byłbym w stanie,
Ręczę, że chłopiec miły... ręczę, że...

ALINKA *(płacząc).*

O! panie...

(wybiega).

Marjan Jasieńczyk.

Amerykański „homestaed”.

W pierwszej połowie XIX-go stulecia przedmiotem sprawy agrarnej było: wyswobodzenie ludu wiejskiego z poddaństwa, nadanie mu ziemi, uwolnienie od osobistych i wyjątkowych obowiązków względem panujących nad nim dominjów.

Dziś wszystko to należy już do historji. W całej Europie włościanin jest równouprawniony z dawnym panem, posiada własny swój grunt, nie obrabia pańszczyzny, nie składa darmoch i t. p.

Sprawa agrarna pomimo to nie zeszła z porządku dziennego. Ma ona wszelako dzisiaj inne przed sobą cele, inne do spełnienia zadania.

Idzie mianowicie o zabezpieczenie ludu wiejskiego od popadnięcia, pomimo równości praw cywilnych, w niewolę ekonomiczną.

Jak dla większej własności ziemskiej źródłem obdłużenia majątków jest rozrastanie się rodzin, a skutkiem tego działy familijne, rozdrabniające większe fortuny, tak i dla własności włościańskiej działy pomiędzy rodzeństwem wywołują dwa groźne zjawiska: zbytnie rozdrabnianie i nadmierne obdłużenie gruntów chłopskich.

Prawo zabrania wprawdzie u nas dzielić grunta uwłaszczone na części, mniejsze od sześciu morgów, ale faktycznie dzieje się inaczej, w granicach sześciomorgowych osad rozradza się ludność małorolna, tworzą się osobne drobne gospodarstwa z oddzielnemi zabudowaniami, do czego znowu upoważnia inne prawo, wedle którego każdy majątek, bez względu na jego naturę, czy jest on szlachecki, czy chłopski, ulega równemu pomiędzy rodzeństwem podziałowi po śmierci ojca rodziny. Skutkiem takiej sprzeczności pomiędzy prawnym a faktycznym stanem rzeczy, tworzy się zamęt w stosunkach własności włościańskiej, tak samo, jak dokonywające się po wsiach sprzedaże gruntów pod formą nielegalną, dla uniknienia opłaty wysokiego stempla aljenacyjnego, wytwarzają niepewność i zamieszanie w prawach własności.

W prawodawstwach zagranicznych panuje żywy ruch w sprawie podzielności gruntów włościańskich. W Hanowerze, Brunszwigu, Hessen-Darmstadzie, a niedawno w Prusiech, urządzone zostały rejestra gruntowe (Hofrolle); zapisanie gruntu dziedzicznego (Erbgut) przez właściciela do tych rejestrów ma ten skutek, że w braku testamentu grunt przechodzi niepodzielnie na własność jednego tylko dziedzica (Anerbe).

Jak z jednej strony nieograniczona podzielność gruntów włościańskich rozkłada je na atomy, na których prowadzenie racjonalnego gospodarstwa staje sie niemożliwem, tak z drugiej strony niepodzielność wywołuje to następstwo, iż zmusza właściciela, pozostającego przy gruncie, do zaciągania długów, potrzebnych na spłacenie współsukcesorów i staje się skutkiem tego przyczyną nadmiernego obdłużenia własności, co również do ruiny prowadzi.

Temu zaradzić może dobrze zorganizowy kredyt. Tylko przy kredycie, na niski procent i na warunkach długoletniej amortyzacji udzielonym, zasada niepodzielności gruntów włościańskich zastosowanie znaleźć może.

Niepodzielność tedy gruntów chłopskich i kredyt włościański są to dwie kwestje, w najściślejszym ze sobą pozostające związku.

Jak doniosłego znaczenia dla zdrowego rozwoju życia społecznego są poruszone tu strony sprawy agrarnej, służyć może za dowód Ameryka, która przecież dotychczas wolną jest od plag, trapiących społeczeństwa europejskie, jakiemi są: przeludnienie i brak ziemi, a jednak kwestyj niepodzielności gruntów i kredytu włościańskiego nie pozostawia na łasce *laissez faire, laissez-passer*, ale w drodze prawodawczej je reguluje.

Amerykański *Homestaed* jest to kawał gruntu, mający w różnych Stanach rozległości od 40 do 160 akrów (około 26 do 106 morgów) i reprezentujący wartość 500 do 5,000 dolarów (około 725 do 7,250 rubli), którego ani właścicielowi dzielić, ani w drodze egzekucji przez wierzyciela zabierać nie wolno.

Doświadczenie Ameryki na tej drodze osłabia panujące w Europie przekonanie, jakoby dla rozwoju kredytu konieczne były surowe prawa dla dłużników, pomimo bowiem względności amerykańskiego prawa, które wyłącza z pod egzekucji tak znaczną część majątku dłużnika, nigdzie kredyt osobisty tak nie kwitnie, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

Sprawa agrarna leży u nas zupełnie odłogiem, a jednak niezmiernie wiele jest na tem polu do zrobienia; załatwienie jej może naturalnie nastąpić tylko w drodze prawodawczej, ale podnoszenie i wyświetlanie różnych jej stron, badanie i wyrabianie o niej opinji, zbieranie materjałów powinno należeć do najpilniejszych zadań literatury i prasy.

J. Kirszrot-Prawnicki.

TO ALBO OWO.

Idź, posłuchaj mego głosu,
Użyj młodych lat i losu,
Naucz się rozumnie żyć.
Na przeznaczeń wielkiej szali
Trzeba, nim się byt ustali,
Górą albo dołem być;
Trzeba władać i zdobywać,
Albo służyć i przegrywać,
Cierpieć, albo zręcznym zwrotem,
Miast kowadłem, zostać młotem.

Przełożył z Göthego
Ludwik Jenike.

Rok muzyczny 1887-my.

Ażeby rozpocząć sprawozdanie o roku ubiegłym, trzeba się cofnąć aż do epoki... Noego. Premiera bowiem rzeczonej pośmiertnej opery Halevy'ego odbyła się w styczniu.

Scenie naszej przysługuje zaszczyt przygarnięcia tego pogrobowca, którego losy nikogo tak dalece nie obchodziły... Ubrano go starannie w najpiękniejsze szaty, przyozdobiono wspaniałemi dekoracjami, wezwano go do życia głosem wąsatego Anioła (p. Myszuga bowiem nie miał odwagi pozbyć się tej ozdoby twarzy) i... nie zdołano wskrzesić na długo. Oprócz kilkunastu pierwszych przedstawień, ożył jeszcze ten patrjarcha na chwilę w końcu roku, by snem wiecznym zasnąć napowrót. Niech pod cieniem Araratu spoczywa.

Włochy święciły w lutym sensacyjną premierę „Otello".

Stary mistrz, lubo w prostym, pozbawionym licznych perypetyj dramacie, nie mógł znaleźć pola do wielu urozmaiconych sytuacyj, dowiódł i tym razem, że ręka wprawna nie zawiodła i stworzył rzecz godną siebie i godną dłuższego żywota. Mianowicie w instrumentacji umiał złożyć Verdi najwięcej charakterystyki, lubo i przejrzenie samego rysunku w partycji fortepianowej nie mało przedstawia zajęcia. Skromny, jak zwykle, maestro, uchylał się jak mógł od owacyj, nie chciał, oprócz Medjolanu, dyrygować swojem nowem dziełem w innych miastach, i dziś jedną tylko zajęty jest myślą: tęsknotą za „Otellem". Zanadto zmęczony wiekiem, by nową większą pracę rozpoczynać, ubolewa nad tem, że tego Benjaminka ukochanego oddał już na pastwę publiczności, że już nie może co rano przemyśliwać nad tem, jakiemiby jeszcze przystroić go barwami, jakby go w najdogodniejszy sposób uczynić—tryumfatorem.

Obiecywano nam wkrótce „Otella" i na warszawskiej scenie, znalazły się nawet istoty pełne gołębiej prostoty, które tym wieściom dawały wiarę. Nie przeczymy, że to nastąpić może, lecz statystyczne dane, zaczerpnięte z doświadczenia, uczą nas, że fakt ten daj Boże aby w XIX-em mógł zdarzyć się jeszcze stuleciu; wszakże wprzódy jeszcze przedstawić mamy przygotowywaną od trzech już lat „Manon Lescaut" Massenet'a.

Z „Manon Lescaut" zresztą dzieje się u nas to samo, co z każdem innem niemal, przygotowującem się na widok publiczny dziełem: jest to wskrzeszenie w rzeczywistości tradycji o... przędzy Penelopy. Co się w dzień uprzędło, to w nocy się rozplącze na nowo—czego przez pracowite dwutygodniowe próby się nauczono, tego przez dwumiesięczny przymusowy odpoczynek znów się zapomina.

A tych odpoczynków głównymi sprawcami są... debiutujące gwiazdy i gwiazdeczki.

Przyjeżdża de Negri lub Aramburo, albo nawet ktoś z debiutantów *minorum gentium*, wnet przerywają się próby z zaczętej nowej opery, aby się oddawać głębokim studjom nad „Trubadurem" lub „Lukrecją".

Aramburo, śpiewając przez dwa miesiące letnie, pozostawił po sobie wspomnienie jednej opery śpiewanej wybornie, z pełnią głosu i ekspresji, to jest „Faworyty", do której możemy dodać jeszcze jeden akt „Forza del destino".

W innych operach tenorzysta, posiadający jeszcze głos bardzo piękny, ukrywał go jaknajstaranniej, jak skąpiec, który się obawia, aby mu jego skarbów nie wydarto... Rozrzutniejszy, a raczej sumienniejszy od niego p. de Negri śpiewał po nim w dwudziestu przeszło operach, z zapałem, z przejęciem i zostawił najlepsze wspomnienie, jako prawdziwy artysta. Głos jego nie posiada wyjątkowo pięknego brzmienia Arambury, ale jest szlachetny, czysty i dość silny, aby odtwarzać z powodzeniem role bohaterskie. Szczególniej jego „Tannhauser" i „Lohengrin" zasługują na zaszczytne wspomnienie.

P. Myszuga, zaabsorbowany sprawami prywatnemi swego serca, mniej śpiewał w tym roku, niż zwykle, lubo zawsze prawdziwie artystycznie.

Z sił nowych przybyła teatrowi w osobie panny Felicji Grützhandler-Kaszowskiej użyteczna mezzosopranistka, ubyła panna Pilcówna. Panna Hermanówna po półtoraroczuej chorobie powróciła na scenę w d. 26-ym marca, z głosem zawsze świeżym i zajęła już obecnie swe dawne w teatrze i w sercach słuchaczów stanowisko...

Dwukrotne występy panny Russel ściągały zawsze liczną i chętną publiczność, lubo przyznać trzeba, że światło tej gwiazdy gasnąć poczyna. W głosie spostrzegać się dają początki zmęczenia, lubo głos szlachetny, o dobrej emisji, niezła koloratura i gra wyborna jeszcze jej na długo zapewnia powodzenie. Drugi akt „Lindy" zawsze pozostanie jej prawdziwym tryumfem.

Na cześć panny Russel wskrzeszono w końcu r. z. „Dinorę" Meyerbeera z wielką starannością. Natomiast nie powiódł się stuletni jubileusz „Don Juana", przygotowywany trochę pośpiesznie.

Jako śpiewaczka pełna talentu i... przyszłości, występowała w lecie z powodzeniem panna Angeloni. Temperament prawdziwie dramatyczny, głos piękny, mało jeszcze modulowany — oto w kilku słowach tej artystki sylwetka, która nie byłaby kompletną, gdybyśmy nie pośpieszyli dodać, że artystka ma postać ujmującą...

W tym roku słyszeliśmy również dwukrotnie króla tenorów, Mierzwińskiego. Spełniając naprzód czyn obywatelski, przybył specjalnie artysta przyjąć udział w poranku na pomnik Królikowskiego, a potem wystąpił również bezinteresownie w „Hugonotach", robiąc zawsze silne wrażenie swym wielkim, niemal barytonowym głosem, oraz zapałem swej produkcji.

Do chwalebnych kart działalności dyrektora opery, p. Rebiczka, zaliczyć musimy koncerta symfoniczne. Są one, przeciętnie, dość urozmaicone i zajmujące, tak wykonaniem dzieł symfonicznych, jak i działem solistów, którymi byli w r. z. pp. Zarzycki, Grünfeld, Barcewicz, Sarasate.

Teatr Mały obchodził w dniu 19-ym października jubileusz swego tysiącznego przedstawienia, oraz zasłużył się dobrze kasie i sztuce, wystawiając naprzód „Przemokłego kupidynka" Varney'a, a następnie z wyjątkowem powodzeniem „Mikado" Sullivane'a. Powodzenie to z teatru przeniosło się już do... krawatów, kołczyków, wachlarzy, papieru listowego etc.—co wszystko teraz jest *à la* Mikado.

Z działalności teatrów ogródkowych warto wymienić przeróbkę powieści Kraszewskiego „Budnik", do której kilka godnych uwagi numerów muzycznych skomponował p. Noskowski.

Towarzystwo muzyczne rozwijało się w tym roku dobrze. Chór i orkiestra amatorska, te dwa główne czynniki poważniejszej działalności, służą Towarzystwu, lubo i w jedniym z nich, a w drugim szczególniej, niemało jeszcze dostrzedz można braków.

Jako soliści występowali: słynny wiolonczelista Klengel, fortepjaniści panna Remmert i Domaniewski, śpiewaczka panna Baumer, wiolonczelista Dawydow, oraz na wielkim koncercie Filip Scharwenka, kompozytor, wraz z żoną skrzypicielką, panna Russel, Michałowski. Ów wielki, prawdziwie wspaniały koncert był jedną ze świetniejszych chwil działalności Towarzystwa. Godnemi wspomnienia są również: koncert na pomnik Moniuszki, wielki koncert w ogrodzie Frascati na powiększenie funduszu budowy gmachu Towarzystwa, mającego powstać w dalekiej przyszłości, oraz uroczystość św. Cecylji, obchodzona w teatrze Wielkim, gdzie przy żywych obrazach p. Noskowski pięknie ułożył wieniec z pieśni ludowych.

W tym roku rozstrzygnięto w Towarzystwie dwa konkursa: jeden imienia ś. p. Józefa Kuryerowa, z którego zwycięzcą wyszedł p. Noskowski, jako autor kantaty „Switezianka", oraz konkurs na tekst do mszy, w którym najlepszy wiersz nadesłał p. Rawa. Co do mszy samej, z liczby dziewięciu nadesłanych utworów nie przyznano jeszcze żadnej nagrody, rękopisy bowiem są jeszcze w czytaniu.

W tym też roku, dość bogatym w fakta muzyczne, przybyła Warszawie nowa instytucja, „Lutnia", chór męski, pod dyrekcją p. Maszyńskiego rozwijający się nader pomyślnie. Drugim ważnym czynnikiem muzycznym jest wyborny kwartet smyczkowy, zorganizowany świeżo przez instytut muzyczny, do którego składu wchodzą pp. Barcewicz, Stiller, Szulc i Aloiz.

Wieczory kameralne instytutu coraz większem cieszą się powodzeniem, występowali na nich: dyr. Zarzycki, pp. Szlecer, Makowski, Strobl; Barcewicz, Frieman, Sarrasate, Stiller, Goebel, Aloiz.

W roku ubiegłym zatwierdzono dwie ustawy: kasy pożyczkowo-wkładowej przy teatrach warszawskich, oraz nową ustawę Towarzystwa wsparcia artystów muzyki.

Nie zapomnijmy i o powodzeniu naszych artystów za granicą, które osiągali: Barcewicz, Padarewski, młody Śliwiński, młodziutki Józio Hoffman, nie licząc Kochańskiej, Mierzwińskiego, Józefa Wieniawskiego itd.

Z dzieł wielkich wykonano w roku tym w Towarzystwie muzycznem pod dyrekcją p. Noskowskiego słynne „Stabat Mater" Astorgi, oraz pod dyrekcją p. Danysza całe oratorjum „Stworzenie świata" Haydn'a, we Lwowie zaś wielkie oratorjum „Śmierć i życie" Gounod'a (Towarzystwo „Lutnia").

W dniu 20-ym listopada ustawiono w kościele Wszystkich Świętych pomnik Moniuszki, dłuta p. Godebskiego.

Sprawozdanie to zakończyć musimy podwójnie smutną, bo długą listą zmarłych muzyków. Opuścili ten świat: Wilhelm Troszel, Emanuel Kania, Michał Zawadzki, Stanisław Tokarzewski, Maurycy Dietrich, Feliks Gebethner, Ryszard Noch, Gabrjel Rożniecki; za granicą słynny dyrektor koncertów popularnych paryskich, Juljusz Pasdeloup. Kronika powszechna notuje również ze zgrozą dwie wielkie katastrofy teatralne, wynikłe z pożarów: w operze komicznej w Paryżu i w teatrze Exeter w Anglji.

Jan Kleczyński.

Własność.

To tylko jest prawdziwą własnością człowieka,
Co uczuł, co przemyślał i to mu jedynie
Z życia jego skarbony nigdy już nie ginie,
Nie zostaje się w tyle, jak przeszłość daleka;
Idzie z nim i o każdej chwili i godzinie,
Jak towarzysz, jak wierny przyjaciel go czeka.

—

Tylko przez nasze wiary, przez nasze nadzieje
Życie wam się uboży, albo ubogaca.
Ztamtąd idzie nam tylko blask, co je ozłaca,
A gdy nam niebo nasze gwiazdami zasieje,
W chwilach smętnych zadumań tam się wzrok obraca,
I tęsknota, co serca gryzie—łagodnieje.

—

Potrzeba też jest ludziom na pomoc żywota
Wydostać sobie z ducha te, skryte tam moce!
Czuć, wierzyć i w ubogie istnienie sieroce
Wpleść Ideał promienny—to nietylko cnota,
Ale szczęście: niepokój co sercami miota
Przyciszon, by bezsenne nie truły nas noce.

—

Ale potrzeba na to, aby nasze życie
Umiało sobie wskazać cel górniejszej drogi:
By nie wiodło przez padoł niski i ubogi,
Gdzie tylko egoizmu troska i użycie
Cel mają, zasklepiony we własnym swym bycie,
I strzegą, by nam twardy krzemień nie tknął nogi.

—

Trzeba sobie rozszerzyć serce—trzeba dłonie
Namulić pracą, która jak karjatyd bary

Potrafi się podstawić pod wszelkie ciężary,
Byle tylko wydźwignąć nad zagłady tonie
To drogie nam—kochane, jako ten dom stary,
Kędy dzieci się tulą przy matczynem łonie.

Marja Ilnicka.

DRAMAT I KOMEDJA.

(Roczna kronika teatralna.)

Spieszymy do teatru na każdą nowość, ubiegamy się o bilety, przepłacamy je; za każdym czerwonym afiszem wprawiają się w ruch posłańcy miejscy i pióra dziennikarskie. Tłumy ciągną po siódmej godzinie: jeden szuka nowej rozrywki, drugi pewnego nabytku dla sztuki. Po roku tak perjodycznie odbywających się poszukiwań, dobrze jest przejrzeć się w tem, cośmy znaleźli. Rozumie się, że za istotny nabytek uważamy to, co w zakresie sztuki dramatycznej wychodzi wprost z naszej własnej myśli i odnosi się do tego, co nas bezpośrednio raduje lub boli, i temu też dajemy pierwszeństwo.

Pierwszą nowością przeszłoroczną była konkursowa (numer drugi), pięcioaktowa komedja p. Edwarda Lubowskiego „My się kochamy?, w której autor, analizując scenicznie to ironiczne twierdzenie, wykazuje, jak sobie podstawiamy nogę. Ten znakomity pomysł do komedji, ubolewający nad nędzarzami, którzy w nędzy swego położenia drą się jeszcze wzajem dla osobistych zawiści, a z uszczerbkiem dobra publicznego—pomysł ten, powiadamy, byłby silniej odczuty przez słuchający ogół, gdyby prawdziwszą i sympatyczniejszą była ofiara tych niecnych zawiści. Ale, jak z jednej strony, trudno jest zdać sobie sprawę, do jakiego świata odnosi się ten bohater zbawczej idei, rozumny, energiczny i czynny, przeciw któremu, z ujmą dla kraju, występują pokątne sykania płazów, strzelających jadem, tak z drugiej strony bohater ten, nieoględnością, pyszalstwem i brakiem konsekwentnej godności narodowej zaciera na swem obliczu przybrane zrazu rysy szlachetne, i nic dziwnego, że odjeżdżając pod rękę z niemcem, z którym przedtem rozpoczął walkę, zrobił wrażenie założeniu przeciwne. Z całej zaś tej perypetji społeczno-dramatycznej pozostała jako upominek autorski nowa a barwna grupa „nietoperzy”, to jest charakterów niskich, do walki szlachetnej i otwartej niezdatnych, a tylko cichaczem podkopujących się pod honor i szczęście bliźniego. Zamało jednak na podtrzymanie pomysłu, którego plan przy realizacji budowy wymagał siły w filarach, a nie w ornamentach.

Nie trzymając się ściśle porządku chronologicznego, ale raczej tendencji, natrafiamy znowu na czteroaktową komedję p. Kazimierza Zalewskiego p. t. „Małżeństwo Apfel”. Autor, satyrycznie dotąd patrzący na zachowanie się ludzi pochodzenia semickiego względem naszej społeczności, poczuł się do pewnego obowiązku sprawiedliwości i chciał niejako uzupełnić obraz tego zachowania, wykazać dodatnie strony stosunku, pierwiastki idealne plemienia, które, przebywając od tak dawna w atmosferze cywilizacji chrześcjańskiej, wśród narodu życzliwie dla się usposobionego, wpływ tej reakcji na sobie odczuło. W tym celu urządził autor kombinację taką, gdzie wyzysk idzie ze strony szlacheckiej, a szczerość i ofiarność ze strony semickiej. Kombinacja taka mogła się obawiać niezadowoleń, skrzywień; tylko czy zarówno obawiać się mogła zaprzeczeń? Biada autorowi, który schlebia lub spotwarza: przybija on sobie do czoła piętno nikczemnika. Ale biada też autorowi, który mówi prawdę. Autor „Małżeństwa Apfel” bez zaprzeczenia czerpał obustronne szczegóły ze zjawisk rzeczywistych, a jedyny zarzut, jakiby mu uczynić można, odnosi się do szczupłości tych zjawisk, może dotąd nie wystarczających na materjał do uogólnień. Że ci państwo karmazynowi, w bankructwie materjalnem i moralnem, córkę dla ratunku wydając za bogatego neofitę, sprawdzają tylko na sobie stare przysłowie: „kiedy bieda, to do żyda”... i tam dalej, przeciw temu nikt z dobrą wiarą, a bez uprzedzenia spoglądający na życie, słowa zarzutu podnieść nie może; a wszystko, co w tym przedmiocie wypowiada stary Apfel, chrześcjanin z wierzchu, we krwi i mózgu starozakonny, jest tylko streszczeniem opinji; z czego nawet wyzyskujący w ten sposób pomoc żydowską nie robią tajemnicy, tak jak w użytkowaniu nie robią sobie skrupułu. Lecz młody Apfel, ten wzorowy obywatel, przykładny syn, własnym majątkiem osłaniający ruinę ojca, jak Sem własną opończą nagość Noego; kochający mąż, który przez miłość i delikatność dla żony zgadza się odstąpić ją temu, komu ona zdawna oddała serce—młody ten neofita uległ zarzutowi przesady. Wyższy od ojca całym horyzontem umysłu i uczucia, nie dochodzi wysokości tamtego pod względem treści życiowej. Ale ten młody Apfel, który w jakiembądź plemieniu i w jakiejbądź sferze wychowania byłby zjawiskiem rzadkiem, poniekąd romantycznem, jednak nie niemożliwem, konsekwentny jest w swym idealizmie, i do końca utrzymuje się jako postać jednolita. Ojciec i syn, to jakby przeciwstawienie realizmu i idealizmu, dwa charaktery zarówno poważne i poważnie się ścierające. Każdy sąd estetyczny przechyli się na stronę ojca, w którym widzi figurę objektywnie sprawdzającą rysy kreślone ze wzorów żywych, a przeto i bijącą tętnem ogólnego życia; w synu zawadzają subjektywne motywa samego autora. Niemniej, oparta na takich dwóch silnych filarach, budowa całości trzyma się energicznie i tylko w samym końcu chwieje się nieco skutkiem niedość wyraźnie określonego zwrotu w sercu młodej żony bohatera; przejęta gorętszem uczuciem, im dalej, tem więcej interesująca sytuacjami scenicznemi, widocznie wyszła z umysłu autora w chwili najlepszego dotąd natchnienia.

Oba utwory mają tę dla ogółu zaletę, że pobudzają choćby do mimowolnego myślenia widzów, wprowadzają w ruch szlachetne cząstki istoty ludzkiej, skłaniają do zastanowienia się nad sprawami interesującemi ogół, od których kierunku dobro jego zawisło. Za takie bodźce pożytkowe należy się autorom uznanie od wszystkich, nawet od piszących, którzy zdając sprawę, znajdują przecież materjał godny myśli ludzkiej.

Ale też na tych dwóch sztukach ogranicza się ten poważniejszy materjał narodowy, jakiego w ciągu całorocza dostarczył nam teatr nasz stały. Czy podobna? zapytacie; a jednak tak jest. Sami nie wierzyliśmy sobie zrazu, regulując rachunek. Odtąd sztuka kurczy się, a poważniejsza lub mniej poważna, rozchodzi po różnych drogach, zbierać ją będziemy gdziekolwiek zdarzy się w Warszawie.

Ogródek wystawił nam „Lenę”, czteroaktowy utwór p. Marjana Jasieńczyka, treści poważnej, wyróżniony na konkursie. Jest to wprawdzie sztuka oryginalna, lecz w treści i fakturze znać przejęcie się tegoczesnemi wzorami francuskiemi. Zasadę jej stanowi, jak prawie wyłącznie u francuzów, kwestja małżeńska, gdzie dziewica zacna, skutkiem nieoględności i próżności rodziców, dostaje się ostatniemu wyrzutkowi, dlatego, iż ten wyrzutek moralny posiada tytuł hrabiego. Zmuszona gardzić mężem, a przechowująca w sercu dawną miłość z lat dziecięcych, staje ona na rozdrożu bardzo niebezpiecznem, ale psychicznie i moralnie interesującem. Chodzi tylko o to, jak zgodnie z warunkami dramatu wyjść z tego położenia, istotnie dramatycznego. „Lena” czyni wszelkie wysiłki dla utrzymania się na drodze obowiązku i w godności kobiecej, a rozstaje się z mężem wtedy dopiero, kiedy ten doszedł względem niej do ostatecznego zgorszenia i ohydy, i kiedy bez hańby pożycie z nim stało się niepodobnem. Otóż na ten szczyt dramatycznej wyniosłości autor wszedł z całym artyzmem, to musimy mu przyznać; charakter bohaterki nakreślił żywo i sympatycznie, sytuacjami zainteresował, nawet poezją bieg rzeczy prześwietlił: tylko na tej wyniosłości utrzymać się nie zdołał. To, co zawiązały uczucia dobre czy złe, rozwiązuje się już bez ich udziału, w sposób najpospolitszy, przypadkowy: katastrofa, jakiej w chwili bliskiego szczęścia ulegają Janek i Lena, te dwie istoty niewinne, jak Paweł i Wirginja, nie mieści w sobie żadnych żywiołów moralnych ani dramatycznie umotywowanych. Nie było tu więc artystyczne zejście z wyżyny, ale upadek, który się i na scenie uwydatnił. W każdym razie jednak, pierwsza połowa utworu zapowiada pisarza myśli głębszej i rozumiejącego scenę.

Do poważniejszych treścią należy także ułożony na scenę przez pp. Sarneckiego i Blizińskiego „Lekkoduch”, utwór wykrojony z bardzo ładnej powieści pierwszego z tych autorów. Znać też w budowie i prowadzeniu akcji biegłość fachową, pewność ruchów, wydatność kształtów. Ale tego niedosyć dla powodzenia sztuki. Bohater główny, artysta, człowiek życiowo niedość praktyczny, lecz z gruntu szlachetny i przejmujący sympatją w powieści, tu jakoś nie potrafił uwydatnić ani swej żywotności, ani zalet. Przesuwa się on dosyć zimno i sucho wśród intryg czarnego charakteru, lekkomyślności młodej mężatki i kilku dramacików rodzinnych, pomiędzy któremi żywiej tylko akt trzeci zajmuje, przy całości chłodnej, nie ożywionej ani promieniem uczucia, ani głębszej myśli satyrycznej. Jedyną ozdobą, jedyną postacią artystycznie wykończoną jest tu bankier Goldfisz, miłośnik sztuk pięknych, subtelny aglomerat ludzki, na który składa się próżność i chciwość, żydowszczyzna i niezłe serce. Gdyby postać główna doskonałością odpowiadała tej, to przy obfitości motywów, bogatym aparacie scenicznym, i trafnie pomyślanych figurach drugoplanowych, sztuka miałaby towalsze powodzenie.

Zachęcony powodzeniem dwóch sympatycznych braci, „Wicka i Wacka”, pan Zygmunt Przybylski powraca do nich i ujmuje w chwili, gdy są już dojrzałymi mężami. W poprzedniej sztuce widzimy Wacka zakochanym; teraz już on jest ojcem rodziny, przedstawiają się więc nam „Państwo Wackowie”. Nie jest to już ta sama okrągłość i jednolita całość: utwór składa się z kawałków bardzo różnej wartości i nie wszędzie do siebie przystających; treść błaha, ale nie bez ruchu scenicznego. Wacek chce ożenić syna wbrew jego pociągowi, i na tem opiera się oś akcji, której całą ozdobę i wartość stanowią sceny obyczajowe. Pod tym względem najwyżej stoi akt pierwszy. Nader wdzięcznie i serdecznie kreśli autor pożycie swego bohatera z żoną, którą kocha i z którą się przekomarza. Jego przybycie do brata Wicka na jarmark, pohulanka, którą przerywa pani Wackowa—oto co autorowi najlepiej się udało. Jedno tylko w tem jest do zaznaczenia, że o ile te sceny jarmarczne ze szlachtą buńczuczną, krzykliwą, hajdamacką, wiernemi były w młodości takich Wicków i Wacków, czyli około 1840 go r., o tyle dziś wyglądają anachronistycznie: trudno przynajmniej byłoby dzisiaj wyobrazić sobie tę charakterystyczną fantazję po opuszczonych uszach i pochylonej postawie nadwiślańskiego obywatela.

Wykonanie ze wszech miar nie odpowiedziało wybornemu pomysłowi tegoż autora w czteroaktowej jego komedji: „Panna”. Jest to epitet młodzieńca, nadany mu skutkiem tego, że natura zacna i energiczna w gruncie, rozmiękczona wychowaniem papinkowatem, wydaje się powierzchownie mdłą i pozbawioną przymiotów męzkich. Natura ta jednak odzyskuje swą sprężystość pod wpływem zakochania, i młodzieniec, wybrnąwszy szczęśliwie z awantur, w jakie plączą go fałszywi przyjaciele, zyskuje serce ukochanej kobiety. Główna ta jednak figura nie dobywa z siebie samodzielnie tego żywiołu komicznego, jaki zdolne jest wytworzyć przeciwieństwo zawarte w jej pomyśleniu; służy ona zaledwie aktorowi za kanwę, na której snuć on może pewne arabeski w miarę indywidualnego uzdolnienia; bladość innych postaci, zupełny brak charakterystyki i akcji utwór ten wcześnie sprowadziły z pola popisów.

Szkoda i wielka szkoda, że pp. Abrahamowicz i Ruszkowski nie dosyć starannie zużytkowali krotochwilny materjał, zawarty w swej trzyaktowej farsie p. t. „Florek”, którym, jak w dawniejszym ich „Mężu z grzeczności”, jest młody człowiek miękkiego serca. I tutaj też, jak w poprzednio opisanej sztuce p. Przybylskiego, komizm polega na kontraście, nie natury wprawdzie, ale położenia. Ten albowiem miękki Florek, z zarządzenia pewnego nieludzkiego kapitalisty, zmuszony jest spełniać funkcję srogiego komornika względem zubożałego szlachcica, w którego domu rozserdeczniony libacją, poznaje ładną panienkę, i po długich perypetjach otrzymuje jej rękę. Jest to farsa splątana z mnóstwem motywów współrzędnych, pomyślanych zabawnie, ale skomplikowanych niemożliwie; od figury głównej począwszy, przepełniona szarżą, krzykiem, bieganiną, awanturami, mnogością nieporozumień najniepodobniejszych; zda się, przesadzić chciała najmniej ceremonjalne pod tym względem modele swe francuskie. Ale jest tam istotny humor, są sytuacje istotnie śmieszne; rzecz cała, mierzona skalą farsy niższego rzędu, istotnie zabawna; tylko, wykonana snadź zbyt pospiesznie, grzeszy brakiem ładu nawet farsowego i przez to razi, czasami nawet nuży. Gdyby więcej umiarkowania i porządku, przy tak wydatnym podkładzie komicznym i znakomitych konceptach, byłaby jedną z celniejszych krotochwil. A czyby autorowie nie pomyśleli o jakiej korekcie, bo mają tam materjału nawet na kilka osobnych dań.

Do szczęśliwszych zaliczyć też wypada utwór początkującego pisarza, p. Mielnickiego, „Nowy Tersytes”, którego przedmiotem jest zdemaskowanie i schwytanie we własne sidła niecnego intryganta, pragnącego oskarżeniem ukrzywdzić kobietę uczciwą. Autor okazuje poczucie warunków sceny, tworzy z łatwością sytuacje komiczne i wyzyskać je umie. Wprawdzie jego „Swaty na parkanie” słabsze są od poprzedniej sztuki, ale i tu znać drgnienia temperamentu scenicznego.

Nie możemy tego samego powiedzieć o p. Michale Jezierskim, także początkującym, lubo wielce spóźnionym dramaturgu, a poważnym pisarzu w zakresie prozy. Niezrażony niepowodzeniem swej „Djany”, której bohaterką jest suczka, budząca zazdrość w sercu młodej mężatki, fałszywie domyślającej się w niej rywalki dwunożnej, autor wprowadził niebawem na scenę „Farbowane lisy”. Ale są to „lisy” z gabinetu zoologicznego, wypchane i nieruchome. Postaciom tej komedji nie można zaprzeczyć prawdziwości, ale scena nie jest gabinetem i potrzebuje życia.

O takich elukubracjach, jak „Jegomość w eskimosach“ i „Ciężkie czasy“, nie warto nawet wspominać; notujemy je więc tylko dla pełności kroniki.

Interesa krotochwili poparło dopiero „Polowańko” Jordana, w dwóch aktach, które lubo nie należy do arcydzieł i ma osnowę nader słabą, ale po nad jego sylwetkami, wiernie i dosyć zręcznie zdjętemi zpośród dworów szlacheckich, powiewa prawdziwe powietrze wiejskie.

Zaledwie też zaznaczyć możemy jednodniowe istnienie takich przeróbek scenicznych z powieści najdoskonalszych, jak: „Budnik”, „Czarny Matwij”, „Ulana”. Ta ostatnia jeszcze zrobiona najmniej rażąco; ale dwie poprzednie, niezdarne fabrykaty, brzmiące fałszywą deklamacją, lśniące fałszywemi efektami, budzą poprostu wstręt i krzywdę przynoszą pierwowzorom, jako ich parodje. Powodzenie „Chaty za wsią” obudziło snać ten ruch fabryczny, i każdemu zdaje się, że w powieści dobrej a popularnej odkrył dla siebie minę złota. Trzeba być dobrym górnikiem, ażeby taką minę umieć wyzyskać, a i dobremu niezawsze się uda.

I czy to już cały warszawski dorobek roczny? Podobno; chyba gdybyśmy opuścili jaką fuszerkę, których bodaj wcale nie potrzeba było regestrować na przyszłość, bo służą one jedynie do dyskredytowania rodzimej sztuki.

Ale po za tą sztuką rodzimą teatr pracował i na materjale obcym, czego mu w zasadzie wcale za złe nie mamy, byle ten materjał był dobry, a pod dobrym rozumiemy piękny i pożyteczny. Już też z powyższego regestru nietrudno spostrzedz, że materjał krajowy nie starczyłby na potrzebę trzech scen stałych, nie licząc ogródków. Teatr stały jest zatem w porządku, jeżeli o zasiłek udaje się do literatury obcej, a zwłaszcza do nazwisk obiecujących. W tym roku z główniejszych przyswoił naszej scenie Wiktoryna Sardou „Żorżettę”, Dumasa młodszego „Francillon”, nareszcie Feuilleta „Pokusę”. Ta ostatnia, lubo nieco spóźniona z przybyciem, na największe zasługuje uznanie, jako sztuka, rzucająca ziarno zdrowe w pięknej oprawie. Powstali wprawdzie przeciw niej zwolennicy naturalistycznego cynizmu, ale ponieważ oni na szczęście jeszcze nie wyczerpują publiczności teatralnej, miejmy nadzieję, że zwolennicy prawdziwego piękna długo jeszcze pozostawią ten utwór w sferze swego współczucia. „Żorżetta” i „Francillon”, lubo błąkające się po manowcach sofizmatu, dostarczają znowu materjału do gry artystów, i z tego tytułu przysłużyły się scenie, pobudzając ku wyższym ćwiczeniom talenta miejscowe, które nieraz dają nam w tym kierunku istne koncerta. Teatr Mały, swoim zwyczajem, produkował dużo podrzędnego materjału obcego, który, gdyby nie wyborna, po większej części, gra tamecznej upośledzonej rzeszy, mało zasługiwałby na wspomnienie, z wyjątkiem przeróbek p. Śliwińskiego, jak naprzykład „Nad przepaścią” lub „Z przyjemnością”, które korzystnie sterczą nad tą powodzią.

A cóż dla dramatu zrobił w tym roku teatr Wielki? Ano, nic; mamy go za wytłómaczonego. Ta powściągliwość da się usprawiedliwić dwiema przyczynami. Nasamprzód, publiczność warszawska, a zwłaszcza lożowa, za utworami wzniosłej kompozycji nie przepada, a przecież instytucja, która żyje z dorobku, musi jednem okiem patrzeć na scenę, a drugiem na kasę. Powtóre, choćby nawet publiczność wytworniejsza dała się przeprosić utworom wzniosłym i miała dla nich choć połowę tej sympatji, jaką ma dla operetki, jeszcze pytanie, czy ta publiczność byłaby zadowoloną z wykonania tych utworów wzniosłych na scenie. Ponieważ utwory takie wychodzą zwyczajnie po za obręb życia powszedniego i wkraczają więcej w sferę ideału, toż i nastrój wykonawców powinien być niepowszedni i idealny. A czy to tak łatwo nabyć tego nastroju, bez narażenia naturalności, jeżeli, naprzód, niema potemu zasad, a powtóre praktyki? Przerzucić się z „Domu otwartego” do komnat, drżących pod powagą majestatów siły, to nie równy zachód, jak z fraka przebrać się w zbroję lub togę. Trzeba ten majestat mieć w sobie, albo w sobie go wyrobić, w sposób, nad którym na scenie mało kto zadaje sobie pracę.

Kazimierz Kaszewski.

Jak sen.

—come il sogno...
Barilli.

I.

Kto z nas nie przeżył, czy sam, czy we dwoje,
Jakiejś godziny szczęścia, jakiejś chwili,
Od której dawno zamknięte podwoje
Sen chyba nocy wiosennej uchyli?

Kto z nas nie słyszał, jak żądz biją zdroje,
Jak wylatuje rój marzeń motyli,
By nad samotną i płonącą głowę
Rozwiewać ciche girlandy tęczowe?...

. . . .

Kto nie potrąca na ścieżce swej nogą
Dawno rozwianych róż i zwiędłych liści,
Co w sercu ożyć i przemówić mogą
Głosem miłości, albo nienawiści?
Kto zawsze mędrcem był pod swoją togą?
Gdzie są ci ludzie, tak zimni i czyści,
Którychby dusza nie miała wspomnienia,
Co żarem bije w twarz—i zarumienia?...

. . . .

W najbielszej celi najbielszego mnicha
Jest okno, którem woń wiosny zalata,
A ziemia pod niem płodzi i oddycha,
I gniazdo lepi ptaszyna skrzydlata...
W najbielszej celi zapada noc cicha,
Przed której czarem nie chroni i krata,
A sny—wiadomo—nie zawsze iść mogą
Zawarowaną kanonami drogą.

. . . .

One latają, jak białe te puchy,
Które wiatr w maju z jabłoni rozwiewa,
A moc nad niemi mają mnogie duchy,
A każdy z duchów brzęczy, lśni się, śpiewa,
Rzeczy związanych rozrywa łańcuchy,
I przed oczyma stawia rajskie drzewa,
Na których widok nie każdy zwycięża
Pociąg do jabłek wzbronionych—i węża.

. . . .

Może to złe jest i mało moralne,
Lecz za to prawdą najgłębszą prawdziwe.
Na co się zdadzą te bajki szpitalne,
Co darmo chłoną i czas, i oliwę,
Ucząc nas, jak są marzenia fatalne,
I jak to noce bez snów są szczęśliwe—
Póki choć jedno serce będzie biło
Żarem tęsknoty, młodością i siłą?

. . . .

Dawno to, przecież dotąd widzę jeszcze
Książkę, na morskim porzuconą brzegu.
Wiatr, co przez fale siał srebrnych skier deszcze.
Rozwiał ją nakształt lekkich płatków śniegu;
A mewa, krzyki wydająca wieszcze,
Co sobie w skałach szukała noclegu,
Biła po nad nią w dwa skrzydła otwarte,
Na welinową cień rzucając kartę.

. . . .

A pod ruchomym i lekkim tym cieniem
Widniały zgłoski w języku Ariosta.
I zaraz mogłeś ogarnąć spojrzeniem
Napis tak prosty, jak rzecz sama prosta:
„*Come il sogno*”. Tu czuję ze drżeniem,
Że mnie Zoilus w kontuszu wychłosta,
Porwie, oskarży i skaże na grzywny
Za tema obce—i przedmiot tak dziwny.

. . . .

Lecz cóż ja winna, że z włoskiej gdzieś willi,
Biegnąc do morza, pływaczka nieznana
Rzuciła na brzeg ten tomik idylli,
Co skrzył i szumiał, jak kielich szampana?
I cóż ja winna, że signor Barilli
Wiedział, jak róża, purpurą nabrana,
Pęka—i szkarłat tajemny rozchyla
Dla przelotnego o brzasku motyla?

. . . .

Wyznaję owszem—choć może to grzechem—
Żem się tą książką poiła z godzinę
Pod dniem gasnącym już—a więc z pośpiechem,
Bo fale mroczne stały się i sine,
I o brzeg biły bardzo smętnem echem,
A ptak, co skalną zamieszkał szczelinę,
Już się ponocną obwołał pobudką,
I włoch czarniawy stał—i czekał z łódką.

. . . .

Dziś, gdy wspominam powieści osnowę,
To słyszę morza szum, i róże widzę
Lekkich chmureczek, rzuconych nad głowę,
I maszt srebrzystej podobny łodydze,
A nad nim płótna pod zorzą tęczowe,
I te światełka, co jak ostrowidze,
Z marmurowego patrzają wybrzeża,
I czuję włoską noc, jak idzie świeża...

. . . .

Więc niby bajka, złotem malowana,
Pełna różanych świateł, co się sączą
Z przechylonego róż wieczornych dzbana,
I mar, które się w pocałunkach plączą
I rozplątują—powiewne—do rana,
Pod mgły i rosy perłową opończą—
Ta mi się powieść w pamięci została:
Przez pół w płomiennych łunach—przez pół biała.

. . . .

Po górach dzisiaj i lasach błądząca,
Znów o niej myślę bez woli i chęci:
Tak piosnka, kiedyś słyszana, potrąca
Pełną drgnień harfę echową pamięci,
Tak twarz dojrzana przypadkiem z tysiąca
Rysami swemi do myśli się wnęci—
I będzie wodzić oczyma za tobą,
Póki się z żywą nie spotkasz osobą.

. . . .

Więc żeby przerwać te halucynacje,
A także może z innego powodu
(Najistotniejsze zataja się racje—
Rzecz dyplomatom wiadoma zachodu),
Pragnę w króciuchną tu zamknąć narrację
Tę powieść, która wcale nie jest z lodu,
Lecz z alabastrów raczej, gdzie wstawiono
Płomień, co w różę zamienił im łono.

. . . .

Signor Barilli! ty chciej mi przebaczyć,
Że, jak jedwabnik o listki morwowe,
Przyszłam się piórem o ciebie zabaczyć,
I ciągnąć moje włókienka tęczowe
Przez postaw obcy, co mógłby się paczyć,
I mógłby zepsuć roboty połowę,
Gdybym nie była od książki daleką
Za siódmą górą i za siódmą rzeką.

. . . .

Lecz teraz siebie zapomnieć przymuszę,
Że powieść twoja istnieje na świecie.
Postaciom twoim dam własną swą duszę,
I w fantastyczne przystroję je kwiecie,
Wykąpię w rosach i w słońcu wysuszę,
I tak postawię—rzecz wolna poecie—
Jakby raz pierwszy dotknęły się ziemi
Końcem stóp białych i skrzydły lekkiemi

. . . .

Jeśli się rzecz ta przytrudną okaże,
Jeśli dech stracę w tym nowym mi locie,
Pójdę przed twoje miesięczne ołtarze,
O nocy, w perłach chodząca i w złocie,
Ty, która niesiesz w twej mglistej symarze
Roje snów lekkich, podatnych pustocie,
A czasem tęskna jesteś—czasem chmurna.
Jak wiatr, co śpiewa mogiłom nocturna.

. . . .

Ha! jakie echo... Więc nigdy nie zgłuszę
Tej jednej struny, co drży i co płacze?
Więc mi już zawsze zwróconą mieć duszę
I wyciągnięte dwa skrzydła tułacze
Tam, tam, na północ? Więc wiecznie być muszę,
Jak ten kruk czarny, co leci i kracze,
I przez błękitność dnia wlecze za sobą
Cień, padający na ziemię żałobą?...

. . . .

Więc zawsze?...
Cisza—głos zniknął w oddali,
W mglistej oddali gór... Zanim doleci
Tam, gdzie samotna ta gwiazda się pali
Nad wielką nędzą i winą stuleci,
Zanim mnie przyjdzie zatopić w swej fali
Płacz pogrobowo narodzonych dzieci,
Zanim mnie chwyci duch, który—przeklinam!
Chcę spocząć, śmiać się, śpiewać... Już zaczynam.

. . . .

Marja Konopnicka.

CZTERY CHWILE ŻYCIA.

I.

Wszyscy rówieśnicy moi pamiętają dobrze, z jaką radością powitaliśmy nową na horyzoncie poetycznym gwiazdę, która w „Pieśni o ziemi” wszystkie serca tak potężnie wstrząsnęła...

Nie było towarzystwa, gdzieby nie czytano lub nie deklamowano—i to najczęściej z pamięci—prześlicznych wyjątków z tego poematu.

Ja w owym czasie nie znałem zupełnie autora „Pieśni”, ale nasłuchałem się o nim mnóstwa najpochlebniejszych rzeczy od K. S. Bodzantowicza i brata jego, Stanisława, z którymi Pol w bliskich pozostawał stosunkach. Tym więc sposobem, nie znając pieśniarza, już go kochałem i z niecierpliwością oczekiwałem chwili zbliżenia się do niego...

W r. 18.. otrzymałem list, a nie mogąc ani z pisma, ani z treści rozpoznać ręki autora, rzuciłem ciekawie okiem na podpis i z najwyższą radością przeczytałem u dołu karty: Wincenty Pol.

W liście tym poeta z góry przepraszał za to, że choć nieznany mi osobiście, obarcza mnie swoją prośbą. Prośba owa polegała na tem, abym rozmówił się ostatecznie w jego imieniu z księgarzem warszawskim, Friedlejnem, w sprawie wydania przez tegoż utworów pieśniarza.

Rozumie się, żem natychmiast udał się do Friedlejna i starałem się wywiązać z tego polecenia jaknajlepiej, to jest z jaknajwiększą dla autora korzyścią. O rezultacie zawiadomiłem natychmiast poetę, dziękując mu za położone we mnie zaufanie i prosząc, aby i nadal zwracał się do mnie ze swemi poleceniami, gdyż tem największą wyświadczy mi przyjemność.

I to stanowi właśnie pierwszą z owych czterech chwil ku której często zwracam się dziś wspomnieniem.

II.

Jak corocznie, tak też i w r. 18.., warszawskie Towarzystwo dobroczynności urządziło loterję fantową na biednych, w Saskim ogrodzie.

Pomiędzy wspaniałemi namiotami odznaczał się jeden szczególniej w środkowej alei, w którym przy kwiecistych bukietach zajęła miejsce ś. p. księżna Cz. wraz z córką swoją, księżniczką J..., również już nieżyjącą, a zgasłą w najpiękniejszym lat swych rozkwicie.

Obszerny ogród roił się od natłoku przechodniów. Różnorodne barwy eleganckich strojów przesuwały się przed oczyma w najrozmaitszych kierunkach; wszystko, co Warszawa posiadała najpiękniejszego, snuło się pod prastaremi kasztanami.

Jako członek Towarzystwa dobroczynności, wydelegowany zostałem do wspomnianego namiotu, nie opuszczałem go też ani na chwilę, zwłaszcza, że był on dla mnie najdogodniejszą pozycją do notowania wszystkich godniejszych wspomnienia w *Kurjerze* szczegółów.

Naraz przychodzi jakiś mężczyzna, wyglądający na obywatela wiejskiego, i, pokłoniwszy się damom, prosi o kilka biletów, ale „takich, które wygrywają..."

Księżniczka J., uśmiechnąwszy się z tego zastrzeżenia, podaje mu paczkę biletów, prosząc, ażeby wybrał sobie jaknajlepsze i zapewniając mu w takim razie wygraną.

Obywatel uczynił zadość jej życzeniu i oświadczył, że raz jeszcze powróci dla zdania sprawy z obrotu fortuny. Jakoż po niejakim czasie zjawia się przed namiotem i oświadcza, że fortuna, jak była zawsze, tak i teraz jest ślepą, bo go nie obdarzyła najmniejszym fancikiem.

— Ale mam ja na nią sposób—dodaje, a mianowicie proszę panią, abyś była tak łaskawą i sama własną ręką wybrała bilety. W ten sposób wywiodę fortunę w pole i zdobędę pożądane fanty...

Księżniczka chętnie spełniła to życzenie i obywatel, wziąwszy bilety, zabierał się już do odejścia, gdy w tejże chwili nadchodzący szambelan, ś. p. Skibicki, uprzejmie się z nim przywitał i zamienił słów kilka.

Widząc, że się już z sobą rozchodzą, zwróciłem się do szambelana z zapytaniem, kto jest ów obywatel? Szambelan spojrzał na mnie z pewnem zdziwieniem, mówiąc:

— Jakto? pan go nie zna?... przecież to Wincenty Pol, słynny nasz poeta. Wprawdzie dopiero dziś rano do Warszawy przyjechał, nie mógł więc nikogo dotąd wizytować, ale przecież pan powinien go znać!...

— W istocie—odrzekłem—znam go bardzo dobrze, ale, jak dotąd, tylko z korespondencji, jaką prowadzimy ze sobą, osoby zaś jego nigdy nie widziałem. Zresztą niezadługo tu wróci, bo nam to przyrzekł, więc zaraz się z nim rozmówię.

— W takim razie—rzekła księżna—bądźże pan tak łaskaw i wprowadź go do namiotu, gdyż i my również bardzo pragniemy go poznać.

Nie długo czekaliśmy, bo wkrótce ujrzałem poetę, jak dążył do nas, cały rozpromieniony, z uśmiechem na ustach, albowiem z owych czterech biletów, dwa mu dopisały i wygrały dwa fanty.

Kiedy już znajdował się blisko namiotu, wyszedłem na jego spotkanie i, przystępując doń, rzekłem:

— Wszakże mam honor mówić z panem Polem Wincentym?

I zaraz też sam się przedstawiłem, wymieniając swoje nazwisko.

Na te słowa ulubiony pieśniarz otwiera ramiona mówiąc:

— A pozwólże mi, drogi panie, ażebym was po bratersku uściskał.

W odpowiedzi na to i ja podobnież otworzyłem ramiona i od razu znaleźliśmy się w serdecznym uścisku. Przy tej sposobności szepnąłem mu, że te damy są matka i córka książęce Cz., i że pragną go koniecznie poznać, więc należy mu wejść do namiotu.

— Ależ, na Boga—odrzekł z zakłopotaniem—jakże ja się im przedstawię w takiej wiejskiej kapotce.

— Nie idzie tu—odrzekłem—o waszą toaletę, ale o waszą osobę—i biorąc go pod rękę, wprowadziłem do namiotu.

Obie damy przyjęły znakomitego poetę z wrodzoną uprzejmością, przyczem księżna, w imieniu swojem i córki, dodała:

— Dotąd znałyśmy pana z prześlicznych pańskich poezyj, dziś równą przyjemność sprawia nam poznanie twórcy tych poezyj...

III.

Przy rozstaniu się w ogrodzie zagadnął mnie poeta:

— Gdzie i w jakim czasie mam się stawić u was, abyśmy mogli pogawędzić ze sobą swobodnie i abym mógł podziękować wam, że tak do serca wzięliście moją prośbę listowną.

— Ponieważ jutro—odrzekłem—jest niedziela i *Kurjer* nie wyjdzie (w owych czasach nie wychodziło żadne pismo w niedziele i święta), więc przyjdźcie do mnie rano, to będziemy mieli dość czasu do nagadania się wzajemnego.

Tak się też stało. Już przed jedenastą rano był w moich progach, a przy pogadance poprosiłem go, jak o łaskę, ażeby na pamiątkę bytności w mojej siedzibie, raczył mi podyktować jakiś, choć kilkunastowierszowy wyjątek z nowych utworów, nieznanych jeszcze publiczności.

Na te słowa, pomyślawszy nieco, rzekł:

— Mam ci ja wprawdzie już prawie na ukończeniu „Pieśń o domu", ale nie wziąłem ze sobą rękopisu, więc nie wiem, czy mi pamięć dopisze... W każdym razie sprobuję, pragnąłbym bowiem z całego serca wyświadczyć wam choć tę bagatelną przysługę.

I wkrótce popłynęła z ust jego w wyjątku „Pieśń" i przelała się na papier.

Nazajutrz pamiętny dla mnie ów wyjątek został wydrukowany w *Kurjerze...*

Była to trzecia z kolei, a najprzyjemniejsza chwila z czterech, których krótkie dzieje tutaj opowiadam.

IV.

Rzecz prosta, że skoro taki pieśwca bawi w Warszawie, to *antiquo more* wyprawić trzeba dla niego ucztę, czyli obiad ogólny w resursie kupieckiej, która podówczas z całą gościnnością otwierała swe podwoje dla wszystkiego, co wzniosłe, szlachetne lub gienjalne.

Osób zebrało się na owej uczcie ze dwie setki; a o toastach nawet nie wspominam, bo te sypały się zawsze, jak z rogu obfitości—dla takich rozumie się, którzy, czy to zasługą, czy trudem, czy piórem lub pędzlem zdobyli sobie prawo do miłości publicznej.

Ta wspólna biesiada była czwartą i ostatnią chwilą!

A dlaczego ostatnią?... Bo tak nam było sądzone. Odtąd bowiem losy nie pozwoliły mi ani razu zejść się z ukochanym poetą, a każdy z czytających to skromne wspomnienie o wielkim i ukochanym poecie, łatwo pojmie, jak głęboko odczułem wiadomość o jego śmierci—wiadomość, która nakształt gromu uderzyła we wszystkich i lotem błyskawicy obiegła kraj cały, okrywając go kirem niekłamanej żałoby!...

Karol Kucz.

W nowym Rzymie.

(Wyjątek z listu.)

...O sprawach bieżących nie donieść ztąd nie mogę, bo żyję tylko w dawnych czasach i z samymi tylko zmarłymi rozmawiam.

Wczoraj byłem w cyrku, gdzie, oprócz bardzo wykształconych koni i psów, występowała także autentyczna księżna ***, z instrumentem muzycznym.

Cyrk ten jest w *Mausoleum Augusta.*

Założyciel cesarstwa rzymskiego ten gmach cyklopowy wystawił, jako prawdziwy cud świata i jako *nekropole divae gentis Juliae.*

Dziś w tej nekropoli skoczki, malpy i estradowe księżuiczki.

Welche Wendung!—powiedziałem sobie z Wilhelmem, a dalej, marząc, widziałem „oczyma duszy" wielki pałac Bismarka na Wilhelmsplatzu, przemieniony także na cyrk, z podobnemi, jak w Mausoleum Augusta, dziwami.

Sięgałem myślą wieku XX-go lub XXX-go.

Ale nam ledwo że o zbliżającym się nowym roku 1888-ym myśleć wypada.

Więc zasyłam... serdeczne życzenia!

J. K.

Notatka z podróży.

(Najciekawsze zakłady szwedzkie: slöjdowe — hala rybna— pralnia wzorowa — przytułek dla pozbawionych bytu — żłobek—szkoły służących i kalek.)

Göteborg na brak szkół nie może się uskarżać. *Szkół wiejskich* w 1885-ym r. było 270, mianowicie: a) ludowych męskich 61; b) żeńskich 59; c) mieszanych 3; d) szkółek 121; e) szkół dopełniających 26. Do wszystkich wymienionych uczęszczało 10,200 dzieci, mianowicie: a) do ludowych (w wieku 8—14 lat) 5,700; b) do szkółek (w wieku od 6—12 lat) 3,300; c) do szkół dopełniających (w wieku od 12 do 16 lat) 1,100 uczniów. Oprócz tego w szkołach innych nazw, mianowicie: w różnych prywatnych lub instytutowych, w 2 ochronach (razem 40 dzieci) w 3 przygotowawczych (razem 500), wreszcie w 3 szkołach z zakresem gimnazjalnym (razem około 500) i w 2 takichże zakładach dla panien (razem 284) znajdowało się dzieci do 3,000. Ogółem więc liczba uczącej się młodzieży w niższych średnich zakładach naukowych Göteborga wynosiła około 13,000 dzieci, od 6—16 lat wieku, na 76,000 ludności.

Zwiedziliśmy dwie szkoły ludowe, w których oprócz sal klasowych, mieszczą się jeszcze sale robocze z rozlicznemi warsztatami.

W pierwszej z nich, zajmującej ogromny, na wzgórzu położony budynek (własność szkoły), dół i drugie piętro zajęte są na warsztaty stolarskie i ślusarskie wraz z obszerną kuźnią; na pierwszem piętrze mieszczą się sale klasowe; na poddaszu skład materjałów.

W drugiej, mieszczącej się także we własnym gmachu, urządzone są na piętrze klasy, dół zaś i wysokie sutereny zajmują warsztaty stolarskie, tokarskie, blacharskie, kołodziejskie, stelmachskie a wreszcie smolarnia.

Ztąd udaliśmy się do magazynu wyrobów szkolnych, a także domowych (Husslöjd). Zajmuje on trzy pokoiki. W jednym, obszerniejszym (po jednej stronie sień) urządzono rodzaj sklepu; w dwóch pozostałych—jeden stanowi gabinet inspektora Slöjdu; drugi służy za skład osobliwszych lub droższych wyrobów. A czego tam w sklepie niema?... Młotki, siekierki, cążki, łopatki, haczyki, pudełka, skrzynki, szkatułki, puszki blaszane, sitka, tarki, łejki, taborety, stoliki, kolebeczki, koszyki, podstawki, wyroby drobne toczone, strugane, dłubane i t. p. Niektóre z czystego, jednolitego materjału, inne z materjałów mieszanych (żelazo pełne, blacha, drut, gałązki, ziarnka itp.), inne wreszcie malowane, albo inaczej ozdabiane. A już w porze przedkolędowej (w jakiej magazyn zwiedzałem) znalazło się mnóstwo specjalnego wyrobu, jak: drzewka gwiazdkowe, lalki, figurki, cacka, sprzęty dla lalek, małe wózki i saneczki, domki, teatrzyki, szopki itp.

Sprzedaje się to pod kontrolą, na rachunek szkół, a z zabezpieczeniem niewielkiego procentu na rzecz dzieci, które przedmiot dany wyrobiły, albo też osób, dostarczających tu własny wyrób domowy (o ile nie składają go na ofiarę dla szkoły)...

W Göteborgu zaprowadzono w szkołach Slöjd w znaczeniu rzemiosła, nie zaś jednego z przedmiotów ogólnie kształcących; zajęto też młodzież obrabianiem różnorodnego materjału, nie zaś wyłącznie jednego, mianowicie drzewa, jak tego wymaga ogólnie w Szwecji popierana metoda Nääska (Träslöjd). W warsztatach szkolnych, prowadzonych pod bezpośrednim kierunkiem majstrów fachowców (a pod zwierzchnim kierunkiem pedagogów), robota wre, kipi; dzieci zaś uwijają się raźno i zwinnie. P. Rubenson, znany w Szwecji, a nawet po za jej granicami współredaktor ruchliwego pisma *Hindels ock Sköps-Tidning*, mówił mi, że zaprowadzenie w szkołach ludowych podobnego rodzaju Slöjdu wywarło olbrzymi, a pożądany wpływ na uczęszczanie dzieci do szkoły, a także na ich ochotę do pracy. Podobnie prowadzona nauka ręcznych robót daje następujące korzyści:

1) dozwala dziecku z wielu bardzo odmian rzemiosła wybrać, a choćby trafić na taki rodzaj zajęcia, jaki najbardziej odpowiada jego usposobieniu i wrodzonym zdolnościom;

2) daje początki i zasady danego rzemiosła w porządku systematycznym i według wymagań praktyki fachowej, a więc zastępuje pierwsze smutne tygodnie i miesiące terminu;

3) że przy ochoczem zajęciu się dzieci wybranem przez nie same rzemiosłem pozwala im w krótkim czasie wykonać to lub owo z reparacyj, albo robót domowych, wobec czego rodzice, widząc już gotowe owoce pracy swych dzieci, coraz chętniej posyłają je do szkoły.

Ostatnie zdanie dla zwiedzającego Göteborg staje się prawdą w oczy bijącą: na ulicach miasta, w porze zajęć szkolnych, trudno spotkać dziecko (nietylko ulicznika) i zdaje się, jak gdyby miejscowość została z dzieci wyludnioną.

P. Maurycy Rubenson jest członkiem a nawet inicjatorem wielu stowarzyszeń; nic dziwnego, że nie zapomniał w rozmowie o te sprawy potrącić.

„Göteborg stoi ne filantropji i stowarzyszeniach." W samej rzeczy mnóstwo tu rozliczych *Säl skop* (towarzystw), *Föreningen* (stowarzyszeń), *Aktienbolaget* (spółek udziałowych). Towarzystwo odziewania biednych dzieci dopomagania podupadłym rodzinom, towarzystwo gwiazdkowe, popierania domowej pracy, domowego gospodarstwa; stowarzyszenie pokojówek (frautimmer-föreningen), slöjdowe, handlowe i t. p.; a już magazyny, składy, fabryki stanowią po większej części aktien-bolaget.

Ruchliwy też żywot mieszkańców tego młodziutkiego miasta (Göteborg, założony w r. 1620-ym, rozwijać się zaczął dopiero w końcu zeszłego i w początkach bieżącego wieku). Na głównych ulicach nie widać takiego zaludnienia, jak w Stockholmie, ale za to, niby w Stockholmie niema tego ruchów, spokój rozmawiających, pewna powaga na twarzach—tu swoboda poruszeń, ożywienie na twarzy, gwarność w rozmowie; szczególniej też w sklepach, na rynkach, w przystani, wreszcie na kanałach, któremi miasta w kilku kierunkach przerznięto.

A ile publicznych zebrań?

Pan R. zaprosił mnie odrazu na trzy wieczory zrzędu: do loży massońskiej (przed rozpoczęciem narad), na posiedzenie towarzystwa literatów i na zebranie jakiegoś kółka damskiego.

Na żaden wieczór nie wybrałem się; ale za to w ciągu dnia skorzystałem z uprzejmości mego przewodnika i opiekuna i zwiedziłem z nim, lub choć po wierzchu zapoznałem się z niektóremi instytucjami całkiem, lub w części filantropijnemi, z których bardziej zasługują na uwagę następujące:

1. *Fiskhala*—halla do sprzedaży ryb — ogromny budynek, oszklony, nad brzegiem *Rosenbendskanal*, dokąd od morza i od rzeki Gaty przybywają statki ze świeżemi rybami, a więcej jeszcze suszonemi—wystawiony przez osobne towarzystwo. Zaprowadzono tu wszelkie urządzenia, mogące zapewnić wygodę dla sprzedających i kupujących i zabezpieczyć zdrowotność powietrza tak w pobliżu, jak i wewnątrz samej halli. Nie zachodziłem do środka; ale stojąc w odległości kilkudziesięciu kroków, w kierunku wiatru, pomimo, iż jestem bardzo wrażliwy na zapach ryby, nie mogłem odczuć jej sąsiedztwa.

2. *Rouströmska-bad*—zakład kąpielowy, w połączeniu z pralnią wzorową przy Södra Alle-gotau. Ogromny gmach o 2-ch piętrach i 2-ch poprzecznych, łączących oba fronty, oficynach, z budynkiem maszyn pośrodku. W jednym z frontów kąpiele klasy 1-ej, po jednej stronie dla mężczyzn, po drugiej dla kobiet. W drugim — podobnież rozłożone kąpiele 2-ej i 3-ej klasy. W prawej oficynie: kąpiele rzymskie, rezerwoarowe, parowe i fińskie; w lewej—pralnia ze wszystkiemi przyborami. Bilet do 1-ej klasy kosztuje $^1/_2$—$1^1/_2$ korony (26—80 kop.); do 2-ej klasy $^1/_2$ kor.; do 3-ej $^1/_4$ kor. W przepisach powiedziano, iż bilet kupiony służy dla danej osoby lub rodziny na cały rok od daty kupienia; że z wanny korzystać może tylko jedna osoba dorosła lub dwoje dzieci nie starszych nad lat 12, albo dorosły z 8-letniem dzieckiem (ale bez zmieniania wody, raz użytej); że widocznie pijani nie mają wstępu, chorzy zaś, tembardziej z chorobami skórnemi lub udzielającemi się, mogą korzystać li tylko ze świadectwem lekarza i to w oddzielnie wyznaczonych pomieszczeniach; że psów pod żadnym pozorem nie wolno wprowadzać; nakoniec, że do zaleceń służby należy się stosować, w razie zaś niesłuszności z jej strony, zwracać się z zażaleniami do zarządu.

Przy otwieraniu zakładu (zdaje się w 1878 r.) kierowano się głównie chęcią dostarczenia biednej ludności okazji i sposobu utrzymania w czystości własnego ciała i bielizny. Myśl tę propagowano i ustnie i za pomocą prasy, a nawet osobnych broszur; nic też dziwnego, że w ostatnich czasach wydawano po 8,000 kąpieli tygodniowo, a do 35,000 w ciągu miesiąca.

W pierwszym roku po otwarciu, fundusz, osiągnięty ze sprzedaży biletów, okazał się niewystarczającym na pokrycie rozchodu, tak, iż towarzystwo musiało coś dołożyć; w następnym jednak zaraz roku okazała się przewyżka w dochodach, która tak rosła, iż w r. 1883-im przybudowano brakujący do owego czasu drugi front i tym sposobem uzupełniono gmach i doprowadzono go do rozmiarów, pierwotnym planem zakreślonych. W r. 1885-ym z oszczędności zebrało się tyle, iż zamierzono zbudować drugi podobny zakład w innej części miasta.

3. *Czasowy przytułek dla pozbawionych bytu.* Zdarzają się nieszczęścia wyjątkowe, fatalności losu, pozbawiające naraz człowieka najniezbędniejszych warunków istnienia, czyniące go odrazu nędzarzem—bez jego winy. Pożar, po którym pogorzelec ocalić zdołał zaledwie życie, długotrwała choroba w domu, sprowadzająca utratę zajęcia i wyczerpanie wszelkich zasobów do ostatka; upadłość handlowa, spowodowana złą wiarą dłużnika i t. p., postawić mogą człowieka w takiem naraz położeniu, że ani co zjeść, ani czem się odziać, ani nawet schronić się gdziekolwiek nie ma możności. Dla takich to biedaków osobne towarzystwo założyło przytułek, w którym mogą oni znaleźć bezpłatne pomieszczenie i utrzymanie aż do czasu wyszukania sobie zajęcia, odzyskania utraconych chwilowo funduszów i w ogóle do czasu znalezienia nowych warunków bytu. Towarzystwo łoży na koszta utrzymania przytułku, starając się o coraz pomyślniejszy rozwój tej instytucji, a jednocześnie przez szerokie stosunki stara się osobom, czy rodzinom podupadłym, wynajdywać odpowiednie zajęcie. Nie zwiedzałem samego zakładu, nie czytałem też właściwej ustawy; z opowiadania jednak p. Rubensona wydało mi się, iż w etacie utrzymania pensjonarzy są pewne różnice, odpowiednie do różnicy stanu, z jakiego petenci pochodzą, i że w wynajdywaniu dla nich zajęcia towarzystwo stara się o zdobycie dla każdego pozycji, ile można pokrewnej z tą, jaką w lepszych czasach zajmował.

4. ***Żłobek dla małych dzieci i szkoła służących*** mieszczą się w domu własnym, położonym w prześlicznej, wzgórkowatej miejscowości (zdaje się na przedmieściu Haga). Od wejścia na lewo jedna duża sala przeznaczoną jest na żłobek, w którym w danej chwili znajdowało się około 20-tu dzieciaków, 2—3-letnich, pod nadzorem głównej gospodyni i 6-iu nianiek. Patrzącemu na tę salę obszerną, wysoką, widną, zaopatrzoną w bieluteńko zasłane małe łóżeczka, na czyściutkie krzesełka i stoliczki, na to pędractwo, plączące się pod nogami, czepiające się sukni opiekunki i paplające lub śpiewające, ze swobodą w ruchach, z wesołem spojrzeniem—aż się dusza raduje.

Na prawo od wejścia mieszczą się sale i izby, przeznaczone na zajęcia praktyczne dziewcząt, kształcących się na przyszłe służące. Znajduje się tu kuchnia, piekarnia, pralnia, suszarnia, magle i t. p. Kuchnia dostarcza przedewszystkiem jedzenia dla żłobka i dla wszystkich miejscowych—po za tem zaś dla biednej ludności po cenach możliwie najniższych i dla uczącej się niezamożnej młodzieży — bezpłatnie. Pralnia przyjmuje bieliznę mniej więcej na tych samych warunkach. Porządkowanie wszelkie, jak niemniej obsługa całego zakładu należy do obowiązków wychowania zakładu. Stanowią one partję (nie wiem, jak liczną) młodych dziewcząt, które po skończeniu szkoły ludowej i dojściu do lat 16-tu wieku, przechodzą do tego zakładu, aby się wyuczyć gospodarstwa praktycznego w całem jego rozwinięciu. Wszystko tu, ile można, najstaranniej dobrane: sale i izby widne, przestronne; przyrządy udogadniające lub ułatwiające pracę, spotyka się w każdym oddziele; wygląd lokalu i sprzętów, jak niemniej samych pracownic, ich przełożonej i jej pomocnic—przyzwoity, nawet pociągający.

Jak zaś prowadzonym musi być zakład, lepiej nad wszystko przekonywa fakt, iż do owej szkoły zamożniejsi, a nawet bogaci rodzice zapisują swe córki, zwykle na krótko przed wydaniem ich za mąż. Opłata od takich praktykantek dość jest wysoką, wynosi bowiem 300 koron za 4 lub 5 miesięcy, za co, oprócz nauki, otrzymują one (przy pełnieniu czynności na równi z innemi) całodzienne wyżywienie i pomieszczenie oddzielne na piętrze w małym pokoiku na jedną osobę lub w większym na dwie osoby.

Cały osiągany dochód z robót, zamawianych w zakładzie, z opłaty od bogatych panien (biedne nie wiem czy płacą), wreszcie z procentu od zapisanych kapitałów — idzie na rozszerzenie zakładu, albo w przyszłości pójść ma na urządzenie tegoż w innej części miasta.

Początek swój instytucja zawdzięcza jakiemuś bogatemu filantropowi; w dalszym ciągu znaleźli się naśladowcy, a w r. 1884-ym znów jakiś dobry człowiek zapisał na rzecz zakładu 100,000 koron.

W ciągu 10 lat istnienia zakład wypuścił 220 dziewcząt, wykształconych na kompletnie uzdolnione różnego rodzaju służące, z których wszystkie znalazły mniej lub więcej pomyślną przyszłość, oprócz dwóch, które znowu poszły na złą drogę.

5. *Sala robocza kalek* — jest to zakład (bardzo szczupłych rozmiarów) przeznaczony dla wszelkiego rodzaju kalek na wykształcenie ich w jakimkolwiek rodzaju pracy i przygotowanie do zdobywania sobie własnym trudem chleba. Mieści on się wszystkiego w 2-ch pokojach i zostaje pod kierunkiem jedynej kierowniczki i jej pomocnicy. Wszystkich wychowańców zastałem 10 osób, mianowicie: W pierwszym pokoju, przy dość długim stole, siedziało siedmioro. Jeden garbaty dwustronnie i jeden o krzyżu do połowy ciała sparaliżowanym; rznęli krajkę i pasy starego sukna, które następnie, uczepione końcami na odpowiedniej ruchomej ramie z góry na dół, z uwzględnieniem kolorów pożądanego desenia, dają się przeplatać poprzecznie—z czego ostatecznie wyrasta chodnik, albo derka, nawet dość ozdobna. Jeden z paraliżem w nogach (łotr, który za zdrowych czasów umiał sięgać do cudzych kieszeni) i jeden z lewą ręką bezwładną, zajęci byli robieniem szczotek (ostatni prowadził robotę prawą ręką, przytrzymując szczotkę piersiami, przez przyciskanie jej do blatu stołu, a od czasu do czasu chwytając ustami szpagat przeprowadzany przez odpowiednią dziurkę szczotki). Jeden o skrzywionej figurze i o suchej lewej ręce wyrzynał jakąś ornamentową ramę, umocowaną w osobnej podstawie. Wreszcie dwie dziewczyny, z których jedna o bardzo szpetnej twarzy, nie wiem już jak, ale niewidocznie ułomne, szyły coś z bielizny. W drugim, mniejszym pokoiku, jedna dziewczyna o lewej ręce bezwładnej, wyszywała coś prawą na materjale, umocowanym w odpowiedniej ramie. Druga w obu rękach kalekich (prawa ze skręconą pięścią, ale władnemi i prawidłowemi palcami; lewa ręka z pięścią o palcach nierozwiniętych i dziwnie pokręconych, nawet zachodzących na siebie) nawlekała włóczką igłę, trzymaną między krzywemi palcami lewej ręki, mając przed sobą jakąś kanwową robotę. Nareszcie jeden mężczyzna, ze 21 lat mający, o ręce lewej, uschłej od łokcia, wyrzynał laubzegą, trzymaną w prawej ręce, jakiś ozdobny deseń w deseczce, przytrzymywanej knykciem lewej ręki.

Zakład powstał z inicjatywy dra Karbauder, który zebrał towarzystwo dobrych ludzi, dających obowiązkowo po 5 koron naraz i następnie co rok, a oprócz tego naddatki dobrowolne, w różnej wysokości. Początkowo znalazło się cztery kaleki — po półrocznem istnieniu było ich (jak wymieniłem wyżej) 10 osób. W ciągu tego krótkiego czasu zakład zdołał już przygotować całą sporą szafkę wyrobów, z których niektóre wcale nie okazały mi się gorszemi od robót zwykłych ludzi.

Oto krótka notatka o ciekawszych zakładach, jakie miałem sposobność zwiedzać w czasie zeszłorocznej podróży po Szwecji.

Jerzy Kühn.

Młodemu przyjacielowi.

Czy wiesz ty, co to jest poetą być?
Na jakie trzeba iść znoje i boje;
Co nienawidzieć, co kochać i czcić;
Jakim pancerzem uzbroić pierś swoję?

*

Znasz moc, co daje na poetę chrzest,
Tę stal, co z niego iskry natchnień krzesze,
Trjumf, jaki mu przeznaczony jest,
I tęsknot jego rozpłakane rzesze?

*

Bracie mój młody! Poeta, to król—
Wydziedziczony z państwa ideałów,
Jak Prometeusz, nieczuły na ból
I szturmujący do niebieskich wałów.

*

To ramię, co się niczem nie da skuć,
Skroń, jaśniejąca w trosk swoich ozdobie,
Myśl żądna przestwór, wiekuistość pruć,
W miłości wszystkich—niepamięć o sobie.

*

Te pierś, co Boga musi w siebie wziąć,
I duszę świata mieć za własną duszę,
Przez miłość swoję nienawiścią tchnąć,
A stać, jak stała, w zjawisk zawierusze.

*

To rozum, który miłosierdzie ma
Dla wiecznych bólów w ludzkości ogromie,
Rządzące niemi przeznaczenie zna,
Nie patrzy w bezmiar życia niewidomie.

*

Rozpozna każdy nurtujący prąd,
Którym się przyszłość w dni dzisiejszych fale
Podstępnie wżera; nie straszy go błąd:
Prawda mu w myśli jaśnieje kryształe.

*

Przez step i ciemność musi mężnie iść,
Choć nie doczeka się różanej zorzy,
Choć sęp mu będzie pierś szarpać i gryść,
A ból otchłanie rozpaczy otworzy.

*

Jemu nie wolno swemi snami żyć,
Mieć małych bogów u lichych ołtarzy.
W rozmowie świata musi myślą tkwić,
Płonąć tym ogniem, w którym świat się żarzy.

*

A serce jego winno mieć ten żar,
Którym zapalił Bóg swe pierwsze duchy;
Winno wszechmocny wypromieniać czar
Na wnętrz człowieczych mrok i przestwór głuchy.

*

W melodję bytu sercem wsłuchać się,
Słyszeć pieśń, której inni nie dosłyszą;
Wykradać boskość każdej wielkiej łzie,
Grzmieć ponad gromy, słodko mówić z ciszą...

*

Na przemoc trzymać gorejący stos,
I nad najwyższych mieć górniejsze loty;
Gwałconym prawom dawać pomsty głos,
Słuchać jak jęczą ludzkości Golgoty:

*

Tem wszystkiem żyje poeta i wieszcz,
Z tem wszystkiem musi iść na święte harce!
Kogo nie wstrząsa tytaniczny dreszcz,
Niech bawi ludzi, grając na fujarce.

*

Gdziekolwiek zajdziesz, to wiedz, bracie mój:
Poezja, mając rozkosz w żywem pięknie,
Z rzeczywistością toczy wieczny bój:
. . . .
Czy się twa dusza dróg tych nie ulęknie?

Stanisław Krzemiński.

WSPOMNIENIE.

(Karol Lipiński.—Ign. F. Dobrzyński.—Ryszard Wagner.)

Imie Ryszarda Wagnera pierwszy raz obiło się o uszy moje w r. 1884-ym, a to z okoliczności następującej:

W owym roku, w marcu, przybył do Warszawy najznakomitszy po Paganinim skrzypek, a ziomek nasz—Lipiński. Wracał z kontraktów kijowskich, gdzie od lat wielu urokiem swojego czarodziejskiego smyczka, oprócz laurów, zgarniał do kieszeni złoto, którego nie brakowało wtedy u nas, chociaż kopalnie kalifornijskie nie były jeszcze odkryte. Lipiński przybył dla dania 17-go marca koncertu w salach redutowych.

Rano dnia tego wchodzi do mnie niespodzianie Dobrzyński i mówi:

— Lipiński życzy sobie poznać mój „Kwintet"; obiecałem przyprowadzić jutro z sobą kolegów dla wykonania. On sam będzie grał pierwsze skrzypce, Hornziel drugie, ja altówkę, Szabliński zaś pierwszą wiolonczelę. Czy pan chcesz wziąć na siebie drugą?

— Z największą przyjemnością!—zawołałem, uradowany w duszy. Grać z Lipińskim!... Wszak to dla mnie, młodego chłopca, był zaszczyt, o jakim nigdy marzyć nawet nie śmiałem.

— A zatem jutro—rzekł Dobrzyński—o 3-ej po południu, zejdziemy się wszyscy w kawiarni na Senatorskiej ulicy, naprzeciwko Dobrycza, a ztamtąd udamy się do hotelu Angielskiego, gdzie Lipiński mieszka.

Jakoż nazajutrz, w poniedziałek, przybyliśmy o naznaczonej godzinie do wielkiego skrzypka. Skoro Dobrzyński przedstawił mnie Lipińskiemu, jako wiolonczelistę, mającego brać udział w wykonaniu „Kwintetu", serce poczęło mi bić, jak młotem. Poważna postać tego sławnego człowieka, o twarzy wygolonej, gęstym porostem dosyć długich a siwiejących już włosów ozdobionej, wielce imponujące na mnie wywarła wrażenie. Czułem, iż ogarnia mnie bojaźń i wątpliwość, ażali podołam zadaniu, czy jakim błędem nie skompromituję siebie i Dobrzyńskiego, który zdawał się za mnie poręczać!... Co się ze mną działo, gdy potężny głos skrzypców Lipińskiego począł się rozlegać, frazując po mistrzowsku temat pierwszego allegra? Tego nie jestem wstanie opisać... Ręka, prowadząca smyczek, drżeć mi poczęła... Jednak zanim doszliśmy do połowy pierwszej części, już wzruszenie opanowałem i rzecz swoją doprowadziłem szczęśliwie do końca.

Lipiński chwalił kompozycję Dobrzyńskiego; szczególniej podobało mu się scherzo. Mówił, że motywa jego są piękne, a pod względem kontrapunktycznym tak wybornie opracowane, jak tylko mistrze muzyki kwartetowej są wstanie to uczynić. Dobrzyński, uradowany, zapytał wielkiego skrzypka, czy może „Kwintet" ten ozdobić jego imieniem? Serdeczne uściśnienie ręki i staropolskie „Bóg zapłać!"—było całą odpowiedzią Lipińskiego. W parę lat później dzieło to wyszło z odpowiednią dedykacją w Lipsku, nakładem—jeżeli się nie mylę—Breitkopfa i Härtla.

Następnie, na nasze prośby, Lipiński zagrał jeszcze dwa wielkie kwartety: F-moll i Cis-moll, Beethovena, a wiadomo, że w wykonywaniu tego rodzaju klasycznej muzyki nie miał podówczas godnego siebie rywala. Jego wieczory kwartetowe w Dreznie, dawane w sali hotelu Polskiego, sławne były w świecie muzykalnym. Lipiński, uderzony pięknym a silnym tonem, tudzież wybornym stylem kwartetowej gry na wiolonczeli Szablińskiego, nie szczędził mu pochwał i uznania.

Po skończonej muzyce rozpoczęła się gawędka. Dobrzyński prosił znakomitego rodaka, aby raczył opowiedzieć nam co o Wagnerze, którego opery, wykonywane w Dreznie, miały doznawać wielkiego powodzenia. Wagner i Lipiński kolegowali z sobą; pierwszy był kapelmistrzem, drugi koncertmistrzem królewsko-saskiej nadwornej orkiestry. Zdanie więc ziomka naszego o Wagnerze było wielkiej wagi. O ile sobie przypominam, Lipiński tak mówić począł:

— Z dwóch dzieł tego poety i kompozytora zarazem, wystawionych dotąd w teatrze, opera „Rienzi" szczególniej się drezdeńczykom podobała. Jest w niej siła dobrych rzeczy, ale dużo wrzawy instrumentalnej, a więcej jeszcze rozwlekłości. Pierwsze przedstawienia trwały od godz. 6-ej do 12-ej prawie! Był to fakt bezprzykładny dotąd w Dreznie, gdzie każdy porządny obywatel o 10-ej z wieczora kładzie się spać do łóżka. Próbowano tedy później podzielić operę na dwa po sobie następujące wieczory... lecz tego eksperymentu ze względów ekonomicznych zaniechać musiano. Skończyło się na potężnem jej skróceniu; powyrzucano wiele rzeczy, całe nawet duety, tercety... Wagner oczywiście krzyczał w niebogłosy, protestując, ale publiczność nie męczy się już długiem w teatrze siedzeniem, a i operze także z tem lepiej.

Druga jego opera *„Fliegende Holländer"* (Zaklęty holender), wystawiona kilka miesięcy później, jest wprawdzie dziełem znacznie krótszem, lecz zapowiadającem jakiś programowy w pomysłach muzycznych Wagnera kierunek... W ogólności jest to człowiek wielkiego talentu, ale potrosze samouk. Pragnąc nauczyć się instrumentacji, układał sobie partytury z pojedynczych głosów instrumentalnych. Takim np. sposobem ułożył z mrówczą cierpliwością kompletną partyturę wielkiej 9-ej symfonji Beethovena!... O pracach nowoczesnych kompozytorów Wagner wyraża się zawsze z lekceważeniem, jeżeli nie z pogardą. Nie idzie on drogami wytkniętemi, tylko uparcie szuka nowych; myśli o reformowaniu sztuki, o reformowaniu teatrów w Niemczech. A że jest śmiały, zuchwały nawet, więc, idąc tak niebezpiecznemi drogami, albo kark skręci, albo stanie się wielkim człowiekiem!... Zresztą, umysł to niespokojny, ambitny... niebezpieczny!...

* * *

Łatwo sobie wyobrazić, z jaką natężoną uwagą przysłuchiwałem się mowie Lipińskiego. Były to dla mnie rzeczy zupełnie nowe, nieznane. Przybywszy przed kilkoma miesiącami po dwuletniej nieobecności do Warszawy z Podola, gdzie o Wagnerze nic także zgoła nie wiedziano, nie miałem jeszcze sposobności usłyszenia o nim czegoś bliższego. Dopiero teraz z ust Lipińskiego dowiaduję się o wschodzącej nowej gwieździe na horyzoncie sztuki muzyczno-dramatycznej... a każde jego słowo, jak rylcem, zapisywało się głęboko w pamięci mojej. Odtąd żyłem już jedną głównie myślą poznania i studjowania dzieł Wagnera, o którym, gdy później szereg ich się zwiększył „Tannhaüserem" i „Lohengrinem", jedni mówili z uwielbieniem, drudzy z szyderstwem, nazywając go kompozytorem „muzyki przyszłości!"

Nie tu miejsce na rozbiór krytyczny utworów scenicznych Wagnera; zresztą ich zalety i wady są mniej więcej znane czytelnikom. Jednak, gdyby mnie kto zapytał, który z nich uważam za najcelniejszy, odpowiedziałbym: noszący nazwę „Trystana i Izoldy". W nim kompozytor uwydatnił cały swój system tworzenia w sposób prawdziwie gienjalny. Kiedy w „Lohengrinie", uważanym dotąd za arcydzieło Wagnera, autor powierza główną akcję dramatu istocie napół duchowej, ze świata nadziemskiego przez Parsifala zesłanej, w „Trystanie" przeciwnie, widzimy świat rzeczywisty, przyglądamy się potężnej walce czysto ludzkich namiętności, cudownie muzyką uzmysłowionych!... Po „Trystanie" miejsce honorowe należy się, zdaniem mojem, „Śpiewakom norymberskim"—a to z powodu obfitości pysznych, melodyjnych pomysłów, powierzonych interpretacji instrumentów orkiestrowych, który to system w cyklu „Nibelungów" i „Parsifalu" doprowadził kompozytor do granic, zdaje się, ostatecznych, do bezwzględnego (Siegfried), a przesadnego subjektywizmu...

* * *

Wagner za życia jeszcze doszedł do najwyższej w Niemczech, a nawet po części i w świecie całym, popularności. Przepowiednia więc Lipińskiego spełniła się. Wprawdzie w r. 1849-ym o mało nie przypłacił głową zachcianek swoich reformatorskich, rewolucyjnych, jednak koniec końcem: „stał się wielkim człowiekiem!" Zasługuje także na uwagę, że był on jedynym w Niemczech kompozytorem, który z dzieł swoich dorobił się ładnego majątku. Do tak pomyślnego finansowego rezultatu przyczynił się głównie Ludwik II-gi, król bawarski. Nieszczęśliwy ten monarcha, wielbiciel a zarazem przyjaciel twórcy „Lohengrina", miał zawsze dla niego w pogotowiu życzliwe serce, dłoń przyjazną do uścisku i—otwartą, pełną złota sakwę, z której Wagner, gdy potrzebował, mógł czerpać garściami.

Maurycy Karasowski.

Drezno, 6-go grudnia r. 1887-go.

SZERMIERZE.

Zerwały się dwa charty
W pojedynek zażarty,
I dopóty się darły
Aż się wzajem pożarły;
Zostawił bój szalony
Na placu—dwa ogony!

O tem rzadkiem zdarzeniu powiadał Radziwiłł,
Wielu niedowierzało, niejeden się dziwił,
Lecz u mnie stary książę na wierze nie traci,
Gdy widzę, jak się z sobą gryzą—literaci!

Kajetan Kraszewski.

KARTY.

Nie bój się, czytelniku, abym się wybrał z kazaniem adwentowem o szkodliwości karciarstwa; nie wyobrażaj też sobie, że się chcę wdać w zacieki starożytnicze o początku i dziejach gier kartowych; nie potrafiłbym ani jednego, ani drugiego.

Zamierzam tu tylko podzielić się z tobą kilkoma myślami, które mi nasunęła świeżo ogłoszona książeczka, wpadająca w oko dziewiątką dzwonkową i ósemką czerwienną na okładce, a którą „Stary Gracz" ułożył zapewne... dla młodych.

Myśli te nie odnoszą się wcale do techniki kartowej, bo ta mnie nie zajmuje; wiążą się one z wątkiem codziennej roboty mojej, mającej za przedmiot mowę naszą.

Zapytywałem siebie, czy i o ile gry w karty i właściwy karciarzom żargon odbiły się w języku potocznym. Wiązankę odpowiedzi na to pytanie składam w tym artykuliku.

Że język chowa w swej skarbnicy echa wszystkich zatrudnień, zabaw, gier i prac ludzkich, o tem nikt nie wątpi; spójrzmy przeto na ślady, wyciśnięte na mowie naszej przez rozrywki karciarzy.

Sam już wyraz *karty* wszedł do różnych wyrażeń, przenośni i przysłów. Mówimy o kimś, że „postawił wszystko na jedną kartę", że „coś ukartował", że „trzeba mu w karty wejrzeć", że „gra w zakryte, albo w odkryte karty". A przeszłe wieki przekazały nam przysłowia: „Z głupim w karty, z mądrym w żarty" i „kto grywa w karty, ma grzbiet i łeb odarty".

A gdy z kolei przypomnimy sobie wyraz *kozera*, to wnet przyjdzie nam na myśl wyrażenie: „to nie bez kozery", a Linde pouczy nas, że dawniej *kozerami* i *kozernikami* zwano w Polsce szulerów i kosterów.

Wyrażenie prowincjonalne „wpaść w *łabety*", to jest w kłopoty, tarapaty, nasunie nam wspomnienie starej gry francuskiej *la bête*, w którą dziś jeszcze lud krakowski grywa, zwąc ją *labetem*, a która dała początek nazwisku *bettów* preferansowych.

„Wpaść w *platkę*", „uciec z *platki*", są to wyrażenia, płynące również ze świata karciarskiego, podobnież, jak „grać w *straszaka*", to jest straszyć kogoś, pochodzi od nazwy gry *tryszak*, przekręconej u nas i u czechów na *straszaka*; źródła jej szukać należy we włoskiem *tre sciacchi*.

Dwa nazwiska kart przeniesiono z gry w kości, mianowicie *as* i *tuz*. Starodawne nazwy punktów czyli oczek na kościach brzmiały u nas: o jednym — *as* albo *es* (z łacińskiego *as* = jednostka itd.), o dwóch—*tuz* (z francuskiego *deux*), o trzech—*dryja*, o czterech—*kwadra*, o pięciu—*cynek*, o sześciu—*zez*.

Tuz starszym jest od *asa*; wiadomo, że na starych kartach naszych, przybyłych z Niemiec, as miał dwa oka, dlatego też nazwano go *tuzem*; później, gdy do nas zawitały karty francuskie, taż sama karta miała jedno oko i dlatego poczęto mówić o niej z francuska *as*.

Ciekawą jest wędrówka gry i nazwy ulubionego dzisiaj *winta*. Wyraz niemiecki *Gewinde* dostał się do nas w postaci *gwind*, później *gwint*, a od nas do języków ruskich, ukraińskiego i białoruskiego w formie *gwint*, do wielkoruskiego w postaci *wint*. Tym ostatnim wyrazem ochrzczono w Rosji około roku 1880-go tam (czy też na Syberji, jak twierdzi „Stary gracz" na str. 93) nową grę kartową. Gdy się ona wkrótce dostała do Wilna, zwano ją z początku *szrubą*, dziś zaś ją uprawiają tam pod nazwą *wint*; pomknęła dalej na zachód i w Warszawie rozgościła się pod tą ostatnią nazwą. Z Warszawy wtargnęła do Prus i dzisiaj w Berlinie niemcy grywają *„eine Partie Wint"*, nie domyślając się, że nazwiskiem gry jest ich własny wyraz *Gewinde*, który, odbywszy daleką wędrówkę na wschód, wrócił, jak syn marnotrawny, na łono Vaterlandu.

Jan Karłowicz.

Warszawa, d. 11-go grudnia r. 1887-go.

NIRWANISTA.

Kiedy w dzień jakiś sam wyznam przed sobą,
Że czas utonąć w letejskich wód zdroju,
Lica nie skażę rozpaczną żałobą
I niczyjego nie zmącę pokoju.

Lica, nie skażę ni śmiechem, ni płaczem —
Wszak z tego życia za grób nic nie biorę.
Więc czegóż śmiać się i płakać mam za czem,
Jak duchy słabe, zwątlone lub chore.

Wszystko więc jedno: na moim pogrzebie
Łzy czy śmiech będą! — i wszystko mi jedno,
Czy będą chmury, czy gwiazdy na niebie!
Chmury przepłyną, a gwiazdy pobledną...

I tylko źródło letejskich wód będzie
Wciąż igrać z każdą, utkwioną w nie twarzą,
I moje słowa, jak pieśni łabędzie,
Żyjącym błądzić nad źródłem tem każą...

J. Kuczyński.

DEO IGNOTO.

(BAJKA.)

„Zmyślenia poetów! Ale my filozofami być chcemy, my prawdy nie bajek szukamy."
Cyceron.

Było to na krańcach świata, dawno, przedawno było.

Na tajemniczej rubieży, kędy zachodzących stuleci blaski rozbijają się o północne mroki i niepewne świty, świetlana myśl Hellady ćmiła się nieświadomością, a twórcza wyobraźnia płodziła potwory, wypełniając niemi nieprzeniknione cienie i zagadkowych jutrzni brzaski.

Tam, po tamtej stronie, na ziemi, czy pod ziemią—nierozjaśnionem to bowiem pozostało pytaniem—były, żyły nieznane, do achajów wcale niepodobne ludy. Asymarpowie bajecznym gryfonom wydzierali w gór biodrach, w wód toniach skryte skarby, w kuźni cyklopów młoty, dalekim jeszcze, zaledwie w łonie przyszłości poczętym wiekom, rozgłośne wydzwaniały hajnały, gnomy nieprzebite lasy mrówczą wypełniały pracą, a niezmierzone, śnieżne przestworza, kędy w niedostępnych kolebkach purpurowe drzemią zorze, wypełniał szum, do tchnień samego Boreasza podobny: szelesty olbrzymich, do lotu zrywających się skrzydeł.

Po tej znów stronie, na krańcach cywilizowanego starożytnego świata, wówczas już żyły, były narody. Nie tak zapewne „piękne", ani tak „dobre", jak hellenowie, którym piękna i dobra wyłącznie przysługiwało prawo, ba! nie posiadające zaszczytu i szczęścia, zamieszkałych śród hellenów météków, barbarzyńcy, lecz bądźcobądź prometejowych tworów bratanki, skazane dostarczać światu tych, równie, chociaż inaczej, jak achaje, pięknych, rosłych, barczystych, lniano-włosych, których tęsknot nie zdołają rozproszyć samej Romy blaski, a wrzask stutysięcznych tłumów panów świata nie zgłuszy:

„*Morituri te salutant Caesar*".

Kraina to była smętku pełna, ciemnemi porosła bory, szemrzącemi zroszona krynicami, moczarami poprzerzynana, uroczyskami upstrzona, trzy czwarte roku śniegiem spowita, o wieczyście długich, słotą spłakanych zimach, o krótkich, jak młodości trwanie, wiosnach...

Tak stoi w księgach, a gadka niesie, że pomimo to krainę tę kochały jej dzieci, barbarzyńce.

Dwaj, mówią, bogowie walczyli na tej świateł i cieni rubieży. Z południa jeden, z północy drugi, nie mogli się pogodzić, ani ostatecznie zdobyczą podzielić. Silniejszy zagarnął powierzchnię całą, na niebotyczne wzbił się góry, lawiną, niby piorunem światu grożąc. Czcicielom jego „legjon" było na imię. Drugi, choć starszy, z rodzimych wyparty dzierżaw, poszedł, jak mówią, skróś ziemi. Mało go kto znał, cześć jego popadła w poniewierkę, gdyż straszne o nim obiegały wieści: pożerał swe ofiary, z których same czcze pozostawały dymy.

I odwiecznym było w krainie tej zwyczajem, że matki synów swych święcić musiały jednemu z dwóch wielkich bogów, nowonarodzonych z pompą wielką niosąc do kryształowej boga-Lodu świetlicy, lub chyłkiem, upowitych u piersi składając temu drugiemu, w podziemnej jego krypcie.

Wybór zależał od matek.

. . . .

Żył był podówczas na krańcach tych świata młodzieniec, którego Akteusem zwano. Słoneczna siła Hellady, niby pocisk świetlany, wyrzucała nieraz synów jej daleko, za barbarzyńskie kresy, gdyż inaczej cóżby krwawe te rozpraszało mroki? Potomkowie „dobrych i pięknych", czystej krwi eupatryci, śród barbarzyńców zamieszkali, o boskiem swem nie zapominali pochodzeniu, tylko—na to, to już podobno sam Solon i sam Drakon nie znaleźli rady—tylko, w braku ateńskich dziewic, z miejscowemi łączyli się niewiastami. To też i Akteus pojął jak niewolnicę cichą, jak owieczkę potulną, jak Artemis śmiałą, jak sama Demeter silną, a jak królowa w niedostępnej swej ciszy dumną, lnianowłosą, białolicą córkę północy.

Sława jej było na imię.

O takiem szczęściu, jak to, co się jej dostało w udziale, nie marzyła nawet Sława w najśmielszych snach swych dziewiczych. Takiego ludzkie nie widziało oko, o takiem ludzkie nie słyszało ucho! Czy bogatą została? Bynajmniej. Akteus był ubogim, z książęcej godności zostało mu miano same, lecz Akteus przechowywał w łonie zarzewie, od którego to tak jasno rozgorzała szczęścia Sławy pochodnia. Kochana tkliwie a wiernie, silnem a dla niej, jak pieszczota, miękkiem otoczona ramieniem, nie w tem jednak znalazła pełną niewieściego szczęścia miarę, a w tem, że sama kochała wiernie i tkliwie, do ubóstwienia, do zatonięcia w nim cała, kochała pięknego i dobrego, silnego i dzielnego. Gdy dobre, przez miłość na chrzciny zaproszone wróżki, do tarczą Akteusa osłoniętej, kwieciem przez młodą matkę usłanej kolebki, wrzuciły klejnot bez ceny, dar nad dary, małe, żywe dziecię, szczęście Sławy, choć z pozoru pospolite i powszednie bardzo, miary już nie znało.

I milczą kroniki o tem, czy pierworodne to Sławy, innem było od zwykłych śmiertelników dzieci? Natomiast gadka głosi, że je wróżki, jak na tak dostojne przystało kumy, wyposażyły hojnie. Ta mu z alabastru utoczyła ciałko, świeże jak rosa poranna, jak pocałunek ciepłe. Tamta z pod skrzydeł czarnym łabędziom rwanym puszkiem, małą opierzyła główkę. Inna pędzelkiem na czole cienkie kreśliła łuki, pod rzęs jedwabną zawiską zapalając dwie gwiazdki—słońca, a inna jeszcze, kitkiem róży rozchylała usteczka. Chuchały nań, dmuchały, lulały, bajały, aż ulepiły mu nóżki, rączki, zakończone z okruch rubinów szlifowanemi klejnocikami, na okrągłych ramionkach, łokietkach, kolankach, pocałunkami wyżłobiając dołki, dmuchnięciem kreśliły przedziwne przewiązki, a jakich przedziwnych sztuk go wyuczyły; zaciskania piąstek, własnej nóżki ssania, brykania, kwilenia i na jedną, przeciągłą nutę krzyku „a-a-a!..." Nie, ja wam tych wszystkich nie wyliczę uroków. Pytajcie o nie, szczęśliwi, podobnych pieścideł posiadaczki, lub te wróżki dobre, co przez miłość na chrzciny przyzywane, chrześniaków swych wyposażają sowicie.

W jednem nie dopisały tylko, boć przecie zawsze wróżki w czemś nie dopisać muszą. Żadna wywróżyć nie chciała, co dziecię w życiu czeka. Próżno pytała, nalegała Sława, mądre zacięły się wróżki, ani rusz, milczały.

— Wywróżysz mu to sama — rzekła wreszcie najstarsza i odeszły, pozostawiając nad kolebką w żywy klejnot, jak w wszechświat, zapatrzoną matkę.

. . . .

— Mlekiem ziół i mlekiem kwiecia poić będę do lotu mdłe to ciałko—myślała Sława, wielkiego wyprzedzając pieśniarza. Ba! Dziw byłby dopiero, gdyby poeta który wyprzedził polot matczynych nad kolebką marzeń.

— W lazurze niebios, w słońca promieniach kąpać je będę, pod ziemią bogdaj wyszukam źródła, o którem Akteus mówi, że nieśmiertelność daje...

— Któremu z dwóch wielkich twej krainy bogów święcić będziesz swe dziecię?—pytał Akteus, pochylając się nad kolebką, nad którą Sława, w sercu słowa wróżki rozważając, ciche nuciła kołysanki.

Lecz zamarzona kobieta słów nie słyszała, słyszała tylko dźwięk luby i prostując się dumna, ufna, uśmiechnięta:

— Do ciebie podobny będzie, jak ty piękny, dobry, silny, dzielny — wróżyła, rozkochany wzrok topiąc w kochanku, panu, ojcu swego dziecięcia.

— Kocham go, kochać będę, bo do ciebie podobne—dodała, zarzucając mu na szyję ramiona.

— Któremu z dwóch wielkich twej krainy bogów święcić będziesz swe dziecię?—obejmując ją czule i głęboko, głęboko w oczy patrząc, pytał Akteus.

Któremu? Ha! Prawda! Zapomniała! Syn jej nie do niej samej należał, nie ona sama mlekiem ziół i mlekiem kwiecia poić będzie do lotu mdłe to ciałko, kąpać w lazurach niebios, słońca powodzi, w tajemnych, hellenom znanych, życiodajnych źródłach...

Zahartuje go jedna z dwóch tych wielkich, nieuniknionych, nieprzejednanych potęg, do której od urodzenia należą krainy tej dzieci... Ale która? która?

. . . .

— Wielka jest Boga-Lodu potęga, moc jego nad wszelkie moce—mówili Akteusa przyjaciele.

— Nie nieś go do nieznanego boga pieczary, nie daj się wajdelotom omamić—ostrzegały przybieżałe nawiedzić ją drużki.—Pożera, trawi swe ofiary, w czeluściach przytem się kryje, burym osłania dymem, marny to bóg być musi.

I wzgardliwie wzruszały ramionami. Jeszcze trochę, a gotowe śmieszki stroić z nieznanego boga.

— Tam na górę, na wysoką, do kryształowej poniesiemy go świetlicy! Bóg-Lód dotknięciem rąk swych przeciw zniszczeniu namaści, od zepsucia uchroni, tchnieniem większą od żelaza moc wleje, błyszczącym osypie łask szronem, a słońce i gwiazdy w piersiach, które hojną obrylantuje dłonią, z zazdrością przeglądać się będą—wołali słudzy.

— Idź i osądź—mówił jej Akteus, a silniej, czulej tuląc do gorących piersi, szepnął:

— Idź, podnieś przybytków zasłony śmiało!

. . . .

Szła Sława do kryształowej, na wysokiej białej górze świetlicy, szerokim, przez tłumy ubitym, wyślizganym szła gościńcem. Szła, z małem swem na ręku dziecięciem, z podniesioną głową, dumna, gdyż królewskie, z żywej ludzkiej duszy składać miała haracze, w głębi serca niespokojna, niepewna, strwożona. Oglądała się na tych, których mijała po drodze. Wyglądali wspaniale: rośli, błyszczący, nieugięci... tylko na gładkich ich, jak pustej księgi karty, czołach, nic się nie dało wyczytać.

Chciałaby dłoń przyłożyć do ich szerokich piersi... nie śmiała! Prawdę mówiły jej sługi: na obrylantowanych czcicieli Boga-Lodu piersiach, słońce i gwiazdy z zazdrością przeglądać się mogły.

Od kryształowej świetlicy olśniewające biły blaski. Słońce łamało się w tęczowe barwy w każdym odłamie przepysznego gmachu, lecz całe, jak to naprzykład ma miejsce w spokojnych jezior toni, nie przeglądało się nigdzie, nie stało w miejscu. Był to przybytek wielkiej, ciężkiej, nieprzemożonej siły.

Wewnątrz świetlica obszerną była i stropów niebios zdawała się dosięgać, lecz zwężała u góry, gdzie wzrok szukał napróżno rozwieszonych z lazurów namiotów. Wszędzie panowała biel olśniewająca, blasków pełna, oślepiających, migotliwych łamań się promieni światła w kryształowych pryzmatach.

W świetlicy pusto było, cicho, jak w umarłych krainie...

Sławę chłód przejął. Zdawało się jej, że u piersi sztywnieje drobne jej dzieciątko. Spojrzała. Zsiniało! To jej dodało odwagi. Nagłym ruchem sięgnęła po puszystą, śnieżną, brylantowym szronem przetkaną przybytku zasłonę.

Drżąc ze strachu—a może i z zimna—nieśmiało uchyliła jej rąbek.

Płaska, jak okiem sięgnąć, naga równina, biała, nie tą wszelako, co na zewnątrz, połyskami migotała bielą, lecz bezdenną, mroczną, jak pod wiekuistej nocy spowiciem, barwą, podobną do sinawej lodu bieli. Lodu bo też bryła zaległa równinę całą: Olbrzym twardy, nieruchomy, sinawą, własnego oddechu parą owiany. Zdawałby się w śnie ciężkim, nieprzespanym pogrążony, gdyby nie szeroko rozwarte źrenice. Do słońc wygasłych podobne, nie patrzyły na nie, chociaż się zwracały wszędzie, nakształt magicznych luster omroczonych tafli, zewnętrzne tylko odbijając przedmioty. Lecz to, co po tamtej stronie zasłony blaskiem migotliwym biło, wchłonięte przez boga, na bladej jego spojrzenia przezroczy zamroczyło się, znieruchomiało, jak ponure, nocne, lodem ścięte krajobrazy.

Dech sparł się w skostniałych piersiach Sławy. Zrozumiała, jak to dotknięcie tego boga przeciw zepsuciu i zniszczeniu chroni—umarłych! jaką to moc, od żelaza mocy większą, mroźną wlewa jego tchnienie! Lodowce miała przed sobą i miałaż w tę pustynną bezdeń rzucać to nikłe, lecz żywe tchnienie, co łechtało jej piersi, czepiającemi się nich, spragnionemi usteczkami?

Cofała się w ciszę zaklęta...

Bo jeśli bóg się zbudzi i na tę, co świętokradzką ręką ściągnęła przybytku zasłony, w olbrzymiej dłoni, zamiast piorunu, dzierżoną, z wystudzonych pyłków dusz ludzkich, jak z zamarzłych śnieżnych atomów, ulepioną ciśnie lawiną...

Biedna Sława! nie wiedziała, że w same siebie zapatrzone bogi nie budzą się nigdy.

. . . .

Szła Sława do podziemnej nieznanego boga krypty, ze spuszczoną szła głową, smutna! Królewskie niosła haracze: żywą ludzką duszę, co drobnemi jej piersi uczepiona ustkami ledwie, ledwie dyszała, lecz serce się jej niewymownym ściskało niepokojem. Jeśli tamten potężny, znany, dostępny, straszny taki, cóż ten dopiero...

Pozrze, strawi, w dym marny rozwieje drobne jej dzieciątko i nie pozostanie zeń nawet blade na lodowych zwierciadeł źrenicach odbicie!

. . . .

Wąską, stromą, nad zawrotnemi wijącą się przepaściemi, szła Sława ścieżką. Tu i owdzie dymiły zgliszcza, gór skłony dogorywające zasypywały żużle, a szczyty ginęły gdzieś po nad chmurami, w słonecznych świateł powodzi. Na stromych ścieżkach rzadkich spotykała przechodni. Jedni na słoneczne wspinali się szczyty z taką chyżością, jak gdyby im sam Hermes do nóg przypasał skrzydła; drudzy pod wielkim szli zgięci ciężarem, a od tych i tamtych błyskawiczne wydzielały się blaski, szerokie biły łuny. Z lękiem oglądała się za niemi. Łuny to pożarów, blaski wewnętrznych, co trawią, ogni. Do piersi ich, choć otwarte, zdawały się łagodne i ciche, nie dotknęłaby się za nic. Gorejące, jak rozpalone musiały być żelazo.

W krypcie, głęboko w skalne zapadłej czeluści, ciemno było i duszno. Całą wypełniał dym gęsty, za którym słychać było głuche piorunów łomoty, huk i trzask całych płonących smolnych lasów, zgrzyt kół, żelaza szczęk, chrzęst posuwających się zwartych, zbrojnych niby szeregów, olbrzymich miechów dęcie, wrzenie do wrzenia samych jąder ziemi podobne, drgania dławiących wybuchów. Po nad tym zgiełkiem, po nad tą wrzawą przelatywały donośne, urwane, niby ze stanowiska na stanowisko, ze stulecia w stulecie rzucane hasła. Czasem mirjady iskier przedzierały się przez gęstego dymu łuną podszyte zwoje i zanim zgasły w przestworzu, deszczem gwiazd spadających przerzynały mroki; płomię ognistą racą wystrzeliło, świetlaną zostawiając smugę, czerwone wężykowate sploty ogniw wiły się, usiłując zdusić, rozproszyć zbałwanionego dymu kłęby.

Z osłonionego dymem ogniska na niektórych czcicieli boga spadały iskry, rozpalając im gwiazdę na czole. In-

ni u ogniska przygasłe brali zarzewia i własnem je tchem rozdmuchując, unosili rozpalone, tuląc do piersi z taką, jak ona małe swe dziecię, miłością. Inni jeszcze ognisko zasilali ustawicznie, nie ustając w pracy, chociaż się pod dźwiganem uginali brzemieniem.
Tych ostatnich najwięcej było.

. . . .

Stała Sława, jak wryta, z bólu skamieniała. Czuła na skroniach żaru tchnienie, piersi przeszywał ból piekący, a gibkie dotąd, silne, do uścisków stworzone ramiona opadały, wielkiem zgięte brzemieniem. Przecie drobne, u jej piersi chciwemi życia usteczkami zawisłe dziecię, motylą zaledwie miało wagę? Biedna Sława! Nie znała wagi, co na szczęścia szali motyle kładzie skrzydła, a brzemieniem pada na ofiary szalę.

. . . .

Nie! nie! Małe to, lube, słodkie, rodzone swe nie odda, nigdy, przenigdy, nie odda płomieniom na pastwę...
I miała już uciekać bólem i strachem przejęta, gdy w wiernej pamięci odbiło się echo słów ukochanego: „podnieś przybytku zasłony—śmiało".
Akteusie! chciałżebyś, aby z tem małem na rękudzieciątkiem przedzierała się przez te żrące, płomieńmi podszyte, gęste dymu zasłony?...
— Śmiało!—Akteus mówił.

. . . .

Dymy rozdzieliły się i opadły, jak przed wspinającym się na szczyty gór kładną się chmury, do wełnistych, potulnych owieczek podobne.
Obskoczyła ją rozigrana, skrzydlatych psotników zgraja. Znała ich, pulchnych, rumianolicych, z kołczanami opierzonych strzał na ramionach, z napiętemi w drobnych piąstkach łukami, z zaświatową w błyszczących lub zamglonych oczach tęsknotą. Znała! Do własnego gotowa, jak to swe dziecię, tulić łona! Psotników tych strzały żadnym nie zraniły ją bólem, samą przeszyły rozkoszą. Lecz cóż tu porabiać może afrodytowa dziatwa?
— Dobry nasz ojczym, Hefajst, struga tu nam z żelaza strzały—śpiewały w Anakreonów i bliższych nam Morsztynów takt piosenki, wdzięczne Erosy.
Hefajst! Słyszała Sława o nim! Często wspominał go Akteus z żartobliwym swawolnych dorozumień na poły, na poły zaufania i przychylności pełnym uśmiechem.
Ze słodko w ustach Akteusa brzmiących rapsodów słyszała, że samo zjawienie się na Olimpie chromego płowej Afrodyty małżonka homeryczne śród nieśmiertelnych wywoływało śmiechy. Rozciągały się nawet brwi wieczną zazdrością trawionej, nadąsanej Hery. To, że Hera prześladowała te ze śmiertelniczek, na których spoczęło lekkomyślnego Zeusa oko, nawet taka, jak Sława, potulna żona, wybaczać jej musiała; nie wybaczała, że w kłótni z przeniewierzającym się jej codziennie małżonkiem, własne a niewinne swe dziecię, i to jeszcze takie dobre, poczciwe, zawsze gotowe złej matce zdrowych rad udzielać, cieszyć ją, uspakajać, z małżonkiem godzić—miała serce z takiej strącić wysokości, na całe okaleczyć życie.
Czyżby chromym był mąż, którego ujrzała w chwili, w której go też snać podpatrzył i na kruchej glinie mistrzowskiemi unieśmiertelnił rysy bezimienny artysta? Stanął przed Cekropsem w towarzystwie Atene. Najlepsza to jego, jak mówią, przyjaciółka i kto wie, czy nie przez dumę samą „Modrooka" odtrąca gorętsze jego uczucia, a w głębi puklerzem osłonionych, dziewiczych piersi, nie żywi coś od przyjaźni czulszego? To pewno, że tak tkliwie, jak do spoczywającego na łonie Gei Esychtoniusa, kobieta—a bądźcobądź Atene jest kobietą!—wyciągać potrafi ramiona, jeśli nie do własnego, to chyba do dziecięcia—mniejsza z tem, z jakiej zrodzonego matki — najmilszego sobie pod słońcem mężczyzny. Trzeba na to wprawdzie pewnej wspaniałomyślności, lecz na to stać chyba Hefajstesową przyjaciółkę? Będzie ona doradczynią, podzieli pracę przyjaciela i oto, gdy Hefajst, nie wypuszczając młota z lewej dłoni, prawą poprawia włosy, dopiero co z pod dłuta jego wyszłej Pandorze, Atene, własną ręką na ramieniu nieszczęsnodajnej wzorzysty spina chiton.
Miałżeby być chromym poważny ten mąż w chlamydzie i śpiczastym na głowie pilosie, co wespół z Epeusem kuje, uwiązanego, jak bogi, za prawą nogę, by im nie uciekł, trojańskiego konia i w otoczeniu pracowitych uczni wyrzeza ciężkie, olbrzymom puklerze i misterne bohaterom hełmy.
Zawrzało w przedziwnym wielkiego budowniczego bogów pałacu. Cyklopy, w exomisy i loryki odziani, biegli zwiastować pracującemu w pocie czoła u kowadła nad złotemi trójnogami mistrzowi, dostojnej pani „srebrnostopej" Tetydy odwiedziny. Ona to niegdyś, jak wieść niesie, przez rodzoną matkę z Olimpu strącone przygarnęła dziecię. Nie zapomniano o tem w Hefajstesa domu. Najwdzięczniejsza z Gracyj, a najlepsza z żon Hefajstesowych: Chasyta, na dostojnej wybiegła spotkanie, Hefajst otarł pot z czoła, śpiesznie—teraz dopiero wraz z Homerem Sława spostrzegła, że istotnie na „chuderlawe" napada nieco nogi—schował do srebrnej skrzynki narzędzia pracy, przywdział chlamydę złote swe, pracowite, nieme, przyzwał niewolnice i na sękatem opierając się berle, pośpieszył naprzeciw „czczonej i ukochanej". Czemże jej służyć może? Zbroją dla walecznego jej syna! Dmijcie w miechy Cyklopy! znoście kruszce Tytany! podobnej zbroi świat jeszcze nie widział. Artysta sam siebie prześcignie, „śmiertelny nie dokonałby podobnego dzieła".
Stała Sława oczarowana, zachwycona. U rozpalonego przez bożka ogniska wszystkie się zgromadziły uroki i skarby życia: ciepło i światło, siła czasu, dobroduszność, towarzyskość, wesołość, spokój, miłość, ojcowstwo, przyjaźń, wdzięczność, męstwo, nauka, mądrość, sztuka... Lecz po cóż te zbroje?...
Serce się Sławy ścisnęło.
— Czy broń ta przedziwna uchroni od śmierci wielkiego, co ją przywdzieje rycerza?—nieśmiało dobrą spytała Chasytę.
— Nie uchroni — łagodna brzmiała odpowiedź.— Lecz czegóż się trwożysz kobieto? Śmierć jest narodzin nieunikionem następstwem, wiekuistych przemian mistrzynią; bogowie kochają tych, co umierają młodo; poledz w zaszczytnym boju jest chwałą, a trudy i cierpienia...
— Trudy! Cierpienia!—ledwie dosłyszalnym głosem, dziecię swe silniej do piersi przyciskając, szeptała Sława.
— ...do nieśmiertelności drogą—kończyła Chasyta, skinieniem głowy wskazując strome, w górę wzbijające się szyby.
Tyle tam było szczęku i huku, że się znów Sława zawahała i dopiero, widząc, jak śmiało wkraczają Erosy, śladem ich poszła.
Śród skał odłamów, przepaści, piecowisk, wiły się Tytany: potężni, obrośli, ponurzy, gotowi jednem natężeniem żylastych ramion świat z podstaw wysadzić i na własnych go potem dźwigać barkach. Nowy Sławę zdjął niepokój. Miałożby to jej drobne, na łonie jej, jak kwiecie, spoczywające dzieciątko, w takiego urosnąć olbrzyma? Miałaż ta śliczna, z pod skrzydeł czarnym łabędziom przez wróżek czarodziejskie dłonie skubanym puszkiem opierzona główka taką się najeżyć szczeciną? Jakże te, piersi jej, jak pieszczota, mnące piąstki, udźwignąć zdołają młoty te i łomy? Tyleż żylastych węzłów wyskoczy na tych ramionkach, gdzie teraz tonęły jej usta? Stopki te drobne, co brykając niesfornie, wpierały się w jej łono, miałyż się krwawić o rozsypane, przez Tytany niebacznie deptane żużle, kamienie, ciernie? Jak gwiazdki, pod jedwabnych rzęs zasłoną, rozbłysłe oczęta, miałyż tak skupionem w sobie, ponurem wybuchać spojrzeniem.
...Śmiały się puste Erosy, pod młoty olbrzymów złote swe, mrówcze podsuwając strzały, na kowadła zarzucając pajęcze łuki, obsiadając olbrzymów kaski. Śmielsze targały im włosy i brody, a Sława przekonała się, że te świat z podstaw gotowe wysadzać ramiona, nieśmiałe, łagodne miały dotknięcia dla bezbronnej kobiety i drobnego dziecka, a ponure twarze rozpromieniały, jak cierpliwość sama, smętne uśmiechy.
Chodnik stawał się coraz bardziej stromym, Erosy odbiegały, w górze rozpadły się sklepienia, chmurne odkrywając przestworza. O skalne granity, jęcząc, rozbijały się wzburzone morskie fale, skałę pokrywał upiornych cieni skrzydeł.
Cofnęła się Sława, z ust się jej wydarł krzyk współczucia i zgrozy: podobnej kaźni nie widziała nigdy.

. . . .

Na skałę Przemoc go powaliła, do skały, wzdragając się, lecz przemocy posłuszne, serdecznego druha przykowały dłonie, służalcze jego boleść znieważały usta, jastrząb mu co rano, w nocy odradzające się, w niewyczerpanem nigdy łonie wydzierał wnętrzności, same go otoczyły chmury i burze, pustkowie i głusza, same mu wichry czesały włosy i zranione chłodziły piersi, same spragnionego poiły gorycze, same niedole płakać tu i jego boleść jątrzyć przychodziły. Nieszczęsna zazdrości Hery ofiara, Jo, zabiegała po drodze, rozpaczne zawodząc biadania, kopułę wrogich sobie niebios dźwigać zmuszony brat Atlas, na ciche w nocnej głuszy zstępował pogadanki i tylko nieukojonej katuszy boleść, koiły współczujących Oceanid westchnienia, echa pieśni potomnych poetów, obiecanki śmiałka Heraklesa, z którym niebiosa nawet rachować się musiały, a zwłaszcza już, zwłaszcza własnych, choć zdeptanych praw przeświadczenie.
Lecz jakże pięknym był ten skazaniec! Wzgardliwy, nieugięty, dumny. Cisza wzgardy jego, boleść niema, głuszyła wichrów wycie, wieńcząc go nieznanym grzmiącej nad nim i miotającej się wściekle przemocy, majestatem. Z czoła mu łuna biła; przy łunie tej gasły błyskawic ognie.
O! jakże pięknym, jak wielkim był ten skazaniec! i jakąż cenę posiadać musiał ów ogień, za którego jedną, nikłą, niebiosom wykradzioną iskierkę, wszechwładny Zeus grzmiał takim gniewem, taką pałał zemstą, a ten, umęczony, milczeniem urągał swym bólom.

. . . .

Cierpiał.

. . . .

Litością wezbrało serce Sławy. Podniosła w górę dziecię, chcąc zapewne widokiem swego nienapatrzonego na chwilę rozproszyć męczennika katusze.
— Ty cierpisz!... Tyś bogiem?...
Prometej promiennym wzrokiem wskazał jej po nad chmury wzbijające się słońce.
Helios!

. . . .

Wracała Sława, u piersi upowite, małe swe niosąc dzieciątko: żywą ludzką duszę.
Z ust jej płochej nieświadomości uleciały uśmiechy, lica pobladły, na czole smutna osiadła zaduma, lecz ramiona jej zmężniały, rozszerzyły piersi, a w załzawionych oczach wielkie a ciche rozpaliły się ognie.
Na progu czekał ją Akteus, niespokojnem, pytającem wybiegając spojrzeniem? Ujrzał ust cierpliwe a stałe zagięcie, lic bladość, mrok czoła... Zmężniała mu, urosła, a w załzawionych jej oczach niebywałe przedtem gorzały ognie... Pochwycił ją w ramiona.
Tuląc się do jego piersi, Sława zrozumiała, jakiego boga był czcicielem, u jakiego to ogniska wziął to zarzewie, co rozpalało jej szczęścia i miłości pochodnie.

. . . .

— Podobnem do ciebie, Akteusie, będzie—rzekła, wskazując mu dziecko i podnosząc na niego wzrok rozkochany.

. . . .

Dawno, przedawno to było!...

Wila Zyndram Kościałkowska.

Z księgi fraszek.

1. KUMOSZKI.

Hej na starą gospodę, gospodę,
Przyszły baby nie młode, nie młode,
Jedna drugiej przytyka, przytyka,
Że długiego języka, języka.
I od słowa do słowa, do słowa,
Poskoczyła Maćkowa, Maćkowa,
Justyna jej do czuba, do czuba,
Pochwyciwszy kociuba, kociuba,
Więc Maćkowa do ławy, do ławy.
Zbiegł się naród ciekawy, ciekawy,
Dwie córeczki sąsiadki, sąsiadki,
A za niemi dwie matki, dwie matki.
I kumoszki zgorszone, zgorszone,
Z gniewem poszły we stronę, we stronę,
Idą baby patrzące z niewiarą,
Stara baba ze starą, ze starą.
A pomiędzy opłotki, ogródki,
Grzebykami trzęsają kogutki,
Raz ten skoczy, raz owy, raz owy,
Jako baby w gospodzie Maćkowej.

2. WSZYSTKIEMU SZKAPA WINNA.

Wypędzili człeka z chaty,
Czyż ja temu winowaty?
Ani dziecko, ani żona,
Jeno szkapa znarowiona.
Przechwalała cała wioska,
Nie wiedziała, co żydowska.

Gdy posłyszy smyk na basie
To położy uszy na się,
I odchodzi od pamięci,
Gdzie ochota, zaraz skręci.

Nieraz mi się ani śniło,
Ani mi się żąda piwa;
Z karczmiska się zakurzyło,
I tu leci moja siwa,
Ja na lewo, ta na prawo
I już stoi pod wystawą.
Nie wypiję przy niedzieli,
To się będą ludzie śmieli.
A ta, jakby mysz do stoga,
Gdzie posłyszy skrzypkę—noga.
Cóż mnie skrzypki, co mnie basy?
Albóż ja to na te tasy?
Moją ziemię niemiec redli,
Płacze dziecko, płacze żona;
A to szkapa znarowiona,
Bodajże ją wilcy zjedli!

3. DZIAD PRZYDROŻNY.

Po boru, po lesie, a szumna, a pańska,
Płynie Wisła, płynie, do samego Gdańska.
Co ta marna woda nieszczęścia naczyni,
A człek po staremu, ta i siedzi przy niej.

A dlaczego siedzi? dlatego, że siwa
Upływa, upływa, a nic nie ubywa...
Ślepo człek się rodzi, przecie się nie wstydzi,
Bo kiedy raz przejrzy, całą ziemię widzi.
Moje śliczne państwo, wracajcież tam zdrowi,
Wam-ci ku domowi, a mnie ku dołowi...
Chłodny wietrzyk wieje, drobne zbiera fale,
Dernąłby ja z wami, gdyby nie to ale...
Więc tak sobie śpiewam do białego świtku:
Święty Mikołaju, pasterzu dobytku,
Ochraniaj tam leśne mazowieckie trzody,
Wolęta pod jarzmo, konie na podwody.
Moje śliczne państwo, wspominajcie dziada,
Co nogę na nogę siedzący zakłada,
I lirę pokręca od białego świtku.
Święty Mikołaju, pasterzu dobytku,
Pomagaj, pomagaj, temu państwu z nieba,
Jako oni wiedzą, co dziadowi trzeba,
I na co ów czeka i wieczór i ranek,
Dźwigający torbę złotych obiecanek.
Oj! te obiecanki, śliczne malowanki,
Przeleciały po nich wieczory i ranki!

4. BABSKI KONCEPT.

Na cmentarzu dobrodziej
Na dwie babki nachodzi:
Jedna drugiej pomaga niebodze;
Do kropelki kropelka,
Kwatereczka niewielka,
A obiedwie słabują na nodze.

„Także wasza poczciwość?
Także to wstrzemięźliwość?"
Przeklętnice dobrodziej wciąż gromi.
Ludzie stają, słuchają,
Ramionami wzruszają,
Będąc babskich humorów świadomi.

„Odprzysięgłaś od gochy,
Że nieruszysz ni trochy,"—
Coraz bardziej w sumieniu ich wierci.
„Sumitujże się, stara!
Także twoja to wiara:
Oj, nie będę już piła do śmierci?"

Aż tu babka w pokorze:
„To być przecie nie może,
Są ci na to u ludzi rozumy;
A toż, jak mi Bóg miły,
My do śmierci nie piły,
Dobrodzieju, my zawsze do kumy."

Więc na koncept jej taki,
Z ludzi taki i siaki
Naśmieje się, ku ziemi przysiadłszy,
I ksiądz się już nie zżyma,
Jeno w palcach niuch trzyma,
I zdumiał się staruszek i patrzy.

5. STASZEK MOROWY.

„Wypędźcie mnie, o co ja was proszę,
Bo ja ze sobą nieszczęście przynoszę!
Niech ja do karczmy zajdę przy niedzieli,
Jużci po tańcu, jużci po kapeli,
A małe dzieci przeleci ograżka,
Ja biedny Staszek, wypędźcie wy Staszka,
By co gorszego nie przyszło na głowy...
Śmierć za mną chodzi, zową mnie morowy,
I tak mi widać do końca sądzono,
Aż mnie we skrzynkę położą zieloną.
Ale i wtedy pod świętym kościołem
Niech mnie przebodą osikowym kołem;
Bo kto tam zgadnie, czyli nie ożyję,
Z grobu nie wstanę, krwi się nie opiję?...
Oj życie moje, oj nieszczęście moje!
A że was kocham, więc się siebie boję...
Wypędźcie Staszka na lasy, na bory,
Choć Staszek biedny i stary, i chory;
Niech ta już idzie, gdzie oczy powiodą,
Kędy mu żadne złości nie dobodą"...
I jak powiedział, tak mu się i stało,
Prochem to było, prochem się rozwiało,
A w naszej wiosce, jak dawniej bywało,
I wietrzyk wieje, i strumyczek płynie,
I słowik ślicznie śpiewa na kalinie...

6. NO, OT TAK.

Wszystko ginie, nie zaginie,
Woda płynie, nie przepłynie,
Wicher wieje, nie przewieje,
Stare serce, nie starzeje.
Jeno w oczach łza się kręci,
Co po sercu, po pamięci...
Wisło, moja rodzicielko!
Mam do ciebie prośbę wielką:
Zanieś ty mnie w moje strony,
Pod ten stary dąb zielony,
Kędy było do zachodu,
Nie bez chłodu, nie bez głodu,
Kiedy ja był żaczek mały,
Przesiadywał i dzień cały.

Dąb ta wiele nie poradzi,
Jeno szumi, jeno gładzi,
I pod głowę liść podściela;
Woda brzegi rwie, odmiela;
Wicher pędza het po kresie
Piaskiem, niechże mnie zaniesie.
Uczyńcież mi nad mą głową,
Taką śliczną chatę płową,
Niech się serce uspokoi
I uciszy żal niezmierny;
A ty, Boże miłosierny,
Bądź miłościw duszy mojej!

Florencja, 1887 r. *T. Lenartowicz.*

Ze szkolnictwa przemysłowego.

„Podźwignąć trzeba przemysł krajowy, przed wiekiem tak świetny, a dziś zupełnie upadły, gdyż jest on jedynym skarbem, z którego urosnąć może dobrobyt ziemi naszej..."

Tak wołał poseł Mikołaj Zyblikiewicz na posiedzeniu sejmu galicyjskiego d. 23-go marca r. 1876. Tak wołał, a wołanie swoje zakończył zdaniem: „Zróbmy, co do nas należy."

W tych prostych słowach posła Zyblikiewicza, które w lat kilka miały się stać programem marszałka kraju, leży zapowiedź zupełnego zwrotu w ekonomicznej polityce Galicji.

W sejmie krajowym podjęto walkę z wiekową obojętnością na interesa ekonomiczne kraju.

Zwrócono się do własnych zasobów i próbowano zdobyć w nich siłę do prowadzenia dzieła materjalnego odrodzenia.

Ze wszech stron poczęto nawoływać do pracy około podniesienia przemysłu.

Przykład ekonomicznego rozkwitu w Królestwie Polskiem i własna nędza, rozpierająca się w wygodnych frazesach nieograniczonej wolności słowa i „wielkiej polityki", dowodnie zdawały się wskazywać na jałowość politycznych słów i doniosłość pracy około spraw najbliższych, domowych.

W r. 1876-ym nie było ani jednej szkoły przemysłowej w kraju. Dwa zakłady rządowe, c. k. Akademja techniczna w Krakowie i c. k. Szkoła dla przemysłu artystycznego we Lwowie, zadań szkolnictwa przemysłowego nie wyczerpywały.

Dziś, po dziesięciu latach na tem polu, mamy 15 szkół wieczornych dla terminatorów, czyli t. zw. szkół przemysłowych uzupełniających, które pozakładano po większych miastach galicyjskich, jak Brzeżany, Jarosław, Kołomyja, Kraków, Lwów, Nowy Sącz, Przemyśl, Rzeszów, Stanisławów i Tarnów. Mamy nadto cztery zawodowe szkoły tkackie, t. zw. warsztaty naukowe w tych miejscowościach, których okolice od czasów najdawniejszych z przemysłu tkackiego słynęły, jak Błażowa, Korczyna i Krosno na zachodniem, a Kosów na wschodniem Podgórzu podkarpackiem.

Mamy 6 szkół zawodowych dla przemysłu drzewnego, t. j. dla tokarstwa, stolarstwa, ciesielstwa, kołodziejstwa, koszykarstwa i rzeźby w drzewie; 2 szkoły garncarstwa w Kołomyi i Toustem (na Podolu), krajową stację ceramiczną we Lwowie, 2 szkoły koronkarstwa i kilka szkół robót kobiecych.

Niebawem liczba tych szkół znacznie się jeszcze powiększy.

W krótkim czasie, jak widzimy, wytworzyła się cała sieć szkół przemysłowych, szkół, które jedynie do podniesienia rękodzielnictwa i przemysłu krajowego przyczynić się były zdolne. W tych 33—jak na dziś — zakładach pobiera naukę 3628 uczniów i uczennic. Wedle budżetów na r. 1887 roczny koszt utrzymania tych szkół wynosi 84,113 złr. Składają się na to rozmaite czynniki. I tak: kraj wydatkuje na ten cel 35,374 złr., rząd dodaje 13,235 złr., fundusze powiatowe przyczyniają się kwotą 3,200 złr., fundusze gmin 12,060 złr., towarzystwa 4,145 złr., dochody własne szkół ze sprzedaży wyrobów 16,097 złr.

Niebawem powstaną szkoły zabawek dziecinnych w *Żywcu*, garncarstwa w *Porębie*, ślusarstwa w *Świątnikach*, koronkarstwa w *Muszynie* i 3 szkoły tkackie.

*

Nie do nas należy sądzić wystawę krajową w Krakowie. Uczynili to inni, a jeżeli przyłożyli surową miarę wymagań do wystawy krajowej *całej prowincji*, uczynili dobrze. Może za pobłażliwie nawet sądzono tę wystawę. Jakikolwiek jednak wypadł sąd o niej ludzi fachowych, jedno przyznać się godzi: wystawa szkół przemysłowych i przemysłu domowego w Galicji jest dla prawdziwego jej rozwoju nietylko świadectwem na dziś, ale i rękojmią na przyszłość.

Niepodobna rozłączać tych dwóch działów. Nietylko uzupełniają się one wzajemnie, ale i—wyjaśniają.

Nasze szkoły przemysłowe powstawały w pewnych ogniskach przemysłu domowego: między tkaczami warsztaty tkackie, szkoły ceramiki pośród garncarzy, szkoły koronkarskie w okolicach, zdawna słynących wyrobami tego rodzaju i t. d. Byłoby to wdzięczne zadanie dla badacza naszego ludu wyzyskać materjał, którego mu dostarczy nietylko wystawa etnograficzna, ale nadto, w znacznie większej jeszcze mierze, wystawa przemysłu domowego.

Wejdźmy na wystawę.

Pawilon szkół przemysłowych urządzał Ludwik Wierzbicki, w pawilonie przemysłu domowego gospodarzami byli: Włodzimierz Dzieduszycki i Władysław Fedorowicz, obaj mężowie, którzy około rozbudzenia przemysłu domowego w Galicji wielkie położyli zasługi.

Kilkadziesiąt szkół przemysłowych prace swe roztacza w szeregu: więc tkackie, garncarskie, snycerskie, koszykarskie, koronkarskie itp. wyroby.

Rozpoczynamy od krajowych wyrobów garncarskich—źle mówię—majolik kołomyjskich i toustańskich. Doprawdy, gdyby tak Kołomyja nie była na Pokuciu, czekalibyśmy rychłoli powstanie *Faënza* druga, albo *Meissen*. Już to przyznać trzeba kierownikowi szkoły, że roztoczył bogactwo pomysłów. Dział „instrukcyjny" przedstawia naukę dekoracji naczyń i metodę ich toczenia oraz wypalania.

Piękny połysk szkliwa jest już zasługą dyrektora stacji ceramicznej, p. Krzena, który nawet uzyskać ma patent wynalazcy na sposób mieszania farb. Paleta „farb podszkliwnych", przedstawiona przez p. Krycińskiego, jest do nabycia w każdym składzie farb.

Wspaniały okaz przedstawił p. Krzen: jest to puhar i taca z majoliki, pięknie dekorowanej, o rytowanym rysunku, zdobnym farbami podszkliwnemi. Szkic rysunkowy do tego cacka dostarczył prof. Juljan Zacharjewicz.

Szkoła w Toustem odznacza się innego rodzaju dekoracją: nie ma tu stereotypowych ornamentów Bachmińskiego, ani jego trzech barw: żółtej, zielonej i brunatnej. Dekoracja przeważnie marmurkowa.

Wysokiem artystycznem wykończeniem odznaczają się rzeźby szkoły dla przemysłu drzewnego w Zakopanem. Medaljony W. Pola, Matejki są przedziwnie odtworzone, choć może materjał drzewny nie zupełnie, naszem zdaniem, nadaje się do uwieczniania i mimowoli trzeba żałować, że te piękne rzeźby nie zostały wykonane w trwalszym materjale.

Już to Zakopane po Kołomyi trzymało bezsprzecznie pierwsze miejsce na wystawie szkół.

Szkoła koronkarstwa w Zakopanem wystawiła mnóstwo pięknych wyrobów. Guipiury Reticello, Idrye i Duchessy zachwycały znawczynie.

Łatwo jednak można poznać, że obie te szkoły zakopańskie przemysłu drzewnego i koronkarstwa spoczywają w ręku dwojga ludzi, ściśle ze sobą złączonych. Kierownikami tych szkół są: pan i pani Neuril—małżonkowie. Gdyby nie wyczytało się tego w katalogu, wskazałby to sam sposób używania tu i tam jednych i tych samych motywów.

Na każdym nożu, rączce, zakładce, ramkach, czy kałamarzu, podobnie jak na każdym wachlarzu, kołnierzyku, czy chustce do nosa, spotyka się nieustannie jeden, aż do znudzenia powtarzający się motyw: szarotkę tatrzańską...

dr. *Witold Lewicki.*

Lwów, 1887-go r.

Ostatnia miłość feldmarszałka Ticzy.

W czasie mojej służby wojskowej poznałem feldmarszałka Ticzę, starca, żyjącego samotnie w zapadłym kącie Węgier.

Dzielny to był oficer, okryty sławą i orderami, rozgłośnego imienia wódz. Nikt nie wiedział, dlaczego odpiął szablę w chwili, kiedy spadły na niego zaszczyty i ordery, nikt nie domyślał się nawet, że znakomitego jenerała zniechęciła do służby żołnierskiej i do życia miłość... ostatnia, gorąca.

Z tajemnicy swej wyspowiadał się feldmarszałek krótko przed śmiercią pułkownikowi X., od którego dowiedziałem się szczegółów tego spóźnionego romansu.

* * *

Wybuch ostatniej wojny austrjacko-pruskiej—mówił feldmarszałek Ticzy do pana F. — zastał mnie pułkownikiem dwunastego pułku dragonów.

Byłem sobie zwyczajnym pułkownikiem, który zawdzięczał swoją rangę nie zasłudze wojennej, ani zdolnościom, lecz poprostu długiej służbie.

Lat trzydzieści przepędziłem na koniu przed frontem... Komenderowałem, piłem, pracowałem rzetelnie na pedogrę i czerniłem sobie głowę, która szpetnie posiwiała.

Mimo to trzymałem się jeszcze wybornie, butny i zadzierzysty, zwyczajnie dragon. Mina djabla, a dwie blizny na twarzy, nabyte w burdach hulaszczego życia, uchodziły za ślady męstwa na polu bitwy.

Sterany nieporządnem życiem, znudzony służbą, której trofeami były potłuczone butelki węgrzyna, marzyłem o wycofaniu się z armji i o... ożenieniu się.

Byłem pewny, że znajdę jaką ośmnastoletnią węgierkę, która zechce mnie... bawić, gdy pedogra posadzi mnie na fotelu i zmusi do ułożenia nogi na miękkiej poduszce.

Bo trzeba ci wiedzieć, pułkowniku, że byłem zawsze bardzo czuły na wdzięki niewieście. Słabość to żołnierska!

Kochać i być kochanym namiętnie zapragnąłem, gdy mnie już miłostki kwater i kilkomiesięcznych stacyj znudziły.

Zachciało mi się żony i spokoju. Na kwaterach nie znajdowałem ani pierwszej, ani drugiego, więc postanowiłem podziękować cesarzowi za chleb.

Wtem przyszedł telegram do Pesztu: Wojna! Dwunasty pułk na granicę!

Zapomniałem na chwilę o wszystkiem!

Nazajutrz kazałem sobie skrócić lewe strzemię o jeden numer, bo w lewej nodze gospodarowała właśnie pedogra, wsiadłem na koń i z miną djablą, w wojennym rynsztunku, defilowałem przed feldmarszałkiem, który wyprawiał korpusy z Pesztu.

— Panie pułkowniku, życzę ci powrócić z rangą jenerała—zawołał feldmarszałek na pożegnanie.

Podziękowałem za życzenie, ale w duszy pomyślałem sobie, że lepiejby było człowiekowi siedzieć przy młodej żonce, niż na szkapie z chorą nogą.

Nie wiem, czy spóźnione pragnienie amorów, czy też pedogra, dość, że jedno tych głupstw zabiło we mnie cały animusz wojskowy.

Niechętnie ruszałem w świat. Zanikał we mnie dziarski pułkownik Ticzy, który jak grzmot komenderował, a jak djabeł siedział na ogierze.

Dawniej było na co patrzeć. Gdym huknął: „*Habt Acht!*" dragony, jak struny, się prostowały; konie rozumiały komendę. Ziemia dudniła pod kopytami mego wierzchowca, a słońce przeglądało się w klindze pałasza, kiedy prowadziłem pułk podczas manewrów do ataku.

Sam się teraz nie poznawałem. Komendę chętnie zdawałem na mego adjutanta, porucznika hr. Zichy. Dziarski to był chłopak!... piękny, jak z bronzu ulany, szlachetny, odważny!

Nudną była droga z Pesztu do Wiednia. Zichy w mojem zastępstwie wiódł dwunasty pułk, a ja, jak gdybym nie był żołnierzem, niby maroder jaki, wlokłem się z tyłu, przeklinając wojnę i jej trudy.

W Baden pod Wiedniem rozkwaterowałem mój pułk, który niebawem brzękiem ostróg zaalarmował wszystkie niemki.

Nie wiedzieliśmy, jak długo wypadnie nam pozostać w Baden, czekając rozkazów arcyksięcia, który dowodził naszą dywizją. Tam, gdzie walczono już, Austrja nie była szczęśliwą, dragony ginęły, jak muchy, po świecie. Przyjdzie zapewne i na nas kolej.

W Baden, w jednej z prześlicznych wil, mieszkała pani Laura, piękna, dwudziestoletnia węgierka, wdowa po starym mężu, wiedeńczyku, który jej zostawił swobodę i majątek krociowy.

Lecz nie majątek mnie zachwycił, tylko oczy Laury, jak błyskawice, złote jej włosy, rumiane, życiem tryskające liczko i usta, niby rubiny, stworzone do całowania.

Zakochałem się, jak kadet, a nie jak pułkownik. Oświadczałem się dziesięć razy na dzień, a Laura w odpowiedzi spoglądała na mnie tak, że stara krew moja pod tem spojrzeniem kipiała, a głowa szalała.

Kazała czekać końca kampanji i końca żałoby po pierwszym mężu.

Dnia 13-go maja opuściłem Laurę o dziewiątej godzinie wieczorem, aby załatwić korespondencję i raporta pułkowe.

O dziewiątej przyszła sztafeta ze sztabu: Na drugi dzień, o czwartej zrana, dwunasty pułk dragonów miał opuścić Baden, połączyć się pod Wiedniem z brygadą i pociągnąć na pole bitwy.

Rozkaz ten powitałem, jak tchórz. Drżałem na całem ciele; pobiegłem do adjutanta Zichy'ego — nie było go!

Najbliższemu z rzędu oficerowi kazałem zaalarmować pułk i miasto; nie było czasu do stracenia.

W pół godziny potem rozlegała się już w Baden trąbka wojenna.

Załatwiwszy się z czynnościami dowódcy, pobiegłem w stronę wili Laury, aby ją pożegnać, może na zawsze, i usłyszeć jeszcze raz jej głos, uczuć uścisk jej ciepłej dłoni i wydobyć od niej przyrzeczenie, że będzie na mnie czekała, że nikomu, oprócz mnie, mnie jednemu nie odda swej pulchnej rączki.

Dopadłem wili; biegłem, jak młodzik: okna jeszcze były otwarte i oświetlone, gazowa tylko przykrywała je zasłona.

Laura nie spała.

Z apartamentu mojej bogdanki doleciały mnie ciche słowa i rzewny płacz.

Stanąłem, jak wryty. Oddech zaparłem w piersi i uchyliłem koronkowej draperji...

Przez piekło! Laura siedziała na fotelu, a u jej nóg klęczał dragon! On całował ją po kolanach, obejmował jej kibić i szeptał słowa miłości, a ona zanosiła się od płaczu.

Tym dragonem był mój adjutant, hr. Zichy.

Jakim cudem na drugi dzień rano, przed świtem, znalazłem się na koniu, przed frontem ustawiającego się pułku—nie wiem.

Wiem tylko, że Zichy stał obok mnie, jako adjutant. Nie mogąc znieść jego widoku, mianowałem adjutantem innego oficera, a Zichego odesłałem do komendy innego szwadronu. Po dokonaniu tej zamiany, przystąpiłem do obejrzenia pułku.

Na czele swego plutonu znajdował się już Zichy i zdawał raport podług zwyczaju.

Spojrzałem mu w oczy. Uśmiechnął się zdrajca. Ten uśmiech wzniecił we mnie pożar zemsty.

— Życiem mi zapłacisz, mości poruczniku, za uśmiech szyderski, za ból szalony, który pali, za....

W trzy dni potem byliśmy na placu boju.

Zabezpieczenie armat jest w dzisiejszej taktyce najstraszniejszym obowiązkiem, jaki kawalerji przypada w udziale. Dziesiątkuje on nieszczęśliwe pułki, które bez tej czynności nie czułyby prawdziwego niebezpieczeństwa wojny.

Pod Elau pułk mój bronił właśnie dział.

Pięć morderczych machin stało na wzgórzu, w położeniu wyjątkowo niekorzystnem. Porucznika Zichy wyznaczyłem na to stanowisko.

Uśmiechnął się tylko, lecz ani mruknął, jeno poszedł.

Wieczorem, gdy niedobitki dnia ściągały do obozu, nie spodziewałem się ujrzeć między nimi mego byłego adjutanta, który... obejmował kibić Laury.

Wrócił! Wytrzymał straszliwy ogień, uprowadził armaty, odparł dwa ataki — okrył sławą dwunasty pułk i mnie... do djabła!

Nazajutrz mianowano mnie jenerałem, a Zichego rotmistrzem!

Podczas parady spojrzenia nasze się spotkały: Ja pałałem ukrytą nienawiścią, on się uśmiechał.

Awans bolał mnie, był mi wstrętny. Nie cieszyło mnie nic, bo ciągle, wśród świstu kul i huku wystrzałów armatnich, widziałem Laurę pochyloną nad Zichym i słyszałem ich szepty miłosne.

Na granicy Czech broniliśmy się zawzięcie, chcąc odeprzeć wroga od progu kraju. Utarczki szły szybko po sobie, biliśmy się prawie codzień, a Zichy nie ginął.

W ostatnich dniach czerwca zrozpaczony jenerał Benedek polecił mi wyparować nieprzyjaciela, który zajmował pagórkowate stanowiska między Elbą a Bystrzycą.

— Zgiń z całą dywizją, a wyprzyj ich—rozkazał Benadek.

— Rotmistrzu, hrabio Zichy!—zawołałem—weźmiesz dwa szwadrony i odbierzesz ten lasek, w którym stoi artylerja pruska!

Był to wyrok śmierci, który szaleniec ten przyjął z ironicznym uśmiechem.

W kilka chwil potem staczaliśmy jedną z rzadkich, zwycięskich bitew tej nieszczęsnej wojny. Wyparliśmy nieprzyjaciela i zdobyli jego armaty.

Gdy się bój skończył, obliczano straty i zyski. Przybył sam Benedek.

— Winszuję ci, jenerale—wyrzekł — dzielnych wychowałeś rotmistrzów! Hrabiego Zichy awansuj na podpułkownika, ciebie zaś wynagrodzi cesarz.

Zichy... nie zginął, choć z jego dwu szwadronów zostało zaledwo trzydziestu jeźdźców.

Na drugi, czy trzeci dzień cesarz przysłał mi order Marji-Teresy, ten talizman męstwa i bohaterstwa w Austrji, który mnie więcej bolał, niż cieszył.

Gdy mi go Benedek przypinał do piersi, czułem za sobą szyderski uśmiech nowego podpułkownika.

Po skończonej ceremonji obejrzałem się. Zichy spoglądał na mnie, a oczy jego mówiły:

— Twoja śmieszna nienawiść okryje cię sławą, lecz nie zgubi, ani odbierze mi miłości Laury.

Ta kobieta, która była moją pierwszą i ostatnią miłością, stała między nami. Obojętne mi były rangi i ordery; byłbym je wszystkie oddał za uśmiech Laury, którą mi zabrał Zichy.

Straciwszy trzydzieści tysięcy ludzi, pociągnęliśmy na ostatni plac boju, pod Królowy dwór.

W dniu pamiętnym dla Austrji najniebezpieczniejsze stanowiska wyznaczałem dwunastemu pułkowi dragonów, którym dowodził Zichy w zastępstwie poległego dowódzcy. Ale kule omijały go ciągle, jak zaczarowanego.

Gdy wreszcie Benedek zaczął się cofać ku Ołomuńcowi i nasza artylerja zabrała się do odwrotu, szło już tylko o rozumną ucieczkę.

Drugi i trzeci lipca były dniami strasznemi i nieprzyjaciel ścigał nas zawzięcie.

Zabezpieczenie tyłów cofającej się armji i powstrzymywanie nieprzyjaciela Benedek mnie polecił. Chcąc się koniecznie pozbyć szczęśliwego rywala, wystawiłem pułk dwunasty na największy ogień.

W Ołomuńcu zebraliśmy się i uporządkowali. Straty w ucieczce były małe, artylerja ocalała, ale dwunasty pułk wyginął do nogi.

Za świetnie urządzony odwrót Benedek mianował mnie feldmarszałkiem.

Gazety rozniosły po świecie wieść o mojej nowej wysokiej godności, czyniąc to w tym samym numerze, w którym podały wiadomość o śmierci bohaterskiego Zichy...

Mój rywal zginął nareszcie...

* * *

Zawarto pokój.

W przeciągu kilku dni znalazłem się w Baden.

Laurę zastałem w grubej żałobie.

— O ile mi wiadomo—wyrzekłem—żałoba pani skończyła się.

— Zaczęła się dopiero, panie feldmarszałku —odparła.

— Po kim?

— Po moim narzeczonym, hrabi Zichy!—dodała, zalewając się łzami.

— Więc pani ze mnie drwiłaś, więc pani...

— Ach! — zawołała, szlochając — cóż miałam robić, wszak byłeś jego pułkownikiem...

* * *

Na drugi dzień podałem się do dymisji i, jak widzisz, dogorywam w tym zakątku.

Moja sława, moje godności i ordery ciążą mi, jak zbrodnie. Za nic na świecie nie przypiąłbym do piersi tych błyskotek.

Wincenty hr. Łoś.

Myślałem!..

Myślałem, że serce stygnie,
Myślałem, że słabnie oko —
Że młodość, jak iskra, migale
I ginie pod lat powłoką —
Że wiara niknie z zapałem...
Myślałem...

Myślałem, że boleść łamie,
Łamie i kruszy, zabija —
Że gdy kobieta raz skłamie,
Truje na zawsze jak żmija;
Że jedną tylko kochałem,
Myślałem...

Nad grobem sam jeden, nocą,
Długo i ciężko marzyłem...
Gwiazdy nademną migocą,
Lecz gwiazdy w życiu straciłem.
Nad siły ludzkie cierpiałem,
Myślałem...

Bez ziemi, dachu, sierotą
Po obcych schodach się wlokłem,
I najtęskniejszą tęsknotą,
Jak łzami, na wskroś przemokłem...
Chwili pociechy nie miałem,
Myślałem...

* * *

Lecz wiosna przyszła i kwiaty —
I w kwiat przybrana, świetlana,
W gwiazdziste miłości szaty
Ma droga przyszła, kochana...
I znów raz pierwszy kochałem,
Myślałem...

I grób, wygnanie, łez zdroje,
I cierpień lata wieczyste,
Złożyłem w oczy jej dwoje
Jak perły łez promieniste...
Kochając zmartwychpowstałem,
Myślałem...

Dokąd znów wiedziesz mnie? po co?
Kobieto, arko boleści!
Czy wiosny twojej przemocą
Świat twój się w moim pomieści?
Zlituj się! dość już cierpiałem,
Myślałem...

Lecz się nie boję! Nie liczę
Cierpień! I cierpie chcę jeszcze!..
Bym patrzał na twe oblicze!...
Gdy dłoń twą w dłoni mej pieszczę,
Ludzkość z mem sercem zbratałem,
Myślałem!...

Bruksella, 1887 r.

Henryk Merzbach.

ZMARZLAK.

(Szkic zwozu Thespisowego.)

Czterdzieści bez mała lat usługiwał Melpomenie i doczekał się tego pod starość, że nie robiono sobie z nim żadnej ceremonji. Wołano poprostu: Zmarzlak!.... „Zmarzlak, pójdź tu!... Zmarzlak, zrób to!... Zmarzlak, przynieś tamto!..."—według potrzeby i humoru.

Bywało nawet, że mówiono niekiedy: „Zmarzlak, całuj psa w nos!..."

Czasem wprawdzie ktoś z młodszych (szczególniej kobiety) powiedział łagodniej: „Panie Zmarzlak..." „Mój panie!..." „Kochany panie!..." i t. p. Ale wtedy on sam patrzył na mówiącego lub mówiącą z pod oka, podejrzliwie.

— Ot, zawracanie!— myślał.

Najczęściej ze wszystkich poleceń rozkazów i upomnień otrzymywał dwa następujące:

— Zmarzlak, trzymaj-no mnie dziś!

Wtedy odpowiadał stereotypowo:

— To się rozumie!

I drugie:

— Zmarzlak, nie urżnij-no się przed samym spektaklem!

Wtedy nic nie odpowiadał, ale na podobieństwo psa, który, będąc ofukniętym, podwija ogon pod siebie, odchodził do swej „budy" cichaczem, więcej tylko, niż zwykle, chmurny i skrzywiony.

„Towarzystwo", w którem pełnił obowiązki suflera, grywało po prowincji „na działy"—a było jednem z najbiedniejszych. Grywano trzy razy na tydzień i dzielono się każdorazowym zyskiem (jeśli bywał!) w stosunku do zasług i pozycji. „Dyrekcja", złożona z dwóch osób, zabierała lwią część; *pierwszy kochanek* znaczył tyle, co *matka dramatyczna*, a sufler otrzymywał swoją część, jedną z najniższych, na równi z początkującym *lekkim amantem*.

Z trupy dwunasto-osobowej jedenaścioro wraz z dyrekcją marzyło jeszcze (jak to zwykle bywa) o lepszej doli i karjerze, ba! nawet o laurach i trjumfach rozgłośnych. Jeden przed drugim — i jedna przed drugą— przyznawali sobie pierwszeństwo do owych oczekiwanych trjumfów. W oczy częstokroć ten lub owa ustępowali swoich praw Ezawowych któremuś z czupurniejszych kolegów, ale poza oczyma każdy z osobna był przekonany, że trjumfy jemu pierwszemu dostać się muszą.

Tylko Zmarzlak słuchał zawsze obojętnie podobnych rozpraw. On, po latach czterdziestu, nie żądał już niczego więcej nad to, co dotąd dawał mu wóz Thespisowy.

Na pytanie: „Co go do teatru pociągnęło i przykuło?" różnie odpowiadano. Nikt jednak prawdy istotnej nie wiedział. Trupa, w której obecnie się zaaklimatyzował, składała się z młodzieży; on był wśród wszystkich najstarszym, a mówić o sobie nie lubił. Po odpowiedź dokładniejszą należało się zgłosić do takich dyrektorów, jak Chełchowski, Pfejfer, Skorupka i Miłaszewski, których Zmarzlak pamiętał. Ale większość z nich już nie żyła, podobnie, jak i z tych kolegów, z którymi dzisiejszy sufler „zaczynał". Zaczął zaś—naturalnie!—nie od suflowania, a jął się tego dopiero po utracie głosu i przekonaniu się, iż talentu „do grania" nie posiada żadnego. Szkoda tylko, że na takie „przekonanie" potrzebował całych lat dwudziestu!...

Z tem wszystkiem — grywał i dziś jeszcze czasami. Grywał, gdy rola polegała na jednej, jedynej scenie, oraz gdy znajdował się który z aktorów, wolny chwilowo, co mógł Zmarzlaka w „budzie" zastąpić na razie. Aby zastępstwo takie ułatwić, wykreślano często jedną lub dwie sceny w sztuce — nikt z widzów nie gniewał się o to. Grywał z takiem samem namaszczeniem, z jakiem suflował, lub, przed rozpoczęciem sztuki, z potrzeby, sprzedawał bilety w kasie.

Na trzech naraz posterunkach mógł być użytecznym—nic dziwnego!...

Lubiono go też nawet, ale—niezależnie od tego—lekceważono. Nie liczył się z nim nikt, lub przynajmniej mało który z kolegów. Był dla nich rzeczą martwą. W jego obecności aktorki przyznawały się wzajemnie do najskrytszych tajemnic — przy nim aktorowie obgadywali jeden drugiego, lub narzekali na „dyrekcję". Zmarzlak nie istniał dla nich poza budą.

Czasem wprawdzie, gdy *pierwszy kochanek*, najrozmowniejszy w towarzystwie, zjadł „fundowany" obiad i humor miał lepszy — zaczepiał starego suflera pytaniem:

— Przyznaj się, Zmarzlak, że cię kobieta zagnała do teatru?... Ach, te kobietki!—dodawał z akcentem, pozwalającym się dużo domyślać.

Wtedy oczy Zmarzlaka przysłaniały się powiekami automatycznie, jakby przed jakimś nagłym blaskiem. Dłużej też, niż zwykle, zwlekał wówczas ze zwykłą swoją odpowiedzią:

— To się rozumie!...

Na tem wszystko się kończyło, bo Zmarzlak skwapliwie dalszej rozmowy unikał.

Przytem—upijał się... i to właśnie było powodem, że ten i ów pozwalał sobie z nim więcej, niżby wypadało. Nikt tu, wogóle, nie wylewał za kołnierz (nie wyjmując kobiet)—ale nikt zarazem nie chciał zastanowić się nad tem, że starzec upijał się jednym, jedynym kieliszkiem.

Kieliszek taki złej wódki dostawał się do żołądka słabego, zwykle wygłodzonego i robił swoje—zawracał Zmarzlakowi w czubie.

Wtedy, naturalnie, wołał starzec o drugi kieliszek i zwykle go dostawał. Potem trzeba go było odprowadzać do domu.

Ztąd to pochodziły owe przestrogi: „Nie urżnij-no się przed spektaklem!"

Dwa lub trzy razy do roku ginął Zmarzlak bez śladu na dni parę, czasem nawet tylko na jeden.

Z początku poczęto gadać:

— To ci stary łobuz! A jaki skryty!... Dlatego tak oszczędza!

Ale później wyjaśniło się wszystko.

Miał przyjaciela w innem „towarzystwie" — takiego jak on sam. Dwie krople wody deszczowej nie mogły być podobniejsze — tylko, że jedna zwała się „Zmarzlak", druga „Krajewski". Kolegowali pod Pfeifrem i obaj dziś *głównie* suflowali — tyle o ich stosunku wiedziano.

Stronili też od siebie skwapliwie, ale dwa lub trzy razy do roku zjeżdżali się stale. Nigdy jeden z nich nie zaangażował się do towarzystwa, w którem przebywał drugi, ale również żaden nie pominął dorocznego zjazdu.

Na zjazd taki obierali zazwyczaj dzień pewien przed samem Bożem Narodzeniem, lub dzień w końcu wielkiego tygodnia, przed świętami wielkanocnemi. Przedstawień wówczas nie dawano, wolność tedy była zupełna; nie potrzeba było nawet prosić o urlop „dyrekcji". Układano się zaś tak, aby ani jednemu, ani drugiemu nie było zadaleko. Jedyna to bywała okazja, w której Zmarzlak list pisywał — i jedyna, w której po dniach paru odbierał odpowiedź, adresowaną: „artysta dramatyczny".

Raz odpowiedź taka zaplątała mu się w egzemplarz nowej sztuki; wszyscy ją tedy odczytali:

Opiewała ona:

„Kochany przyjacielu!... Zgoda na Nowo-Radomsk. Będę przez pamięć na Nią... Jak zawsze!... U Mośka starego!... Pod *chajrem!...* Całuję cię, duszo złota!... Twój, Mich. Krajewski."

Chciano się pośmiać w pierwszej chwili, zwłaszcza z owej „duszy złotej"—ale śmiech jakoś wszystkim pomarzł na ustach. O! bo to była ciężka zima w roku 1880-ym.

Upadł też projekt pogonienia cichaczem do Nowo-Radomska za przyjaciołmi i podsłuchania ich zwierzeń, a upadł zarówno ze względu na zimę, jak i ze względu na koszta.

Później tylko, podczas pobytu „towarzystwa" w Nowo-Radomsku, dowiedziano się od Mośka, utrzymującego zajazd, jak się te zebrania „przyjaciół" odbywały.

Przyjechał najpierw Krajewski nad wieczorem, w wigilję wigilji, a wszedłszy, kazał podać do osobnego pokoju dwa kieliszki wódki i z góry zapłacił za wódkę i za nocleg, tj. „za cały jeden pokój", jak żyd mówił. Ale wódki ani ruszył. Kieliszki napełnione stały całą noc, a pan Krajewski całą noc kiwał się nad niemi i palił cygara i drzemał. Zrana, skoro świt, przyjechał pan Zmarzlak i prosto walił do tego pokoju, jakby wiedział, że pan Krajewski musi tam być. Wtedy uścisnęli się za ręce, raz, drugi i trzeci, a wreszcie rzucili się na siebie, jak tygrysy — i płakali.

A pan Zmarzlak mówił:

— Zapomniałem ci wszystkiego, Michasiu, Michaleńku! Powtarzam to po raz dziewiąty!... Zapomniałem!

A pan Krajewski, według Mośka, odpowiadał:

— *Dużo* złota! *Dużo* złota! (*Viel Gold*! — tłómaczył Mosiek).

Potem znowu płakali oba, jeden w jednym kącie, drugi w drugim, przy ścianach — i nie patrzyli na siebie.

Wreszcie siedli naprzeciw siebie.

— Twoje, Karolku!—zawołał pan Krajewski.

I wypili wódkę.

A potem kazali dać rybę i serdelków i piwa i znowu wódkę — no, i pili — i jedli.

A mówili przytem:

— Śliczna była? co?! (Mosiek utrzymywał, że mieli na myśli rybę, przez niego podaną).

— Boże! — odpowiedział na to pan Zmarlak, z oczyma w niebo wniesionemi. — A jak ona grała! jak grała!... — dodał.

Na to znów pan Krajewski żałośnie:

— Karolku! Ja nie winien! Ona sama za mną poszła!... sama!... Ja ci jej nie zabrałem!... Sama!... Tak, jak później za tym hrabią, wiesz!...

I wymienił pan Krajewski nazwisko, które stary Mosiek powtórzył z ogromnym respektem, wśród mlaskania językiem z podziwu:

— Cy, cy, cy!...

A następnie pan Krajewski dodał:

— Taka już była!... Trochę mnie, trochę tobie, trochę każdemu... A umarła przy nim... przy nim...

I znowu to nazwisko hrabiowskie.

Wtedy długo nie mówili nic, aż wreszcie pan Zmarzlak wyszeptał:

— Michaleńku!

— Czego?—wybełkotał.

— Lepiej było dawniej!

— Lepiej, duszo złota!...

Znowu długie milczenie. Obaj się poczęli kiwać nad talerzami i kuflami.

Wreszcie pan Zmarzlak krzyknął:

— To się rozumie!

I pokładli się spać obaj.

Nazajutrz płacili do spółki — i w „same szwięto" — jak mówił stary Mosiek—rozjechali się.

Zmarzlak, wróciwszy do „towarzystwa", zastał „nową siłę" kobiecą. Była nią śliczna blondynka, coś z gołębia, dziecka i kobiety. Grywała już podobno w innych towarzystwach, a tu zaangażowała się bez „udziału" w zyskach.

— Mam trochę pieniędzy—mówiła—a tu chcę grać... tu koniecznie... (i wymieniła nazwę mieściny).

Zmarzlak, zobaczywszy ją, osłupiał.

„Nowa siła" — zepsuta, spieszczona, przychodziła zarówno na spektakle, jak i na próbę każdą, z pudełkiem cukierków, któremi obdzielała nowe swoje koleżanki i niejednego z kolegów.

Zmarzlak starał się na nią nie patrzeć, ale raz na próbie, ona sama zwróciła się do niego.

Wzięła czekoladkę w drobne paluszki i, klęknąwszy przed budką, mówiła pieszczotliwie:

— Nio, nio, nio! Proszę nadstawić dziubuś, ten stary dziubuś, no, prędko!

Stary sufler otworzył szeroko oczy.

„Nowa siła" nasuwała mu pieszczotami swemi jakieś dawne, wygasłe wspomnienia.

— Źle! pomyślał.

Aktorka tymczasem, wsunąwszy mu przemocą czekoladkę między wargi, dodała ciszej:

— A trzymaj mnie pan dziś, mój złoty panie! Zależy mi na tem, żebym grała jaknajlepiej.

Zmarzlak suflował wieczorem właśnie jak najgorzej. Zacinał się, jąkał, szeplenił brakowało mu oddechu, słowem, aktorowie nie poznawali go prawie i wszyscy na niego narzekali.

„Nowa siła" po spektaklu powiedziała mu: „stary ośle!"...

Tego wieczora Zmarzlak napisał znów list jakiś, a nazajutrz, sztywny, uroczystą przybrawszy postawę, podał się do dymisji.

— Zastąpi mnie Krajewski od Puchniewskiego —mówił.—Niech i on także zobaczy i pocierpi...

A kiedy „dyrekcja" wytrzeszczyła zdumione oczy, dodał:

— Dyrektor nic na tem nie straci... Zamieniamy się tylko na miejsca, nic więcej...

Nazajutrz wyjechał sufler Zmarzlak, a przyjechał sufler Krajewski...

Juljan Łętowski.

Kto to jest?

W interesie sztuki zabieramy głos obecnie, a czynimy to w nadziei, że zagadka, jaka się przedstawiła oczom naszym, zostanie rozwiązaną należycie przez miłośników piękna.

Zapraszam czytelnika do kościoła św. Anny (pobernardyńskiego) w Warszawie, odrestaurowanego z takim nakładem, dzięki zapobiegliwości i pracy ks. Władysława Siewierskiego. Tam właśnie kryje się owa zagadka, mająca wiele interesu dla historyka sztuki polskiej.

Jak świadczą kroniki klasztorne, bernardyn Żekrowski odmalował całe wnętrze kościoła w początkach drugiej połowy XVIII-go wieku, a utwory te jego dochowały się po nasze czasy, restaurowane około 1850-go r. przez prof. ks. Zaleskiego i obecnie przez A. J. Strzałeckiego.

Nie ma więc wątpliwości, że ten zakonnik artysta upiększył swoim pędzlem naszą świątynię, co zresztą czynił także w kilku świątyniach bernardynów polskich.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znaleźliśmy nawet jego portret na malowidłach, upiększających

stalle zakonne, znajdujące się w chórze poza wielkim ołtarzem. Niema wprawdzie pod nim żadnego podpisu, któryby uzasadniał nasze twierdzenie, jednakże charakter artystyczny wspomnianych malowideł przemawia za tem zupełnie. Malowidła stallowe są tegoż samego typu *roccoco*, co i rozwinięte w nawach, a okoliczność ta rzuca dostateczne światło na jedność ich pędzla — zakonnika Żebrowskiego.

Wizerunek, o którym mówimy, przedstawia mnicha z emblematami malarskiemi, o twarzy szerokiej, typowo bernardyńskiej i nie zdradzającej na pierwszy rzut oka zbyt wysokich aspiracyj duchowych. Jest coś ptasiego w tej twarzy grubo-kościstej, o kącie ostrym.

Jak mówiliśmy, malowidła Żebrowskiego odznaczają się manierą roccocową, więc widnieje ona zarówno w taatralności figur i grup, jak w traktowaniu natury i ornamentyki. Gdy malowidła nawowe wiele tego charakteru utraciły, spotykamy go siła na stallach i na ścianach kaplicy św. Ładysława, gdzie wszystkie grupy, figury i kompozycje ornamentacyjne rozwijają się z rzetelnem poczuciem ducha stylu Ludwika XV-go. Wszystko tu obliczone na efekt, na olśnienie widza, wyraźne dążenie do zatarcia tej prostoty, jaką widzimy w naturze.

Owa konwencjonalność w malowidłach Żebrowskiego przeprowadzoną jest konsekwentnie i dlatego sprawia bardzo przyjemne wrażenie swoją jednolitością.

Zgodziwszy się jednak na jednolitość stylową i artystyczną malowideł stallowych, w nawach, na sklepieniach i ścianach kaplicy św. Ładysława—trudno nie zauważyć jednego bardzo ciekawego zjawiska.

Oto w kopule kaplicy św. Ładysława rozwiniętą została *alfresco* bogata bardzo scena, przedstawiająca świętych pochodzenia polskiego, pomiędzy którymi widzimy i N. Marję Pannę koronowaną. Scena owa jest bogata w szczegóły i artystyczne grupy, przeprowadzone nader malowniczo.

Szczegółowy opis tego malowidła pozostawiamy do innej sposobności—natomiast obecnie zwracamy się do właściwego założenia.

Nie potrzeba zbytniej biegłości w ocenianiu pomników malarstwa, ażeby nabrać przekonania, że malowidło kopuły nie wyszło z pod ręki Żebrowskiego. Wcale spokojny układ obrazu, dosyć pilne przestrzeganie natury przy zacięciach barokowych, naprowadzają na wniosek, że dzieło to pochodzi z połowy XVII-go wieku.

Rozbierając znowu szczegóły i przypominając sobie charakterystykę malowideł bernardyna Franciszka Leksickiego, znajdujących się w Krakowie i Kalwarji Zebrzydowskiej, widzimy pomiędzy jednemi i drugiemi zjawiskami bardzo bliskie pokrewieństwo, wskutek czego nieledwo nabieramy przeświadczenia, iż są one dziełem jednej ręki.

Czyżby więc malowidło warszawskie było utworem Franciszka Leksickiego? Być może—nie śmiemy jednak tego stanowczo utrzymywać.

W jednej z grup tej kompozycji spotykamy bernardyna z paletą w ręku. Głowa podgolona obyczajem zakonnym, twarz dosyć stara, ściągła, nos długi, zbliżony do typu rzymskiego, oczy duże, wyraziste, a po nad niemi brwi krzaczaste, dają całość inteligentną, wrażającą się w pamięć.

Czyżby to znowu był sam malarz, zakonnik Leksicki, który tu umieścił swoją podobiznę, obyczajem artystów współczesnych i średniowiecznych?

I tu pozostawiamy pytanie bez pozytywnej odpowiedzi, którą mogą dać dopiero dalsze badania.

Nie wątpiąc, że zagadka ta nie da pokoju wielu czytelnikom, dorzucamy tutaj kilka szczegółów, być może ułatwiających jej rozwiązanie.

Nad drzwiami wchodowemi znajduje się napis: *Renovatum 1750*, co wskazuje na działalność Żebrowskiego w kaplicy i na istnienie w niej dawniejszych malowideł. Skoro malowanie ścian przypiszemy owemu mnichowi, w takim razie utwory, w kopule rozwinięte, będą dawniejsze i do nich właśnie może się odnosić owo *renovatum*.

Dalej, tradycja klasztorna utrzymuje, że Leksicki. który umarł w Grodnie r. 1668-go, malował w kościele oo. bernardynów warszawskich, co nawet zapisał i bar. Edward Rastawicki w swoim „Słowniku malarzy polskich”, t. I, str. 265—268.

Miał również ten przedni artysta malować w kościołach bernardynów w Poznaniu, Kaliszu i Łęczycy. Wartoby więc przestudjować tamte utwory i porównać je z warszawskiemi i temi, co już stwierdzone zostały w Krakowie, Kalwarji, Nowym Targu, Lwowie, Olesku i Porowinie. To może naprowadzić na pozytywny wniosek.

Do okoliczności interesujących zaliczamy i tę, że portret naszego malarza, zamieszczony w cytowanem dziele Rastawieckiego, jest dosyć podobny do twarzy zakonnika-malarza, znajdującego się w obrazie kopułowym kaplicy św. Ładysława, z tą tylko różnicą, że pierwszy wyobraża mężczyznę, mogącego mieć najwyżej lat 35, gdy drugi dochodziłby już do pięćdziesiątki.

Jeszcze jedno. Kaplicę warszawską św. Ładysława wzniosła r. 1629-go, jak świadczy rękopiśmienny rocznik klasztorny, Zofja z Łubieńskich Krzyska, żona wielkiego kanclerza koronnego, gdy zaś kaplica została spaloną przez szwedów wraz z kościołem r. 1657-go, odnowiła ją niebawem kompletnie rodzina Kretkowskich. Dzieje się to właśnie w czasie życia Franciszka Leksickiego, który mógł podówczas zostawać w naszym konwencie i malować kopułę.

Wreszcie nadmieniam, że monogramem Leksickiego jest: *trupia głowa, a pod nią dwie kości skrzyżowane*. Pomimo pilnych poszukiwań, nie znalazłem tego znaku na malowidle kopułowem, co zdaje się poniekąd osłabiać nasze wnioskowanie.

Tyle zebrałem szczegółów na wyświetlenie zagadki — nie dowodzą one czyjemi są malowidła i portret—zawsze, jak mniemam, zbliżają nas do prawdy, której łatwo będzie dociec przy uprzejmości i zamiłowaniu do piękna ks. Wł. Siewierskiego, rektora kościoła.

F. K. Martynowski.

DJANA.

Zajmowała skromne mieszkanko, w którem znajdowały się jeszcze resztki dawnego dostatku, a nawet zbytku, tak, jak na twarzy jej widoczne były ślady minionej piękności. Jej wygląd, rozmowa i całe zachowanie się odznaczały na każdym kroku kobietę, której los nie poskąpił lepszego wychowania i wykształcenia.

Nędza wyglądała z każdego kąta dwóch zaniedbanych pokoików i nędza to zapewne zmuszała ją do wyprzedawania resztek dawnego dobrobytu i zbytku. Codziennie prawie, dla opędzenia niezbędnych potrzeb życia, przechodził w ręce obce jakiś cenny przedmiot: obraz, mogący być ozdobą niejednej galerji, zbiór medali rzadkich, bronzy i tkaniny starożytne, a w końcu ze łzami w oczach i drżącą ręką pozbywała się sreber rodzinnych...

Jednej rzeczy wszakże, pomimo ubiegania się wielu amatorów, sprzedać nie chciała. Była to Djana z półksiężycem w kruczych włosach, malowana delikatnym pędzlem Lampi'ego, a właściwie portret młodej, niezwykle pięknej kobiety.

Tej pamiątki nie chciała się pozbawić za żadną cenę i nikomu nie rzekła nigdy nic o tym portrecie. Głuchą była na wszelkie pytania, zbywała je smętnym uśmiechem lub obojętnym ruchem ręki.

Lecz gdy zmrok zajrzał do jej mieszkanka, gdy przy bladym blasku lampy siedziała smutna i samotna, wówczas wzrok jej zatapiał się w portrecie Djany. I naraz, jakby za obrazem huczna odzywała się kapela i wychodziły z pośród ram płótna damy strojne, tłum młodzieży, wojskowych i dygnitarzy w mundurach błyszczących. Wszyscy składali hołdy uroczemu zjawisku, prześlicznej Djanie...

To wspomnienie lat szczęśliwych, minionych bezpowrotnie, ukochała w tym portrecie. Przyciśnięta ostatnią nędzą, z łoża boleści gasnącym wzrokiem rzucała jeszcze spojrzenia na Djanę.

Nie pozbyła się jej, chociaż nikomu nie miała przekazać tej pamiątki, która potem zapylona i podarta walała się wśród rupieci tandeciarskich kramików.

Leopold Méyet.

Krajowe siły asekuracyjne.

Z początkiem Nowego roku amerykańskie Towarzystwo ubezpieczeń na życie „New-York” rozpoczyna działalność swoją w naszym kraju.

Wskutek tego towarzystwom, od r. 1869-go wyłącznie w kraju operującym, przychodzi po raz pierwszy współzawodniczyć z towarzystwem zamiejscowem.

Przez ciąg tedy lat 18-tu siły miejscowe asekuracyjne nie zdołały wytworzyć instytucji, która szerząc pomyślność i dobrobyt społeczny, zapobiegałaby szkodliwemu odpływowi kapitałów za granicę i zapewnić jednocześnie mogła godziwe zyski samemu przedsięwzięciu.

Aż oto wyręczyło je towarzystwo amerykańskie!

W dziale ubezpieczeń ogniowych założone wprawdzie zostało w epoce wzmiankowanej warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń od ognia i stanęło dziś — wyznać się godzi — na wysokości zadania zakreślonego mu ustawą. Ale, jak wiadomo, młoda ta instytucja, licząca kilka zaledwie lat samodzielnego istnienia, już w r. 1875-ym traci swoją wewnętrzną niezawisłość i dobrowolnie poddaje się więzom konwencji. Z pod konwencji wyłączonemi zostają jedynie tylko ubezpieczenia rolne Królestwa Polskiego.

Wytworzyło się więc znowu dla miejscowych sił asekuracyjnych naturalne a bogate pole do podjęcia prac i starań około tej gałęzi asekuracji ogniowej, stanowiącej najobszerniejsze źródło eksploatacji asekuracyjnej w kraju.

Jedna z najpilniejszych reform, jaką przedsięwziąć niezwłocznie należało, polegała na unormowaniu taryfy składek dla ubezpieczeń rzeczonej kategorji, na podstawie danych statystycznych, jakie wskazywały długoletnie rezultaty, osiągane w pojedyńczych okolicach kraju. Wypadało odrazu zapobiedz tej anomalji taryfowej, traktującej całą grupę ubezpieczeń rolnych z punktu widzenia *solidarności*, która spowodowała, iż lepsze pod względem asekuracyjnym gubernje Królestwa wnosiły stale do kas towarzystw akcyjnych składki za gorsze gubernje tegoż kraju.

Jednak i tutaj także siły asekuracyjne pozwoliły zastąpić siebie, choć tym razem zastępstwo przypadło w udziale stronom, bezpośrednio w sprawie zainteresowanym. W gronie bowiem inteligentnych sfer ziemiańskich poczęła się zwolna wyłaniać potrzeba wyrównania wzmiankowanej niesłuszności taryfowej, zrodziło się obce dotąd w śród ogółu obywateli wiejskich poczucie — samopomocy. W ten sposób powstały w różnych okolicach kraju samodzielne koła wzajemnego poręczania szkód ogniowych, reasekurujące się w towarzystwach akcyjnych.

Istnieją one i rozwijają się od lat czterech.

Zdawałoby się, że teraz przynajmniej nasze siły asekuracyjne w interesie własnym, bez ryzyka kapitału i bez potrzeby oglądania się na wymogi natury formalnej, przedsięwezmą jakąś inicjatywę, że postarają się o silniejszą dla kół ziemiańskich podstawę, przyczynią się do łączenia wzajemnego tworzących się grup asekuracyjnych, że rozsegregują je na koła, przedstawiające mniej lub więcej bezpieczne ryzyko itd.

Niestety i tej inicjatywy właściciele ziemscy daremnie wyczekują.

Przechodząc do innych oddziałów ubezpieczeń, widzimy wszędzie tę samą niezaradność, też same oznaki obojętności. Dość przypomnieć, iż doniosła dla kraju gałęź ubezpieczeń ziemiopłodów od gradobicia jest również najzupełniej zaniedbaną. Jedyne zaś w tej gałęzi uprzywilejowane, o nadmiernie drogich składkach Towarzystwo, nie zdołało dostatecznie się rozwinąć, a jego reprezentacja, wobec naszych potrzeb i stosunków, odznacza się bezprzykładną niemocą.

Dlatego też, pomimo przepisów represyjnych, liczna rzesza wędrownych ajentów zagranicznych wyręcza w dalszym ciągu miejscowe siły ekonomiczne i rozwija pokątną działalność na rzecz towarzystw zagranicznych.

A częstokroć owe, tak reklamowane u nas towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia, znanemi są w świecie asekuracyjnym raczej z szumnych prospektów, wśród naszej publiczności rozrzucanych, aniżeli z faktycznej działalności asekuracyjnej.

Tyle uczyniono u nas w zakresie trzech najgłówniejszych działów ubezpieczeń.

Stanowisko, jakie zajęły ubezpieczenia nasze wobec innych, mniej upowszechnionych gałęzi ubezpieczeń, przedstawia się jeszcze o wiele smutniej.

Wciąż mnożące się gdzieindziej najróżnorodniejsze rodzaje ubezpieczeń, jak np. ubezpieczenia od kredytowania towarów, od sprzeniewierzeń, ubezpieczenie dywidendy, szyb wystawowych, towarów, oraz podróżnych na kolejach żelaznych i t. d.—u nas albo wcale dotychczas nie mają przedstawicieli, albo reprezentowane są w sposób taki, że lepiej o tem nie wspominać.

Słowem, na całej linji bierność, ostrożność przesadna, brak szerszego poglądu na obowiązki względem sprawy publicznej.

Cofnęliśmy się i cofamy na polu asekuracyj wstecz—to kwestji nie ulega.

A może działalność naszych sił asekuracyjnych uwydatniła się w jakim zakresie? Może przyczyniła się do wzrostu pokrewnych ubezpieczeniom instytucyj ekonomicznych: straży ogniowych, kas oszczędnościowych, stowarzyszeń pomocy, lub epokę chwili znamionującego zabezpieczenia robotników? Może wiedzę teoretyczną posunęła naprzód, lub zajęła się ułatwieniem i propagandą ubezpieczeń wpośród ludności mniej oświeconej, uboższej?

Niestety i to nie, choć pod tym względem przedsiębiorstwa nasze czerpać mogły godny naśladownictwa wzór nietylko z b. instytucji ubezpieczeń rządowej, ale i z sąsiedniego prywatnego, świetnie rozwijającego się towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych.

Nakoniec, dla uwydatnienia dobytku wydawniczego naszych towarzystw ubezpieczeń, wystarczy zaznaczyć, iż od czasu, kiedy wychodzić zaprzestał „Zbiór wiadomości i urządzeń, tyczących się ubez-

pieczeń w Królestwie Polskiem," wydawany od r. 1847, w zeszytach miesięcznych, przez b. Dyrekcję rządową, nie ukazała się w druku ani jedna monografja specjalna, ani jeden przewodnik fachowy, któryby można było przypisać staraniom naszych sił asekuracyjnych.

Bronisław Mayzel.

Garść sonetów.

NA PROGU ŻYCIA.

I.

Na progu życia stoję — i w mem łonie
Sto uczuć wstaje, a w mózgu sto marzeń,
Dzień każdy tysiąc przynosi mi wrażeń,
Co noc mi nowa gwiazda srebrna płonie.

Śród ciągłych świata stoję przeobrażeń,
Jako zbłąkany w tumanów oponie,
Dziś tu, a jutro tam skroń wrzącą kłonię,
Porwany wirem szalonym wydarzeń.

I pytam próżno, gdzie port upragniony,
Przed jakim bogiem mógłbym ugiąć czoła,
Westchnieniem ulżyć piersi udręczonej?

Bez echa słów mych zamierają tony.
Otchłań zwątpienia! Z niej straszny głos woła:
„Walcz! jeśli padniesz, zdepczą cię miljony!"

II.

Żyjem, by użyć, prędko. Każdy pędzi
Za przyjemnością, uciechą lub zyskiem,
Giełda, lupanar—żywota ogniskiem,
Wskaż wyższe cele—każdy sił swych szczędzi.

A ta obłuda... Lichwiarz podły zrzędzi
Nad idealnej budowy zwaliskiem,
Wódz krwawy—ludzkość objąłby uściskiem.
Błoto!—Świat stoi u stromej krawędzi!

Czy się z niej stoczy, czy też my—szaleńcy
Przejdziem bez śladu—za to, że pędzimy
W dal gdzieś błękitną—ideału jeńcy,

Za to, że serca nam biją goręcej,
Że słońce widzim przez powszednie dymy,
Że prócz igraszki pragniemy coś więcej...

III.

Na progu życia stoję—i zwątpiały
Spuszczam na piersi uznojoną głowę.
Obojętności powiewy surowe
Zmroziły ducha, co łamać chciał skały.

Pustka w mem sercu! zwątpienie jałowe!
Lepsze już szały, co pierś mi targały,
Jam wtedy walczył za swe ideały,
Za swego życia najlepszą połowę!

A dziś... Jak drzewo, co nie daje cienia,
Jako zgaszona lampa, co nie błyska,
Jak automat, co ruchów nie zmienia, —

Zaledwie wszedłem w żywota przedsienia,
A już—zda mi się—chwila zgonu bliska,
Taki-m znużony, pełen zniechęcenia...

IV.

A nie Manfreda to płaszcz, ale smutny
Los wszystkich, którzy wzrok zatopią śmiele,
W zgniliźnie czasów i którym w podziele
Gorętsze serce dał traf bałamutny.

Bo kto w swem sercu czuł i cierpiał wiele,
Komu z fal czasu zabrzmiał hymn pokutny,
Kto w masie lodu szyld znalazł okrutny,
Ten tylko tarzać się może w popiele!

Zrywam się, szarpię, chcę strząsnąć tę bryłę,
Co mi na sercu ciąży, burz rozbicia
Pragnę—i gromy byłyby mi miłe,

Żyć! walczyć!—Próżno. Zapadam w mogiłę
Zwątpień. Jak smutny los, na progu życia
Utracić wiarę w swoją moc i siłę.

Miriam.

W LOMBARDZIE.

Stała w bramie prywatnego lombardu, oglądając się wkoło trwożliwie, niepewna, w którą udać się stronę. Widać, była tu po raz pierwszy.

Przed nią piętrzyły się szerokie, drewniane schody, wydeptane tysiącami nóg, co wciąż przechodziły niemi, jak fala płynąca. I teraz ludzie po nich schodzili na dół, inni wchodzili do góry. Ona otworzyła już usta, aby którego z przechodniów zapytać o drogę, ale krwawy rumieniec wystąpił na twarz jej bladą i wstyd jakiś powstrzymał ją od tego. Poszła więc prosto przed siebie temi wielkiemi schodami i, wszedłszy na pierwsze piętro, wyczytała na drzwiach: „Kasa zaliczkowa". Pocisnęła klamkę i przez ciemny przedpokój weszła do wielkiej sali, pełnej ludzi.

Pociemniało jej w oczach, bo w pierwszej chwili zdawało się, że wszystkich oczy na nią zwrócone, że stoi, jak pod pręgierzem. Była to chwila dla niej niewypowiedzianie bolesna. Miała ochotę uciec z tej sali jasnej, gdzie tylu ciekawych było, uciec daleko, tam, gdzieby już nikt jej nie widział...

Nie uciekła jednak. Tylko nogi ugięły się pod nią i musiała się oprzeć o stolik, przy ścianie stojący...

Nie oswoiła się jeszcze z cierniami życia. Jak dotąd, zajmowała się tylko domowemi sprawami, pozadomowe oddalano od niej starannie. Gdy po śmierci ojca sprzedano na licytacji ich śliczny Jerzyn, w którym się urodziła i wzrosła, zabrała ją ciotka do siebie. Niewesoło jej tam było przy boku dwóch, starszych od niej, kuzynek, które już dobiegały trzydziestki, a nie spotkały jeszcze dozgonnego przyjaciela. Młodszą. a przystojną krewnę, z łaski wziętą, jak to powtarzano jej ciągle, obarczano domowemi zajęciami, o ile się dało, trzymano zdala od gości—ale nie potrzebowała myśleć o niczem. Przeciwnie, każda próba inicjatywy była surowo karconą.

— Czego pani sobie życzy — zagadnął urzędnik z za kraty, przed którą się tłoczyła publiczność.

Zadrżała.

— Ja—ja chciałabym pożyczyć na zastaw...

— Proszę panią o fant do zastawu.

Zbliżyła się, wyjęła z kieszeni podłużne pudełeczko. Taksator wziął je do ręki i zaczął po jednemu próbować, ważyć, skrobać. Ona wytężonym wzrokiem śledziła jego ruchy...

Taksator rzucił na ważkę maleńki pierścionek z turkusikami—a jej przed oczami stanęła straszna burza, która zawrzała w domu jej ciotki, gdy on, jej mąż nieboszczyk, przed trzema laty na palec jej wsunął tę cienką, złotą obrączkę z błękitnem oczkiem. Wszyscy tam byli przekonani, że on stara się o młodszą z panien domowych, wszyscy ciągnęli go z całej siły, a on, jak wąż, wślizgnął się do domu i pewnego pięknego wieczora oświadczył się tej—tej trusi, co udawała, że nie wie o niczem, tej żmii, ogrzanej u łona, co za macierzyńską opiekę, za tkliwość siostrzaną odpłacała tak czarną niewdzięcznością...

Kobieta nerwowo mięła w palcach krepę żałobnego welona. Wspomniała, jaki on był dobry dla niej w tych strasznych chwilach, gdy rozjuszona ciotka natychmiast wypędziła ją z domu. Rozpłakaną, nieprzytomną prawie ze wstydu i z bólu, zaprowadził do swojej znajomej, którą poprosił o opiekę chwilową dla narzeczonej, i w trzy tygodnie poprowadził ją do ołtarza... Jaki on był dla niej dobry niezmiernie, jaki dobry...

— To nie ma prawie żadnej wartości—rzekł taksator, zważywszy cienki pierścionek zaręczynowy.

Ona zbladła. Ależ to niepodobna... Przecież ona musi mieszkanie zapłacić temi pieniędzmi, inaczej wyrzucą ją na ulicę wraz z dzieckiem dwuletniem. Bez wartości! ten jej skarb cenny, co tyle wspomnień w sobie zawierał...

Biedna, nie nauczyła się jeszcze, że takie wartości nie mają kursu...

Taksator znów rzucił na szalki obrączkę ślubną, której lata jeszcze nie starły.

Ją coś targnęło za serce. Och! ten ślub jej! o siódmej rano, w taki brzydki, słotny dzień... Nie miała na sobie białej ślubnej sukni, ani powłóczystego welona, ani wieńca z pomarańczowego kwiatu. Sierotę nie stać było na taki zbytek. Na ślubie byli tylko świadkowie, nikt więcej—on ją odprowadził do domu i tak rozpoczęli nowe życie...

Taksator wziął do ręki starą srebrną bransoletkę, takież kolczyki i broszkę, jedyną pamiątkę po matce, i srebrny kubeczek pogięty—już nic więcej nie było.

Ona nie patrzyła na niego. Myślała o chwili strasznej, w której się zamknęły na wieki oczy tego, co wszystkiem był dla niej...

Nie chorował długo, tydzień zaledwie. Wyczerpany pracą organizm nie miał siły walczyć z chorobą. Zwierzchnik biura, w którem pracował, dał zapomogę na pogrzeb, ale przecież nie mógł zająć się wdową. Taka młoda—niechaj pracuje...

Ale jej nie nauczyli pracować, nie nauczyli myśleć o sobie i dzisiaj, gdy sama została, opadły jej ręce bezwładnie. Straszna groźba nad jej głową zawisła. Starała się przecież o pracę, starała, ile siły starczyło; ale cóż z tego, kiedy wszędzie przed sobą miała zbity zastęp innych, zdolniejszych. Wyczerpały się jej zasoby. Jeszcze nie zdarł się jej welon żałobny, a już musiała zastawiać wszystko, co jakąkolwiek miało wartość. A tak niewiele tego było... Nie miała już czem zapłacić pokoiku, który odnajmowała od wdowy po emerycie...

— Może pani za to dostać sześć rubli—rzekł taksator, skończywszy ekspertyzę.

Sześć rubli... mój Boże, sześć rubli tylko—a jej trzeba tyle więcej. Jej wielkie, siwe, podkrążone oczy patrzą błagalnie na taksatora, jakby prosząc o zmianę wyroku... Ale on tu nic nie poradzi. Jemu tyle codzień nędzy przed oczami przesuwa się, że już przywykł do tego widoku. Tutaj widzi wprawdzie twarz bardzo bladą, ale jeszcze nędza uie wypiętnowała się na niej. Ubranie schludne, choć skromne bardzo...

Blada twarz młodej kobiety ku niemu się zwraca z wyrazem przejmującej boleści. Zbielałe usta szepcą urywane słowa. Ona myślała, że to daleko, daleko więcej warte...

Papierowa twarz urzędnika drgnęła zlekka. Żal mu się tej kobiety zrobiło.

— Niech pani to lepiej sprzeda od razu—radzi łagodnie—dadzą więcej i nie trzeba płacić procentu...

Jej łzy nabiegają do oczu, w których mignął wyrzut bolesny. Jakto?—ona miałaby sprzedać tę jedyną po nim pamiątkę—wszystko, co po nim zostało...

Odmawia smutnym, ale stanowczym ruchem głowy. Taksator odnosi fanty do drugiego urzędnika, zapisują jej imię i nazwisko, które z trudnością wychodzą z jej krtani, i w końcu wręczają jej długi pasek papieru, na którym wyszczególnione są fanty i termin oddania długu.

Starannie go składa i, chwiejąc się, wychodzi, bo łzy zasłaniają jej oczy...

A co będzie dalej?...

Juljan Moresz.

Naukowe rezultaty zaćmienia słońca.

Ogólne zainteresowanie się szerszych kół naszego społeczeństwa wielkiem zjawiskiem natury, wkłada na piszącego, jako na uczestnika prac „komisji słonecznej", obowiązek zakomunikowania obecnie, gdy już wszystkie ekspedycje z wypraw swych powróciły; niektóre wyniki badań nad zaćmieniem.

Wprawdzie fatalne warunki meteorologiczne pozwoliły uskutecznić ledwo drobną cząstkę pierwotnie zamierzonego obszernego planu, mimo to jednak materjał naukowy, który został zebrany w komisji jest dość bogaty, gdyż liczni amatorowie w pasie całkowitości się znajdujący, pośpieszyli nam zakomunikować swoje spostrzeżenia. Jakkolwiek ostateczne naukowe opracowanie materjału do tej pory jeszcze ukończone nie zostało, jednak obecnie, po powrocie z krasnojarskiej ekspedycji, postaramy się choć w krótkości zwrócić uwagę na to, co i gdzie dokonane zostało.

Cała zachodnia część pasa widzialności, od Berlina aż do gór Uralskich prawie, była rankiem 19-go sierpnia pokryta chmurami. Gdzieniegdzie tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności, rozerwana powłoka chmur ukazała widzom słońce zaćmione z jego tajemniczą koroną. U nas jedyna obserwacja korony była dokonaną przez p. Zubowicza w okolicach Wilejki; rysunek nakreślony tamże jest wyobrażeniem korony, zdjętym z najwięcej zachodniego punktu pasa widzialności. Otrzymaliśmy również korespondencję prywatną z pow. dziśnieńsktego (gub. wileńska), z której również wypływa, iż korespondent widział koronę, ale rysunku jej nie robił. Wielką naukową doniosłość ma fotografja korony, którą się udało otrzymać inżenierowi Szelucie w Połocku, gdyż pozwala ona dokładnie zbadać fazę zjawiska na Zachodzie. Oprócz tego podobno (jak doniósł korespondent *Gazety polskiej*), było widzialne całkowite zaćmienie w Witebsku, ale ani rysunku ani opisu ztamtąd nie otrzymaliśmy. We wszystkich pozostałych punktach Królestwa Polskiego i gubernij zaniemeńskich, chmury uniemożliwiły obserwacje, tak że i wyprawa specjalna wileńska i amatorzy musieli się ograniczyć przeważnie tylko na obserwacjach meteorologicznych.

W centralnej Rosji warunki były jeszcze gorsze, gdyż przeważnie rankiem 19-go sierpnia padał ulewny deszcz. Ekspedycje nikolska i twerska nie były w stanie uczynić żadnych obserwacyj. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności nie pozwolił również prof. Mendelejewowi unieść się dostatecznie wysoko w balonie, by, przebiwszy się przez warstwę chmur, zdjąć chociaż kilka fotografji korony.

Więcej już na Wschodzie ulokowana wyprawa w Piotrkowsku (gub. jarosławskiej), prof. Głazenapa i towarzyszy, znalazła się natomiast w szczęśliwszych warunkach. Cały dzień 18-go sierpnia padał wprawdzie deszcz, ale 19 go rano rozjaśniło się i jakkolwiek drobne chmury zasłaniały ciągle zaćmione słońce, korona jednak była *widzialną*.

Pierwotnem zadaniem ekspedycji prof. Głazenapa miało być wprawdzie odszukanie Wulkana, planety, znajdującego się tak blisko słonca, iż, jeżeli wogóle egzystuje, to można go tylko dojrzeć w czasie całkowitego zaćmienia; ale warunki meteorologiczne zmusiły ograniczyć się do badania korony. Ekspe-

dycja zdjęła kilka fotografij i dokładny bardzo rysunek, wykonany przez prof. Głazenapa. Podług nich, tegoroczna korona zbliża się nieco do typu, obserwowanego w czasie zaćmienia w Syamie w r. 1874-ym. Na około słońca był widzialny jasny pierścień, szerokością mniej więcej na pół promienia słonecznego. Z owego świetlanego pierścienia ku górze wznosiły się trzy pęki promieni, długości prawie równej średnicy słońca; dalej na dolnej części tarczy słonecznej, nieco ukośnie ku jej brzegowi, jeszcze czwarta kiść, nieco dłuższa od poprzedzających; oprócz tego na samym brzegu tarczy słonecznej dostrzeżono cztery protuberancje (tj. wyskoki ogromnych mas rozpalonego wodoru), należące już do samego jądra słońca. Obserwacje polaryzacyjne i spektroskopowe dokonane nie zostały, ponieważ stacja nie posiadała odpowiednich przyrządów. Ekspedycja w gub. permskiej nad Wiatką, zaopatrzona we wszystkie narzędzia, z powodu chmur nic zaobserwować nie była w stanie.

Z tamtej strony Uralu pogoda okazała się nieco mniej kapryśną, niż w Europie, atoli nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, właśnie Krasnojarsk, gdzie była skierowana najważniejsza ekspedycja, był w warunkach niezupełnie pomyślnych. Jakkolwiek chmury nie pokrywały zupełnie nieba, zaćmienie całkowite i korona były widzialne, wicher jednak dął z szybkością huraganu (anemometry stacji krasnojarskiej w chwili całkowitości zaznaczyły szybkość wiatru 15 metrów na sekundę). Budki z instrumentami drżały, ludzie ledwo się mogli utrzymać na nogach, a wichura napędzała ciągle nowe chmury. W takich warunkach naturalnie delikatne badanie pomiarowe, spektroskopijne i polaryzacyjne były prawie niemożliwe i dlatego czynność stacji ograniczyła się prawie li tylko na fotografowaniu. Zdjęto 14 fotografij korony i kilka rysunków: wszystkie one, w porównaniu z fotografjami zdjętemi w Pietrowsku, pozwoliły skonstatować nadzwyczaj ważny fakt, iż *ogólne kontury korony w obydwóch tych miejscowościach były prawie jednakie.* Fakt ten stwierdza ostatecznie przynależność korony do ciała słonecznego i rzeczywistość jej kosmicznej egzystencji; żałować tylko należy, iż materjał, zebrany w dwóch stacjach, nie pozwala rozstrzygnąć kwestji o zmienności samejże korony, tem więcej, że ciągle w czasie całkowitości przebiegające przez tarczę obłoki niejednokrotnie zmieniały kontury fotografji.

Kolor korony miał być zupełnie podobny do blasku pereł, oświeconych przez słońce. W pozostałych częściach Syberji, szczególniej w Tomsku, zaćmienie było widzialne w całej swej wspaniałości. Ale niestety, nie było tam ekspedycji, nie otrzymano również amatorskich fotografij i tylko kilka nie mających wielkiej wartości rysunków dostarczono ztamtąd komisji. Nakoniec nad oceanem Spokojnym podobno nadzwyczaj udatnie obserwował prof. Todd z Waszyngtonu, jak zawiadomił telegraficznie. Japońska poczta jednak z opisem jego obserwacyj jeszcze nie nadeszła do Petersburga.

Oto i wszystko mniej więcej, co zdołano zaobserwować przy tegorocznem zaćmieniu. *)

Po opracowaniu naukowem zebranego materjału, co prawdopodobnie niedługo już nastąpi, postaramy się zapoznać naszą publiczność z wyprowadzonemi ztąd wynikami.

Henryk Merczyng.

Petersburg, 1887.

PIÓRO POETY.

Pióro ty moje, druchu mój wierny,
Tak w dobrej, jak w złej godzinie;
Twoim żywiołem jest świat obszerny,
Gdy falą myśl ma popłynie.

—

Ty umiesz wnikać w serca tajniki
Wcielać idee w moc słowa;
Możesz ozdabiać łzami pomniki,
Choć mowa ich marmurowa.

—

Potrafisz odczuć przeczucia wieszcze,
W Empiru wznieść się przestworza,
A choć bez serca, znasz serca dreszcze,
Gdy taką wola jest boża.

—

Ty wiele możesz, o pióro rzewne,
Mówiąc do Boga, lub ludzi;
Twa moc, to natchnień prądy powiewne,
Gdy ideały w nas budzi.

—

Poetycznego pióra potęga,
Gdy nieci czarowne blaski,
Po swoją siłę do niebios sięga
Błagając tam bożej łaski.

—

A więc proś, błagaj natchnień płomieni,
Pióro, do lotu stworzone,
Leć, gdzie się ranna zorza rumieni,
Tam zdroje łask nieskończone...

Adolf Mostowski.

Tajemnica Janiny.

Odznaczała się jednostajnem usposobieniem, była nawet wesołą, w towarzystwie uśmiech rzadko schodził z jej ust. Dlaczegoż inaczej byćby miało?... Posiadała wszystko, czego kobieta pragnąć może, urodę, młodość, dostatek, miała męża takiego, jakimi są zwykle przyzwoici mężowie pewnej towarzyskiej sfery.

Jednakże czasami, gdy sądziła, iż nikt na nią nie patrzy, schylała czoło obciążone zadumą, a źrenice jej zdawały się odwracać od otaczającego świata i dążyć gdzieś w dal, w przestrzeń, w nieskończoność.

Czasami ręka jej nerwowym ruchem szarpnęła rękawiczkę, czasem na ustach urwało się słowo niedokończone, jakby zgubiła wątek myśli, jakby w poprzek tego, co powiedzieć chciała, przebiegło coś nieobrachowanego. Były to jednak wskazówki tak drobne, iż uchodziły powszechnej uwagi.

Tylko stare kobiety wstrząsały głowami, mówiąc po cichu pomiędzy sobą.

— Janina nie jest szczęśliwa.

Próbowały ją wybadać, ale ona miała się na ostrożności, lub też nie wiedziała, czego od niej żądano; zapewniała, że niczego nie pragnie z tak pogodnym uśmiechem, iż rozpraszała podejrzenia, dopóki znów nie zbudził ich nic nie znaczący z pozoru wypadek.

Potem, już nie pytając ją o nic, roztrząsano przed trybunałem towarzyskim otaczające ją okoliczności.

Janina prowadziła życie, którego jej każda kobieta zazdrościć mogła; miała dom świetnie urządzony, lożę na każdej premjerze, przyjmowała wyborowe towarzystwo, ubierała się w pierwszych magazynach, nigdy nie opuściła wyścigów. W lecie bawiła w modnych kuracyjnych zakładach, a korespondencje, pomieszczane w różnych pismach, wymieniały zawsze jej nazwisko z dodatkiem pochlebnych komentarzy.

Jeśli kobieta, zostająca w takich warunkach, nie była zadowoloną, to już doprawdy dogodzić jej było trudno. Każdy rozsądny przyznać to musiał.

Osoby sentymentalne, a takie przecież istnieją, zapytywały o męża.

Ale zarówno jak pozycja Janiny i mąż jej był bez zarzutu.

Pan Karol towarzyszył żonie, gdzie towarzyszyć jej należało, ale jej się nie narzucał, jak to czynią zazdrośnicy lub nudziarze, umiał też zabawić się na własną rękę. W domu był uprzedzająco grzeczny i żonie niczego nia żałował. Sam ubrany był zawsze według najświeższej mody, jeden z pierwszych przywdział na bale frak kolorowy i przyciął grzywkę. Czegoż możnaby więcej żądać od męża.

Janina też niczego nie żądała. Uśmiechała się, bawiła, stroiła, jak każda inna. A jednak nie wiedzieć na czem oparte, utrzymywało się twierdzenie, iż Janina nie jest szczęśliwą.

Po kilku latach zaczęto mówić:

— Janina musi być chora.

Rzeczywiście mieniła się w oczach, mizerniała, z poza uśmiechu na wychudłe policzki występowały coraz wyraźniej jakieś bruzdy i zagięcia, piętnujące ją odrębnem znamieniem.

Przyjaciółki zaczęły ją podejrzewać o jakąś tajoną miłość. Przyjaciółki są zwykle podejrzliwe, taka to już ich natura, ale pomimo najlepszych chęci niepodobna było około Janiny pochwycić wątka jakiejbądź intrygi. Inne przysłowie mówi, iż miłość i kaszel nie ukryje się nigdy, tymczasem jeśli tu w grę wchodziła miłość, myliła nawet pilnie czuwające oczy. Janina nikogo nie wyróżniała, nie bywał w jej domu żaden podejrzany kuzynek, ani uśmiech, ani rumieniec, ani też jakakolwiek powierzchowna oznaka, któremi zdradzają się zwykle kobiety, nie mogła nawet najciekawszych na ślad naprowadzić.

Życie jej płynęło bez cienia tajemnicy, przezroczyste, jak kryształ, zarówno wśród ludzi, jak w samotności. Nic nie wytrąciło jej ze zwykłej kolei, nie mąciło jego biegu. Wkrótce zaczęto mówić:

— Janina się starzeje.

Rzeczywiście, płeć jej matowa, przypominająca barwą kwiat gardenji, twarz, jak więdnące petale, nabierała żółtawych odcieni, ciemne oczy w głąb zapadały zwolna, powiększały się wychudnieniem twarzy i obwiedzione śniadą powieką, nabierały coraz większego blasku.

W atmosferze, wśród której inne kobiety trwają w swej krasie do późnej jesieni życia, ona więdła, jak kwiat bez słońca lub ożywczej rosy.

Siedziała nieraz całe godziny z czołem, opartem na dłoni, z rozchylonemi wargami i mglistem spojrzeniem, a gdyby ją kto zapytał, o czem myślała, nie umiałaby odpowiedzieć. Pomimo pomyślnych warunków losu, dnie nie miały dla niej uroku, a noce nie przynosiły spoczynku. Pytano wkoło:

— Co jej jest?

Gdyby ona to sama wiedziała? Ale gdy tak pozostaje w zadumie, nie przesuwa się przed oczyma jej duszy żadne marzenie, w piersi, uderzającej miarowo, nie ma wyraźnych pragnień, przecież myśl jej ucieka od obecnej chwili, od otaczającego świata, biegnie gdzieś nie w przyszłość, nie w krainy błękitów, tylko przed jej źrenicą przesuwają się różańce pamiątek.

Janina lubi wspominać czas, kiedy jeszcze była dzieckiem swobodnem. Obowiązki jej są teraz bardzo lekkie, życie bez troski, przecież przymyka ociężałe powieki i widzi ciemnowłosą, czarnooką dziewczynkę, bujającą, jak młoda sarenka, po lipowych szpalerach ogrodu, po łąkach parku. Lica jej nie miały wówczas matowej białości gardenji, ale raczej przypominały rozkwitającą różę, usta szczebiotały ciągle, a co chwila wyrywały się z nich kaskady kryształowego śmiechu.

Śmiech ten rozlegał się wszędzie, wszędzie pełno było jej drobnej istoty, którą małe nóżki z nieporównaną szybkością przenosiły przez szeregi komnat, przez aleje i klomby, wyznaczonej do jej użytku siedziby.

Była prędka, jak iskra, ruchliwa, jak fala, czasem gniewna, jak burza, to znów słodka, jak powiew majowy. Nie pomyślała jeszcze, a już z ust jej wybiegło wartkie słowo, ręka czyn wykonała. Żałowała potem nieraz jednego i drugiego serdecznie, ale już było za późno, rzucała się na szyję tych, przeciw którym wybuchła, nie znalazła spokoju, dopóki nie przebłagała obrażonych, nie ukoiła smutnych, nie wywołała uśmiechu na wszystkie usta... a szczególniej na usta Ludka. Gdy widziała jego jasną twarzyczkę i kędzierzawą główkę, niczego już nie pragnęła więcej, tylko żeby Ludek się uśmiechnął, żeby Ludek był wesoły. Mówiono po cichu, że będzie to jej mąż przyszły, starszy o lat parę, sierota, daleki krewny, co był na opiece u jej rodziców.

Ileż ona łez wylała, gdy przyszło im się rozłączyć. Nie chciała wierzyć, by to stać się mogło, a kiedy przyszła chwila pożegnania, rzuciła się, jak długa, na ziemię—prawda, że wówczas bardzo długą nie była—nie chciała więcej widzieć ani słońca, ani świata Bożego, ani tych miejsc, gdzie byli razem.

Odtąd skończyło się jej szczęście. Ludek wyjeżdżający stał jej zawsze przed oczyma.

— Ja umrę, ja tego nie zniosę! — wołała blada, zapłakana, zaciskając rozpaczliwie drobne dłonie.

On nie płakał, przeciwnie, był biały i różowy, jak zawsze, uśmiechnął się nawet.

— Jakie też dziecko z ciebie, Janinko—mówił pełen wyższości, jaką mu dawało kilka lat więcej i płeć jego.—Przecież powrócę kiedyś.

To „kiedyś" zdawało się jej tak odległe, a dzień jeden bez niego był niepodobny do przebycia.

Przebyła ich jednak wiele, bardzo wiele. On powrócił, była wówczas już dorosłą. Ale nic w tym zblazowanym paniczu nie przypomniało jej towarzysza lat dziecinnych, chyba uśmiech bezmyślny, z jakim ją powitał.

Mówiono po cichu, że Ludek kochał się w jakiejś tancerce, która go rujnuje. Było to dla niej wszystko jedno. Wiele wody upłynęło od czasu, gdy jako mała dziewczynka, wybuchała bezmyślną rozpaczą, gniewem, uczuciem. Nauczono ją, że to nie wypada, nauczono panować nad sobą. Zresztą teraz panować nie potrzebowała. Ludek, kochany niegdyś tak gorąco, przestał istnieć, ten, co stał przed nią, był obojętny, tak obojętny, iż oddała bez wahania rękę Karolowi, a potem słuchała ze swym zagadkowym uśmiechem, jak Ludek opowiadał jej o swoich miłostkach i finansowych kłopotach. Nie obchodziły ją one więcej od miłostek i kłopotów każdego innego.

Coś w niej zamarło bezpowrotnie, ale nie teraz, kiedyś, wówczas jeszcze, gdy on odjeżdżał tak spokojny, tak uśmiechniony.

Ona też wracała tylko myślą do tego pierwszego dzieciństwa, do Ludka, do swobody dawnej. Dziś, czuła się inną osobą, osobą, która z szalonem dzieckiem nic nie miała wspólnego, ale temu szalonemu dziecku wystawiła grób w swem sercu, czy w swojej pamięci.

— Janina zestarzała się zupełnie.

Tak zawołano, gdy powróciła do Warszawy po lecie spędzonem wesoło.

Usłyszała przypadkiem te słowa i uważnie spojrzała w zwierciadło. Łudzić się nie mogła, była już starą kobietą, gdy tymczasem rówieśnice jej jaśniały jeszcze wdziękiem, urągając potędze czasu.

Na czem przeszło jej życie? Pytała o to samej siebie i odpowiedzi nie znalazła. Zapragnęła zobaczyć się taką, jaką była niegdyś. Zaczęła wydobywać z biurka stare albumy, fotografje, aż wreszcie znalazła minjaturę małej dziewczynki, z oczami, z oczami, jak dwa rozża-

*) O ile wiemy prywatnie, prof. Vogel z Berlina, w czasie swej bytności w Rosji zdołał również zdjąć kilka fotografij korony; *przyp. aut.)*

rzone węgle, z lasem czarnych, zwichrzonych włosów, z wyrazem niepowstrzymanej buty i szczerości na twarzy.

Gdzież się podziały róże z jej lica, gdzie blask wejrzenia i heban włosów, a nadewszystko, gdzie był ten wyraz; w bladych ustach, zamkniętych pieczęcią milczenia i konwencjonalnego uśmiechu, któżby poznał te wargi, skore do słów niepowrotnych, do namiętnych wybuchów i gorących całunków... Długi czas wpatrywała się w to, czem była dawniej i czem stała się teraz... Coś budziło się w jej sercu, skarżyło, płakało, jakby całe zmarnowane życie.

Aż wreszcie zacisnęła załamane dłonie, w oczach zapaliły się iskry dawne... Tajemnica jej smutków, jej przedwczesnego przekwitu została naraz rozwiązaną...

— Ja nie byłam tem, czem powinnam — szepnęła— człowiek bezkarnie przeznaczony być nie może i oto, co się ze mną stało...

Opuściła głowę na piersi z bladym uśmiechem, który przyrósł już do jej warg, jak maska spokoju do duszy. Ale świat nie dowiedział się nigdy, dlaczego Janina szczęśliwą nie była.

Walerja Marrené.

ANIOŁOM ZIEMI.

Ach, wy chodzicie dumne, jak królowe,
W swych uczuć wianku, i w swych marzeń tęczy,
Do was się słońce uśmiecha różowe,
Smutnych poetów tłum przed wami klęczy,
Ciernie i kwiaty trzymacie w swych dłoniach,
By je położyć na kochanków skroniach!

O, poetyczne! O, rozanielone!
Jak wam do twarzy w tych uśmiechach sennych,
Kiedy w łzach srebrnych, rzewne i stęsknione
W blaskach księżyca stoicie promiennych!
Jaki z białego smutek płynie czoła,
Kiedy was... mama na herbatę woła...

Mamy i ciocie! Ach! to ród szkaradny,
One poezji nie pojmują boskiej,
Każdy mężczyzna jest dla nich dość ładny,
Jeśli ma złoto lub intratne wioski;
Dla nich, o zgrozo! uroczy Słowacki
Zda się pod baby tylko i pod placki.

Ach! jak to słodko w letni wieczór, jasny,
Od gwiazd, od oczu waszych, od księżyca
Myślą wybiegać za kres bytu ciasny,
Melancholijny smutek brać na lica
I z „nim" tęczowe projekta układać,
I lecieć w niebo, i z nieba nie spadać.

Ale, niestety! czy później, czy prędzej,
Czeka was, piękne, gorzki los Ikara,
Pękają tkanki idealnej przędzy,
Z ręki wypada złotych marzeń czara,
Woskowe skrzydła świat roztapia chmurny
I sny prześnione kładą się do urny...

Do urny serca kładą się, a za to
Uroków życia otwiera się brama:
Kolje z brylantów daje szczodry tato,
Jedwabną suknię daje czuła mama,
Potem gwar balów, szlachcic trochę stary,
Dzieci, kurczęta... i znikają czary...

* * *

Jak mi was szkoda, o! jak mi was szkoda!
Szesnastoletnie białe anielice,
Gdy widzę, jak wam pierś wznosi się młoda,
Jak łzą serdeczną błyszczą wam źrenice,
Kiedy pod wpływem cudnej pieśni mistrza
Miłość wam w sercu zakwita najczystsza.

Jak mi was szkoda!.. Wiem, że ducha zbrudzą,
Że was przerobią na lalki salonów,
Że nie będziecie nad niedolą cudzą
Płakać, i sięgać ideału tronów,
Że jad życiowy wkradnie się do duszy,
Myśl rozgoryczy i serce wysuszy!

Wiem, że was tłumy otoczą młodzików
O zgniłych sercach, rozpasanych żądzach,
Pełnych zachwytów, pełnych wykrzykników
O waszych twarzach i... waszych pieniądzach;
Że was pochwycą w swe posępne sidła,
Myśl rozgoryczą i podetną skrzydła...

Ten świat w szychowe ustroi was blaski,
Ten świat kadzideł dymem was owionie,
Fałszywa miłość, nieszczere oklaski!
I sztucznych kwiatów wianek da na skronie,
Ale wam, piękne, zabierze, niestety
Ducha kobiety i serce kobiety...

Or—ot.

PIŚMIENNICTWO PRAWNICZE.

Względnie dość zamożni w podręczniki, traktujące dzieje beletrystyki naszej, dziwnie obojętni byliśmy na rozwój naukowości.

Każdy utwór, choćby średniej miary wierszowany, znajdował nietylko recenzentów dorywczych, ale i zaszczytne miejsce w rejestrach ogólnych.

Inaczej było z umiejętnością. Zaledwie przed czternastoma laty Żebrawski obliczył dorobek na polu matematyki, a od niedawna kosztem kasy Mianowskiego zaczęły się ukazywać spisy wydawnictw w zakresie umiejętności przyrodniczych. Piśmiennictwo medyczne katalogowane było od czasu do czasu chociażby w konspektach dziennikarskich.

Najuboższym pod względem tym jest zawód prawniczy. Od epoki Bandtkiego nikomu literalnie na myśl nie przyszło podać, chociażby w skróceniu to, co na niwie odnośnej zrobiono. Upłynęło zatem siedemdziesiąt lat od wydania książki Bentkowskiego (w której ta rozprawa się mieści), jak prace polskie tego działu giną w zapomnieniu. Mimochodem dodać wypada, iż krytyka dziennikarka najubożej ów zakres wydawnictw obsługuje.

Krytycy literatury wypełniają wprawdzie rubrykę z obiecującym tytułem: „umiejętności społeczne", w niej wszelako zaledwie ekonomja polityczna i polityka bywają uwzględniane. O wydawnictwach, które orędujemy, nie ma tam nawet mowy. A jednak przez siedemdziesiąt trzy lata uzbierało ich się dosyć.

Przykro pomyśleć, że inne piśmiennictwa są tak bogate w opisy prawniczych książek, a my na nic podobnego nie mogliśmy się dotąd zdobyć. We Francji Dupin i Camus otworzyli szranki, w Niemczech Engelman i Ruprecht. Olbrzymi zbiór „Biblioteca juridica" obejmuje wykład całego dorobku na tem polu od najdawniejszych czasów. Nattelblatt, Homelius i Jenichen przyłożyli niejedną cegiełkę do tego budynku. A u nas... nic!

W Anglji Worvall i Clarke poszli za tym przykładem, następnie Marvin i Bridgman. Znalazła ich działalność poparcie w adwokatach trójkrólestwa, którzy, pod formą katalogów bibljotecznych, ogłaszali wielkie spisy wydawnictw prawniczych, opatrując je krytycznemi komentarzami. We Włoszech przysłużył się na tem polu Bufalini i Trinchera, w Holandji Mourik.

Są to zbiory ogólne. Szczegółowe literatury miały także swoich dziejopisów. Niemiecka Mosera i Costę, austrjacka Stubenraucha, belgijska Picarda, wirtemberska Mohla. A cóż mówić o tych olbrzymich spisach, co uwzględniają oddzielne gałęzie wiedzy. Dupuy i Wasserschleben opracowali piśmiennictwo prawa kanonicznego, Pardessus handlowego, Vangerow i Ulmenstein kodyfikacji cywilnej, Zöpfl uporządkował monografje do ustawodawstwa gminnego, Marezoll i Hélie do prawa karnego. Międzynarodowe, rzymskie i notarjat miały szeregi całe pracowników, co zbierali materjały do ich rozwoju literackiego. A my?...

Czas jednak byłoby się wziąć do tego. Blisko trzy ćwierci wieku mamy po za sobą. Wysiłki ducha ludzkiego z tak znacznej epoki nie powinny być lekceważone, zwłaszcza, iż widzimy w niej takich pisarzy, jak: Ties, Dutkiewicz, Maciejowski, Balzer, Holewiński i Hube. Przecież to, co zrobili nie może zaginąć! Zadanie tak trudnem nie jest, bacząc, iż posiadamy katalogi bibljograficzne, w których publikacje prawnicze odznaczono. Wydawnictwo Paprockiego, z taką szkodą dla nauki zawieszone, za ostatnie lata wielką musi być w tym względzie pomocą.

Daleki od narzucania jakichś informacyj, ośmielam się twierdzić, iż możnaby podzielić literaturę prawniczą na trzy okresy: pierwszy do zamknięcia uniwersytetu warszawskiego, drugi do otwarcia szkoły głównej i reorganizacji wszechnic galicyjskich, ostatni od tej epoki. Każdy z okresów pomienionych ma swój typ właściwy. W pierwszym spotykamy silny wpływ kodyfikacji francuskiej, ujętej w szematyzm naukowy. Drugi bez kierunku szkolnego stoi na gruncie tradycji, wyłaniając obfity materjał dziejowy. Trzeci hołduje wszechstronnej naukowości, wydając obok historyków, doskonałych cywilistów, specjalistów prawa karnego i filozofji.

Aby łatwiej a dokładniej programat wypełnić, potrzeba stać na gruncie wyłącznie nauki prawa, nie wdając się w umiejętności społeczne, które już i tak w podręcznikach do historji literatury ujście sobie znalazły. Lepiej ogarnąć poziom ciaśniejszy a za to nic nie pominąć. Rozumiemy pod ścisłością nietylko dziennikarskie artykuły i broszury, ale i luźne druki, obejmujące opisy spraw szczególnych, które czasy różnemi całą masą drukowano. Może na jednego to za ciężkie zadanie, lecz nie widzę powodu, dlaczegoby się prawnicy nasi nie mogli do niego wziąć zbiorowemi siłami.

Jeżeli myśl o dykcjonarzu znalazła poparcie, to i historja piśmiennictwa powinna je znaleźć. Podział pracy tu jest również łatwym, boć możnaby ją rozdać poszczególnym członkom ustępami. Co do formy stanowczo się oświadczam przeciw traktowaniu rzeczy słownikowemu, ponieważ to na całość organiczną przedmiotu niekorzystnie wpływa. Pragnąłbym nadto, aby rzeczy, pisane w obcych językach, uwzględnione były, inaczej odpadłyby nam prace Tiesa, Lublinera, Józefowicza, mnóstwo też, przygotowanych na stopnie naukowe w Niemczech i we Francji.

Ponieważ dziś jest chwila sposobna do składania sobie życzeń, wyznaję przeto, iż pragnąłbym, aby literatura nasza prawnicza coprędzej znalazła kompetentnego twórcę, któryby się z zadania w odpowiedni sposób wywiązał. Za pośrednictwem gościnnych łamów *Kurjera*, życzenie to pod adresem prawników naszych wysyłam.

Adam Niemirowski.

PYTANIE.

Jest otchłań, o której istnieniu wiedzą wszyscy, której złorzeczą wszyscy, a w której głębie rzadko kto wpatrywać się chce i umie.

Tak zarządziła natura, że od tej największej, najpowszechniejszej, najczarniejszej rzeczy na ziemi lada co odwrócić może wzrok i myśl człowieka. Po stokroć w życiu każdy ogarniętym się czuje jej ciemnością, dotkniętym ostrzami mieczów, których ona jest pełną. Po stokroć woła ona do każdego, aby spojrzał w jej przepaściste łono, odetchnął trującemi jej wyziewami, przeraził się mnóstwem ohydnych widm, po jej bagniskach i zmrokach błądzących. I każdy patrzy, trucizną oddycha, ze zgrozą dłonie ku powstającym na czaszce włosom podnosi...

Ale oto drobny liść słodko zaszeleścił na drzewie, kwiat śliczną koronę z pomiędzy traw wychylił, promień słońca wytrysnął z za chmury, fletnia pod stropem błękitów zagrała, echo dźwięk drogiego imienia przyniosło,—i już człowiek z obliczem od otchłani odwróconem, z nadzieją zmartwychwstałą, z wezbranemi pragnieniami, znowu na falę życia wypływa i tęczową grą jej kropel, okruchami roztrącających się w niej promieni, byle jakiem złudzeniem wzroku, słuchu, serca, wiary, bawi się, jak dziecię. O tej otchłani, którą przed chwilą opuścił i do której jeszcze wróci, niezawodnie wróci — zapomina. Rzecz bardzo dziwna! Chwila, drobnostka, szczegół, złudzenie, po stokroć w życiu odrywają go od tego, co jest wiekuistem, ogromnem, powszechnem, i co wydaje się jedyną na ziemi, zaprzeczeniu uledz nie mogącą prawdą!

Tą otchłanią, ze wszystkich rzeczy, umysłowi i zmysłom ludzkim dostępnych, najpowszechniejszą i najogromniejszą, tą może jedyną dotąd niewątpliwą prawdą, jest cierpienie.

Tu i owdzie, bardzo rzadko, znajdują się ludzie, których ta otchłań w szczególny sposób ku sobie przyciąga i których ta prawda na swoją prawie wyłączną służbę zabiera. Takich byle kwiat, promień i dźwięk nie złudzi i od przedmiotu, który niejako panem ich duszy stał się, nie odciągnie. A dzieje się tak wcale nie dlatego, ażeby oni sami najsrożej i najczęściej pojonymi bywali trucizną i ranionymi przez cierpienia. Owszem, zdarzają się między nimi tacy, którzy w osobiste doświadczenia trucizn są najubożsi, i tacy, którzy na osobiste doświadczenia bez szczególnej czułości spoglądają i oglądać ich nie dają nikomu. Ale w piersi swej od urodzenia już widać noszą oni harfę jakąś, która im wiernie, natarczywie, z całą niezmierną różnorodnością modulacji powtarza wszystkie, dobywające się z tej otchłani tony;—oprócz tego pomiędzy nimi a nią istnieje nić pociągu, niewiedzieć z czego uprzędziona, niewiedzieć przez kogo zadzierzgnięta, lecz która im daleko więcej na nią, niż na cokolwiek innego patrzeć pozwala.

Ci ludzie, dokładnie i namacalnie znają częstokroć rzeczy, o których nie śniło się nigdy badaczom innych punktów świata. Są to eksperci, którzy w procesie ludzkości przeciw jej przeznaczeniu do najdrobniejszych szczegółów wyliczyć mogą szkody i straty, przez stronę pozwaną pozywającej sprawione. Ona, ta ludzkość, przeznaczenie swoje przed kratki niepojętego i niewiadomego sądu pozywająca, zdolną byłaby przemawiać tylko pojedynczemi słowami, bryłowate niejako całości i proste jedności wyrażającemi. Powiedziałaby naprzykład: pole bitwy, albo zwątpienie, albo rozpacz. Oni zaś dopiero ukazać mogą szczegóły, składające te całości, i przedstawić niezliczone mnogości, w tych jednościach zawarte. Łatwo wymówić: tysiącorannych, ale

łatwo też o tej prostej jedności w dwie minuty po wymówieniu nazwy jej zapomnieć. Co innego wcale, gdy na szerokiem płótnie biegli odmalują, jak każda z tych tysiąca ran z osobna otwiera krwawe wargi i jak po sieciach, z tkanek i nerwów uplecionych, aż do ostatnio zrodzonych lub zaledwie z innych rodzących się komórek tysiąca ciał ludzkich rozbiegają się węże, strzały, płomienne języki bólów.

To samo ze zwątpieniem, z rozpaczą. Wszyscy wiedzą, że są na ziemi umysły nazawsze smutne po utraconej wierze w ideały, niegdyś dla nich niewzruszone i dobroczynne, a potem w dziedzinę snów dziecięcych, błogich lecz próżnych upadłe. Wszyscy wiedzą, że są serca, po stracie swych własnych, wobec wszechświata drobnych, lecz dla najdroższych klejnoty, nazawsze zubożałe i ze wszelkiej nadziei szczęścia opróżnione. Wszyscy o tem wiedzą, lecz tylko owi biegli, owi znawcy, te całości i te jedności rozłożyć mogą na atomy i mikroskopijne linijki minut, drgnień, łez, westchnień, wciąż zmiennych a wciąż trwających, „tak wiernych i tak niewiernych" fal cierpienia.

I tak ze wszystkiem. Co więcej, gdyby przed kratkami owego niewiadomego sądu stanęli oni w imieniu nietylko już ludzkości, ale powszechnego życia, zdołaliby niezawodnie opowiedzieć, ile zmęczenia i udręczenia słyszą w każdym pojedyńczym dźwięku tego klekotu, który wydają kopyta konia, biegnącego po miejskim bruku; jakie męki przenosi robak, wijący się pod rojem mrówek, który go opadł i morduje; co znaczyćby mogły, na język ludzki przełtómaczone, świegoty i piski ptaka, zamkniętego w klatce; jakie pragnienia przenikają tkanki i rośliny, gdy korzeń jej tkwi w ziemi spieczonej przez suszę, a korona blednie i więdnie wśród skwaru. I tak dalej, głębiej, ze swoją harfą i ze swoim drobnowidzem, jak nurkowie po perły, spuszczają się oni w otchłań po czarne ziarna tej kurzawy, od której widoku chronią się wszyscy.

Teraz pytanie:

Czy ci ludzie powinni opowiadać światu wszystko, co widzą i wiedzą? Rzecz prosta, stosuje się to pytanie do tych z pomiędzy nich, którzy przemawiają głośno, których myśli i uczucia posiadają ostrza, mogące podnosić powieki sennych, rozszerzać źrenice niedowidzących.

Przedewszystkiem zastrzedz należy, że w ogromnej większości wypadków manjakami oni nie są, a tego, co na ziemi jest dobrem, pięknem, szczęściem, nie przeoczają. Tylko większą od innych posiadają zdolność i skłonność do odczuwania i przenikania rzeczy przeciwnych dobru, pięknu i szczęściu, a także więcej od innych rażeni są nierównomiernością dwu dzielnic świata: jasnej i ciemnej. Może też dotkliwiej i stalej boli ich to, co ograniczoność ludzkich pojęć nazywa niesprawiedliwością, a co prędzej lub później, ale prawie nieuchronnie, przez zło, brzydotę i cierpienie kazi albo i kruszy dobro i szczęście. Nie należałoby więc zapatrywać się na nich jako na owych fizjologów-specjalistów, którzy cały organizm ludzki znając, jedną część jego najpilniej zbadali i do wyjaśniania jej właściwości nabyli zdolności największej.

Otóż, czy powinni oni opowiadać światu wszystko co widzą i wiedzą?

Wiele w obecnych czasach jest mowy o pesymizmie, nie będącym niczem innem, jak tem właśnie wpatrywaniem się w otchłań cierpienia, w nierównomierność dwu dzielnic świata: jasnej i ciemnej. Wielu powiada, że ukazywanie tej otchłani i tej nierównomierności ludziom, którzy sami nie ujrzeliby nigdy całej ich wielkości i grozy, osłabia najpotężniejszą sprężynę ludzkiego życia: nadzieję, gasi drobny, lecz siły ludzkie podsycający ognik wesołości, przez zwątpienie i zniechęcenie nadweręża energję i zapał. Wszystko to może być prawdą—w dodatku—jednostronnie na sprawę tę patrząc—pocóż, zdaje się, psuć lub nadweręźać dobroczynne prawo natury, które pozwala aby ludzie, jak dzieci, wczoraj ani jutra nie znające, o wczorajszej chłoście dziś pamięć tracili, a wciąż ku czarnej otchłani pociągani, wciąż od niej ku błękitnym strumykom odbiegać mogli?

Z drugiej przecież strony zdawać się może, iż człowiek, który istotnie przez wyższość swoją stał się królem ziemi, a równych sobie istot na niezliczonych planetach nawet przypuszczać nie chce, powinien być dość dumnym, aby go obchodzenie się z nim jak z dzieckiem albo półgłówkiem srodze nie obrażało. A przecież nie ukazywać mu prawdy dlatego, że go ona zaboli albo mu zaszkodzi, jest to dowodzić, że się go ma za dziecko, albo półgłówka.

Jakto! więc ci, którzy pogodnie spoglądają na świat, uważają człowieka za istotę tak słabą i lichą, że ją dokładne rozpoznanie właściwości własnych i własnego życia z nóg zwalić, posiadanie prawdy zgubić, a jedynie fałsz, albo półfałsz przy życiu utrzymać jest w stanie? Tak mniemając, jakimże sposobem mogą oni pogodnie zapatrywać się na świat? Z takiem mniemaniem są oni większymi pesymistami od tych, którzy z tajemnic otchłani śmiało zasłonę zdzierają, bo myślą, że człowiek jest dość silnym, aby widok ten znieść, i dość dobrym a przemyślnym, aby ciemną dzielnicę w całej jej rozciągłości ujrzawszy, dzieło zmniejszania jej albo i niszczenia przedsięwziąć. Może, do samej głębi otchłani wzrok zapuściwszy, ludzie, jak robotnicy, przez gwałtowną potrzebę na jeden łan spędzeni, chwasty jej kosić, miecze tępić, widma rozpędzać, bagniska osuszać rozpoczną. Może to, co w nich osłabionem być miało: nadzieja i energja, przed obliczem wielkiego dzieła, w błyskawicach ukazujących cel wielki, w tysiąckroć wzmoże się i spotężnieje. Może też, jak struny, mistrzowskiemi palcami targane, serca ich rozśpiewają się najwyższą, najpiękniejszą, najprzenikliwszą pieśnią współczucia i ta pieśń—jak żołnierzy do zwycięztwa—lepiej nad wszystkie inne zawiedzie ich do szczęścia, rozumy ich i dłonie wzbijając aż ku wszechmocy.

Tak marzą ci, którzy dokładnie widzą niezmierną otchłań cierpienia i o niej opowiadają. Czy nie są w błędzie? Czy im, jeżeli nie kłamstwo, to półkłamstwo, jeżeli nie milczenie, to przynajmniej półmilczenie nakazanem być nie powinno? Może, jak niegdyś przed wielomównymi prawnikami Rzymu, należy przed nimi stawić zegar, z zaleceniem, aby nie ważyli się mówić dłużej, jak przez czas jednego jego obrotu, bo gdy na wodnej klepsydrze po raz drugi strumień ciec zacznie, powiedzą pewno coś takiego, co sprawie zaszkodzi? Może ich marzenia są jednym z tych snów o niebie, które od początku świata głowy ziemskiem życiem zmordowane pocieszały? Może jest pożądanem, aby ludzie w błocie grzęzli, własnemi dłońmi kopali sobie groby i kuli kajdany, wzajem krzywdzili się i mordowali, lecz wszystko to w dobrym humorze czynili? Może, aby ten dobry humor, będący podobno dla całości nadziei i energji nieodzownym, utrzymać, malarze same kwiaty malować, a lirnicy same tańce skoczne i pieśni rozkoszne wygrywać powinni?

Pytanie... *El. Orzeszkowa.*

SUMIENIE.

(z Wiktora Hugo).

Gdy z dziećmi, odzianemi w dzikich zwierząt skóry,
Rozczochrany, zsiniały, śród burzy gromowej,
Kain w świat z przed oblicza uciekał Jehowy;
O zmierzchu dnia pewnego wstrzymał się ponury
U stóp wzgórza, w pośrodku szerokiej równiny.
Żona z trudu mdlejąca, zadyszane syny,
— „Spać!"—jękły i, jak martwe, na ziemię upadły,
Kain, nie śpiąc, sam z dziką myślą stał wybladły.
Wzniósłszy głowę, na czarnem niebie ujrzał oko,
W głębi strasznych ciemności rozwarte szeroko
I utkwione w nim ostro. Przerażenia dreszcze
Wskróś go przeszły!...—„I tutaj—rzekł—za blisko jeszcze!"
I zbudził śpiące syny i żonę znużoną,
I znów, dziki, uciekał w przestrzeń niezmierzoną.
I biegł tak dni trzydzieście, i nocy trzydzieście,
Niemy, blady, na szelest najlżejszy truchlejąc,
Czając się, ni obejrzeć, ni stanąć nie śmiejąc,
Bez wytchnienia, beze snu; aż dobiegł nareszcie
Do wybrzeża morskiego w owej ziemi, która
Miano swoje późniejsze wzięła od Assura.
— „Stójcie!—zawołał—tutaj bezpieczne ukrycie,
Tu zostaniem; tu ziemi ostatnie już końce."
Już miał usiąść, w tem ujrzał na mrocznym błękicie
Oko, w tem samem miejscu w głębi niebios tkwiące,
I zadrżał, dreszczem zgrozy przeniknony cały!
— „Ukryjcie mnie!"—zawołał, a pełne zdumienia,
Syny na dziki przestrach rodzica patrzały...
Kain rzekł do Jubala, praojca plemienia,
Co w stepach chodzi, nosząc swe domy szerściane:
— „Zasłoń mię z tej tu strony namiotu oponą."
Stało się; rozwinięto bujającą ścianę,
A gdy ciężkim ołowiem brzeg jej przytwierdzono,—
— „Czy znikło?"—pyta Cylla, jasnowłose dziécię,
Córa synów Kaina, świeższa od jutrzenki.
— „Nie!—odrzekł—wciąż to oko tkwi tam na błękicie!"
Jubal, ojciec tych, którzy, grzmiąc w huczne bębenki
I dmąc w głośne piszczałki, weselą nam życie:
— „Oto dla cię—zawołał—ochrona jedyna."
I za ścianą spiżową postawił Kaina.
— „Oko wciąż na mnie patrzy."—rzekł Kain ponury.
Więc Henoch: „trzeba dźwignąć z mocnych wieżyc mury,
Takie straszne, by wszystko truchlało przed niemi.
Zbudujmy gród kamienny z baszty warownemi;
Zbudujmy gród; on ojca schroni i ocali!"—
Naonczas Tubalkain, praojciec kowali,
Miasto wielkie, nadludzkie, jął wznosić ochoczy.
A kiedy stawiał mury, bracia śród równiny
Polowali na Seta i Enocha syny
I pojmanym przechodniom wydzierali oczy,
A wieczorem ku gwiazdom wypuszczali groty.
Granit zastąpił wątłe płócienne namioty,
Twarde żelazo głazy ciężkie powiązało,
I miasto, jako istny gród piekielny, stało.
Cień wieżyc mrok po całej szerzył okolicy,
Bo ich ściany, jak góry, wznieśli budownicy,
A na bramie wykuli: „Bogu wnijść nie wolno."
Zakończywszy swej twierdzy robotę mozolną,
W środku, w baszcie kamiennej, osadzili dziada.
On, jak wprzódy, w ponurym trwał swoim obłędzie.
— „Ojcze mój! zniknąłż to oko?"—spyta Cylla blada.
— „Nie!—odrzekł Kain,—ono dosięga mię wszędzie!"
I zawołał: „zamknijcie mię w głębokim dole!
Jak w grobie człek samotny, pod ziemią żyć wolę;
Tam już nikt mię nie ujrzy i dla mnie świt zgaśnie."
Zrobiono dół głęboki, mroczny.—„Tak mi właśnie!"
Rzekł Kain i sam jeden zstąpił do ciemnicy.
A kiedy w mroku usiadł na swojej ławicy,
Kiedy świat zniknął przed nim za sklepień opoką,
Spojrzał—i w grobie straszne patrzało nań oko!

Adam Pług.

ŻARTY I PRAWDY.

Kiedy w roku 1831-ym komisja jedenastu członków, wyznaczonych przez Akademję medyczną w Paryżu do zbadania magnetyzmu, złożyła swoje sprawozdanie, w *zupełności magnetyzmowi przychylne*, powstało ztąd takie zdumienie, że po długiej dyskusji postanowiono sprawozdania *nie drukować*, gdyż, jak mówił dr. Castel: „gdyby choć część faktów w niem zawartych była prawdziwą, to *rujnowałoby to połowę naszych wiadomości fizjologicznych.* Ponieważ zaś Akademja jest ciałem zbyt poważnem, żeby mogła się stosować do faktów, a fakta zanadto uparte, żeby chciały się stosować do Akademji, zdecydowano... światło zgasić.

Światło nie dało się wprawdzie zgasić, ale dało się ukryć pod korcem.

*

Minęło lat pięćdziesiąt.

Około roku 1880-go silniej, niż kiedykolwiek, nawoływano do wydobycia światła z pod korca. Zaczęto tedy zwolna, z wielką ostrożnością odchylać zasłonę i przekonano się, że światło nie zgasło.

Dziś wszystko to, co zawierał raport komisji z r. 1831-go, okazało się prawdą.

Cóż na to medycyna?

A nic. Mówi, że to są rzeczy bardzo ciekawe, bardzo osobliwe...

Zatem?

Nic zatem. Niech sobie „hypnotyzm" bawi się w cuda, a my będziemy w dalszym ciągu wstrzykiwali morfinę i smarowali jodyną. Przecież medycyna nie może zmieniać swoich poglądów dlatego, że p. Donato wywołuje i znosi choroby dmuchaniem w oczy!

Nie może? A jeśli *musi?*

Jedno z dwojga: albo te fakta, tak dalece nowe i odrębne, że zdają się „rujnować połowę naszych wiadomości fizjologicznych", są fałszywe, i w takim razie trzeba było wytrwać w dawnej negacji kuglarstwa, przybierającego pozory nowej nauki—albo też jest to rzeczywiście nowa nauka, która musi *rozpoznawać dawną.* Innego wyjścia nie ma.

*

Zjawiska magnetyczne nie obalają, jak mniemał dr. Castel, połowy naszych wiadomości fizjologicznych, one je tylko wszystkie przedstawiają w innem i pełniejszem świetle, dodając do wiadomości dawnych nowe. Ale natomiast to jest pewnem, że obalają trzy czwarte teoryj terapeutycznych.

Teorja i praktyka terapji musi uledz radykalnej zmianie. Staje się bowiem śmiesznem używanie pigułek i mikstur tam, gdzie ten sam rezultat, pewniej i bezpieczniej dla chorego daje się osiągnąć bez wprowadzania do organizmu obcych mu pierwiastków. Staje się nierozsądnem usypianie za pomocą trucizn tych osób, które można uśpić łagodnie, bez trucizny. Staje się zbrodniczem robienie niebezpiecznych operacyj tam, gdzie bez operacji, nieszkodliwemi środkami, można przynieść ulgę.

*

Nie ubliżając chirurgji, która jest jedyną pozytywną gałęzią terapji, można powiedzieć, że zaczęsto ona naśladuje Soklesa, o którym opowiada Nikarchus.

Ów Sokles obiecał garbatemu Dyodorowi garb wyprostować. W tym celu położył mu na grzbiecie trzy wielkie kwadratowe kamienie. Przygnieciony tym ciężarem Dyodor umarł—ale stał się prostym jak deska.

*

Możnaby powiedzieć, iż w tym wypadku winnym był lekarz, a nie medycyna. „Zgoda, odpowiada na to J. J. Rousseau, ale w takim razie niechże medy-

dyna przychodzi do chorego sama, bez lekarza, bo ocpóki będą przychodzili razem, to zawsze trzeba będzie sto razy więcej obawiać się błędu artysty, niż spodziewać pomocy sztuki."

Co do mnie, jestem przeciwnego zdania i wolałbym, żeby lekarz przychodził bez medycyny, bo jeśli jest człowiekiem zdrowym, rozsądnym i uczciwym, to mi pomoże swoją obecnością, uspokojeniem, dobrą radą hygieniczną, a przedewszystkiem tem, że wyrzuci lekarstwo swego poprzednika; podczas kiedy medycyna przyszłaby pod postacią jednego z tych 365-ciu systemów, o których powiedział wielki Bichat, że są wszystkie zbiorem: „pojęć niedokładnych, spostrzeżeń czysto dziecinnych, pozornych środków i dziwacznych formuł".

*

Dr. Barther, sławny lekarz, określał to dosadniej: „Jesteśmy, mówił on, podobni do ślepego, który kijem bije chorobę i chorego. Tem lepiej, jeśli trafi w chorobę."

*

Inny sławny lekarz, Broussais, sądził, że trafił w chorobę, lecząc zapalenie płuc puszczeniem krwi, podczas gdy Rasori także sądził, że trafia w chorobę, lecząc ją wysokiemi dozami emetyku. Rezultaty były takie:

Ze stu chorych na zapalenie płuc, leczonych emetykiem, umarło 38-miu, leczonych puszczaniem krwi umarło 27-miu, nie leczonych wcale 7-miu.

(*Dejardin-Beaumetz*).

Zatem zabitych... chciałem powiedzieć nieuleczonych puszczaniem krwi 20%, emetykiem 31%.

W tem miejscu możnaby zacytować słowa Nikoklesa: „Szczęśliwi lekarze! Ich powodzenia oświeca słońce, podczas gdy ich błędy... ukrywa ziemia."

*

Brera sądził, że jeśli puszczanie krwi tak niewielu chorym na zapalenie płuc „pomagało", to dlatego, że puszczano ją nie dość często. Próby porównawcze wykazały, co następuje:

Z tych, którym puszczano krew	2 lub 3 razy um.	19%
" " " "	3 do 9 " "	22%
" " " "	więcej niż 9 " "	68%
" " wcale nie puszczano krwi	"	14%

Od czasu tych prób, we Francji zapalenie płuc leczy się metodą *expektacyjną*, to znaczy nie leczy się wcale.

*

Byłem w Akademji medycznej, kiedy prof. Hayem opowiadał o wynalezionej przez siebie metodzie leczenia cholery wstrzykiwaniem w żyły wody słonej. Hayem wstrzykiwał *do 2 litrów soli kuchennej dziennie* każdemu choremu. Gdy długo opowiadał o tem, jak były robione wstrzykiwania, prof. Hardy przerywa mu, pytając, jaki był procent wyleczeń?

— Z dziewięćdziesięciu kilku chorych—odpowiada prof. Hayem—wyzdrowiało 12...

Czyli zabitych, t. j. „niewyleczonych" było około 80%. Podczas gdy nieleczonych umiera w cholerze 40—50%...

W akademji zaczęto się śmiać, ale prof. Hayem tak był zadowolony z tego, że wynalazł nową metodę leczenia cholery, że na ten szczegół nie zwrócił uwagi.

*

Wątpię jednak, czyby użył tej metody, gdyby sam zachorował na cholerę.

Dr. Bouvard, sławny w swoim czasie lekarz Ludwika XIII-go zaordynował swemu dostojnemu pacjentowi w ciągu jednego roku: 47 upuszczeń krwi, 215 lekarstw na wymioty lub na przeczyszczenie i 315 lewatyw.

Kiedy sam znalazł się na łożu śmierci, nie chciał słyszeć o żadnem lekarstwie. (*P. Lacroix*).

*

Publiczność wyobraża sobie, że w ogóle istnieją „lekarstwa przeciw chorobom", co jest tylko objawem szczątkowym epok przedhistorycznych, kiedy mniemano, że choroba jest istotą złośliwą, która wchodzi w człowieka i którą trzeba zatruć. Tak samo, jak puszczanie krwi jest objawem szczątkowym ofiary krwawej, którą składano bogom dla przebłagania ich gniewu. Co do lekarstw, to te zmieniają się według przypadku i mody. Chinina, którą dziś tak szafują i która leczy czasem febry, ustępujące zwykle przed *zamawianiem*—w XVII-ym wieku uważana była za szkodliwą lub bezpożyteczną, ponieważ nie pomogła żadnemu z dworzan Ludwika XIV-go; natomiast wszystko leczono antymonem, którego dziś nikt nie używa. Winko emetykowe upowszechniło się dlatego, że pomogło Ludwikowi XIV-mu, ale ponieważ zaszkodziło później Mazariniemu, więc na długi czas wyszło z użycia.

*

„W medycynie, mówi dr. Bérard w swojem dziele "*Esprit des doctrines médicale...* (str. 93) właściwie żadna część nie jest wykończoną; prawdy najbardziej ustalone zdają się być lub są rzeczywiście zagrożone nowemi pewnikami; każda nowa cegła, którą dokładają do budynku, wstrząsa nim, i prawdę mówiąc, wszystkie mogłyby być zastąpione nowemi."

*

Niechże więc medycyna śpieszy się dokonać tej restauracji! Na nic się nie przydadzą napaści na nowatorów i narzekania, że, jak to ma miejsce dzisiaj, psychologja miesza się do medycyny. Psychologja musi się mieszać do medycyny, bo w chwili obecnej tą drogą idzie postęp. Przez całe wieki lekceważono wpływ umysłu na ciało i sprowadzano wszystko do wpływu materji na ducha. Dzięki temu kierunkowi anatomja patologiczna zrobiła olbrzymie postępy, ale terapja prawie żadnych. Czas odwrócić kartę. Niema potrzeby ubliżać anatomji patologicznej, ale trzeba się uczyć psychologji; tej psychologji nowej, fizjologicznej, ale która przeczy dzisiejszej fizjologji szkolnej. Dość długo medycyna lekceważyła psychologję; dziś psychologja mści się na medycynie—otwierając jej drogę postępu.

J. Ochorowicz.

Paryż 5-go grudnia.

AWANS.

Wszystkim, zarówno wielkim, jak i maluczkim tego świata było wiadomem, iż nikt, ktoby potrzebował poświadczenia tożsamości swojej osoby, bez pana Sztorca obejść się nie może.

Mąż ten zajmował skromne, acz ważne w niektórych chwilach stanowisko kancelisty, delegowanego do poświadczeń i przykładania w miejscach właściwych pieczęci urzędowych.

Nic skromniejszego—na pozór! W gruncie rzeczy posada ta, wynagradzana etatem piętnastoma rublami na miesiąc i jednorazową gratyfikacją noworoczną, była celem westchnień i marzeń całej rzeszy kancelistów, którzy, zapytywani o rodzaj zajęcia i położenie finansowe Sztorca, zwykli byli podnosić oczy ku niebu, składać pięć palców do kupy, przykładać je do ust i przesyłać jakiemuś niedościgłemu ideałowi głośno brzmiący pocałunek.

Prawda, iż do zrobienia ze skromnej posady dojnej krowy potrzeba było umiejętności wzięcia się do rzeczy. Otóż umiejętność tę posiadał Sztorc w stopniu wysokim. „Z małych rzeczek tworzą się rzeki wielkie" było jego dewizą, a ścisłe zastosowanie jej w praktyce sprawiało, iż przy lilipuciej pensji żył wygodnie, palił czterogroszowe cygara, a żonę ubierał w salopę z farbowanych oposów z małpim kołnierzem.

Trzeba też było widzieć tego krezusa kancelistów, jak zabierał się do rzeczy.

Latem, czy zimą, o wczesnej porze zasiadał przy stoliku w kancelarji, przygotowywał całą baterję pieczęci, opatrywał pióro i czekał—na dochody.

Dochody zjawiały się niebawem. Ludzie, mający awizacje z poczty, stawali szeregiem koło zaplamionego atramentem stolika z oberwaną na brzegach ceratą. Sztorc zacierał ręce z powagą człowieka, umiejącego cenić swe położenie, i brał do poświadczenia pierwszą z brzegu awizację.

Po starannem jej obejrzeniu otwierał szufladę, napełnioną kawałkami laku, i z najzimniejszą krwią rzucał interesantowi pytanie:

— Lak?...

Interesant spoglądał pożądliwem okiem na szufladę i powtarzał zwykle:

— Lak?...

— Rozumie się—mówił Sztorc, zamykając szufladę z hałasem—pieczęć lakowa, więc lak...

Jeżeli zaś interesant raz jeszcze zwracał wzrok na zapasy czerwonego produktu, dając miłym uśmiechem do zrozumienia, iż radby z nich korzystać, Sztorc przymrużał lewe oko, prawe zaś wlepiał badawczo w interesanta. Było w tem spojrzeniu dużo ironji, więcej szyderstwa, a najwięcej zdumienia nad naiwnością stojącego przed nim osobnika.

Wówczas nieroztropni i niedoświadczeni wybiegali z pośpiechem z kancelarji, biegali przez kwadrans po ulicy w poszukiwaniu dystrybucji, nabywali laskę laku i wracali zadyszani z powrotem. Sztorc oglądał lak na wszystkie boki, odkładał awizację na bok i w rezultacie załatwiał owych nieroztropnych i niedoświadczonych—po dwóch godzinach.

Inaczej zupełnie rzecz się miała z roztropnymi i doświadczonymi. Ci nie marnowali czasu na daremnych poszukiwaniach i bezowocnych próbach zmiękczenia błagalnemi spojrzeniami serca niezachwianego w swych zasadach kancelisty. Sięgali poprostu do kieszeni, wydobywali dziesięć groszy srebrem albo miedzią i z brzękiem, mile łechcącym ucho, rzucali monetę na stół. Wówczas Sztorc zgarniał pieniądz skwapliwie, wydobywał z szuflady odłamek laku, przykładał pieczęć z impetem i interesant wychodził po chwili, błogosławiąc swoją domyślność, roztropność i doświadczenie.

Jeżeli dodamy, iż awizacyj podobnych było codziennie po kilkanaście, zrozumiemy łatwo, dlaczego Sztorc mógł żyć wygodnie pomimo skromnego stanowiska, jakie zajmował w hierarchji urzędniczej.

To też nie odmawiał sobie niczego, a nawet był do pewnego stopnia sybarytą. Lubił naprzykład oddawać się rozkoszy myślenia nad trzeźwością swego umysłu i snuć rozległe plany na przyszłość. I teraz oto, w tej chwili, siedzi sobie pan Sztorc przy stoliku, brzęka miedziakami i spogląda z lekceważeniem na kolegów od raportów, meldunków, protokułów, którzy siedzą skuleni nad robotą, z nosami, pospuszczanemi na kwintę. I duma sobie nad ustrojem wszechrzeczy na tym bożym świecie i dochodzi do wniosku, iż dobrze jest, jak jest. Dobrze jest, że on jest kancelistą, że ludzie odbierają awizacje z poczty, że istnieją na świecie pieczęcie lakowe i że on, a nie ten ryży Wąsik naprzykład, zajmuje się poświadczaniem awizacyj.

A Wąsik siedzi przy biurku pod piecem i pisze zawzięcie, aż pióro pryska. Jaskrawe promienie zimowego słońca przedzierają się przez zapylone szyby i nadają jakiś nieprzyjemny, miedziany połysk jego czerwonej czuprynie, zjeżonej nad niskiem, płaskiem czołem. Na tle czarnej bajcowanej szafy, zawierającej archiwum biura, rysuje się wybitnie profil twarzy kościstej, o rysach, łączących w sobie chytrość lisa z brzydotą buldoga.

Wąsik był jedyną osobistością, której widok psuł harmonijny nastrój umysłu Sztorca i wrowadzał pewien ferment do jego optymistycznych marzeń. Bóg wie skąd się tu wziął przed sześcioma miesiącami, a szło mu wszystko, jak z płatka. Bazgrał, jak kura patykiem, a pobierał wyższe wynagrodzenie, niż towarzysze, piszący kaligraficznie; tępy i ciężko pojmujący zlecenia, otrzymywał najkorzystniejsze czynności do spełniania. Rodził się widocznie w czepku!

To też niesłychane zdumienie zapanowało w biurze, gdy pewnego pięknego poranku rozeszła się wieść, że Wąsik się żeni. Żeni się? ten niedołęga, co trzech zliczyć nie umie, a swemi spojrzeniami z podełba zatruwa ludziom życie! Trzeba będzie iść do kościoła zobaczyć tę dobraną parę...

Poszli i... pogłupieli. Borsuk z antylopą byłby parą więcej dobraną, niż Wąsik z panią Wąsikową. Była to kobietka młoda, ładna, z czarującemi dołeczkami na białej buzi, śmiejąca się i wesoła, szykowna i zręczna. Nie wpatrywała się bardzo w czasie ślubu w swego małżonka, ale, poprowadzona przez samego zwierzchnika do ołtarza, nie zawahała się ani chwili.

— Niechże go kurek zdziobie—mówili kanceliści, patrząc z radością na nowożeńca, który z podełba rzucał spojrzenia na prawo i na lewo.

A stary referent, filozof z potrzeby i sceptyk z doświadczenia, szeptał do ucha Sztorca:

— Powiedziano jest: nie dowierzaj koniowi z tyłu, psu z przodu, a kobiecie z żadnej strony... Gdyby ci tak ta bogini rzekła przed godziną, że wyjdzie za takiego ryżego djabła, roześmiałbyś się jej w żywe oczy. A tu... masz!...

Odtąd pani Wąsikowa była nader częstym gościem w biurze. Niejednokrotnie wpadała na chwilę, jak zjawisko, szeptała coś Wąsikowi na ucho, który rozdziawiał paszczę w uśmiechu, jak rekin, i wychodziła z pośpiechem, przeprowadzana zachwyconemi spojrzeniami zarówno młodych kancelistów, jak starego filozofa referenta.

Niekiedy sam zwierzchnik, zwabiony dźwięcznym głosem przybyłej, otwierał drzwi od swego gabinetu. Wówczas pani Wąsikowa witała się z nim, jak stara znajoma, a Wąsik szczerzył żółte zęby, niby pies na łańcuchu.

Sztorc przypominał sobie to wszystko, i, jak się rzekło, dziękował Bogu, iż on, a nie ten Wąsik naprzykład, dzierży pieczęć urzędową pod swoim kluczem. Dziś właśnie był jakiś dzień szczęśliwy: awizacyj było bez liku, a na domiar, wszyscy interesanci należeli do starych znajomych, znających doskonale drogi i ścieżki, prowadzące do bezzwłocznego załatwiania sprawy lakowych pieczęci. Nic więc dziwnego, że myśli Sztorca bujały po krainach fantazji, jak nieokiełznany rumak po stepach szerokich. Cofał się pamięcią wstecz i widział paupra, któremu niezbyt świetną przyszłość prorokowano; podążał myślą naprzód i spostrzegał dostatniego obywatela, z zapasem gotowego grosza na stare lata. Teraz siedzi w kancelarji i zbiera miedziaki, ale za lat pięć, dziesięć...

Słodki tok marzeń Sztorca przerwał w tej chwili głos dężurnego:

— Pan zwierzchnik pana prosi...

Sztorc zamknął starannie biurko, poprawił wąsów, musnął czuprynę i podążył do gabinetu.

Zwierzchnik siedział w fotelu, zajęty kładzeniem niezliczonej ilości podpisów. Od czasu do czasu chrząkał, głowę podnosił i spoglądał na Sztorca, który stał przy drzwiach z miną pokorną. Wreszcie pióro odłożył oparł się wygodnie, złożył ręce w okolicach żołądka

i, puszczając wielkie palce w niesłychanie szybki ruch wirowy, mówić począł:

— Mój panie Sztorc, jesteś pan, co oddawna widzę, urzędnikiem wzorowym.

Sztorc skłonił się nisko na podziękowanie.

— Tak jest, jesteś urzędnikiem wzorowym. Ponieważ zaś ja chciałbym być, o ile możności, zwierzchnikiem wzorowym, a nie byłbym nim, gdybym zasługi oceniać nie umiał, przeto postanowiłem...—Tu dobrotliwie na Sztorca spojrzał i wirowy ruch palców spotęgował—postanowiłem pana... awansować.

Sztorc poczuł mróz w krzyżu. W oczach mu pociemniało...

— Awansować?...—zapytał.

— Tak jest, awansować... Będziesz pan odtąd pobierał dwadzieścia rubli miesięcznie i zajmiesz posadę dziennikarza... Słusznie się to panu należało... Od jutra więc...

Sztorc próbował protestować:

— Ależ, panie naczelniku, ja mam żonę i dzieci, ja...

Zwierzchnik obejrzał go od stóp do głowy.

— Co??—zapytał.

— Ja mam...

Zwierzchnik żachnął się niecierpliwie.

— Słyszałeś, com mówił?

— Słyszałem.

— Zrozumiałeś?

— Tak, ale...

— Żegnam...

Sztorc skłonił się i wyszedł, nie rozumiejąc dobrze, co się stało... Biura były już puste i tylko przy jego stoliku stało jeszcze paru interesantów. Jak automat, usiadł na zwykłem miejscu i—po raz pierwszy i ostatni w życiu—zdarzyło mu się poświadczyć aż trzy awizacje bez pobrania zwykłego haraczu.

Po chwili wyszedł na ulicę. Przechodząc koło dystrybucji, w której zwykł był zaopatrywać się w czterogroszowe cygara, poczuł, że mu się serce kraje z żałości. Wstąpił do sklepu i zażądał groszowych papierosów.

Sklepowa podała mu paczkę. Zapalił, skrzywił się i splunął...

— Odtąd będę palił stale to paskustwo—rzekł głosem, goryczą nabrzmiałym.

— Nie cygara?...

— Nie.

— Dlaczego?...

Sztorc zamyślił się długo i odparł:

— Awansowałem...

Poczem wyszedł, zostawiając sklepową na pastwę zdumienia.

Wrócił do domu później, niż zwykle. Żona czekała nań oddawna z obiadem i robiła mu lekkie z tego powodu wymówki. Nie tłómaczył się, ani do stołu nie siadł. Chodził miarowym krokiem po pokoju aż do zmęczenia. Po godzinie takiej wędrówki stanął przy piecu i grzał ręce, przypatrując się pilnie szyjącej żonie.

— Powiadam ci, że nic nie jesteś podobna do Wąsikowej—zauważył wreszcie.

Żona ubrała się w farbowane oposy z małpim kołnierzem i poszła na wizytę do przyjaciółki z przeciwka. Rozumie się, w rozmowie nie zaniedbała wtrącić, jako mąż jej tak dobrze stoi finansowo, iż chodzi po handelkach i czasami, tak jak dziś, wraca z głową zapruszoną.

Gdy nazajutrz Sztorc wchodził do biura, pierwsze spojrzenie skierował na swoje dawne miejsce.

Przy stoliku z oberwaną na brzegach ceratą czerwieniała ryża czupryna Wąsika. Co chwila otwierał szufladę, pełną odłamków laku, zgarniał miedziaki i szczerzył żółte zęby do interesantów.

Jan Rutkowski.

LIST PANNY DORY DO PANNY ELEONORY.

Najdroższa Eleonoro!
Duchu mój bliźni!

Jestem znudzoną, złą i chorą!
Och! ci mężczyzni! Ci mężczyzni!
Szakale! tygrysy! szatany!
Jak wiesz, oddawna wyglądany,
Przybył nareszcie w nasze strony
Ideał epuzera.
Przystojny, ślicznie ułożony,
Bogaty—będę z tobą szczera,
Pan Adam wpadł mi zaraz w oko.
Przecież kobietą jestem, nie opoką!
Eleonoro moja ukochana!
Upłynął miesiąc, cała okolica
Najmocniej o tem była przekonana,
Że to tak o mnie pan Adam się stara;
Tak często bywał w naszym domu!
Aż oto wczoraj, gdym w blasku księżyca
Marzyła błogo, wpada ciotka Klara
I mówi do mnie: „Słyszałaś? pan Adam
Dziś się oświadczył, no, i zgadnij komu?"
Kłamstwo! powiadam —
Zrobiło mi się słabo...
Eleonoro! ideale drogi!
Żeni się, żeni, ach! z tą płaską żabą
Marynią, co nasadza kury!
Co chleb piecze, co lepi pierogi!
Masło waży! gotuje konserwy!
Bez obcasów chodzi i tiurniury!
O nerwy! moje nieszczęśliwe nerwy!
Lenoro! on jeszcze w niedzielę,
Ten potwór, był u nas z wizytą,
Mówił, że widział mnie w kościele,
I śmiejąc się, półżartem nibyto
Wszczął dyskurs o toalecie.
Wspomniał, że nigdy za nic w świecie,
Niechciałby żony mieć w tiurniurze.
Twarz moją oblała purpura,
Stłumiłam jednak serca mego burzę,
I mówię cicho: ach! panie Adamie,
Jakiż ma związek miłość i tiurniura?
„Ależ ma, pani, ma—odpowiada —
Zresztą nie cierpię wszystkiego, co kłamie."
Nikczemna zdrada!
Mogłamże sądzić, że mówi na serjo?
Gdy myślę o tem, drę w złości chusteczkę,
I gdybym mogła, tobym wszystkich biła.
Przebrzydły potwór z tą swoją pruderją!
Lenoro miła!
Jeśli mnie kochasz choć odrobineczkę,
Na złość mężczyznom, dajmy sobie słowo,
Nosić tiurniurę—wiecznie dwupiętrową.
Odpisz mi prędko, różyczko złota,
Aniele bliźni!
Ściskam cię czule.
Twoja
Dorota.

PS. Mężczyzni! och! ci mężczyzni!

M. Rodoć.

„Choinka" wigilijna.

Oprócz jednéj wzmianki w Gołębiowskim („Lud polski", Warszawa, 1830) takiej treści: „Przyjęty od prusaków jest zwyczaj w Warszawie, upominkiem dla dzieci na wiglję: sosenka z orzechami włoskiemi złocistemi, cukierkami, jabłuszkami i mnóstwem świeczek lub kawałków stoczka różnokolorowego. Czasem pomiędzy gęstwiną wyrobiona szopka i w niej narodzenie Pańskie, czyli z wosku starannie wyrobione dziecię, w żłobku leżące, patrząca nań czule N. Panna i św. Józef; chuchają na dziecinę wół i osieł, przybiegają pasterze, ulatują anioły, a wszystko jaknajbogaciej oświecone"—nie znam w naszej literaturze wyjaśnienia, zkąd się to drzewko wigilijne wzięło, jaki jego początek i znaczenie. Postaram się to pokrótce przedstawić.

Zaczniemy od przeglądu, jaką rolę w Europie dziś jeszcze odegrywa drzewo i drewno na Boże narodzenie. Dwa pod tym względem istnieją dość powszechne zwyczaje. Naprzód palenie na kominie osobnej, na ten cel przygotowanej wielkiej kłody. We Włoszech nosi ona nazwę *ceppo*, a w Toskanji nazwa ta oznacza jednocześnie Boże narodzenie. W Anglji podobnież wyraz *yule* jest wspólny dla miana święta i polana drewna, które płonie w tym dniu na kominie. W północnej Francji nazywa się ta kłoda *tréfoir*, a w Prowancji jest zawsze z drzewa oliwnego, uwieńczona laurem i nosi nazwę *le carignié.* U nas i w słowiańszczyznie używa się w tym celu czasem olszy lub powszedniej osiny, która jest przedewszystkiem świętem drewnem słowiańskiem, bo nim nieci się do dziś dnia np. na Kujawach raz do roku nowy ogień.

Po za tym zwyczajem niecenia obrzędowego ognia istnieje drugi, równie powszechny: zatykanie, czy to w mieszkalnej izbie, czy w zabudowaniach gospodarskich, zieleni lub ubierania nią *żłobka.* W tym celu najpowszechniej bywają używane różne gałązki drzew iglastych, jak np. jałowiec, sosna, jodła, świerk, cyprys, lub nie iglastych ale mających to z niemi wspólnego, że i zimą są zielone, np. jemioła (Anglja), lub ostrokrzew, czyli *Ilex* (Anglja, Belgja, Francja, Szwajcarja, Bolonja).

Oba te zwyczaje, podobnie jak i bardzo wiele innych, wiążących się z temi świętami, są zupełnie pogańskie i sięgają swym początkiem niewątpliwie przedchrześcijańskich czasów. Chcąc je wytłómaczyć, musimy więc sięgnąć w tak odległą przeszłość i zastanowić się, jaką rolę mogło wówczas odgrywać palenie ognia, jaką majenie chaty zielenią.

O ile się to tyczy słowian, wyjaśniłem rzecz w swoich szkicach „Ze świata przyrody", mówiąc o „Nocy świętojańskiej". Tam rozwinąłem tę tezę, że rok i jego pory, to w pojęciu słowian tylko walka dobrych, świecących i błyszczących bóstw, ze złemi ciemnemi pierwiastkami. Raz stoi życiodajne słońce u zenitu swej potęgi w czerwcu, raz górują ciemności i śmierć w grudniu, a w marcu i wrześniu równoważą się ich siły. Na cześć więc słońca, stojącego u szczytu swego wpływu, płoną w noc świętojańską sobótki i podobnie 24-go grudnia, kiedy zacznie się ono odradzać, nieci się święty ogień w chacie. A za każdym razem w tych czterech przełomach występuje zieleń, jako symbol odradzającego się życia, to jako *nowe latko*, w którem do dziś dnia w poznańskiem dziewczęta niosą gałęź jedliny, to jako powszechne majenie chat w Zielone świątki, to w wieńcu dożynkowym, to wreszcie właśnie w owych gałęziach, zatykanych w izbie na granicy nowego roku.

Że te wyobrażenia nie są tylko słowiańskie, świadczy właśnie fakt podobnych zwyczajów, do dziś dnia zachowywanych w Europie wśród ras germańskich i romańskich. Już rzymianie znają nawet urodzenie niezwyciężonego słońca: „*Dies natalis invicti*". Możemy iść nawet jeszcze dalej i powiedzieć, że na całej powierzchni ziemi, u wszystkich nieledwie ludów, które doszły do pewnego stopnia cywilizacji, występują dwa, ściśle się z sobą łączące wyobrażenia. Jedno, że słońce jest życiodajne, drugie, że symbolem słońca staje się w obrzędach ludzkich—ogień, a symbolem życia, które ono daje, zielone drzewo. Ile razy więc w jakichś ludzkich obrzędach ma być czczone słońce i życie, które ono daje, tyle razy płonie ogień i oświetla zieloną gałąź drzewa *żywota*, które już w raju rosło.

Skoro kościół zaczął szerzyć wiarę wśród północnych barbarzyńskich narodów, nie mogąc od razu wykorzenić ich pogańskich wierzeń i zwyczajów, postępował zazwyczaj tak, że do pewnego stopnia tolerował te obrzędy, dając im tylko inne znaczenie, a to przez pomieszczanie chrześcijańskich świąt w miejsce pogańskich. Tym sposobem najłatwiej przygarniał on do siebie barbarzyńców, ale z drugiej strony właśnie ta okoliczność stała się przyczyną, że niejeden z pogańskich zwyczajów lub obrzędów przetrwał aż do dni dzisiejszych. Jeżeli chodzi o Boże narodzenie, to w tym razie aż się roi od pogaństwa, odnajdujemy je dziś w całym mnóstwie chociaż nieraz drobnych objawów. Najważniejszym jest ten, że pogańska *kolęda* trwała dwanaście dni, pełnych zabaw i uciech, a kończyła się *szczodrym wieczorem* 6-go stycznia. W pierwszych też czasach podobnież było i z kościelnemi świętami, bo uroczystość Bożego narodzenia przeciągała się do Trzech króli, czego ślad jeszcze dziś w *officium* kościelnem pozostał. Dzień narodzin Chrystusa Pana, obchodzony początkowo w różnych czasach, został po raz pierwszy w r. 354-ym w rzymskim kalendarzu świąt oznaczony na 25-go grudnia, chociaż dopiero za cesarza Justynjana (w VI-ym w.) data ta stała się już powszechną.

Stawiając na miejsce pogańskiego święta odradzającego się słońca uroczystość Narodzenia Pańskiego, przeciwstawiał kościół owemu fizycznemu światłu, które ogrzewa ziemię i budzi na jej powierzchni życie, urodziny Dzieciątka, które niesie światło wiary, a z niem i żywot wieczny. A owi trzej królowie, składający mu hołd, przedstawiają właśnie pogańskie jeszcze narody, które garną się do nowej wiary, składając Chrystusowi podarunki.

Przy takim przedstawieniu rzeczy, w myśl nowej wiary, należało pomyśleć i o nadaniu pogańskiemu ogniowi oraz drzewu żywota też kościelnego znaczenia. I właśnie z połączenia tych dwu obrzędów w jeden, przez przeniesienie światła na same drzewko, u którego stóp pomieszczono Chrystusowy żłobek, powstała, mojem zdaniem, dzisiejsza wigilijna choinka. Mogło się to stać przez pośrednictwo *jasełek*.

Dowodu na to podać nie mogę. Rzecz wymagałaby studjów, któremi nie mogę się zajmować, ale przecież jest prawdopodobne przedewszystkiem dla dwu powodów. Raz, że w zachowanych pogańskich zwyczajach palenie ognia i wieszanie gałęzi są dwoma odrębnemi obrzędami, które nie wszędzie współcześnie się zachowały. Powtóre, że zawieszanie gałęzi jest rzeczą bardzo prostą i pierwotną, ustawianie jej zaś i pokrycie woskowemi świeczkami, jako bardziej złożone, musi być późniejsze. A właśnie ta okoliczność, że wigilijne drzewko występuje ze żłobkiem, pozwala przypuszczać, że powstało w kościołach. Tam dawano przedstawienia tak zwanych jasełek, tam obok żłobka było naturalnem ustawianie drzewka i ubieranie go kościelnemi świecami. Z kościołów mógł się żłobek przenieść do prywatnych domów wraz z drzewkiem, tak, jak to było w zasadzie jeszcze za czasów Gołębiowskiego, kiedy dziś pozostała już sama tylko choinka.

Pod nią składają się podarunki—pogański także zwyczaj—i odbiera się życzenia, które bodajby na całym świecie nie tchnęły przy zbliżającej się wigilji pogańskim duchem i wybiegały myślą o pokój.

Kraków, 19-go grudnia 1887-go r.

Józef Rostafiński.

PANIENKA.

(FRAGMENT.)

— A państwo?

— Państwo są u żniwa, za lasem.

— A panienka?

— Panienka poszła tam również, ale pewnie jest w lesie z panem Stanisławem, bo panicz przyjechał już ze szkół na wakacje.

Białe ściany dworu, umajone girlandami wina, ujęte były w dwie zielone ramy; łąka ściskała go jasnem pasmem, a łąkę i dwór obejmował las, zamykając z nim razem ciemno-zieloną obręczą niewielką płaszczyznę, przerzniętą wężowato wijącym się strumieniem. Ku zachodowi psuła się harmonja krajobrazu... Jednobarwnej zieleni przybywały inne kolory. Szara droga, wydeptana, zawsze pełna kurzu, pierwszym był dysonansem i wprowadzała barwę pospolitości; po za nią pospolitość ta zajmowała już wybitne miejsce; długim, a często przerywanym łańcuchem wlokły się chałupy, niskie, ubogie, nieogrodzone płotami, ani ocienione drzewem, z nowemi dachami na dziurawych ścianach, lub świecące pstrokacizną różnego wieku desek i bali, corocznie wstawianych na połatanie dziur i biedy w dymnych domostwach, stanowiących wieś mazowiecką.

Las był równy, choć wszelkie gatunki drzew w nim się mieściły. Wysmukła, cienka, ku górze ledwie w gałęzie obfita sosna skrzypiała w sąsiedztwie hardego dębczaka, który nie dorósł jej jeszcze, a już butnie zdawał się urągać swej sąsiadce, jak niemniej osadzistemu krzakowi leszczyny. Leszczyna była intruzem w tej kompanji, ale nikt w tem państwie nie pytał o legitymacje, zwłaszcza wiewiórki: im było po drodze z sosny na dąb wstąpić jesienią po orzechy. Dziwnym jakimś losem zaplątała się w to towarzystwo sentymentalna brzoza, sama jedna, jak pustelnica, osaczona ze wszech stron natrętnym jałowcem, który, że służy zającom za dach, dumnie i szeroko rozrastał się na ziemi, dusząc konwalje i trawy leśne, z wilgotnej ziemi raźno ku górze dążące. Tak było na polankach, a dalej ciągnęły się regularne szeregi sosen, odciętych pasem dębiny od zagajników.

Bywało tu zwykle cicho i spokojnie, a gdy zawitał wiatr lub burza, każde z drzew właściwym sobie językiem skarżyło się na tyranję huraganu.

W tej chwili panuje cisza na maleńkiej polance, — cisza w dole, bo górą płynie szmer jednym tonem, jakby strumień toczył się gładkiem łożyskiem; w tym monotonnym szmerze ginie głos ptaków, w górze krążących, i stapia się w jedną melodję, tęskną, bolesną i niezrozumiałą. Szmer upaja, pociąga za sobą ucho; za wypełnionem uchem podąża myśl, dotąd broniąca się wszechwładnej potędze, ale i myśl zwyciężona ciągnie za tym tonem, za tą orkiestrą, w której łączą się głosy natury, zwierząt i ludzi, dążąc w przestrzeń niezmierzoną, ciągnąc z niewidzialnym taborem płaczących i śpiewających, smutnych i wesołych...

Panienką na razie nie owładnęły leśne czary. Myślą całą zagłębiona w treści opowiadania, na rozciągniętej chustce siedzi w niedbałej pozie i mówi żywo, a jedyny jej słuchacz, brat jej Stanisław, wzrok swój więzi w jej ciemnych oczach i z całą ciekawością dwunastoletniego chłopca podchwytuje zapał siedemnastoletniego dziewczęcia. Nauczycielka i słuchacz giną we wspólnym entuzjazmie. Staś pochylił się na kamieniu mchem obrosłym; szara bluzka kryje pierś, która silnie w tej chwili jest wzburzoną, a maleńka twarzyczka odbija kolejno uczucia strachu, entuzjazmu, żalu, nienawiści i bezsilnego gniewu. Anusia wtóruje bratu w tych uczuciach. Zapala się, ze łzą w oku snuje opowiadanie, zniżonym lub podniesionym głosem akcentując swoją energję.

— Słuchaj — kończy do Stasia — słuchaj, braciszku uważnie. Jak dorośniesz, zrozumiesz to lepiej; dziś kochaj tych, o których ci mówię.

— Ja i dziś rozumiem—powtórzył Staś.

— Tak, braciszku, ale później odczujesz silniej.

— A jak to ty mówiłaś o tym panu?

— Mówiłam ci o tym, co umarł... Przez czas twoich wakacyj opowiem ci kolejno wszystko, będziesz pamiętał?

— Będę.

— Koniecznie musisz umieć wszystko.

Staś rzucił się na szyję siostry.

— Moja ty złociutka, opowiesz mi wszystko?

— Wszystko.

Całus w same usta zbudził Anusię z marzeń historycznych. Wstała co żywiej z ziemi i spoglądając dokoła, była jakby strwożoną.

— Jesteśmy sami—przemówiła machinalnie —rodzice na polu?

— Sami jesteśmy — spokojnie odpowiedział Staś — czy się boisz, siostrzyczko?

— Nie, ale cos mi się zdało...

Co jej się zdawać mogło?

W spokojnem ustroniu wiejskiem płynęły jej dnie za dniami bez rozmaitości, wzruszeń i wrażeń. A dusza rwała się ku marzeniom, myśl plątała się w chaosie postaci wymarzonych, tytanicznych, nadludzko dobrych lub potwornie złych. Z gawęd koleżanek, z krótkiego pobytu w mieście urósł materjał myśli, które w spokoju nurtowały młodocianą duszyczkę i odbierały jej spokój. A myśli to takie, że się z niemi zwierzyć nie można; z mgły wychyla się postać męzka, o konturach niewyraźnych, za nią podąża inna — a obie ustępują równie niejasnemu obrazowi, na którym błędny rycerz ma cudne oczy i usta... Ach te usta... w każdym widać je obrazie, z każdej twarzy wychylają się naprzód, więc niepewność ogarnia Anusię, dąży ku wymarzonym postaciom i boi się ich... Jej smagła twarzyczka, jaśniejąca dwojgiem płomienistych oczu i ustami rozchylonemi nieco, zachmurza się. Panienka niedbale odrzuca warkocz jasny i z chmurką na wydatnem czole stoi zadąsana.

Kończąc opowiadanie, myślała właśnie o jakiejś postaci, gdy nagle przy pocałunku brata postać ta jakby mignęła cała w blaskach, wpośród drzew odbiła się mglistą marą, której tylko ciała brakło... Staś już dumał o tym, co „musiał umrzeć, choć miał mało lat", a Anusia z trwogą poglądała w las.

Wtem zrobiło się zamieszanie. Z najbliższej sosny wiewiórka strąciła szyszkę i przerażona własnym czynem, pomknęła w górę, aby z za gałęzi obserwować dalsze losy strąconej. Szyszka potoczyła się zrazu po drzewie, ale odbiwszy się od kilku sęków, zmieniła kierunek i, zboczywszy w drodze, upadła na krzak jałowcu. W cichem państwie zrobił się przewrót; z krzaka frunął motyl, przerażony łoskotem, frunął bąk, który do tej chwili najgłośniejszym był w tej stronie—pszczoła i dwie muchy; szyszka, zakołysawszy się na gałązce, spadła niżej, przesunęła się po równi falistej listków paproci, poruszyła kielich konwalji i potoczyła się w mrowisko. Zamęt zwiększył się. Już z jałowca czmychnął wróbel zawsze czujny, co zastanowiło dzięcioła, psującego dziób i drzewo; wstrzymał swą robotę i wraz z wiewiórką i wróblem dalej w obserwacje. Paproć kołysała się nieznacznie, dzwonek konwalji oderwany potoczył się, rozchylił dwie trawki nieco i uwiązł w nich, płosząc komara, drzemiącego tu właśnie; mrówki szybko się załatwiły z szyszką, wcielając ją do swego terytorjum bez żadnych umów i traktatów.

Uspokoiło się wszystko; dzięcioł wrócił do jednostajnego zajęcia, wiewiórka powędrowała dalej w las; wróbel na jałowcu zażywał huśtawki; tylko komar, ze snu wybity, w gościnniejsze przeniósł się okolice; paproć wróciła do równowagi, szyszka czubkiem już tylko z mrowiska wyglądała, a dzwoneczek konwalji tkwił w kleszczach dwóch traw...

Anusia otrząsnęła się z trwogi, z jej wyobraźni pierzchały niejasne, mgliste mary, serduszko biło spokojniej, żar chłódł na ustach, opuszczał skronie i ustępował przed półsennem obezwładnienieniem.

— Chodźmy, Stasiu, już późno, jutro wrócimy na lekcję.

— A powiesz mi o wszystkiem?

— Powiem.

Na brzegu las płonął; płonął blaskiem rozpalonego żelaza i złota, które, jakby z wielkich tyglów lane, wężami przesuwały się po koronach drzew, kwiatów, chwytając w pół dęby, sosny, brzozy i jałowiec. Orkiestra leśna komarów, ptaków i szmeru leśnego, żegnała dwoje młodych, z których każde o innym marzyło rycerzu...

A. J. Sęk.

POGAWĘDKA.

...Posłuchaj, synu, przypowieści arabskiej:

„Pewien święty umierając, kazał przynieść swojemu synowi trzy flaszeczki i rzekł: oto są trzy eliksiry życia, które jest walką. Najmniejsza jest pełna *nienawiści*—średnia jest pełna *pogardy*—największa jest pełna *miłości*. Wszystkie trzy będą ci zarówno potrzebne..."

Trudno się tego dobadać, jakie to czary sprawiły, że te trzy flaszeczki, które są niewyczerpalne, dostały się *Kurjerowi warszawskiemu*. Czerpie on z nich dla siebie i dla swoich czytelników, i już tak się składa od lat niepamiętnych, że w miarę jak *Kurjer* z tych tajemniczych źródeł się odżywia, krzepią się siły jego czytelników.

Wywiązał się ztąd stosunek wzajemności i solidarności pomiędzy redakcją a dziesiątkami tysięcy czytelników, czyli pomiędzy redakcją a *społeczeństwem*...

Stosunek ten utrwalił się, skrystalizował, jest to już jakoby stała instytucja, która nie podlega zmianom, lecz ciągle się rozwija, i wskutek tego nie przestaje być żywotną.

Czarownik, *Wacław Szymanowski*, talent swój i pracę całego żywota poświęcił przedewszystkiem na wytworzenie tego stosunku, tej instytucji, a tajemnicę używania owych trzech flaszeczek przekazał swoim następcom i takiemi związał ich zaklęciami, że już nie jest w ludzkiej mocy zerwać owego stosunku, piszących z czytającymi.

„Życie trwa, walka nie ustaje"—powiada mędrzec arabski; więc ci, którym przekazano owe trzy eliksiry, używają ich obficie, ażeby zaspakajać potrzeby społeczeństwa.

Tym sposobem nie ma i nie będzie żadnej przerwy w tej służbie, a przeszłość i tradycja wiążą się z wymaganiami teraźniejszemi i z nadziejami przyszłości. Społeczeństwo chce, żeby życie jego przejawiało taką harmonję, taką ciągłość, więc takiem jego zwierciadłem jest *Kurjer warszawski*. Za pomocą owych trzech eliksirów nawzajem się dopełniają; nie wiadomo nigdy co pochodzi od społeczeństwa, a co od pisma, kto daje, a kto bierze; wymiana uczuć, myśli, bolów, wątpliwości, nadziei, postanowień, powagi i krotochwili jest nieustanną, nieprzerwaną i niewyczerpaną...

Czytelnicy wiedzieli, że tak jest, ale nie wiedzieli, że to sprawa owych trzech arabskich flakonów. Z Nowym rokiem pożądanem jest wyjawienie tej tajemnicy, ażeby świadomość związku pomiędzy *Kurjerem warszawskim* a społeczeństwem stała się tem zupełniejszą...

*

Wszelkie grzechy główne, jak zdzierstwo, marnotrawstwo, próżniactwo, rozluźnianie węzłów rodziny, zrywanie węzłów z ziemią, z zagonem i z tymi, którzy na nim siedzą; wszelkie grzeszki powszednie (a nieskończona jest ich litanja), wszystko to wzbudza wstręt, wymaga sądu, właściwego wyroku opinji publicznej. Wtedy *Kur. warsz.* i społeczeństwo zażywają z flaszeczki *nienawiści*, która staje się pancerzem i kopją dla uczciwej walki...

Wszelka znowu złość, podstęp, intryga, dołki kopane przez karłów maluczkich; oszczerstwa, plotki, zawiści; wszelakie żaby, które napróżno nogi do okucia wystawiają; raki, żółwie i jadowite gady, które niekiedy po burzy na bruk wypełzają, wszystko to ginie od broni właściwej, gdy *Kur. warsz.* i społeczeństwo zażyją z flaszeczki *pogardy*...

Ale najwięcej i najczęściej czerpią z trzeciej flaszeczki: *miłości*.

Niewolnicy ciemności nie śmią patrzeć w słońce, radziby zgasić je, lub bodaj przysłonić. Daremnie się szamocą. Prawda, piękno, dobro... ideały, to dziatwa miłości, a miłość, to tajemnica tajemnic.

Więc *Kurjer warszawski* i społeczeństwo strzegą tego talizmanu, który ogarnia wszystko i nic nie lekceważy, który w sobie samym czerpie siłę odporu, moc wytrwania, pewność tryumfu...

Oto i cała moja noworoczna pogawędka o arabskiej przypowieści. Za rok będziemy sprawdzali, która z trzech flaszeczek najlepsze oddała nam usługi.

Alfred Szczepański.

Wiedeń w grudniu.

COŚ SIĘ ROBI...

Pesymiści twierdzą, że w naszem społeczeństwie pełno jest inicjatywy do tworzenia rozmaitych projektów, gdy jednak przyjdzie je wykonać, ręce opadają, umysł zwraca się w nowym kierunku i wciąż „mierzymy siły na zamiary, a nie zamiar podług sił".

Zdanie to miałoby za sobą wiele słuszności, gdybyśmy nie potrzebowali brać w rachubę mnóstwa ujemnych czynników.

Z tego jednak co się zrobiło i co się robi, wyciągamy wprost przeciwne wnioski i musimy przyznać, że dawna, ośmieszona, donkiszocka „projektomanja" ustępuje coraz bardziej inicjatywie w sprawach racjonalnie obmyślanych i... *ad impossibilia nemo tenetur*.

Dość rozejrzeć się w mrówczej pracy roku ubiegłego, aby się przekonać, ile to powstało projektów w dziedzinie życia ekonomicznego i towarzyskiego, ile z nich dość szybko zdołano do skutku doprowadzi, oraz ile ma wszelkie szanse urzeczywistnienia.

Zaregestrujmy projekty stowarzyszeń, mających filantropijne, towarzyskie lub ekonomiczne znaczenie: towarzystwo przeciwżebracze, spółka bazaru rzemieślniczego, spółka dostawy do domów artykułów żywności, lombard akcyjny, stowarzyszenie furmanów, resursa rzemieślnicza, cech kucharski, spółka ameljoracyj rolnych, spółka mleczarska, spółka owocowa, stowarzyszenie spożywcze zjednoczonych urzędników kolei żelaznych, resursa kolejowa, kluby: szachistów, łyżwiarzy i wioślarek, przedsiębiorstwo wycieczek po kraju, towarzystwo przyjaciół zdrowia, stowarzyszenie kelnerów, towarzystwo łowieckie, spółka mięsna, stowarzyszenie chmielarzy i wreszcie stowarzyszenie pracowników zakładów fotograficznych.

Kilka z tych projektów zostało już w życie wprowadzonych, kilka znajduje się na drodze rychłego urzeczywistnienia, inne zaś kiełkują i wymagają energiczniejszych usiłowań, dłuższej pracy...

Z innych przedsięwzięć, jakie w roku ubiegłym zaznaczaliśmy na szpaltach *Kurjera* chętnie podejmującego każdą inicjatywę, zmierzającą ku dobru publicznemu, wymienimy jeszcze następujące: projekty wystaw: sztuki i starożytności (dokonana), tkackiej i kucharskiej (obie w przyszłym roku przyjdą do skutku), furmańskiej, pedagogicznej (w połowie spełnionej podczas wystawy hygienicznej) i fotograficznej; projekty budowy własnych gmachów: towarzystwa zachęty sztuk pięknych, towarzystwa muzycznego i wioślarskiego wciąż się posuwają; projekt budowy nowego teatru również kiełkuje; powzięto zamiar budowy kościoła na nowym cmentarzu w Brudnie i przeprowadzenia tamże kolei konnej; urządzenia kolei elektrycznej za miastem nie zaniechano; z innych zaś projektów miejskich należy wspomnieć: regulację ulic powiśla, przeprowadzenie w tym punkcie linji kolei konnej, zreformowanie targów spożywczych, założenie lecznicy dla zwierząt, kantoru mamek przez spółkę lekarzy, organizację pomocy lekarskiej w nocy i t. p.

Dla uzupełnienia wszystkich projektów i zamiarów wyliczamy jeszcze kilka donioślejszego dla kraju znaczenia; przeprowadzenie kolei żelaznych: z Warszawy do Radomia, do Płocka i z Łodzi do Kalisza, utworzenie szkoły górniczej w Dąbrowie, muzeum górniczego w Warszawie, uspławnienie Pilicy, wzięcie udziału w wystawie w Glazgowie (inicjatywa naszego *Kurjera*) udzielanie zaliczek bankowych pod zastaw zboża i wiele innych, jakie w tej chwili uszły naszej uwagi.

W sumie więc pobieżnego zarejestrowania tych wszystkich podjętych, w części przeprowadzonych, a w części odrabianych projektów, wypadnie pocieszający objaw, iż coś się myśli, a co ważniejsza coś się robi w myśl słów Brodzińskiego:

Chociaż nie skończysz ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło porwie grób,
Choć tu na ziemi krótko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma... czas.

Antoni Skrzynecki.

Dlaczego?

„Nie ma złej sprawy", mawiał zawsze jeden z najbardziej wziętych mecenasów, szczęśliwy obrońca kilku śmiałych i ryzykownych procesów.

„Nie ma dobrej sprawy", powtarzają obecnie inni, również znani obrońcy.

Czy mają rację?

Nie wiem, wiem tylko, że na wyrok sądowy składają się trzy nieodzowne pierwiastki: wiedza, doświadczenie i niewzruszony charakter.

Emil Weidel.

SPRAWUNKI.

(OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET).

Niech leje deszcz, jak z cebra, niech pioruny żywe biją z nieba, śnieg w oczy dmie, a wicher przekręca parasole, proszę spojrzeć na ulice miasta—kogo tam najwięcej spotkacie? Kobiet! Co u licha za interesa pędzą te delikatne stworzenia z domu?—myślałem sobie.—O ile znam stosunki nasze, tylko mała ich cząstka, zajęta pracą po za kołem rodzinnem, musi iść na wyznaczoną godzinę, ale większość nie ma potrzeby narażania zdrowia i ubrania na tak ryzykowne wycieczki. Trapiła mnie ciekawość, śledziłem i przekonałem się, że większa część tych pań idzie do miasta... po sprawunki.

Młode panienki, jakkolwiek i te mają wiele zacięcia do owych sprawunków, nie są tak zapamiętałe, jak starsze mamy, ciocie, wujenki, którym się zdaje, że nikt nad nie lepiej nie zna się na towarach i cenach, i nikt nie ma takiego gustu, jak one. Dlatego też koroną tego rodzaju amatorstwa są wyprawy ślubne, o których marzą, kiedy jeszcze konkurent nie myśli uderzyć do ich pupilek, a które dla owych sprawunków gotowe są na wszelki sposób przyśpieszyć akcję, zmierzającą do małżeństwa. Bo proszę sobie wyobrazić, co to jest mieć kilka lub więcej tysięcy do dyspozycji, które jaknajprędzej mają się zamienić na stosy materyj, sukien, bielizny, koronek, wstążek i tylu drobnostek, należących do wyprawy; co to jest za perspektywa do czynienia projektów, rad, oglądań, targowania się, przymierzań—wreszcie narzekań i zmartwień.

Amatorki sprawunków dzielą się zwyczajnie na dwie kategorje: Jedne kupują z wielką pompą, ostentacyjnie, w wielkich i wspaniałych sklepach pierwszorzędnych, żeby je też obce kobiety widziały... no, i trochę zazdrościły; drugie znów, z natury oszczędne, co częściej się zdarza, wyszukują najtańsze, nawet tandetne kramy, gdzieś tam po brudnych zaułkach, dziedzińcach, piętrach, na tandecie, aby tylko wynaleźć coś niebywałego po bajecznie tanich cenach, słowem kupca, który sam nie zna wartości sprzedawanych towarów i poprostu pozwala się wyzyskiwać.

Manja sprawunkowa z biegiem lat amatorki przeradza się w nałóg delektowania się tem zajęciem, a zatem rozkładania kupna, że tak powiem, na porcje, aż do skutku. Niby to się zapomina czegoś kupić, i to bardzo potrzebnego, aby znowu iść do miasta i szukać.

— Widzisz, Maniusiu—mówi taka mama do córki, oglądając w domu materjał, przypuśćmy na suknię—zapomniałyśmy kupić na listwę...

— A mnie się zdaje—rzecze córka—że i guzików kupiłyśmy zamało...

— Prawda, tuzin nie wystarczy... Jak ja mogłam tyle kupić, wiedząc, że najmniej trzeba szesnaście? Ci żydzi, to zawsze wmówią, że będzie dosyć, aby tylko sprzedać; trzeba najmniej cztery jeszcze dobrać.

— Otóż nie wiem, czy dobierzemy takie same... Widziałam, że w pudełku, które niosła kupcowa, był tylko jeden tuzin... nie zaręczam, ale mi się zdaje...

— W takim razie trzeba będzie odmienić wszystkie... Ale, ale, popatrzno, jaki to znów jedwab, zupełnie ma inny kolor, niż materjał!

— Rzeczywiście, ten jest brązowy, a jedwab wpada w kolor orzechowy... W sklepie ciemno, taki tłok zawsze, że niepodobna dojrzeć... Już tyle razy mówiłam sobie, że niewarto chodzić do Markusowej, a zawsze tam idę...

— No i teraz wypadnie znowu pójść do niej, w innym sklepie nie zmienią...

Gdy idzie ta rozmowa, a najczęściej na drugi dzień po załatwieniu owych braków lub ich zamianie, córka, rozwinąwszy materjał na suknię, przykłada do niego formę stanika i spódnicy, mierzy, szpilką odmierzone części zapina i pokazuje się, że kupiono zamało.

— Zabraknie najmniej pół łokcia...

— Nie może być!

— Zaraz mamę przekonam: ot tyle na stanik, tyle na spódnicę, tyle na upięcie, a gdzież rękawy?...

— Czekajno, może wystarczy — rzecze matka, wydobywając gdzieś z szuflady ogromny zwój form papierowych, powycinanych z gazet.

Rozkładają się tedy na dużym stole w jadalnym pokoju, gładzą papier, przymierzają, rysują, tasiemką centymetrową obejmują—i mimo kilkanaście razy zmienianej sytuacji formy tu i tam, wyczerpaniu każdego zbywającego skrawka, pokazuje się z wielkiem zmartwieniem, że na rękawy i kołnierzyk nie wystarczy.

— Trzeba dokupić, nie ma rady! Widzisz Maniu, jak to mnie subjekt zapewniał, że tyle a tyle łokci będzie dosyć...

— Czy to mama nie wie, że żydzi tak samo robią, aby tylko sprzedać? Co im to szkodzi, że ktoś musi dobierać...

— Oho, już więcej do żydów nie idę...

Mąż czeka na obiad, służąca nie może nakrywać, gdyż panie mierzą na stole i nic nie widzą i nie słyszą, stało się bowiem nieszczęście—kupiono pół łokcia mniej... A nuż tego materjału w sklepie już zabraknie i kto tymczasem resztę ze sztuki kupi! Ha! nie można ani chwili zwlekać, bo jakże uszyć suknię bez rękawów?...

— Mężusiu drogi, zjedz tu obiad z dziećmi bez nas... my musimy iść natychmiast do miasta...

— Zlituj się, deszcz leje, jak z cebra...

— Ha! nic nie pomoże... Maniusiu! podaj mi okrycie... gdzie jest parasol?... Jagusiu!—woła na służącą—gdzie jest parasol?... że też nikt go w swojem miejscu nie postawi....

— Zostawić obiad dla pań?—pyta służąca.

— Jak chcesz... Maniusiu, prędzej... trzeba materjał wziąć ze sobą, bo jeżeli tego samego nie znajdziemy, to się weźmie inny... Że ja też pozwoliłam się tak subjektowi namówić... powiem mu słowa prawdy... to bardzo brzydko z jego strony...

— Naturalnie—mówi córka—jeżeli się tyle u nich kupuje...

— Zostaw trochę pieczeni, Jagusiu... Maniu, chcesz zupy?...

— Gdzie ja tam mogę myśleć o zupie... chodźmy prędzej.

— Weźcie dorożkę!—woła mąż za niemi.

Ale one już nic nie słyszą, nic nie widzą i tylko pędzą po owe pół łokcia piechotą, bo szkoda wydatku na dorożkę...

Oto jest jeden z tysiąca powodów do peregrynacji wśród burzy.

Małżonek pani Lucyny pan Erazm, najpospolitszy między mężami safanduła, jest tylko na jednym punkcie trochę twardszy, to jest, gdy idzie o danie pieniędzy. Mając stale oznaczony dochód miesięczny, pewną część oddaje żonie na utrzymanie domu i po nad to nie lubi dodawać. Z drugiej znów strony Lucyna o tyle jest hardą, że nie prosi nigdy o więcej, chociaż, jak sądzę, nie byłaby od tego, aby szanowny małżonek znał się na tej dumie i sam czynił uprzejme propozycje. Tymczasem poczciwcowi temu nigdy podobna galanterja do głowy nie przychodzi, ztąd w kółku rodzinnem uchodzi za egoistę, człowieka z rybiem sercem i t. p.

Dwa miesiące temu, nie wiadomo jak i kiedy, zdaje się w epoce posuchy na sprawunki, urodził się w głowie Maryni projekt, aby matka kupiła sobie nowe okrycie. Projekt, mimo oporu samej pani, przyjęto, a że sprawunek taki wymagał znaczniejszej kwoty na raz, zatem rozpoczęły się dwa dni trwające narady, zkąd tu wziąć na to? Pani Lucyna z ołówkiem w ręku siedząc przy stole, co chwila wyjmuje portmonetkę z kieszeni i przelicza zapasy kasowe, a połączywszy z nimi możliwe dochody, naprzykład ze sprzedaży starzyzny, do której wchodzi kilka przedmiotów z garderoby Erazma, wypada, że zabraknie jeszcze około 35 rs.

— Niech mameczka będzie spokojna—rzecze córka — ja dostanę od tatki...

— Jak chcesz, chociaż wątpię, bo co do mnie, ja prosić nie będę...

Kampanja rozpoczęta. Przy każdem wyjściu do miasta, gdy przyjdzie pani Lucynie ubierać się w zwierzchnią okrywkę, Marynia występuje z głośnemi uwagami, że niepodobna mamie dalej tego okrycia nosić.

— Doprawdy wstyd, mamusiu, żeby mama chodziła tak obdarto. Niechno mama patrzy: na łokciach rękawy zupełnie wytarte, dziurki postrzępione, fason odwieczny, a zresztą gdzież mamie przy jej tuszy nosić ubranie do figury... Niechno mama spojrzy do światła!... Aj! aj! na plecach już sito, lada dzień całe się rozlezie...

Pan Erazm, przy którym ta rozmowa się toczy, pali cygaro, czyta gazetę i nic a nic nie słyszy, a jeżeli jakie słówko wpadnie mu do ucha, pomyśli: że też te kobiety o niczem innem mówić nie potrafią, tylko o ubraniu.

Gdy jeden, drugi i trzeci podobnego rodzaju manewr nie skutkuje, filut dziewczyna korzysta ze sposobności, że ojcu przyniesiono od krawca nowe esienne palto.

— Śliczne ubranie—powiada, gdy stary przegląda się w lustrze — tatko wygląda jak prezes jaki... bardzo eleganckie... I cóż to kosztuje?...

— Oj! djabelnie drogo. Na wsi chłop kupiłby za to chałupę... Sześćdziesiąt rubli...

— No, to jest rzecz względna: materjał śliczny... Mój Boże, żeby to mama miała połowę tych pieniędzy, kupiłaby sobie okrycie jesienne. Wie tatko, mama chodzi jeszcze w letniem, które ma coś trzy lata...

— A ja zwykle chodzę sześć albo siedem...

— To też i cena!... Mama obywa się czem może... lecz dalej już niepodobna... Ja tatce pokażę mamy okrycie, sam się tatko przekona, że nawet nie wypada, żeby tatko prowadził pod rękę osobę w takiem ubraniu...

— Prawda—mówi pan Erazm, niekontent z takiego obrotu—ale ja tyle na raz wydawać nie mogę i dla siebie, i dla mamy...

— A żeby tatko był od mamy zaczął?...

— Zkądże ja mogę wiedzieć? Matka przecież ma wyznaczony fundusz...

— Ej! tak się tatce zdaje, a tu codzień różne drobne wydatki na porządki domowe. Obliczyłyśmy, że w tym miesiącu wydała mama ot na takie rzeczy drobne dla domu dwadzieścia rubli... Boże mój, już tym mężczyznom lepiej zawsze na świecie; chcą sobie co kupić, to kupią, a my...

— Ja przecież nie jestem egoistą, i żebym wiedział...

— Mama też ma o to żal do tatki, że tatko nigdy nie patrzy na nią...

— Patrzę, dalibóg patrzę, ale nie na ubranie. Ot przyczepiłaś mi się i sekujesz. Ileż potrzeba dodać?

— Najmniej 35 rubli...

Skrobał się stary, wzdychał, do pugilaresu zaglądał, wreszcie drżącymi palcami dał córce owe 35 rubli.

— Niech tatko sam da...

Poszedł, niosąc z pompą papierki, ale pani Lucyna ani chce słyszeć o przyjęciu.

— Na co mi? nie potrzeba, i w tem jeszcze mogę pochodzić do mrozów, a potem włożę futro... Mój drogi! tyle masz wydatków dla siebie...

Prostoduszny Erazm już, już, miał się dać prze-

konać i zabierał się pieniądze schować do pugilaresu, gdy występuje z interwencją Mania...

— Niech tatko nie wierzy, mama potrzebuje koniecznie, tylko tak mówi... no, no, niech mameczka weźmie...

Jeszcze się długo wzdragała, stary musiał czule na nią spojrzeć i w rękę pocałować, aż w końcu rzekła:

— Dobrze, połóż, zdadzą się na co innego...

Znów nowe targi i błagania, żeby sobie kupiła okrycie, aż wreszcie z bardzo obojętną miną papierki schowała do portmonetki.

Prolog tedy skończony, zaczyna się akt pierwszy, ogólna dyskusja co kupić? Rotundę, okrycie dolmanowej formy, okrycie do figury, lub okrycie z wachlarzowymi rękawami? Wszystko, względnie rzecz biorąc, jest dobre, ale do każdego fasonu znajdzie się pewne „ale." Do dyskusji miesza się czasami pan Erazm, żeby dać poznać, iż on nie jest znów tak obojętny na to, w co się żona ubiera i jak wygląda.

— Moja droga—rzecze naiwnie—kupuj co chcesz, aby tylko nie z tymi skrzydłami, które z pleców wychodzą a potem ni to rękawy ni peleryna...

— Takie właśnie mam futro...

— Otóż powiem ci, kochańciu, wyglądasz w niem jakby rozdeptana żaba...

— A to ładnie!...

— Cóż robić, skoro takie wrażenie robi. Wiesz co, kup sobie coś tak w rodzaju algierki...

— W imię Ojca i Syna! kto gdzie słyszał co o algierce? pewnie matka twoja algierkę nosiła przed pięćdziesięciu laty...

— Wszyscy nosili, i było im w tem zgrabnie...

Narady ogólne trwały do 1-ej w nocy, nawet w łóżkach, czego żadna ankieta do regulaminu swego jeszcze nie wprowadziła, choć podobnie, jak w większej liczbie ankiet, skończyły się na niczem. Postanowiono jutro znów zbadać stan rzeczy na miejscu, to jest na wystawach magazynów, a jeżeli można to i wewnątrz, jednak bez przyjmowania żadnych do kupna zobowiązań.

Poszły tedy zrana i nie wróciły aż około 3-ej po południu, zmęczone, wygłodzone, a z miną tak dalece przygnębioną, że Erazm przeląkł się i chciał biedz po lekarza.

Obiad odbył się w milczeniu, zmartwienie nie ustępowało i pokazało się, że tylko jedno okrycie w całej Warszawie godne zakupna, lecz to kosztuje 70 rs. Inne tańsze nie przypadały do gustu ani matce, ani córce.

Na drugi dzień powtórzyła się wyprawa, lecz już po składach żydowskich, i oblicza wracających nie były tak przygnębione; przyniesiono bowiem dla bliższego rozpatrzenia i namysłu cztery próbki różnych materjałów, z których możnaby zamówić okrywkę...

— Która ci się najlepiej podoba?—pyta żona, pokazując mężowi owe skrawki...

Erazm wydobywa okulary, przegląda, mnie, patrzy do światła i powiada:

— Wszystko lichota, w miesiąc się rozlezie... pewnie to od żydów... a dałyście sobie słowo, co?

— Mnie się zdaje—rzecze córka—że ten Berger to nie żyd, ale niemiec.

— Z pewnością niemiec—dodaje matka, dla dania sobie otuchy—bardzo porządny krawiec i gotów zrobić porządne okrycie za 45 rubli z atłasową podszewką... atłas bardzo ładny, bo ja się na tem znam.

— Dlaczegóż nie idziecie do sklepów katolickich?

— Dasz 70 rubli?...

— Są tam i tańsze...

— Tańsze, to sto razy gorsze od tych próbek, a cena 50, 60... Trudno, ja sama nie lubię kupować od żydów, ale przekonałam się, że nasi zdzierają... Zdecydowałam się też wziąść od Bergera, ale...

— Cóż ale?

— Kwestja, czy tylko zrobi dobrze?

— Ja wątpię—dodaje Marynia—gotowe sprowadzają z Wiednia i te wyglądają inaczej, a jak tu zrobią, to niby podług modelu, lecz nie to.

Nowe tedy namysły, nowe utrapienia, zmieniające się co godzina: czy Berger zrobi, jak się należy, czy też nie zrobi...

Na trzeci dzień, gdy poszły i wróciły, było powszechne przekonanie, że Berger powinien porządnie zrobić; zresztą dały zadatek, wskazały fason i miały czekać do miary do wtorku. Ale do owego wtorku było całych dni pięć, a przez ten czas, ile to może zajść zmian w projektach i fantazji kobiecej!... Pięć dni czekać i wytrwać przy swojem, to rzecz dla nich nieprawdopodobna...

Jakoż w sam poniedziałek rano idąc ulicą, spotykają przed sobą jakąś otyłą i wolno kołyszącą się damę w takiem samem okryciu, jakie zamówiły. Pani Lucyna zbladła ze zdumienia, okrycie bowiem j.kn jgorzej prezentowało się na owej pani...

— Widzisz Maniu?...

— Widzę...

— No i cóż? Prawda, wygląda haniebnie. Patrz, takie same obszycie pluszem... taka sama pasmanterja z tyłu... Niepodobna, abym ja tak miała wyglądać!

Minęły ową panią, przyglądają się z przodu — okropność!.. stara jakaś, prosta zupełnie żydówka!... Odkrycie to dobiło nasze kobiety... gdyby to była jeszcze jaka dystyngowana osoba... no... ale żydówka, i to z tych pospolitych handlarek z Franciszkańskiej ulicy...

Można sobie wyobrazić, jaka gorycz zapanowała w sercach obu niewiast... Radzą znów, co robić? Albo stracić zadatek i nie brać zamówionego okrycia—ale cóż? szkoda 10 rubli zadatku, wszak to kapitał—albo pędzić do Bergera i kazać zmienić fason, jeżeli jeszcze nie skrajał. Tu już godzina druga, czas na obiad wracać, Erazm czeka, dzieci czekają, ale nie ma ani minuty czasu do stracenia.

— Niech tam czekają, niech jedzą bez nas!—mówi w gorączce Maniusia—my idźmy prędko... może jeszcze nie skrajał...

Która z czytelniczek moich była kiedy w tem niemiłem położeniu srogiej niepewności, która czuła, że na włosku wisi jej los, a ten włosek co chwila wypręża się, jak struna i może pęknąć, ten pojmie z jaką niecierpliwością i chyżością pędziły nasze panie do Bergera. Skrajał już, czy nie skrajał?... oto główna zagadka, raz przyprawiająca o desperację, drugi raz z uwagi, że ten Berger był żydem (w co teraz wierzyły), żydzi zaś rzadko kiedy bywają słowni—wlewała pewną iskierkę nadziei w skołatane ich myśli... Tradycyjna niesłowność żyda na ten raz stałaby się prawdziwem dobrodziejstwem i najdodatniejszym przymiotem izraelowego plemienia. Lecz... jak na kogo los się zaweźmie i grotów swoich nie szczędzi, tak i teraz się stało z panią Lucyną!... Berger dopiero przed godziną okrycie skrajał!...

— Dlaczego kupiec tak się spieszył? przecież to nic pilnego—mówiły obie naraz, gdy Mania rozkłada jednocześnie pokrajane kawałki materji.

— Ależ to fason niemożebny!...

— No, panie tak chciały...

— Gdzież tam — oponuje mama — pan zapomniał: miały być krótkie rękawy, a tu widzę tylko peleryna... i na wzrost zakrótkie na mnie...

Krawiec z początku nie mógł zrozumieć, co te panie chcą właściwie, jednak domyślił się, że idzie o zmianę kroju...

— Jak panie chcą, ja krój zmienię...

— Gdzież to można?... nie da się...

— Dlaczego się nie da?... Może znajdę jeszcze w sklepie kawałek tej materji to dodam; niech stracę, a niech paniom dogodzę.

— Bo i mąż — odzywa się pani Lucyna (mąż w takich razach bywa ostatnim argumentem) — nie chce takiego fasonu; powiada, że kobieta w nim wygląda jak rozdeptana żaba.

Kupiec się uśmiał, a że i pan konsyljarz sobie nie życzy, no to on zmieni na taki z rękawami, jak pokazuje żurnal.

Sprawa tedy załatwiona, panie się uspokoiły trochę, choć w dalszym ciągu powstaje wątpliwość, czy on potrafi zmienić fason.

— Mówiłam — rzecze matka — że nigdy nie warto kazać robić, lecz kupić gotowe—zobaczysz, zepsuje...

I ta właśnie obawa matki zachmurzyła znów dobre ich usposobienie. Rozbierając całą tę sprawę więcej szczegółowo przez dwa dni, zanim krawiec zdążył przysłać do przymierzenia, już ani wątpiły, że cała robota na nic się nie zda i że najlepiej było kupić gotową rotundę, która doskonale ubiera, kobietę wyższą czyni, do każdej sukni jest stosowna, i nie jest tak rozpowszechniona między żydówkami. Nic też dziwnego, że gdy przyszedł subjekt od krawca do miary, już bez przymierzania sprawa okrycia była przesądzona. Było tak ciasne w plecach, a na przodzie tak się nie schodziło, że kompletnie dla pani konsyljarzowej nieprzydatne. Nadaremnie czeladnik zapewniał, że da się rozpuścić, bo są szerokie zakładki przy szwach; napróżno pruł fastrygi i kredą znaczył, panie zdecydowały, że nie może być dobre, kazały zabrać robotę, oświadczając, że same przyjdą rozmówić się z panem Bergerem.

Nastały znów nowe zmartwienia, złe humory, liczenie kapitałów w portmonetce i stopniowe oswajanie się z myślą, żeby stracić zadatek. Ciężka to była rezygnacja, ale cóż zrobić, skoro człowiek musi, zwłaszcza, iż rotunda będzie kosztowała mniej znacznie, tak, że straty nie poczują.

Upłynął tydzień, panie słowa nie dotrzymały i do Bergera nie szły; on też jakoś nie przysyłał dowiadywać się, azatem widocznie poprzestaje na zadatku i już nie będzie nalegał, aby okrycie panie wzięły. Tymczasem powietrze jesienne ochładzało się coraz bardziej i trzeba było na coś się zdecydować. Na cóż, jak nie na rotundę? Idą tedy raz, przeglądają materjały, ma się rozumieć już do polskiego sklepu, każą brać miarę, potem jeszcze się namyślają, zmieniają materjał, potem każą obszywać futerkiem i dają już mniejszy zadatek, bo tylko trzy ruble z wymową, że do jutra ostatecznie znać dadzą, czy ma się robić tak, czy inaczej...

— No, a kiedyż to okrycie będzie? — zapytuje przy kolacji pan Erazm. Trzy tygodnie chodzicie, znosicie próbki, zamawiacie, a tu śnieg, i ty nie masz w czem chodzić...

— Już zamówiłyśmy rotundę.

— Co? taką bundę?...

— Ależ rotundę...

— Ja wiem, to tak coś niby peleryna... Lucynko, zastanów się, gdzież dla ciebie takie ubranie? Jesteś nie wysoka, w ramionach tęga, jakże ty będziesz wyglądała w takiej rotundzie? Chyba jak toreador... Ani to rękawów nie ma, ty sama chodzić nie lubisz; jakże ci tu podać rękę?...

Zaczęły kobiety bronić owej rotundy, ale jakoś słabo... Erazm coraz więcej żartował i prześladował pewną starą hrabiną, znaną właśnie z podobnej bundy, która wyglądała jak rozbitek na skale wśród wichru burzy morskiej,—dość, że fantazja ich i werwa zmiękły.

— Kupić lepiej okrycie, jakie starsze kobiety noszą zwykle, lekkie, ciepłe, wygodne, z rękawami, i rzecz skończona!

— Wiesz przecie Erazmie —odzywa się łagodnie żona— że kapryśną nie jestem...

— A to marudzenie przez trzy tygodnie, to nie kaprysy?

— Dajże pokój! U ciebie wszystko kaprysy... Dasz mało i chcesz, aby było ładne, wygodne, porządne, nic dziwnego, że musimy dobrze się namyślić, aby coś znośnego przynajmniej kupić.

— Więc ile dodać? — rzecze prędko zniecierpliwiony pan Erazm.

Kobiety milczały chwilę, aż odważniejsza Marynia wyrzekła:

— Dziesięć rubli...

— Masz, idź, kup i niech raz będzie temu koniec! Chcesz gotów jestem iść z wami.

— Ooo! nie potrzeba, wy mężczyzni jesteście rozrzutni — mówi pani Lucyna — u was targowanie się jest kaprysem, a nie oszczędnością... zapłacić ile żądają... A my, niby lekkomyślne stworzenia, więcej dbamy o waszą kieszeń, niżeli wy sami.

Argument taki podobał się Erazmowi i dał pokój...

Wyszły znów w usposobieniu kompletnie rozdrażnionem i smutnem... Dwa zadatki dane, wstyd pokazać się później w tych sklepach, gdzie teraz iść?... Ale z drugiej strony Erazm ma rację—rotundy nie można. W takiem zakłopotaniu spotykają na ulicy panią Ignacową, kuzynkę męża, i rozpoczyna się szeroka jeremjada na temat tylu zawodów.

— Co wy się kłopoczecie! Ja was zaprowadzę w takie miejsce, że dostaniecie śliczną okrywkę z doskonałej materji na wełnie, obszytą piórami — rzecze energiczna kuzynka. — Wczoraj tam byłam z Hieronimową, kupiłyśmy dolman i widziałam bardzo eleganckie rzeczy. Żeby mój nudziarz (to jest mąż) nie posądził mnie, że się zanadto chcę stroić nie dla niego, tobym zaraz kupiła dla siebie. Powiadam wam, cacko można dostać za 50 rubli, ślicznie odszyta, model z Wiednia.

— Jak się kupiec nazywa?

— Racheles, na Żabiej...

— Żyd — mówi krzywiąc się matka — nie mam chęci, już dotąd mam żydowskich sklepów...

— Uprzedzenie moja droga... Co wam szkodzi, wstąpmy... On wszystko sprowadza z Wiednia, to nie tutejszy wyrób.

Wstępują tedy do owego Rachelesa na pierwsze piętro, zastają tłum oglądających i kupujących, lecz pani Ignacowa przebija się do samego kupca i każe pokazać okrycie, które wczoraj oglądała.

Ze zwyczaju i usposobienia sceptycznego, nasze panie oglądając przy oknie wyniesione ubranie, zaczynają kręcić nosami i krytykować:

— Wie mama, materjał podobny jak ten u Bergera...

— Ale gatunek znacznie lepszy—odpowiada pani Lucyna.

— Obszycie piórkami niezłe...

— Liche pióra, choć powiem lepsze od pluszu... A gatunek materji ani porównać z Bergera... już ja się znam tak na materji, jak mało kto...

Następuje przymierzanie. Leży wybornie, ani za ciasne, ani za obszerne, fason najmodniejszy, rękawy krótkie, choć wygodne—ot takie, jak Erazm radził.

— Jak myślisz Maryniu?

— Hm, to w polskim magazynie lepsze, ale...

— Nie 70 rubli, prawda?

— No, prawda—mówi Ignacowa, obracając panią Lucyną przed zwierciadłem.—Panie Racheles! ostatnia cena ile?

Targują się, ganią, oglądają, mierzą i koniec końców kupiły za 48 rubli, czyli o 2 ruble taniej, niż zgodzone było pierwsze u Bergera.

Jak odurzona tak niezwykle prędką decyzją, pani Lucyna pamiętając na wymówki męża, że marudzą i kapryszą—wyjmuje pieniądze, płaci, okrycie na siebie bierze, a stare każe odesłać do mieszkania.

Na ulicy nowy ubiór wygląda wcale nieźle, a choć tam na dnie duszy szanownej mamy nurtowało pewne niezadowolenie co do gatunku i gustu pasmanterji przyszytej z tyłu na fałdach, to jednak pociesza się, że można ją będzie odpruć i zmienić, lub dać dwa wielkie guziki.

Erazm w domu pochwalił bardzo, zapewnił, że wyszycie odpowiada całości, więc jakoś rzecz ułożyła się dobrze i pani Lucyna zaczęła się oswajać z tą myślą, że powinna być zadowoloną.

Cały tydzień już nosiła okrycie, a zadowolenie coraz bardziej wzrastało i kto wie, czyby nie dosięgło samego zenitu, bo było ładne i wygodne, gdyby nie troska o straconą kwotę dwóch zadatków, to jest tych trzynastu rubli.

— Wiesz Maniusiu—odzywa się, idąc ulicą wraz z córką — żebyśmy były odrazu kupiły w polskim sklepie, to okrycie za 60 rubli, miałabym daleko lepsze... Zawsze to mówię, najlepiej iść do porządnego sklepu, dać więcej...

Córka, jak może perswaduje, że wtedy nie miały tyle funduszu, bo ojciec jeszcze nie dał owych 10 tubli, że oniby nie oddali za 60, że i to bardzo jest ładne... gdy niespodzianie mija ich jakiś chudy i wyblakły człowiek z czarno iskrzącemi się oczyma, zatrzymuje się i kłania uniżenie.

— Wielmożna pani konsyljarzowa kontenta jest z okrycia?

Spojrzały na mówiącego, jest to czeladnik krawiecki od Bergera, który z owym nieszczęśliwej pamięci okryciem przychodził do miary...

Zażenowały się obie kobiety, lecz odważniejsza Marynia mówi obojętnie:

— Kontente...

— To mnie bardzo cieszy...

— Dlaczego?

— No, bo ja je robił, pani konsyljarzowa pamięta, to co my przymierzali.

— Dajże pan pokój—odzywa się matka—przecież to inne... z innego sklepu... Zkądże znów?...

— Z przeproszeniem, to jest to samo. Kupiec powiada: panie nie chcą wziąć, zadatek tracą, ale na co ja mam tracić? A, że on ma szwagra, który jest Racheles na Żabiej, to on jemu dał do sklepu i powiem pani za 40 rubli...

— Zdaje się panu... to nieprawda; materjał podobny, ale znacznie lepszy; tamte miało być obszyte pluszem...

— Właśnie co ja poradził obszyć piórkami... ja jego znam, bo sam go szyłem... Bardzo mnie cieszy, co pani kontenta...

Czeladnik pożegnał panie, ale co się w ich sercach działo po tem odkryciu, łatwo odgadnąć...

— Maryniu—rzecze pani Lucyna, wchodząc do bramy domu, gdzie mieszkają — tylko przed nikim ani słowa, a przedewszystkiem przed ojcem; dopieroby się śmiał!

I rzeczywiście dotąd pan Erazm nic nie wie, ale skoro ja wiem, dlaczegóż nie mam się podzielić tą wiadomością z czytelnikami. Rzeczywiście cała ta historja byłaby dość pocieszna, gdyby... gdyby nie było u nas wiele tego rodzaju niezdecydowanych i nawet powiem kapryśnych matek, które przecież kierować muszą wychowaniem swych dzieci, przyszłych obywateli kraju, i wyrabiać w nich tyle nam potrzebny charakter. A jakże go wyrobią, jeżeli same w swoich własnych sprawach mają go tak mało?

Lwów w grudniu.

A. Wilczyński.

Pierwsze przedstawienie.

Działo się to cokolwiek dawno temu, nie tak dawno jednak, abyśmy według opowiadania naocznych świadków sprawy dokładnej z tych wydarzeń zdać sobie nie mogli; czasem zresztą zajmiemy się później, jak na teraz chodzi nam o rzecz samą.

Zapraszam zatem łaskawych czytelników na pierwsze przedstawienie, na którem raczą uprzejmie przyjąć mnie w skromnej roli bezpłatnego *cicerone*. Ponieważ chodzi o przedstawienie teatralne, musimy przedewszystkiem poznać się z gmachem, w którym ono się odbędzie, i nabyć bilety na odpowiednie miejsca.

Na początku spotyka nas małyzawód. Lóż ani foteli nie ma w naszym teatrze; prawda, że za to nie ma w nim i tak zwanych krzeseł stojących, ani galerji, ani paradyzu. Wszystkie miejsca są sobie równe i wszystkie po jednej cenie, około 18-tu groszy polskiej waluty. Jeżeli nie zabawimy się dobrze, to za to bardzo tanio; ale znowu śpieszyć nam się potrzeba, bo nas inni lubownicy teatru ubiegną i zmuszą do zajęcia miejsc zbyt wysoko położonych i bardzo od sceny odległych. Co prawda, ścisną się trochę sąsiedzi i zawsze się pomieścimy, ale chodzi nam o słuch i wzrok, a przedewszystkiem o swobodę rąk, bo gdy w teatrze jeść przyjdzie... A no tak! niestety, w tym przybytku sztuki jest obyczaj posilania się na gruncie, w antraktach, a czasem i w najpatetyczniejszych scenach tragedji, co nawet osłabia nieco powagę miejsca i przedstawianych utworów. Ale cóż robić? co kraj, to obyczaj, a my nie jesteśmy w Warszawie. Ogół publiczności zresztą ma tylko przy sobie zapasy owoców, wino w kubkach, no, i od czasu do czasu jakiś zamożniejszy spektator kiszkę wieprzową albo kawałek smażonego mięsa w sakwie. Pestki owoców i pęcherz odarty z kiszki mogą się nawet przydać w danej chwili, aby dać uczuć dotkliwie aktorom lub autorowi niezadowolenie publiczności; no, ale o tem dziś nie ma mowy, bo autor ma sławę ustaloną, a aktorów dobrano najlepszych. Rozpatrzmy się zatem najprzód w gmachu.

Jest co widzieć, doprawdy. Z zewnątrz są to tylko mury, wysokie blisko na trzy piętra, stanowiące prawie zupełne półkole, bez żadnych drzwi ani bram, bo wejścia są tylko z prawej i z lewej strony sceny, która stanowi oddzielny budynek, ale wewnątrz za to jakiż widok wspaniały! Ławki co prawda są proste, kamienne, wznoszą się w amfiteatrze do $^5/_6$ wysokości budynku, ale nad niemi jakiż przepych ornamentyki! Marmurowe kolumny jońskiego porządku stanowią jakby logietty weneckie, w których mieści się cały las posągów bóstw mitologicznych, poetów i bohaterów klasycznych. Taż sama ornamentyka na skrzydłach samej sceny, którą w ten sposób zwężono znacznie w stosunku do miejsc dla widzów. Tam, gdzie u nas znajdują się krzesła, tu właśnie miejsce puste zupełnie, coś w rodzaju toru cyrkowego; posadzka w nim marmurowa, w piękną mozajkę ułożona, a w samym środku wznosi się na dwa łokcie wysoki cokuł, również z marmuru, w zieleń i kwiaty przybrany. Po kilku stopniach wchodzimy do orkiestry, nad którą o jakieś cztery łokcie jeszcze wyżej wznosi się właściwa scena.

W orkiestrze z prawej i z lewej strony dwie ławki, które zasiądą muzykanci, zwróceni bokiem do publiczności; w samym środku posąg młodzieńca z tyrsem, czarą i gronem winnej jagody, cały ze złota i kości słoniowej, a wreszcie kurtyna, która za chwilę zapadnie się pod widownię, aby po skończonej sztuce znowu za pomocą dość skomplikowanej maszynerji wznieść się do góry i zasłonić scenę publiczności.

Zapłaciliśmy nasze 18 groszy jednemu z kasjerów, siedzących przy dwóch wejściach. Co prawda, nie dano nam ani biletu, ani nawet znaczku, ale za to kontroler usunął się nam z drogi i możemy zająć miejsce w teatrze. Kontroler ten i kasjerzy sumiennie spełniają swoje obowiązki; i nic dziwnego, są to aktorzy, którzy grać będą w końcowych scenach albo w następnej sztuce, a że dochód całkowity z przedstawienia pomiędzy nich się rozdzieli, więc nie ma strachu, żeby kogoś wpuścili bezpłatnie! Aktorzy zawsze kochali sztukę, ale oskarżać ich o bezinteresowność byłoby...

Przepraszam! uchowaj mnie Boże źle mówić o aktorach! Zaznaczam tylko, że darmo nikt się do teatru nie dostanie, o to można być spokojnym, kiedy artyści sprzedają wejścia na swoją korzyść.

Gdyby tak antreprener miał brać pieniądze! A otóż to właśnie, w czem nasze przedstawienie jest oryginalne. Antreprener dopłaci, i to grubo! Musiał sprawić dekoracje, nająć chóry i orkiestrę, nawet ognie sztuczne i różne maszynerje; wszystko sam opłaci z własnej kieszeni i za to mu nawet nikt Bóg zapłać nie powie. Mogą go tylko stawić przed sądem i ukarać bardzo surowo, gdyby skąpił w wydatkach, gdyby wystawa sceniczna była nieodpowiednią, aktorzy ról nie umieli, sztuka się nie podobała, albo, co najgorsza, gdyby chóry były nieskładne lub orkiestra fałszowała. Tyle kłopotów za marny zaszczyt przewodniczenia teatrowi na przeciąg kilku, a najwyżej kilkunastu przedstawień! Nie, doprawdy, stanowisko prezesa dyrekcji teatru zawsze było niewdzięczne!

Przyszliśmy jeszcze zbyt wcześnie, wprawdzie już napłynęło trochę publiczności, ale poprosiwszy grzecznie sąsiadów, aby nam miejsce zatrzymali, spróbójmy dostać się za kulisy. Złota młodzież i wybitniejsi przedstawiciele arystokracji rodowej i pieniężnej, a i cała brać literacka już się tam dawno uwija; zresztą wejścia nikomu nie bronią, nie ma nigdzie napisu: „osobom nie należącym do składu i t. d. wchodzić nie wolno”. Przeciwnie: autor i aktorzy są bardzo radzi gościom: kaptują sobie ich przychylność, inteligentniejszych radzą się nawet, udając, że się do ich gustów zastosują; potem, naturalnie, zrobią po swojemu, ale co to szkodzi zjednać sobie przyjaciół łatwym sposobem?

Idźmy zatem! Przechodzimy tak jak w cyrku ścieżką koło barjery i dostajemy się do jednego ze skrzydeł sceny; tam są właśnie garderoby artystów. Wchodzimy po kilkunastu stopniach i jesteśmy w jednej z takich garderób. Wiszą tu płaszcze różnobarwne wełniane, i skóry różnych zwierząt, i łachmany, są jakieś koszule z przeróżnych materyj i wreszcie najrozmaitsze maski z perukami, a przytem kostjumów zapas niemały. A scena?

W głębi dekoracja stała, zawsze jednakowa, na której miasto z lewej, w środku pałac czy świątynia, z prawej wolna okolica. Jeżeli akcja jednak ma się odgrywać w przedsionku pałacu lub w pokoju, to na ten cel wystawia się odpowiednio malowaną składaną dekorację, coś w rodzaju parawanu, który przy zmianie łatwo za pomocą postronków na bok ściągniętym być może. Boczne dekoracje zawieszone są na trójkątach lub słupkach ruchomych, tak, że w mgnieniu oka również zmienić je można.

Jest tu i maszynerja skomplikowana. Figury nadziemskie spadają z obłoków za pomocą trapezów na murach zawieszonych, a trzymają się tak zręcznie w powietrzu za pomocą ukrytych sprężyn, że aż weszły w przysłowie: jako *Deus ex machina*. Straszne zjawiska świata podziemnego wyskakują z pod podłogi i zapadają się aż miło, przy odgłosie piorunów i towarzyszeniu ogni piekielnych—a wszystko to musi iść składnie i pięknie, bo inaczej biada prezesowi dyrekcji... chciałem powiedzieć *chorregosowi*, za owych czasów. Ale już odwiedzający aktorów usuwają się z pod scenicznych portyków; wracajmy na miejsca. Do środka wchodzą kapłani: ofiarnik ciągnie na sznurze czarnego kozła, a chór wraz z koryfeuszem zawodzi pieśń na cześć Djonizosa, boga wina i natchnienia, gdy mu na ołtarzu kapłani czarnego brodacza na większą bożka chwałę święcą.

Trąby, kotły i tamboryna dają sygnał, kurtyna spada powoli. Chór ustawia się frontem do sceny, w około ofiarnego ołtarza; aktor deklamuje prolog. Sztuka się zaczyna.

Chciałbym wam, łaskawi czytelnicy, opisać jakieś wybitniejsze pierwsze przedstawienie „Antygony” Sofoklesa albo „Rycerzy” Arystofanesa naprzykład, ale miejsca na szpaltach *Kurjera* zamało, nie jak w teatrze ateńskim, gdzie mieściło się wygodnie dwadzieścia tysięcy widzów. Ustępuję zatem innym, przepraszając wasza zwodniczość tytułu. Domyślaliście się może jakiej osobistej przygody komedjopisarza, a to tylko szkic pobieżny z Aten przed dwoma tysiącami lat! Darujcie! o dzisiejszej scenie tylu wam pisze i tak piszą, że nawet kochającym sztukę naprawdę obrzydzić ją mogą.

Kazimierz [illegible]

Epilogus.

Przewinęły się więc przed wami rzesze starych i młodych, sytych rozczarowania i pełnych nadziei, łaknących ciszy grobu i tęskniących do gwaru życia, pochmurnych i uśmiechniętych, trącających wiotką dłonią o wdzięczną lirę i rydlem kopiących twardą niwę.

Na czele chorowodu posuwały się wielkie cienie, wielkie wygasłe ogniska natchnień, niespożyte w pamięci, acz nie wykute w marmurze posągi...

Za nimi poszli mężowie wyposażeni siłą zdrowej wyobraźni, którym gorącym, barwnym a odczutym dojrzale obrazem życia przyszło służyć społeczeństwu ku odnowieniu i po prawie swojskiego obyczaju. Praca ich była zabawą—apostolską!

Nareszcie zbiegli się na turniej ci wszyscy, którzy szlakiem wskazanym przez owych nieboszczyków i owych gasnących, chodzą dzisiaj gorliwie po miedzy rodzimej z twórczem ziarnem w sakwie, i rzucają je w plenną ziemię dla wzrostu czerstwego o wiośnie.

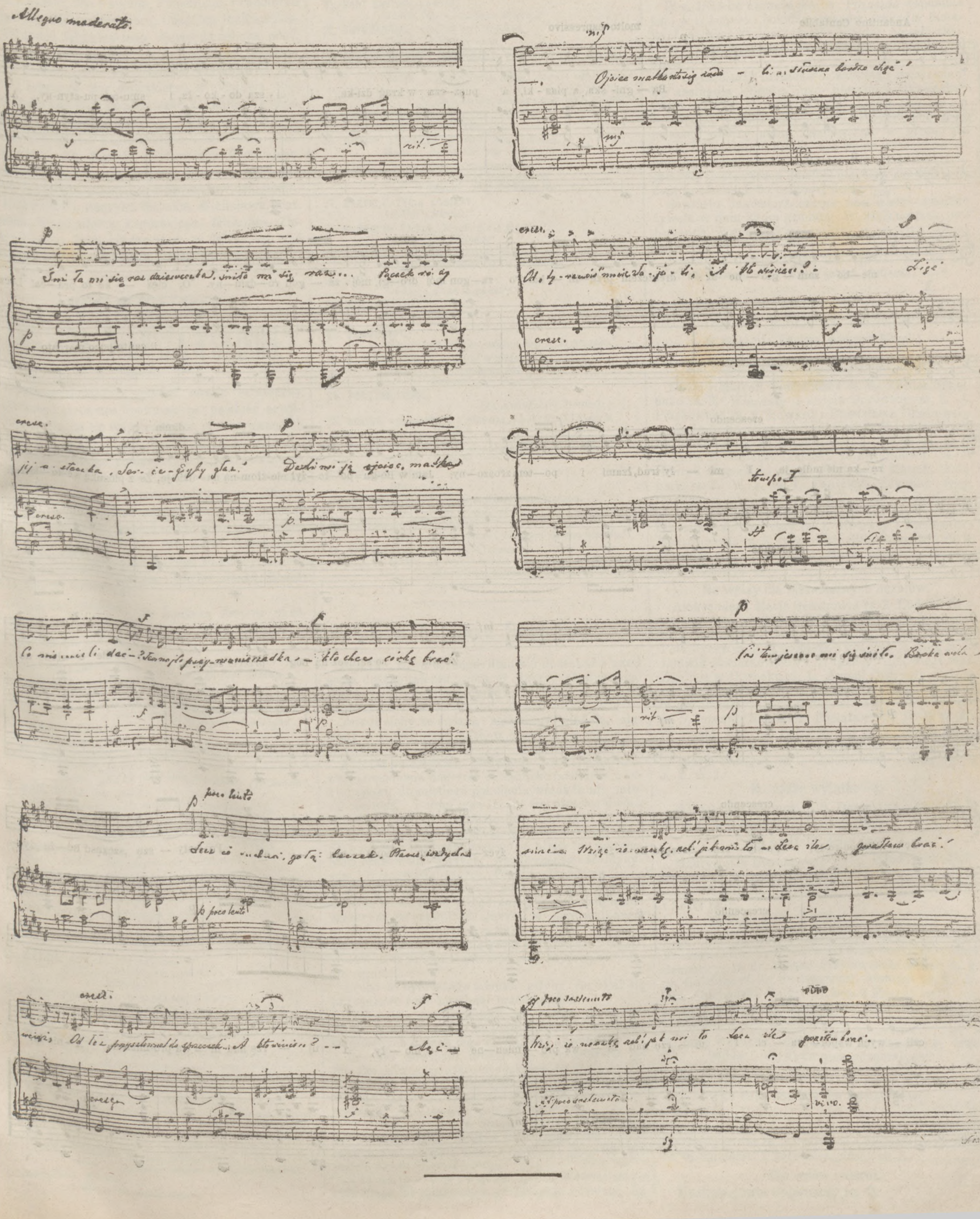
Wszyscy przyszli z dokumentami swojemi. Tamci powiadają „byliśmy”, ci „jesteśmy”. Jedni sypią brylanty natchnień, inni wykładają prawdy życia. jedni grzeją, drudzy hartują. Każdy śpiewa i prawi jak umie, jak może, byle rzucić swojego obola we wspólną urnę—myśli.

Cogito ergo sum.

Bronisław Zawadzki.

MAZUREK.

Muzyka Piotra Maszyńskiego.



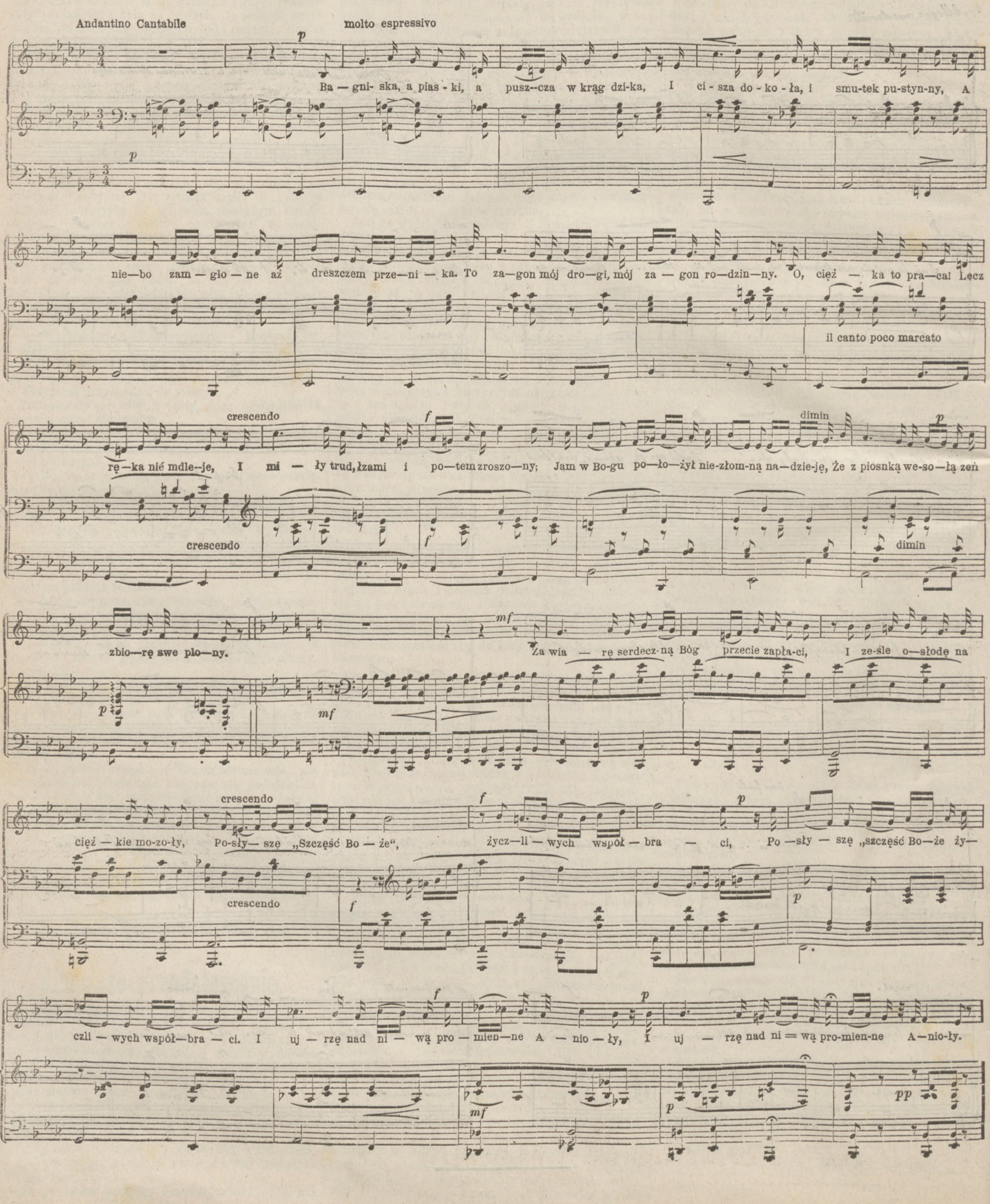
Z Albumu Jubileuszowego (Antoniego Pietkiewicza) Adama Pługa.

MÓJ ZAGON

wiersz Adama Pługa

muzykę utworzył

ZYGMUNT NOSKOWSKI.



Zamykając dzisiejszy numer noworoczny, poczuwamy się do obowiązku podziękować wszystkim literatom i publicystom, którzy na zaproszenie nasze łaskawie prace swoje nadesłali, a zarazem przeprosić tych wszystkich, których artykułów dla braku miejsca lub ze względów innych drukować tu nie mogliśmy. Skutkiem tego pozostają w naszej tece artykuły, które zaraz po Nowym roku umieszczone zostaną: Alryssy, dra Banzemera, dra Bujwida, Czernedy, Dicksteina, Dobrogosta, dra Fritschego, dra Finkla, dra Fabjana, Fulgentego, Franciszka Glińskiego, Ottona Hausnera, Leopolda Janikowskiego, Edmunda Jankowskiego, Edwarda Jelinka, prof. Karola Jurkiewicza, Józefa Kotarbińskiego, Aleksandra Kraushara, Henryka Lama, Władysława Mickiewicza, Edmunda Naganowskiego, Stanisława Niewiadomskiego, Gustawa Plewaki, ks. kanonika Ignacego Polkowskiego, Czesława Pieniążka, dra Papee'go, Stanisława Pepłowskiego, Poczwarki, Józefa Rogosza, Fr. Rawity, Wincentego Rapackiego, Aleksandra Rejchmana, Juljana Starkla, prof. Michała Szymanowskiego, dra Szyszyłowicza, Stefanji Ulanowskiej, Henryka Wernica, Wielisława, prof. Ziemby, Włodzimierza Zagórskiego, Michaliny Zielińskiej i Jana Zacharjasiewicza, w dziale nut zaś kompozycje Adamowskiego, Galla i Pankiewicza.

KONKURS
„KURJERA WARSZAWSKIEGO."

W dniu wczorajszym upłynął termin ostateczny ogłoszonego przez nas konkursu na **powieść oryginalną**, osnutą na tle współczesnem, obyczajowem lub społecznem.

Wyszczególniając poniżej tytuły prac otrzymanych, nadmieniamy, iż zostaną one ocenione do dnia 1-go marca r. b. przez komitet sędziów, w którym na zaproszenie nasze raczyli łaskawie przyjąć udział pp. Ludwik Jenike, Piotr Chmielowski, Adam Pług, Józef Kotarbiński, Stanisław Krzemiński, Henryk Sienkiewicz, a do którego ze strony redakcji *Kurjera* należeć będą pp. Teodor Jeske Choiński i Wiktor Gomulicki.

Oto wykaz powieści, na konkurs *Kurjera* nadesłanych:

1. **WYKOLEJENI**, powieść.
   Godło: *„Parja"*.
2. **MOJA KOLEŻANKA**, powieść obyczajowa (bez godła).
3. **FELJETONY**, powieść społeczna.
   Godło: *„W powieści subjektywność — to niedołęztwo, salon — to ślepota, analiza serca — to obłęd, refleksje autorskie—to maligna"*.
4. **CZARNO CZY BIAŁO?**
   Godło: *„Gejsz."*
5. **W CIENIU**, powieść oryginalna.
   Godło: *„Jarygniw"*.
   Motto: *„Za zbrodnie ludu odpowiada cywilizacja"*.
6. **MOJA IDYLLA**, (bez godła).
7. **WYŻEJ...** powieść na tle stosunków współczesnych.
   Godło: *„Boś ty jedyny syn Prometeusza,*
   Sęp ci wyjada nie serce, lecz mózgi".
   (J. Słowacki).
8. **DEWAJTIS.**
   Godło: *„Nec temere—nec timide."*
9. **ANIOŁKU—CZEKAMY!** zdarzenie wczorajsze.
   Godło: *„Tyle życia—co jest w pieśni,*
   Tyle szczęścia—co człek prześni".
10. **DWA PRĄDY**, powieść na tle współczesnem.
    Godło: *„Jeden tylko, jeden cud,*
    Z szlachtą polską, polski lud."
    (Krasiński.)
11. **Z ŻYCIA**, powieść obyczajowa.
    Godło: *„Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy..."*
12. **OFIARY PRÓŻNOŚCI**, powieść współczesna.
    Godło: *Kto babę ma na lejcu, a u dyszla złoto,*
    Czego djabeł nie może, niech się kusi o to."
    (Wacław Potocki).
13. **W CIEMNOŚCIACH.**
    Godło: *„Ach żyłem, żyłem w tej przepaści długo,*
    Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą,
    I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą,
    Jak Dant za życia, przeszedłem przez piekło".
14. **NIEPRZYJACIEL LUDZI**, z rękopisu prowincjonalisty.
    Godło: *„Omnibus obstare, neque vitiis aliorum, neque proprio capiti parcere, est ne durities animi, an summa virtus ac sapientia?"*
    (Sententia anonymi).
15. **LELUM I POLELUM**, powieść współczesna.
    Godło: *„Gdy Lelum umrze, żyć będzie Polelum"*.
16. **ZBŁĄKANA**, powieść.
    Godło: *„Pro publico bono"*.
17. **RADA I MIASTECZKO.**
    Godło: *„Łza"*
18. **KSIĘGA NIEDOLI**, powieść.
    Godło: *„Pierwszym krokiem do usunięcia złego jest zwrócenie na to złe ogólnej uwagi."*
19. **JAK TO BYŁO**, powieść obyczajowa.
    Godło: *„Sam przyznałem się, muszę dla ulgi sumie- [nia*
    Pozyskać, a przynajmniej prosić przebaczenia.
    Posłuchaj mej spowiedzi, potem zrobisz sobie
    Ze mną, co zechcesz."
    (A. Mickiewicz.)
20. **DWIE DROGI**, powieść współczesna.
    Godło: *„Kto wytrwa aż do końca, ten zbawion będzie."*
21. **DARY ŚMIERCI**, powieść.
    Godło: *Nessun maggior dolore..."*
22. **TRYUMWIRACI**, powieść współczesna.
    Godło: *„Miłość bratnia."*
23. **NIEPROTEGOWANY KONKURENT**, wspomnienie z przeszłości.
    Godło: *„Ach! gdzież te czasy, dawno, ach! dawno [już zbiegły,*
    Na dnie mogiły, wraz z starą cnotą poległy".
24. **MGŁAWIDŁA**, powieść.
    Godło: *„All is true."*
25. **HENRYK SZCZERBA**, powieść współczesna.
    Godło: *„Hodie tibi cras mihi."*
26. **DZIECI**, obrazy życia współczesnego.
    Godło: *„...i napisał liścik drobny,*
    Złotoocznem piórkiem pawia..."
27. **KARTKI Z ŻYCIA KOBIETY.**
    Godło: *„Kismet."*
28. **O GŁUPIM GAWLE**, klechda nie mądra.
    Godło: *„Klin klinem."*
29. **ZA CUDZE GRZECHY**, powieść współczesna.
    Godło: *„Nec Hercules contra plures."*
30. **STÓJ CHWILO!**
    Godło: *„Ascende ad astra."*
31. **WŚRÓD KĄKOLU.**
    Godło: *„Pax."*
32. **SAMOBÓJCY.**
    Godło: *„Miłość jest własny bieg życia naszego."*
33. **ODMIENNE DROGI**, powieść współczesna.
    Godło: *„Experimentum fiat in anima vili... non in pretiosa."*
34. **PONĘTNE LICHO.**
    (Zapowiedziana listem).
35. **HALINA**, opowiadanie z pierwszej połowy XIX-go w.
    Godło: *„Wisła."*
36. **GODŁO ŻYCIA**, powieść współczesno-obyczajowa.
    Godło: *„Viola."*
37. **VERBUM NOBILE.**
    Bez godła.
38. **NA PLACÓWKACH ŻYCIA**, powieść współczesna.
    Godło: *„Sine me—de me."*
39. **ZA PROMIENIEM SŁOŃCA.**
    Godło: *„Dość płaczu i żalu nad własną niedolą."*
40. **WYKOLEJONY**, powieść społeczna.
    Godło: *„Quotiens scribes aliquio, quod editurus es, scito morum tuorum te hominibus chirographum dare!"*

Ś. p. Leonard Sowiński.

Brzasku noworocznego dnia nie doczekał z nami poeta dużego talentu, gorącej duszy, plastycznego słowa, burzliwych częstokroć i niejasnych natchnień, Leonard Sowiński...

Zszedł cichy ze świata, zgnębiony niedolą, złamany w części przez ludzi, w części przez siebie samego...

Należał on do grona pieśniarzy epoki przejściowej; niepodobna umieścić go zablisko mistrzów wielkiej epoki, do młodego pokolenia wszakże nie należał również. Forma jego rzeźbi się dłutem dwóch okresów, owiewa się atmosferą dwoistych prądów poetyckich, karmi się ideałem romantycznym doby Słowackiego i Goszczyńskiego, a ulega już potrąceniom czasów dzisiejszych, współczesnego sceptycyzmu i rozpaczliwej satyry. Profil to Janusowy...

Mało już dzisiaj który z poetów potrafi wydobyć z siebie słowo tej siły i jędrności, rozpalić się takim szczerym, potężnie tryskającym w górę wulkanem uczucia, skierowanego zawsze na drogi szersze... Sowiński miał pomysły wysoce oryginalne i wypowiadał je w formie częstokroć porywającej, niby lawa ognista...

Cóżby to było z tego talentu, gdyby rozwijał się prawidłowo i nie zwichnął przed czasem!

Pozostawiając nasuwające się uwagi szerszemu wspomnieniu literackiemu, ograniczymy się dzisiaj na głównych datach tego ciernistego żywota.

Leonard Sowiński urodził się w r. 1831-ym we wsi Berezówce, powiatu lityńskiego, na Podolu. Po ukończeniu nauk gimnazjalnych w Żytomierzu, kształcił się w uniwersytecie kijowskim, naprzód na wydziale filologicznym, potem lekarskim.

W r. 1857 udał się w dłuższą podróż po Europie, zajrzał pod błękity Italji i oczarowany nią poznał szybko, że nie na służbie Eskulapa przyjdzie mu pędzić żywot. Został poetą...

Z tą misją w duszy błądził bez ściśle określonego celu przez lat kilkanaście po Wołyniu i Podolu, aż w r. 1868-ym zamieszkał stale w Warszawie, gdzie do ostatnich już czasów przebywał.

Oprócz bardzo wielu artykułów jego i rozpraw literackich, drukowanych w czasopismach współczesnych, oraz „Satyr", zamieszczonych w „Piśmie zbiorowem wileńskiem" (1859), wydał w tymże roku cykl oryginalnych w przeprowadzeniu pomysłu sonetów „Widziadła", dalej wrzący fantazją poemat dramatyczny „Z życia" (Kijów 1861, dwie edycje); „Fragment powieści" (Lwów 1869); „O zmroku" (Warszawa, 1881), „Na rozstajnych drogach" (Warszawa, 3 tomy, 1887), a wreszcie kilka przekładów z Tarasa Szewczenki.

W r. 1873-im ukazała się w Poznaniu wspaniała jego w kolorycie i potędze obrazów tragedja fantastyczna „Na Ukrainie"; tamże później wyszło zbiorowe wydanie „Poezyj" Sowińskiego w dwóch tomach.

W rzędzie prac literackich zmarłego na wzmiankę zasługują „Studja nad literaturą ukraińską" (Wilno 1860-go r.), „Słowo bytu" (Lwów 1870-go r.), a wreszcie opracowanie „Rysu dziejów literatury polskiej" według notat Zdanowicza, w pięciu tomach. To ostatnie dzieło, nie wolne wprawdzie od braków, należy do najudatniejszych dotąd i najpracowitszych streszczeń dziejów umysłowości polskiej, doprowadzonych do ostatniej doby.

Sowiński zakończył czarne pasmo dni swojego żywota w dniu 23-im grudnia, w Stetkowcach pod Lubarem, w gubernji wołyńskiej, w majątku swojej żony.

Niechajże ziemia lżejszą mu będzie, niż to powietrze, którem oddychał z takim trudem!..

Z.

Zamiast rozsyłania powinszowań noworocznych złożono w redakcji „Kurjera warszawskiego":

Dla najbiedniejszych do uznania redakcji:

Marja i Marceli Trechcińscy rs. 6, Teodor Séguinaud rs. 3, Wincenty i Aniela Gurowscy rs. 3, A. Piaskowska rs. 2, Edward i Bronisława Brzozowscy rs. 2, Julja Karolina Korzycka rs. 1, W. rs. 1, Piotr Berterman rs. 2, Kłopotowscy rs. 1, Naimscy rs. 5, J. L. rs. 2, Mateusz Lisiecki ze Skierniewic rs. 2, Henryk Rogoziński rs. 2, Ferdynand Hösick, księgarz, rs. 2, W. K. rs. 1, Pantaleon Szyndler rs. 1, inżenier Wład. Sobolewski rs. 2, Teofil i Marja Łagunowie rs. 3, Bronisław Dobrzyński rs. 1, Zofja i Stanisław Jaroszewscy rs. 1, Maurycy i Aleksandra Wortmanowie rs. 5, Izydorowie Silberbergowie rs. 3, Władysław Muśnicki rs. 3, Maks. i Helena Chachamowiczowie rs. 1.

Na wpisy dla niezamożnych uczniów:

Aleksander i Marja Szustrowie rs. 2, Ludwik Kurcjusz z żoną rs. 3, Adolf Majde rs. 1, Dubeltowicz rs. 2, Konradowie Wodzińscy rs. 3, Wład. i Józefa Półkotyccy rs. 2, Kazimierz Tyczyński z żoną rs. 3, Ludwik Kwiatkowski rs. 1, Ignacy Giełżyński rs. 1, Zajdlicz w Otwocku rs. 1, Antoni Orthwein z żoną rs. 2, Józef Zaborski z żoną rs. 1, E. St. wygrane w gry towarzyskie rs. 2 kop. 45, Karol Deike z żoną rs. 5, inżenier Kazimierz Puciata rs. 2, D. B. rs. 25, Zygmunt Korybut-Suchowiecki rs. 1, Marja Konopnicka rs. 1, Konrad i Amelja Meklemburgowie rs. 2, Marja Saenger rs. 5, Adolf Gins z żoną rs. 2, J. Z. rs. 1.

Na nędzę wyjątkową:

Wiktorowie Herteux rs. 3, Danielowa Lesser rs. 3, D. B. rs. 25, Steinert i Jantzen rs. 5.

Na szpitalik dziecięcy:

Maurycowie Bormanowie rs. 3, Władysław Strakacz rs. 2, Juljusz i Leonja Winnerowie rs. 3, małżonkowie Mieszkowscy rs. 3, Jadzia, Karol, Maryla i Zosia rs. 2.

Na kasę wdów i sierot po lekarzach:

Dr. Maksymiljan Żołędziowski rs. 1, dr. Antoni Kraszewski rs. 2, M. Barcz z żoną rs. 5, dr. Feliks Sommer rs. 5, dr. Marjan Przyborowski z żoną rs. 2, dr. Guliński rs. 1, dr. Zygmunt Srebrny rs. 2, dr. Jan Gromadzki rs. 2, dr. Zenon Pilecki rs. 3, dr. Ludwik Natanson z żoną rs. 5, dr. Władysław baron Lesser z Lipska rs. 3.

Na kasę wsparcia podupadłych farmaceutów, oraz wdów i sierot po nich pozostałych:

Dr. Feliks Sommer rs. 5.

Na kasę pomocy dla adwokatów:

Stanisław Rotwand rs. 100, Jan Samborski rs. 3, Aleksander Strachowicz rs. 2, Marceli i Eleonora Kramsztykowie rs. 3, adwokat Henryk Krajewski rs. 3, Stanisław i Zofja Kwapińscy rs. 2.

Dla wdów i sierot:

Kazimierzowie Gagatniccy rs. [illegible]

Dla ubogiej panienki, utrzymującej rodzeństwo:

Tadeusz i Stefan Żychlińscy rs. 2, Józef Rentel z żoną rs. 3, Kazimierz Sobieszczański z żoną rs. 5, Władysław i Józefa Krauzowie rs. 2, Bronisław Łącki z żoną rs. 3, Służkowski rs. 1, Dominik i Józefa Ancowie rs. 5, Zofja i Stanisław Jaroszewscy rs. 1, Józef, Helena i Janina Moszyńscy rs. 1, Adam Łada z żoną rs. 1.

Na instytucję opieki nad ubogiemi matkami:

Stefan i Jadwiga Spiessowie rs. 5, Bronisław Mayzel z żoną rs. 3, Józef Hildt z żoną rs. 2.

Na opał dla biednych:

Karol i Marja Puchalscy rs. 3, Maksymiljan Poznański z żoną rs. 3, Franciszek Sienkiewicz rs. 1, Edmund Makowski rs. 3.

Na osady rolne:

Profesor Walenty i Cecylja Miklaszewscy rs. 3.

Dla sierot przy gminie ewangelicko-augsburskiej:

Władysław Ludwik Szwede rs. 3.

Na ubogich gminy ewangelicko-reformowanej:

Leon Błaszkowski z rodziną rs. 3, E. Laskowski rs. 1.

Na Tow. św. Wincentego à Paulo:

Marja Zawisza rs. 5, K. K. rs. 5.

Na zakład sierot Juszczyka:

Józef i Franciszka Woronieccy rs. 3.

Na paralityków:

Z Witanowskich Anna Mackiewiczowa rs. 3.

Na kasę Mianowskiego:

Władysław Mazurowski rs. 2, inżenier Czesław Tyszka rs. 3.

Na szynele dla uczniów:

Anna i Emil Więckowscy rs. 1.

Na budowę kościoła na Prądze.

Stefan Szyller, budowniczy, z matką rs. 3.

Na budowę kościoła w Kutnie:

Rejent Stanisław Zawadzki z żoną rs. 10.

Na instytucję jałmużniczą wstydzących się żebrać:

Izabella z Łempickich Ciechomska rs. 3.

Na szkołę rzemiosł przy ul. Złotej:

Stanisław Żerański, fabrykant wyrobów metalowych, rs. 5.

Na gmach Towarzystwa sztuk pięknych:

Tadeusz Średnicki rs. 1, Bolesław i Sabina Syrewiczowie rs. 3.

Na Towarzystwo dobroczynności:

Edward i Zofja Orthweinowie rs. 3, dr. Ludwik Natanson z żoną rs. 5.

Na pomnik Mickiewicza:

Alfons Aleksander Brühl rs. 1.

Na pomnik Malczewskiego:

S. Praus rs. 1.

Na kasę wsparcia podupadłych artystów:

Wilhelm Lityński rs. 2.

Dla uczniów instytutu muzycznego:

Henryk Halberstam rs. 5.

Dla mającego wyjść ze szpitala Dzieciątka Jezus:

Bronisław Skrzyński złożył ciepłe palto.

Dla Władzia L., ucznia I-ej klasy:

Ewelina Michałowska z córkami i synem rs. 2.

— Dla wdowy z 5-u dzieci kop. 50, dla dwóch dziewczynek, utrzymujących ojca, kop. 50; dla panienki, utrzymującej rodzeństwo, kop. 50; dla nędzy wyjątkowej kop. 50 od dzieci Łopatyckich, ażeby wszyscy biedni obdarowani westchnęli do Boga o przywrócenie zdrowia matce.

— Prostujemy dwie pomyłki, które się wkradły do wykazu poprzedniego: ofiary zamiast powinszowań złożyli Adam Luer z żoną (nie zaś Lesser), oraz Ludwik i Michalina Ankiewiczowie (nie zaś Juljan i Michalina).

Nekrologja.

† Ś. p. Roman **Wierzchlejski**, adwokat przysięgły, zmarł dnia 29-go grudnia 1887 r., przeżywszy lat 62. Pozostali w ciężkim smutku: żona, córka i synowie, zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na wyprowadzenie zwłok z kaplicy miejscowej na cmentarz powązkowski dnia 2-go stycznia 1888 r., to jest w poniedziałek, o godzinie **3-ej** po południu odbyć się mające. —4099—

† Ś. p. Antonina z Wosińskich **Gurbska**, w wieku lat 76, opatrzona św. sakramentami, zmarła dnia 31-go grudnia. Nabożeństwo żałobne odbędzie się dnia 2-go stycznia 1887 r., to jest w poniedziałek, w kościele Wszystkich Świętych na Grzybowie, o godzinie **11-ej** rano, poczem nastąpi z tegoż kościoła wyprowadzenie zwłok. Oddzielne zaproszenia rozsyłane nie będą. —4096—

† Za duszę ś. p. Stefanji z Strasburgerów **Jodłowskiej**, zmarłej w Krakowie dnia 24-go grudnia, odbędzie się nabożeństwo żałobne w kościele Opieki św. Józefa (pp. wizytek), w dniu 3-im stycznia 1888 r., o godzinie **10-ej** zrana, na które zaprasza rodzina ciężkim dotknięta smutkiem. —4093

† W dniu 2-im stycznia, to jest w poniedziałek, odbędzie się żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Małgorzaty Szeryńskiej, 2-go ślubu **Bukowskiej**, o godzinie **9-ej i pół** rano, w kościele św. Trójcy na Solcu, na które zaprasza syn wraz z żoną i wnukiem. —4095—

Nadesłane.

PREMJA BEZPŁATNE NA ROK 1888.

ECHO

muzyczne, teatralne i artystyczne

zamieszcza powieści, komedje, dramata, monologi, poezje, rozprawy naukowo-estetyczne, sylwetki pisarzy, kompozytorów, artystów, malarzy i t. p., portrety, ilustracje, oraz obszerny **dział nutowy**, obejmujący utwory najcelniejszych kompozytorów polskich i zagranicznych. W dziale literackim współpracują najznakomitsze pióra polskie. Prenumerata w Warszawie kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, na prowincji kwartalnie rs. 2½, rocznie rs. 10. Opłacający rocznie bezpośrednio w redakcji (Warszawa, Senatorska 26), mają prawo do wyboru jednego z poniższych premiów bezpłatnych:

1. Wybór kompozycyj R. Schumann'a w dziesięciu tomach, a trzech księgach, za zwrotem jedynie cła zagranicznego kop. 80.

2. Dziesięć tomów wyborowych powieści J. I. Kraszewskiego.

3. Album tańców (złożone z 12 utworów) L. Lewandowskiego z rysunkiem 9-kolorowym Fr. Kostrzewskiego.

Specjalny Skład Towarów Tabacznych

KALINOWSKI, PRZEPIÓRKOWSKI

w Warszawie (Hotel Europejski).

Poleca ***Cygara, Tytonie i Papierosy*** w bardzo wielkim wyborze. (Dawne Cygara „Union" są jeszcze na składzie.)

Najmodniejsze paryzkie wachlarze. Cena bajecznie tania, u Hipolita, Marszałkowska 111.

TELEGRAMY „KURJERA WARSZAWSKIEGO".

Lwów 31-go grudnia. (*Tel. pryw. Kur. W.*) — Śnieg ustał. Termometr wskazuje 17% poniżej zera. Komunikacja pomiędzy Stanisławowem i Husiatynem przerwana.

Berlin 31-go grudnia. (*Tel. pryw. K. W.*) — *Reichsanzeiger* w swej części urzędowej stwierdza, iż Niemcy nie popierały nigdy kandydatury bułgarskiej księcia Ferdynanda koburskiego, jako sprzecznej z traktatami. Sfalszowane dokumenta miały na celu w odmiennem świetle przedstawić politykę Niemiec dla wywołania międzynarodowych nieporozumień. Gdyby rzeczone dokumenta okazały się prawdziwemi, można by słusznie podejrzywać politykę Niemiec o brak szczerości i uprzejmości. Zarządzone badania okazały wszelako, że ani wiadomé cztery listy ks. koburskiego do hr. Flandrji, ani znany list ks. Reuss do ks. koburskiego nie są prawdziwemi. *Reichsanzeiger* podaje dosłowny tekst rzeczonych czterech listów księcia koburskiego. (Rzeczony komunikat *Reichsanzeigera* stwierdza, że polityka Niemiec w sprawie koburskiej nie była skierowaną przeciw Rosji; *przyp. red.*)

Berlin 31-go grudnia. (*Tel. pryw. Kurj. W.*)— Urzędownie donoszą: Hr. Piotr Szuwałow w powrocie do Petersburga przedstawił się cesarzowi Wilhelmowi i odwiedził swoich tutejszych znajomych. Niema on żadnej misji. *Nordd. allg. Ztg.* donosi, że hr. Szuwałow obiadował wczoraj u hr. Herberta Bismarka, a dzisiaj po południu odjechał.

Paryż 31-go grudnia. (*Tel. pryw. Kurj. Warsz.*)—Arcybiskup nie pozwolił na odbycie się ślubu syna Sary Bernhard po północy z uwagi, że mogłoby powstać zamięszanie wskutek zbiegowiska. Rozesłano zaproszenia ze strony księżnej Jabłonowskiej, wdowy po szambelanie Wiktora Emanuela, tudzież Sary Bernhard. Na tych ostatnich znajduje się maska tragiczna z godłem „*Quand même*".

Rzym 31-go grudnia. (*Tel. pryw. Kur. W.*) — Władza polityczna uwiadomiła Watykan, że przyjmuje odpowiedzialność za utrzymanie porządku podczas nabożeństw jubileuszowych, jeżeli główne bramy kościoła św. Piotra będą otwarte. Oferty nie przyjęto. Wchodzi się przeto do bazyliki tylko bocznemi drzwiami od strony Watykanu. Natłok olbrzymi.

Rzym 31-go grudnia. (*Tel. pryw. Kurj. W.*) — Dwaj szeikowie, którzy zobowiązali się dostarczyć armji włoskiej 700 wielbłądów, zawiedli. Okoliczność ta nader dotkliwie wstrzymuje ruchy wyprawy afrykańskiej.

Kalkuta 31-go grudnia. (*Tel. pryw. K. W.*)— W Madras zebrał się kongres narodowy indyjski. Przybyło nań 600 delegatów. Stronnictwo antiangielskie nazywa ich samozwańcami, zaprzedanymi Anglji i niemającymi prawa do odzywania się w imieniu hindusów. W Pendżabie uwięziony został Pertal Singh, główny ajent Dulip'a Singha, zamieszkałego w Moskwie przeciwnika panowania angielskiego nad Indjami.

TELEGRAMY HANDLOWE.

Berlin 31-go grudnia. (*Tel. pr. Kurj. W.*) — Dziś przeważała na giełdzie słaba dążność, która najwięcej ciążyła na rynku wartości russkich, wogóle niżej notowanych. Artykuł *Kreuzzeitung* o wzmocnieniu załóg na granicy zaniepokoił sfery giełdowe. Zakończono czynności w słabszem usposobieniu. Ruble w tranzakcjach natychmiastowych w silnem zaofiarowaniu, straciły 80 fen., w końcomiesięcznych 25 fen., tj. powróciły do onegdajszego kursu. Weksle na Warszawę i na Petersburg od 10 do 70 fen. gorzej. Pożyczka wschodnia i listy zastawne spadły o 40 kop. Listy likwidacyjne natomiast, których poszukiwano, cokolwiek wyżej. Kupony celne i I pożyczka premjowa ruska obniżyły się—II pożyczka pozostała bez zmiany. Akcje dr. żel. warszawsko-wiedeńskiej poszły na dół o 2 m. 30 fen. a kredytówki austrjackie o 3 marki. Dyskonto prywatne tańsze o ¼%. Żyto droższe o 75 fen. w towarze gotowym i o 1 markę na dostawę.

Berlin 31-go grudnia (*notowanie urzędowe giełdy*).

Bil. ban rus. w tr. nat.	175.20	Akcje d.ż.war.-wied.	253.70
Weksle na Warszawę	175.—	Akcje kredytowe	424.—
Wek. na Peters. krótk.	174.20	Weksle na Lon. krót.	20.34⁵
Wek. na Petersb. dług.	173.20	„ „ dług.	20.25
Bil. ban. rusk. na dost.	175.—	Żyto w tow. gotow.	122.—
Wschodnia poż. II em.	52.30	Żyto na wiosnę	127.75
Listy zast. serji I-ej	52.30		

Kursa z d. 30-go grudnia: 176 —, 175.70, 174.70, 173.30, 175.25, 52.70, 52.70, 256 —, 427.—, 121.25, 126.75.

DLA ARTYSTÓW.

Uważny czytelnik, przebiegający dział artystyczny niniejszego numeru, spostrzeże z łatwością, iż stanowi on doborową kolekcję prac wszystkich, niemal bez wyjątku, artystów naszych.

W układaniu zbioru trzymaliśmy się wytrwale zasady: nie posiłkować się w niczem produkcjami artystów obcych, i z chlubą dochodzimy do wniosku, iż usiłowania nasze świetnym zostały uwieńczone rezultatem.

Nie mówimy tego bynajmniej *pro domo nostra*: byliśmy tylko żeńcami, zbierającymi obfite żniwo ze swojskiego dorobku artystycznego, a wszystko, cośmy powiedzieli, dąży do pewnika, iż przy pomocy artystów naszych jesteśmy w stanie dorównać wydawnictwom najgłośniejszych w tym kierunku zakładów artystycznych za granicą.

Że tak jest, a nie inaczej, świadczy fakt, iż jeden z profesorów akademji wiedeńskiej udał się do Meisenbacha w Monachjum z prośbą o dostarczenie mu kolekcji rysunków trawionych, któreby posłużyć mogły za wzory i modele do wykładów teoretycznych.

Meisenbach wybrał właśnie zbiór rysunków z niniejszego numeru, między innemi alegoryczną postać Merkurego z winiety tytułowej, „Zwierzenia" Czachórskiego, „W drodze" Kowalskiego i wiele, wiele innych.

Fakt to znamienny i **wielce dla artystów naszych pochlebny.**

Repertuar na przyszły tydzień.

Teatr Wielki:

Dziś: „Twardowski"; jutro: „Mikado"; we wtorek: „Łucja z Lamermoru" (występ panny Russel i p. Bulteriniego); we środę: „Hrabina Sara"; w piątek: „Aida" występ p. Bulteriniego); w sobotę: „Dinorah" (występ panny Russel); w niedzielę: pierwszy akt baletu „Miłość i sztuka" i „Brahma".

Teatr Rozmaitości:

Dziś: „Hrabina Sara"; jutro: „Hrabina Sara"; we wtorek: „Hrabina Sara"; we środę: „Pomyłka", „Pan Geldhab" i „Teodolinda"; w piątek: „Hrabina Sara"; w sobotę: „Drzemka p. Prospera"; w niedzielę: „Przyjaciele Hioba", „Złoty cielec" i „Indjanna i Charlemagne".

Teatr Mały (przy ul. Daniłowiczowskiej).

Dziś: „Urwis-dziewczyna"; jutro przedstawienie zawieszone; we wtorek: „Nitouche"; we środę: „Piękna Helena"; w piątek: „Szyk" (pierwszy raz kom.) i „Płaczka i śmieszek"; w sobotę: „Szyk" i „Willa do sprzedania"; w niedzielę: „Szyk" i „Płaczka i śmieszek".

W czwartek, jako w wigilję świąt Bożego Narodzenia (st. st.), przedstawienia w teatrach warszawskich ulegną zawieszeniu.

Rozwiązanie Szarady,

zamieszczonej w jednodniówce na dochód Towarzystwa dobroczynności p. t. „Gwiazdka:"

PI-KEL-HA-U-BA.

Dobrych rozwiązań nadeszło z Warszawy 8. Pierwszy rozwiązał szaradę p. Piotr Zaleski z domu pod nr. 30 przy ulicy Świętojerskiej, drugi p. R. Rubinsztein, trzeci p. B. S., czwarty p. Feliks Kon., piąty p. Edward Gołąb, szósty p. Franciszek Balcerski, siódmy p. Rajmund Jaworowski, ósmy zaś p. Ludwik G.

Z prowincji nadeszły trzy dobre rozwiązania: pierwsze z Brańska w gubernji grodzieńskiej, od p. Leona Rogalskiego, drugie z Włocławka od p. Ludwika Szachulskiego, trzecie zaś z Aleksandrowa od p. Maksymiljana Makowa.

Stosownie do warunków, podanych w „Gwiazdce", oraz do życzeń, wyrażonych listownie przez nadsyłających pierwsze rozwiązania, p. Piotrowi Zaleskiemu z Warszawy wysełać będziemy bezpłatnie *Kurjera warszawskiego* przez kwartał I-szy r. b. zaś p. Leon Rogalski z Brańska otrzyma „Dramata i komedje" ś. p. Wacława Szymanowskiego.

Szarada.

Rzecz od dawien już dawna wszystkim prawie znana,
Że *trzecia* i wspak *druga* to wokalne miana;
Pierwsza mieści je w sobie, lecz się z tem ukrywa,
Gdyż prócz dźwięków jest ona i emocyj chciwa,
A chciwa aż tak bardzo, że prawie nic warte
Są wobec niej dla panów nawet... *pierwsze czwarte.*
. . . .
Gdy panom *pierwsza* szczęśliwie iść będzie rok cały,
Panie zaś gdy wyglądem swym ćmić będą *pierwsze czwarte,*
Naówczas prowadzący ten dział zadań mały
Wyrazi im, jak dzisiaj, swoje... *wszystkie.*

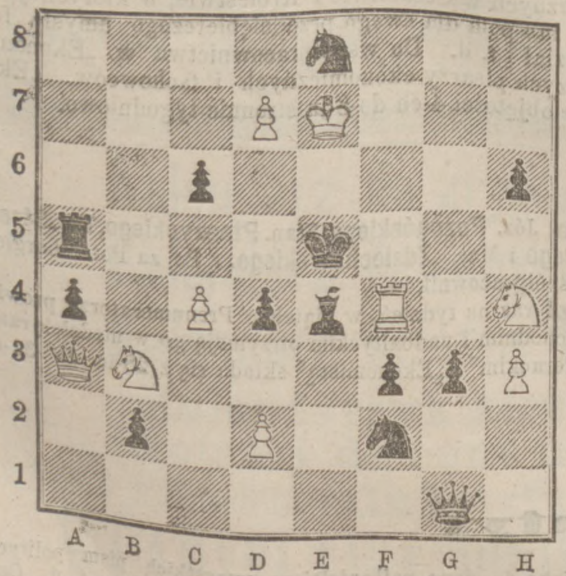
Emiljan Skowroński.

Szachy.

ZADANIE 3-cie.

(F. Kollmanna).

CZARNE (13).



BIAŁE (9).

Białe zaczynają i matują w czwartem posunięciu.

ZADANIE 4-te.

(R. Hecht'a).

Białe: Król A7, królowa B1, wieża D1, Laufry D5, F8, koń A2, piony C4, E2, F5, G4, G5 (11).
Czarne: Król E5, królowa H1, wieża H2, koń H4, Piony A3, B5, C3, E3 (8)
Mat w 3-ch posunięciach.

Wraz z dzisiejszemi zadaniemi ogłaszamy **konkurs szachowy** na następujących warunkach: dokładne i wyczerpujące rozwiązanie zadania w 2-ch posun. liczonem będzie w notatce rubryki szachowej liczbą 1; rozwiązanie zadania w 3-ch posun. liczbą 2; w czterech posun. liczbą 3 i t. d.; rozwiązanie uboczne liczbą $1/2$; kto uzyska tym sposobem największą z końcem 1888 roku sumę, przyczem powinien rozwiązać nie mniej jak $3/4$ wszystkich podanych zadań, otrzyma w nagrodę album Matejki, drugi zaś z kolei dzieła W. Szymanowskiego.

Rozwiązanie zadania 2-go.

Białe:	Czarne:
1) G7—F7	G3 : H2.
2) F7—E7 etc.	
1)	E3—E2.
2) H2—G1 etc.	
1)	C4—C3.
2) H2—A2 etc.	
1)	G3—E1.
2) H2 : F4 † etc.	

Rozwiązanie dobre nadesłali pp. Rudowski, Otton Artiur, Czarnomski z Konina (jeden warjaut) i p. Żukowska z Petersburga.

TARYFA ASEKURACYJNA
Pożyczek premiowych.
Pierwsza Emisja (z r. 1864) po rs. 1.
Druga Emisja (z r. 1886) po kop. 90,
oprócz stempla kop. 15.
Bezzwłocznie po wylosowaniu odbywa się wymiana amortyzowanych biletów na nieumorzone.
Maurycy Nelken i S-ka
Krakowskie-Przedmieście nr. 71. (1428)

Dr Aleksander Waldenberg
były lekarz miasta Zakroczymia, po powrocie z za granicy, zamieszkał w Warszawie przy ul. Grzybowskiej nr 4 (róg Gnojnej). Przyjmuje chorych do godziny 10 rano i od 4—6 po południu. (4057

W ogrzewanym cyrku przy ulicy Ordynackiej
Trupa Alberta Schumann
Codziennie wielkie przedstawienie z urozmaiconym programem. Początek o godz. 8-ej wiecz. 1306

PRACOWNIA CHEMICZNO ROZBIOROWA
D-ra Aleksandra M. Weinberga,
mieszcząca się dotąd przy ulicy Granicznej nr 14, z dniem 10 stycznia ***przeniesioną zostanie na ulicę Królewską nr 45*** w prawej oficynie na dole. (4062

Szymański Franciszek
(z Warszawy), adwokat przysięgły, otworzył kancelarję w Petersburgu, w domu nr 35, ulica Fursztadska. 4060

3906 Kob. lekarz dentysta ***Olga Scholten,*** Jasna nr 3, parter, zęby sztuczne od rs. 1 i wyżej.

LECZNICA PIERWSZA.
NIECAŁA 1 (dom hr. Krasińskiego, I-e piętro).
Ceny porady lekarskiej kop. 40. Biedni otrzymują poradę bezpłatnie, a lekarstwa z aptek kosztem Lecznicy. (1)

5% Pożyczka Premjowa Russka z 1864 r.
Asekurację od amortyzacji w losowaniu z dnia ***2 (14) stycznia 1888 r.*** po ***rs. 1*** od sztuki (nadto za stempel kop. 15 od każdego dowodu) przyjmują ***Maurycy Nelken i S-ka*** Krak.-Przedm. nr 71. Zamiejscowi zechcą nadto nadesłać markę na porto. Uwaga. ***Asekuracja przyjmowaną będzie do dnia 1 (13) stycznia 1888 r. włącznie.*** 1378

— Zakład dla syfilitycznych i skórnych D-ra ***Kadlera,*** Nowy Świat nr 12. (4054

1151) ***Wszelkie wyroby platerowane J. Frageta*** sprzedają się detalicznie po cenach fabrycznych Marszałkowska 142, (za placem Zielonym).

4089 ***Dentysta K. Stember,*** Bielańska nr 24, róg Długiej. Wprawia zęby sztuczne po rs. 1 k. 50. Gwarantuje za najlepszy gatunek materyj użytych, leczy, plombuje i reparuje po cenie umiarkowanej.

PAPIERY.
Papier drukowy dla illustracyj, nutowy, książkowy, gazetowy, afiszowy i okładkowy.
Papier mundsztukowy, cygarowy i inny dla użytku fabryk tabacznych.
Papier pakowy żółty i szary, butelkowy.
Papiery kolorowane,
Tekturę drzewną finlandzką „Kymmene", oraz gałganową.
Wyroby Fabryk finlandzkich i innych,
poleca najtakiej
Skład fabryczny
Heidenwurzel & Rogoziński,
Warszawa, Elektoralna 45.
Telefonu nr 432.
Wszelkie zlecenia z prowincji uskuteczniają się natychmiast. (1397
Próby i ceny na żądanie franco.

= ***Zakład Leczniczy*** DD-rów Dobrzyckiego i Fritschego ***(Obożna Nr 5)***, po świątecznej przerwie zacznie funkcjonować od Poniedziałku, dnia 2-go Stycznia 1888 r. (1451)

811 ***Zakład leczniczy*** hydropatyczno-pneumatyczny d-rów ***Dobrzyckiego i Fritschego.*** Obożna nr 5. Leczenie ścieśnionem powietrzem, elektrycznością, masażem, kąpielami igliwiowemi, mineralnemi i parowemi, hydropatją, inhalacjami, &.

— Dr ***Fabian*** konsultuje w zakładzie leczniczym pneumatyczno-hydropatycznym D-rów Dobrzyckiego i Fritschego, Obożna nr 5, w niedziele i we czwartki od godziny 10 do 11 i pół. (3981

Józef Goldszmit,
Adwokat Przysięgły, plac Krasiński nr 3/549 a. (4063

— ***Najtaniej Wyroby Platerowane*** po cenach znacznie zniżonych, fabryki ***Władysława Wicherta,*** ul. Wierzbowa nr 6, Hotel Angielski.
Reperacje i odnowienia uskutecznia się spiesznie i akuratnie. 1351

5% Pożyczka Premjowa z 1864 r.
Assekurację od amortyzacji przyjmuje
po kop. 80,
KANTOR WEKSLU
KAROLA GĘBICKIEGO.
Krakowskie-Przedmieście nr. 37, obok hotelu Saskiego. Ciągnienie 2 (14) stycznia 1887 r. 1337

— Dla rodziny lub osoby przybyłej na sezon zimowy, albo na czas dłuższy, są do najęcia za bardzo umiarkowaną cenę ***dwa pokoje,*** salon i sypialny z oddzielnym przedpokojem (każdy pokój ma osobne wejście), z meblami, opałem i usługą; mogą być także ze stołem smacznym i zdrowym. Piękna nr 44, m. 7, II-e piętro od frontu. (4065)

= Z różnych stron, nawet z zagranicy od kształcących się tam dzieci moich, dochodzą mnie wieści, jakobym umarła, przypominam więc tym, którzy w rozgłaszaniu podobnych wieści mają jakiś cel ukryty, że żyję i poszukiwać ich będę na drodze sądowej.
(4092) ***Marja Zawistowska.***

= ***Prezes Sądu Okręgowego Warszawskiego*** podaje do wiadomości osób interesowanych, że akta po zmarłym nagle Adwokacie Przysięgłym okręgu Izby Sądowej Warszawskiej ***Romanie Wierzchlejskim,*** oddane zostały Adwokatowi Przysięgłemu ***Władysławowi Małkowskiemu,*** zamieszkałemu przy ulicy Trębackiej pod Nr. 4-ym.
P. o. Prezesa *Timanowskij.*
(1450) Sekretarz *Zawadzki.*

Tattersall warszawski.
W dniach 10, 11 i 12 stycznia roku przyszłego odbędzie się perjodyczna ***sprzedaż koni*** rozpłodowych, zaprzęgowych i wierzchowych. Obecnie znajduje się na stajni kilkanaście pięknych ogierów do sprzedania. (3987)

ZAPOWIEDŹ „KRAJU."

Istniejące od lat sześciu pismo polskie w Petersburgu „Kraj" wraz z dwoma dodatkami: „Przeglądem Literackim" i „Ekonomistą" (od Nowego Roku) wychodzić będzie w roku 1888.ym w dotychczasowym kierunku i pod obecną redakcją. „Kraj", jest organem niezależnym, nie wysługuje się specjalnie żadnej warstwie społecznej, lecz stara się bronić interesów wszystkich zarówno, w przekonaniu, że tylko równoległy i równoważny rozwój wszystkich czynników społecznych, bez podporządkowywania interesów jednych drugim, może zapewnić społeczeństwu zdrowie, siłę i przyszłość. W traktowaniu spraw publicznych staramy się o bezstronność w sądach i umiarkowanie w formie, przedewszystkiem zaś o jaknajszerszą i jawną dyskusję w kwestjach, ogół obchodzących.

Od Nowego Roku wprowadzone zostaną zmiany i ulepszenia oraz rozszerzony zostanie program pisma. Między innemi wprowadzone zostaną następujące *nowe działy*: 1) **Ziemie i kolonje polskie** (zamiast dawniejszej rubryki „Ziemie i kolonje słowiańskie") przy współpracownictwie: Kaz. Jarochowskiego, Wiarusa, Klemensa, Noty, Jana Zdory, Sequensa, Veraxa, Dra St. Kłobukowskiego, Atanazego, Żyzmy, Latarnika, Agricoli, Kaprala, Guida, Petki i t. d.; 2) **Echa słowiańskie** z udziałem najwybitniejszych mężów politycznych i publicystów słowiańskich, jak: Riegera, Raczki'ego, Garaszanina, Harambasicza i t. d. 3) **Dział prawniczy:** interpretacja ustaw i rozporządzeń; sprawozdania z ważniejszych procesów; wiadomości sądowe; stałe sprawozdania „Kraju" z senatu; porady i odpowiedzi prawników i t. d. 4) **Dział kościelny:** wiadomości z Rzymu; stosunki kościelne w ogóle, w Królestwie i Cesarstwie w szczególności; zmiany w składzie duchowieństwa; korespondencje i listy o stanie kościołów, o działalności parafij, syndykatów, towarzystw dobroczynności przy kościołach i t. d. 5) **Dział szkolny:** rozporządzenia w dziedzinie wychowania publicznego, wyższego, średniego i ludowego; zmiany w personelu nauczycielskim; sprawozdania z działalności zakładów naukowych oraz towarzystw akademickich w kraju i za granicą; wykazy osób, kończących zakłady naukowe; statystyka uczniów i studentów i t. d. Wszystkie te działy nowe, podobnież jak i dotychczasowe, prowadzić będziemy w taki sposób, aby przedstawiały żywy interes nietylko dla tej kategorji czytelników, dla której specjalnie są przeznaczone, ale i dla całego ogółu czytelników.

„PRZEGLĄD LITERACKI"

Od lat dwóch wychodzi przy „Kraju" bez oddzielnej dopłaty osobny dodatek z charakterem samodzielnego pisma: **„Przegląd Literacki."** „Przegląd Literacki" stawia sobie to samo zadanie w sferze literackiej, co „Kraj" w dziedzinie polityczno-społecznej: być systematycznym, wiernym i żywym sprawozdawcą **całego** ruchu literackiego polskiego. Oprócz sprawozdań, „Kraj" z rzeczy beletrystycznych i historycznych drukował w r. b. między innemi następujące utwory: **Asnyk,** Bracia Lerche; **Orzeszkowa,** W zimowy wieczór; **Kraszewski** J. I., W co wierzę; **Szymański** Ad., Przewoźnik; **Kalinka** Wal., Rękopisy pośmiertne; **Dzieduszycki** hr. Włodz., Potop; **Spasowicz.** Mickiewicz i Puszkin; **Korzon,** O Kalince; **Konopnicka,** Obrazki więzienne; **Ostoja,** Wróg; **Stebelski,** W beczce Djogenesa; **Golitz** von Tad. Jak mię rugi pruskie wykierowały i t. d.; **Brandes,** Trzy odczyty i t. d. Na rok przyszły mamy obiecane, lub posiadamy w tece utwory: Bałuckiego, Brandesa, Iw. Franka, Hausnera, I. Kaczkowskiego, ś. p. Kalinki, Konopnickiej, T. Lenartowicza, Orzeszkowej, Ostoi, Prusa, Sienkiewicza, Spasowicza, Ad. Szymańskiego i t. d.

„EKONOMISTA"

Od dnia 1-go stycznia 1888-go r. zacznie wychodzić przy „Kraju" drugi dodatek stały z charakterem oddzielnego pisma, p. t. **„Ekonomista."** Zdawało nam się, że stworzenie organu ekonomicznego w społeczeństwie, które, jeśli w ogóle chce istnieć i rozwijać się, musi przetworzyć się na społeczeństwo ekonomicznie niezależne, pracujące samo dla siebie i przedsiębiercze w wyszukiwaniu dróg i środków pracy—że, powtarzamy, stworzenie specjalnego a zarazem popularnego organu ekonomicznego stało się koniecznością i obowiązkiem. „Ekonomista" nasz nie będzie ani pismem teoretycznem, ani też specjalnem technicznoekonomicznem. Chce on być informatorem, doradzcą i orędownikiem ogólnych interesów rolnika, przemysłowca, kupca, kolejowca, finansisty, słowem każdego członka społeczeństwa, pracującego dziś, lub mogącego pracować jutro na polu ekonomicznem. Oprócz rubryk, znajdujących się w dzisiejszym „Dziale ekonomicznym", które naturalnie rozwiniemy i ulepszymy, wprowadzone zostaną między innemi następujące nowe rubryki: **Statystyka bieżąca własności ziemskiej i przechodzenia jej w inne ręce; pośrednictwo w szukaniu i ofiarowywaniu pracy; informacje o dostawach, przedsiębiorstwach, robotach,** słowem o wszelkich zajęciach ekonomicznych w Cesarstwie i Królestwie, w którychby rodak nasz, poszukujący pracy lub pola dla swego przedsiębierczego umysłu lub fachowości, mógł znaleść udział i t. d. Do współpracownictwa w „Ekonomiście" zaprosiliśmy wybitniejszych pisarzy ekonomicznych i fachowców. „Ekonomista" wychodzić będzie w objętości 4-ch do 8-iu stronnic tygodniowo.

Skład redakcji „Kraju" pozostaje bez zmiany. Oprócz p. Włodz. **Spasowicza** i p. Erazma **Piltza,** członkami redakcji są: pp. **Mahrburg** Ad. (w dziale naukowo-literackim), **Połoński** Leon (w dziale polit.-społecznym), **Szyszło** Józef (w dziale koresp. prow. i polityki zagr.), **Tokarzewicz-Hodi** (w dziale literackim), **Żukowski** Wład. (w „Ekonomiście"). Sekretarzem redakcji jest p. Ludomir **Grendyszyński.** W Petersburgu korzystamy również z miejscowego współpracownictwa pp. Wilh. **Bogusławskiego,** Dr. fil. Al. Bron. **Hirszbanda,** Dr. fil. Jana **Łosia,** Józ. **Poznańskiego,** Stan. **Ptaszyckiego,** Fel. **Stronczyńskiego,** Rom. **Statkowskiego** i Mar. **Zdziechowskiego.** Po za Petersburgiem „Kraj" posiada przeszło 200 współpracowników.

„Kraj" wychodzi raz na tydzień, w piątek. Prenumeratorzy prowincjonalni w Królestwie, kraju zachodnim i nadbałtyckim otrzymują go w niedzielę rano. „Kraj" wraz z „Przeglądem Literackim" i „Ekonomistą" składa się z 28-iu do 32-ch stronnic.

Warunki prenumeraty:

Przedpłata **„Kraju"** wraz z **„Przeglądem Literackim"** i **„Ekonomistą"** wynosi **w Petersburgu:** rocznie rs. **10,** półrocznie rs. **5,** kwartalnie rs. **2** kop. **50.** Na prowincji, w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rs. **12,** półrocznie rs. **6,** kwartalnie rs. **3.** Przedpłatę najlepiej wysyłać **bezpośrednio** pod adresem: „Petersburg. Redakcja „Kraju". Warszawscy prenumeratorzy raczą składać przedpłatę wyłącznie w kantorze filjalnym „Kraju" (Rajchman i Frendler, Senatorska 26).

Ogłoszenia do „Kraju", jako do pisma najbardziej ze wszystkich pism politycznych rozpowszechnionego, przedstawiają interes dla przemysłowców, kupców i t. d. Cennik: 15 kop. od wiersza drobnym drukiem, 30 kop. za reklamy w rubryce „Doniesień". Warszawskie biuro ogłoszeń Rajchman i Frendler Senatorska 26, posiada co do ogłoszeń przywilej wyłączności na całe Królestwo i zagranicę.

1431 Redaktor i Wydawca „Kraju" **Erazm Piltz.**

Najtańsze pismo rolnicze polskie

ROLNIK i HODOWCA

wychodzi raz na tydzień w objętości podwójnego arkusza druku o 16 str. z bezpłatnym dodatkiem arkusza **Bibljoteki Rolniczej**. Z początkiem 1888-go roku rozpocznie się w dodatku p. t. **Uprawa łąk** w opracowaniu d-ra A. Sempołowskiego i inż. K. Girdwoyna ze szczegółowem uwzględnieniem traw i roślin pastewnych, z licznemi drzeworytami w tekście.

Przy „Rolniku i Hodowcy" z początkiem 1887 r. zaczęła wychodzić

ENCYKLOPEDJA ROLNICZA

Prenumeratorzy „Rolnika i Hodowcy" otrzymywać mogą Encyklopedję po cenie zniżonej tak, iż przedpłata obu wydawnictw wynosi w Warszawie: rocznie rs. 11. półrocznie rs. 5 kop. 50, na prowincji rocznie rs. 13. półrocznie rs. 6 kop. 50. Cena samej Encyklopedji: w Warszawie rs. 5 i rs. 2 kop. 50, na prowincji rs. 6 i rs. 3. Cena „Rolnika i Hodowcy" w Warszawie rs. 7 i rs. 3 kop. 50, na prow. rs. 8 i rs. 4. Prenumeratorzy „Rolnika" nabywać mogą **tom pierwszy** Encyklopedji za rs. 4 bez przesyłki i rs. 5 z przesyłką; nieprenumeratorzy płacą bez przesyłki rs. 5, z przesyłką rs. 6.

Adres Redakcji: Hoża 64. REDAKTOR i WYDAWCA

2374R ***Henryk Kotłubaj.***

„Praktyczny KALENDARZ biurkowy"

na 1888 rok.

Jest to podkładka do pisania formatu arkusza z bibułą, z kalendarzem kartkowym do notowania, oraz kalendarz z tekstem russkim i polskim. Na okładce u wierzchu umieszczono wiadomości: telegraficzne, pocztowe, kolei żelaznych, sądy, konsulaty, cyrkuły, taksa weksli, stempli i inne.

Wydanie składu papieru, Nowy-Świat № 58.

ST. WINIARSKIEGO.

Nabyć można u wydawcy oraz w księgarniach i składach papieru. 2515R

Cena egzemplarza rs. 1 kop. 50.

Również wyszedł **Kalendarz ścienny** 22½ kop. **i do zdzierania** 40 kop.

KSIĘGARNIA i SKŁAD NUT

G. CENTNERSZWERA,

w Warszawie, Marszałkowska № 147,

poleca TANIE WYDAWNICTWA:

Kochanowski J.	Dzieła w 4-ch tomach	rs. 1.50.
	w oprawie w płótno ang.	rs. 2.25.
Krasicki I.	Dzieła w 5-ciu tomach	rs. 3.—
	w oprawie w płótno ang.	rs. 4.50.
Mickiewicz A.	Pisma w 8-iu tomach.	rs. 4.—
Niemcewicz J. U.	Dzieła w 5-iu tomach	rs. 2.75.
Opaliński.	Satyry	rs.—.75.
Perły humoru polskiego	w 2-ch sporych tomach.	rs. 3.—
Żółkowski.	Momus i Potpourri	rs.—.75.

Za przesyłkę pocztą dopłaca się do każdego dzieła 20 kop. 2503R

MEDAL
KRAJOWA WYSTAWA
Rolniczo-Przemysłowa
LWÓW 1887 r.

NOWO-ZAŁOŻONA SPECJALNA

Fabryka Pościeli

A. DREXLERA.

Rok założenia: WIEDEŃ—LWÓW 1837 r.

WARSZAWA,
ulica Nowo-Senatorska № 4.

POLECA WIELKI WYBÓR:

gotowych **Kołder** wszelkiego rodzaju, **Materaców, Poduszek, Sienników, Bieliznę pościelową** oraz **Łóżka żelazne, Kapy, Kołdry flanelowe** PO CENACH NAJPRZYSTĘPNIEJSZYCH.

NOWOŚĆ. Hygieniczna owcza wełna do podszywania odzieży i kołder, lekka i ciepła. — Kompletne wyprawy pościeli wykonywają się na zamówienie, śpiesznie i najakuratniej. 2442R

Kalendarz do zrywania kartek
Kalendarz ścienny ozdobny,
Kalendarz ścienny biurowy,
Kalendarzyk kieszonkowy,
Notatki dzienne na cały rok

wyszły nakładem **składu papieru**

WŁADYSŁAWA BEDNAWSKIEGO,

przy ulicy Miodowej № 2, w domu p. Buyno,

i są do nabycia tak u wydawcy, jakoteż we wszystkich księgarniach. 2183

FABRYKA HYDRAULICZNA
WEICHERTA i SZEMPLIŃSKIEGO,

w Warszawie, przy ulicy Nowy-Świat Nr 26.

WYKONYWA Z KOMPLETNEM URZĄDZENIEM ROBOTY NASTĘPUJĄCE:

wodociągowe, zlewowe, waterklozetowe, kanalizacyjne, drenarskie, studniarskie, Studnie świdrowe (artezyjskie), murowane, drewniane i otwory próbne dla zbadania gruntu, **mechaniczne** Sikawki ogrodowe, Pompy, Świdry ręczne dla próby gruntu i t. p.

PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA NA:

Reperacje, przeróbki przy łączeniu domów z nową siecią rur i stałą konserwację urządzeń wodociągowych, oraz wszelkich innych w zakresie robót hydraulicznych.

POSIADA NA SKŁADZIE i SPRZEDAJE PO CENACH FABRYCZNYCH:

Rury żelazne wodociągowe, kanalizacyjne i zlewowe, oraz inne przybory i odlewy do tych robót i budowlanych z **Fabryki Machin i Odlewów** dawniej **K. Rudzki i S-ka w Warszawie.** 2160

Z dniem 1-m Stycznia 1888 rozpoczyna się nowa prenumerata na dziennik

„DIE PRESSE",

wychodzący w Wiedniu, IX Berggasse 31.

Słusznie dziennik ten szczyci się rozgłosem, że jest objektywnym, politycznym dziennikiem; w 40 latach swego istnienia wiernie trzymał się on motta: „Równe prawa dla wszystkich" i dla dobra ojczyzny zdala stał od piśmideł szczujących. Z polityki podaje on wszystkie ważniejsze wydarzenia zaszłe w Monarchji Austro-Węgierskiej, posiada korespondentów we wszystkich miastach kraju i zagranicą. Wiadomości o sprawie bułgarskiej i zajściach niemiecko-francuskich wielokrotnie wyprzedzały inne gazety; niemniej cieszy się poczytnością rubryka handlowa dziennika „Die Presse". Jego „Local-Anzeiger" jest specjalnością, w którym życie i ruch powszedni rezydencji szczegółowo i zajmująco bywa opisywany. Feljeton „Pressy" jest nader urozmaicony i szczyci się pierwszemi siłami literackiemi. Z romansu najnowsze tylko rzeczy podaje. Do końca 1887 roku ukończymy słynny romans Spielhagena „Noblesse Oblige", by natychmiast potem rozpocząć wielce ciekawy romans E. D, Gerard'a

„Plündere den Nächsten".

Pod pseudonimem powyższym ukrywa się małżonka jednego z feldmarszałków-poruczników, rodowitej angielki, która romans ten w języku angielskim wydała. W Anglji wywołał on sensację i uznany został tak przez publiczność angielską jak i przez niemiecką, jako jedno z najwybitniejszych dzieł obecnej chwili.

„Die Presse" jest nietylko pismem objektywnem i interesującem, lecz i najtańszem, gdyż po pierwsze, zawiera co 14 dni bezpłatny dodatek ilustrowany, wychodzący p. t.: „An der schönen blauen Donau", przez D-ra F. Mamroth, powtóre perjodycznie wydaje natychmiast po każdem ciągnieniu, gazetę losowań „Verloosungs Zeitung", zawierającą listę autentyczną wszelkich ciągnień i po trzecie, nowym abonentom kwartalnym, w miarę zapasów, daje gratis jako premjum, dwa dzieła, stosownie do wyboru, z następujących wydawnictw: „Noblesse Oblige" Spielhagena, „Die Marmorkoepfe" Jokaja, „Monte-Carlo" Zieglera, „Der böse Genius" Wilkie Collinsa, „High-life" baronowej Suttner, „Das Leben kein Traum" Lorma, „Die Damen von Croix-Mort" Ohnet'a, „Nos non Nobis" Littrowa, „Zwischen Vater und Sohn" Delpit'a. Na żądanie wysyłają się numera próbne.

„Die Presse" kosztuje dla prenumeratorów Cesarstwa Rossyjskiego miesięcznie a. fl. 3.70, kwartalnie a. fl. 11, półrocznie a. fl. 22, całorocznie a. fl. 44.

Administracja dziennika „Die Presse" IX, Berggasse № 31, w Wiedniu.

Prenumerować można za pośrednictwem urzędów pocztowych. 2450r

---

NOWOŚCI! **SALON.** NOWOŚCI!

WYBÓR KOMPOZYCYJ SALONOWYCH i KLASYCZNYCH

NA FORTEPIAN

wybranych i opalcowanych przez

M. Dietricha, G. Roguskiego, A. Różyckiego i innych.

	kop.
№ 212. **Herz.** Krakowiak op. 109	50
№ 213. **Lange.** Deingedenken (O tobie myślę)	40
№ 214. **Moszkowski.** Kartka z Albumu	50
№ 215. **Moszkowski.** Intermezzo ze Suity op. 39	60
№ 216 **Kuhlau.** Sonatina op. 60 № 3	40
№ 217 **Mattei.** Pensée melancolique	40
№ 218 **Beethoven.** Mennet i Scherzo z Sonaty op. 31 № 3	60
№ 219 **Loew.** Arja z opery „Nocleg w Granadzie"	40
№ 220. **Loew.** Śpiew Reissigera	40
№ 221. — Arja z op. Trovatore	40
№ 222. **Grieg.** Praeludium i Rigandon ze Suity op. 40	40
№ 223. **Gerber,** Laendler-Skizzen op. 26	30
№ 224. **Spindler,** op. 93 № 1, Polonez	20
№ 225. — op. 63 № 2. Tyrolienne	20
№ 226. **Raff.** op. 123 № 3. L'espiègle Valse Impromtu	50
№ 227. **Moszkowski.** op. 28, № 1. Miniature	30

Nakład F. HÖSICK'A w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich składach muzycznych w Warszawie i na prowincji. 1966

Sodener Mineral-Pastillen

przeciwko chorobom płuc, piersi i gardła, przygotowane pod **kontrolą król. sask. radcy sanitarnego D-ra Stöltzinga,** z wybornych źródeł leczniczych. № 8 i 18. **w kąpielach Soden.**

Przywóz tych Pastylli do Rosji, dozwolonym jest przez Departament Medyczny w Petersburgu.

Do sprzedania we wszystkich ważniejszych aptekach i składach materjałów aptecznych po 70 kop.

(Marka fabryczna). Sprzedaż hurtowa u **M. Morgensterna,** w Petersburgu, Wielka Morska № 23. 2256R

CENNIK ŁYŻEW

znajdujących się w składzie

TOWARÓW ŻELAZNYCH, GALANTERYJNYCH

ORAZ

Naczyń Kuchennych i Gospodarskich,

KRZYSZTOFA BRUNA i SYNA,

Plac Teatralny Nr 2, w Warszawie.

№ — Za jedną parę.



0 **Łyżwy pokojowe,** patentowane, drewniane, najnowszego systemu na kółkach z drzewa bukszpanowego, długości na **6, 7, 8, 9, 10** i **11** cali angielskich, z czarnemi paskami do przodu i tyłu **3.50**



1 **Łyżwy patentowane, całe żelazne,** ze szrubą do wkręcania w obcas, na **7½, 8, 8½, 9, 9½, 10, 10½** i **11** cali angielskich długie, bez pasków . . . . . . **—.85**
Z czarnemi, trwałemi paskami do przodu i tyłu **1.75**



2 **Łyżwy patentowane, całe żelazne,** z żelazną patentowaną zasuwą na gwincie, chwytającą za obcas, na **7½, 8, 8½, 9, 9½, 10, 10½** i **11** cali angielskich długie, bez pasków, ... **1.20**
Z czarnemi, trwałemi paskami do przodu i tyłu **2.10**



3 **Łyżwy** z ostrzami stalowemi, mosiężną, przednią i tylną platką i szrubą do wkręcania w obcas, na **7½, 8, 8½, 9, 9½, 10, 10½** i **11** cali angielskich długie, z czarnemi, mocnemi paskami do przodu i tyłu **2.50**



4 **Łyżwy patentowane damskie,** jak również dla dzieci, z bronzowaną przednią platką, polerowaną tylną i mosiężną patentowaną zasuwą na gwincie, chwytającą za obcas, na **6, 6½, 7, 7½, 8, 8½, 9, 9½, 10** i **10½** cali angielskich długie, z jasnemi paskami do przodu i tyłu . . . . . . **3.—**



5 **Łyżwy patentowane damskie,** z ostrzami stalowemi, polerowanemi na sposób angielski, z bronzowaną i polerowaną ozdobną przednią i tylną platką, oraz polerowaną mosiężną zasuwą na gwincie, chwytającą za obcas, na **6, 6½, 7, 7½, 8, 8½, 9, 9½** i **10** cali angielskich długie, z jasnemi kolorowemi paskami do przodu i tyłu, ze sprzączkami obszytemi w skórę **4.50**



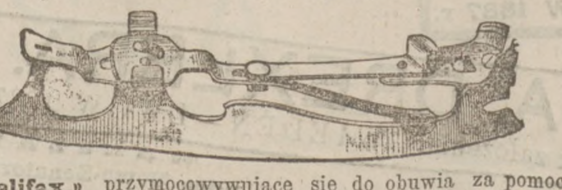
6 **Łyżwy patentowane damskie,** z ostrzami stalowemi polerowanemi, z ozdobną na kolor srebra przednią i tylną platką oraz mosiężną polerowaną zasuwą na gwincie, chwytającą za obcas, na **6, 6½, 7, 7½, 8, 8½, 9** i **9½** cali angielskich długie, z jasnemi kolorowemi paskami do przodu i tyłu, podbitemi białą flanelką i wyszywanemi jedwabiem, ze sprzączkami obszytemi w skórę, ... **6.50**



7 **Łyżwy patentowane damskie,** całe niklowane i polerowane, na sposób amerykański, zasuwy i ostrza niklowane, na **7½, 8, 8½, 9, 9½** i **10** cali ang. długie, z jasnemi kolorowemi paskami do przodu i tyłu, podbitemi białą flanelką i wyszywanemi jedwabiem, ze sprzączkami obszytemi w skórę . . . . . . **9.—**



8 **Łyżwy patentowane męzkie «Jackson Haines,»** całe stalowe, z ostrzami do spodu stopniowo rozszerzającemi się—mocne a lekkie, na **9½, 10, 10½** i **11** cali ang. długie. Łyżwy te przymocowują się na stałe do podeszew obuwia, za pomocą odpowiednich śrubek . . . **5.—**



9 **Łyżwy «Halifax,»** przymocowywujące się do obuwia za pomocą sprężyny, u spodu łyżwy umieszczonej, na **8, 8½, 9, 9½, 10, 10½** i **11** cali angielskich długie, w gatunkach:

A. Łyżwy „Halifax” zwyczajne angielskie, silnie i dokładnie odrobione . . **2.—**
B. Łyżwy „Halifax” prawdziwe amerykańskie, oryginalne, fabryki „Starr Manfk. Comp.” **4.50**
C. Łyżwy „Halifax” zwyczajne angielskie, silnie i dokładnie odrobione, całe niklowane i polerowane **7.50**
D. Łyżwy „Halifax” prawdziwe amerykańskie, oryginalne, fabryki „Starr Manfk. Comp.” całe niklowane i polerowane . . . . . . **10.—**

Części zapasowe do Łyżew.

1 pasek zwyczajny długi	—.25
1 pasek zwyczajny krótki	—.20
1 klucz do przykręcania zasuwy u łyżew № 2, 4, 5 i 6	—.10
1 klucz do „Halifax”	—.15
1 klamra do przodu „Halifax,” chwytająca za podeszwę	—.20
1 szruba do klamry przedniej lub szruba środkowa do „Halifax”	—.20

Uwaga. Łyżew „Halifax” tańszych niż na rs. 2 nie posiadamy na składzie, z powodu nietrwałości takowych w użyciu.

Przy zamówieniach z prowincji, uprasza się o dokładny adres i o dołączenie do kwoty, przypadającej za łyżwy, jeszcze rs. 1 na koszta przesyłki, po opłaceniu których, reszta w markach pocztowych zwróconą zostanie.

HANDLUJĄCYM ODSTĘPUJEMY RABAT. 2494R

BOGUSŁAW HERSE
SENATORSKA 10.

poleca w wielkim wyborze:
na suknie balowe panieńskie
Muśliny gładkie i w desenie
we wszystkich kolorach. 2454R

Tylko jeden skład bielizny mamy w Warszawie pod firmą JÓZEF i S-ka, Elektoralna 5—7.

18 CENNIK 88 ROK
SPECJALNEJ FABRYKI BIELIZNY
MĘZKIEJ i DAMSKIEJ
POD FIRMĄ
JÓZEF i S-ka,
W WARSZAWIE,
ulica Elektoralna Nr 5—7,
vis-a-vis Banku, dom p. Bersona.

	R.	k.	R.	k.	R.	k.	R.	k.	R.	k.	R.	k.
6 koszul mężkich nocnych, z szyrtyngu lub z półpłótna po	5	40	6		7	20	9					
6 koszul nocnych płóciennych	12		15		18		21					
6 koszul męz. dzien. z gorsami webow. bez kołn. i mank. nieprane po	7	80	9		10	80	12		13	50	15	
6 koszul męz. z gorsami, kołn. i mank. webowemi, nie prane po	8	40	9		10	80	12		15		18	
6 koszul męz. płóciennych bez kołn. i mank. gorsy web. nieprane po	16	50	18		21		24		27			
6 koszul męz. płóc. z kołn. i mank. po	19	50	21		24		27		30			
6 par kalesonów z creasu dobrego po	4	20	4	80	5	40	6		7	20		
6 par kal. z dymy białej lub kolor. po	7	20	8	40	9		10	80	12			
6 prześcieradeł bez szwu po	5	70	6		7	20	9					
6 koszul damsk. creton. ubierane, po	5	70	6		7	20	9		10	80	12	
6 koszul damskich webowych, po	13	50	18		21		24		27			
6 kaftaników po	6		7	50	9							
6 par majtek	5		6									
6 chustek płóciennych po	1	30	1	50	1	80	2		2	30	2	70
6 chustek z weby surowej po	3		3	50	4		4	50	5		6	
6 ręczników czysto lnianych po	1	80	2	20	3		4		6			
6 kołnierzyków mężkich webowych po	1	50	1	80	2		2	25				
6 par mankietów mężkich webowych po	2	50	2	70	3		3	25				

Wielki wybór Kaftaników wełn. od rs. 1.20 do rs. 5 za szt.

Z powodu podszywania się niektórych składów bielizny pod naszą firmę, przeto mamy zaszczyt prosić Szan. Publiczność o łaskawe zwrócenie uwagi na każdy gatunek bielizny, który opatrzony jest naszą firmą **Józef i S-ka, Elektoralna Nr 5/7, znaną od lat 6-ciu w Warszawie.**

Specjalne Cenniki ilustrowane wysyłamy gratis. 2439R

Tylko jeden skład bielizny mamy w Warszawie pod firmą JÓZEF i S-ka, Elektoralna 5—7.

Ściśle według **francuzkiej metody** i na **francuzkiem winie**, wyrabia firma

„JEAN DE PRUNELLE"
Wino Szampańskie, które nabywać można we wszystkich większych handlach i restauracjach.
Zamówienia wykonywają się szybko i rzetelnie.
Cenniki na żądanie franco.
SKŁAD GŁÓWNY W WARSZAWIE,
w piwnicach po-Franciszkańskich,
ulica Franciszkańska № 4. 2441R
ZDOLNYCH AGENTÓW POSZUKUJE SIĘ.

Specjalny Skład Tabaczny
pod firmą **„Odessa"**
JÓZEFA KAPŁANOWSKIEGO,
przy ulicy Wierzbowej Nr 5, w Warszawie,
poleca świeżo otrzymane
CYGARA HAWAŃSKIE
TYTONIE tureckie i PAPIEROSY
Babadagły i Etikowa z Odesy, **Sarafa i Bofego** z Połtawy, **Braci D. M. Ilika** z Charkowa, **J. A. Urczuka** z Chersonu, **Sumskiej fabryki, B. M. Duruncy; oraz własnej fabryki w Warszawie**
GILZY do MASZYNEK 2471R
z najlepszej Maisowej i Ryżowej bibułki „Abadie."

HINDE'S „VERY" BRUSH.
Hindes'a prawdziwa Szczotka do włosów z czystej szczeciny. Nie z drutu, oczyszcza głowę z łupieżu. Przyjemnie działa na skórę głowy i doskonale porządkuje włosy. Od wielu lat szczotkarze starali się nad udoskonaleniem szczotki do włosów, głównym celem tych starań było, aby szczecina szczotki przechodziła swobodnie przez włosy a nie gładziła ich tylko po wierzchu.

Prawdziwa szczotka Hindes'a mając pojedyńcze szczeciny osadzone na poduszeczce, napełniającej się w czasie użycia powietrzem, prawdziwie odpowiada celowi, jako rzecz użyteczna i ekonomiczna, gdyż jest trwalszą i tańszą od szczotek starych systemów.

Cena prawdziwej szczotki Hindes'a rs. 2, mniejszej rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową 50 kop. drożej. Skład główny na Cesarstwo i Królestwo w Centralnym Składzie Perfum i przyborów toaletowych

JANA KALINOWSKIEGO, dawniej **Aleksandra Kocha**
w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście № 65. 2258

G. RADKE i A. ŻELISŁAWSKI
egzyst. od 1832-go roku
Magazyn Wyrobów Złotych, Srebrnych i Brylantowych.
Wybór wielki.—Ceny umiarkowane.
UWAGA. Fabryka przy Magazynie
MIODOWA Nr 1. 2367R

Doktora Aleksandra M. Weinberga
PRACOWNIA
Chemiczno-rozbiorowa i technologiczna
ze specjalnem uwzględnieniem potrzeb
Przemysłu, Rolnictwa i Hygieny.

Nadesłany mnie do rozbioru chemicznego ekstrakt miodo-ziołowo-słodowy z fabryki „LELIWA" w Warszawie, posiadał następujące cechy:

Płyn gęsty koloru czarno-brunatnego, smaku słodkiego, z posmakiem słabo-kwaskowatym i gorzkawym, zapachu aromatycznego miodowego.

W wodzie rozpuszczał się w zupełności bez tworzenia osadu. W alkoholu rozpuszcza się z bardzo tylko nieznacznem zmętnieniem. Na papierki odczynnikowe oddziaływa słabo kwaśno.

Ciężar właściwy tego ekstraktu przy 15° Cels. = 1,30506, co odpowiada 62·55° sacharometru Brixa.

Suma składników stałych oznaczona przez odparowanie = 62·27%.

W powyższej ilości znajdowało się:
55·09% cukru gronowego,
4·87% dekstryny oznaczonej przez inwersję.
1·00% ciał proteinowych,
0·34% składników mineralnych,
0·93% materyj wyciągowych i składników nieoznaczonych.

W 100 częściach ekstraktu znajdowało się 0·06% kwasu fosfornego.

Popioły oddziaływały słabo alkalicznie i nie zawierały siarczanu wapnia (gipsn).

Opierając się na wynikach powyższego rozbioru, można dojść do wniosku, że do składu badanego ekstraktu, wchodzi miód, wyciąg słodowy, oraz niewielka ilość składników wyciągowych roślinnych gorzkich bliżej nie zbadanych.

Zawartość niewielkiej tylko ilości dekstryny, pochodzącej z wyciągu słodowego, oraz niewielkie skręcenie płaszczyzny polaryzacji w odbarwionym i przefermentowanym roztworze, stanowczo dowodzą, że ekstrakt ten nie zawiera domieszki syropu kartoflanego.

Ekstrakt ten, jak niemniej wyrabiane z tegoż ekstraktu karmelki, również analizowane i uznane przez władze lekarskie, **nagrodzono Listem pochwalnym na wystawie hygienicznej i Medalem w dziale farmacji, hygieny i pielęgnowania chorych na wystawie Krakowskiej.**

2469R **Dr. Aleksander M. Weinberg.**

BOGUSŁAW HERSE

SENATORSKA 10.

poleca w wielkim wyborze: 2453R

na suknie balowe

HAFTY, TIULE I KREPY.

mocno szyte **RĘKAWICZKI** mocno szyte

W WYBOROWYM GATUNKU

ma zaszczyt polecić **MAGAZYN i FABRYKA**

J. LUKREC

w Warszawie, Tłomackie Nr 3,

Czarne 4-ro guzikowe . . . . . kop. 75.
Czarne 5-io guzikowe . . . . . kop. 85.
Czarne 6-io guzikowe . . . . . kop. 95.
Czarne 7-io guzikowe wciągane . . . rs. 1.
Duńskie w tejże samej cenie.
Białe i jasne w tejże samej cenie.
Kolorowe glansowane 6-io guzikowe . . rs. 1.

Długie we wszystkich gatunkach.
Mężkie białe na 2 guziki . . . . . kop. 60.
Mężkie jasne, lapis i szamoa . . . . kop. 65.
Mężkie „ „ „ z wyszyciem . . kop. 75.
Kolorowe i czarne stebnowane, Zamszowe, Jelonkowe, Reniferowe, Czarne na flaneli i futrze.

ZNACZNY ZAPAS. 2368R ZNACZNY ZAPAS.



FABRYCZNY

MAGAZYN MEBLI GIĘTYCH

Towarzystwa Akcyjnego

„WOJCIECHÓW"

w Warszawie, przy ulicy hr. Kotzebue Nr 10,

posiada wybór rozmaitych krzeseł nowych fasonów, kanap, fotelów zwykłych i na biegunach, stołów, łóżek, taboretów, żardinierek, również meble dziecinne, parawany.

Ceny stałe, bardzo umiarkowane.

Upraszamy o zwrócenie uwagi na naszą markę fabryczną, która się znajduje na każdym z wyrobów fabryki.

2492R

HINDES'A SZPILKI DO FRYZOWANIA WŁOSÓW.

Papiloty i Żelazka do zapiekania włosów już są zbyteczne!



Starodawna uciążliwa i zmudna czynność zawijania włosów w papier, następnie przypiekanie gorącem żelazem, były prawdziwem udręczeniem dla młodych panien, na co i rodzice zwracali uwagę, gdyż sposób ten wymagał wiele czasu i włosy doznawały prawdziwej szkody. Obecnie znika ten brzydki i niepraktyczny zwyczaj, który sprawiał wiele dolegliwości i niewygody, a nawet głowa przybrana papilotami nie przedstawiała się efektownie; używając Szpilki Hindes'a, włosy zwijają się szybko i głowa przedstawia się estetyczniej.

Uwaga.—Należy zwracać baczną uwagę aby na każdej szpilce znajdował się napis „Hinde's Careless Patent," gdyż pojawiły się w handlu szpilki podobne z drutu żelaznego chropowate brudzące i przecinające włosy.

Wyłączną sprzedaż wyrobów naszej fabryki na Cesarstwo Russkie i Królestwo Polskie, powierzyliśmy P. Janowi Kalinowskiemu w Warszawie, ulica Krakowskie-Przedmieście Nr 65.

BRACIA HINDE.

BIRMINGHAM, ANGLJA.

2259

HENRYK MELZER.

Interes komisowy Chmielu i Sadzonek Chmielowych

(w SAAZ CZECHY),

poleca:

przednie Sadzonki Chmielowe (Korzonki),

z najlepszych ogrodów chmielowych miasta Saaz, w starannym wyborze i najlepszem opakowaniu, na czas dostawy: 15 Kwietnia do 10 Maja, po cenach umiarkowanych.—Setki listów dziękczynnych od najmożniejszych producentów chmielu wszelkich krajów, zaświadczają wyborowość dostarczanych przezemnie Sadzonek chmielowych.

Informacje o uprawie i t. p., udzielam chętnie na żądanie. 2287R

Szkoła rękodzielnicza dla kobiet,

ulica Ciepła Nr 12.

Wydoskonaliwszy się zagranicą w rozmaitych robotach i otrzymawszy od właściwej władzy pozwolenie na otworzenie **Szkoły rzemiosł dla kobiet,** zawiadamiam niniejszem osoby interesowane, **iż z dniem 7-m Stycznia 1888 r.,** rozpoczynam kursa **nauki koronek** i guipurów klockowych, igłowych i na siatce,—**szycia bielizny, kroju sukień i szycia tychże, haftów różnych** i innych **ręcznych robót.** W miarę kompletów zgłaszających się osób i inne gałęzie przemysłu kobiecego będą wprowadzane z czasem. Jednocześnie przy szkole dla uczących się będą do nabycia, tak aparaty ułatwiające robotę, jak **np.** maszynki do zwijania klocków i szpulek (co dotychczas potrzeba wykonywać ręcznie, co zajmuje dużo czasu), jak również poduszki, klocki, ramki do siatek, desenie do koronek i innych robót, i wszelkie materjały jak: nici, bawełna, włóczki, jedwabie i materjały białe łokciowe i t. p., które to artykuły zakupując z fabryki odstępować będę po cenach nizkich.—Zapis uczennic odbywa się codziennie do południa.

2399R **Przełożona szkoły L. STROŃSKA.**

BOGUSŁAW HERSE

SENATORSKA 10.

poleca w wielkim wyborze: 2452R

na suknie karnawałowe

Materje, Aksamity, Mory, Adamaszki.



Pierwsza przykrość w życiu.

Mydła Pears'a.

Delikatna skóra szczególnie u dzieci, nie znosi mydła zawierającego w swym składzie części szkodliwe i trujące barwniki, które jątrzą skórę i sprawiają wyrzuty.

Mydła Pears'a, nie zawierają w swym składzie części szkodliwych, uznane zostały za najlepsze przez Medyków i specjalistów Hygieny, co stwierdza 15 medali otrzymanych na Wystawach Świata.

Skład główny w centralnym magazynie Perfum, Kosmetyków i Preparatów hygienicznych **Jana Kalinowskiego**, dawniej **A. Kocha**, ulica Krakowskie-Przedmieście Nr 65 w Warszawie. 2255

HERMAN STEIN & Co.

mają zaszczyt donieść, że otrzymali

Skład Główny na Warszawę i Królestwo Polskie

RUSSKIECO WINA SZAMPANSKIECO

N. P. ŁANINA

w Moskwie

i sprzedają takowe hurtowo i detalicznie przy Składach swoich

WIN KRYMSKICH I KAUKAZKICH

Główny: ulica Długa Nr 46

i Filja: ul. Marszałkowska Nr 146.

Russkie Szampańskie N. P. Łanina,

znane są jako najlepsze ze wszystkich tego rodzaju wyrobów w Rossji, nietylko bowiem przewyższają te wyroby, ale wszędzie rywalizują z lepszemi markami francuzkiemi, o czem świadczą uzyskane **24 medale i nagrody z wystaw całego świata.**

Łaskawe zlecenia bezzwłocznie i akuratnie wykonywane będą. 2460R

ORYGINALNE

PIWO WILANOWSKIE

butelkowe, uznane za najlepsze, ma honor polecić

Główny Skład, ulica Freta Nr 5,

biorącym w większej ilości odstawia się do domu. 2369R

Cognac fine Champagne



E. Rémy Martin & Co Cognac

egzystujące od 1724 roku,

do nabycia u pp. Edmund Lagner, Simon i Stecki, A. Stępkowski, Sowiński i Szulc, A. Kułakowski i Co. i Salomona Simon. 2118

Ubiory i Kapelusze żałobne. | Trumny metalowe i drewniane.

Cennik Pogrzebów

„Warszawskiego przedsiębiorstwa pogrzebowego"

ZD. FIJAŁKOWSKIEGO,

Senatorska № 32, wprost kościoła.
Filja, Krakowskie-Przedmieście № 1, wprost Kopernika.

25 rs. **kompletny pogrzeb najtańszy** dla dzieci i dorosłych. Trumna półmetalowa, karawan jednokonny, lub kareta, pokładne, obsługa duchowna, kaplica, podzwonne, ogłoszenie, odniesienie zwłok, prowizja przedsiębiorstwa.

50 rs. **kompletny pogrzeb wykwintniejszy**, dla dzieci i dorosłych. Trumna półmetalowa ozdobna, karawan dwukonny z żałobnikami, wybór miejsca, ksiądz, kaplica, podzwonne, ogłoszenie, odniesienie zwłok, prowizja przedsięb.

150 rs. **kompletny pogrzeb średnio-bogaty.**

Trumna metalowa z przyborami, karawan 4-konny z żałobnikami i latarniami, grób na „starym cmentarzu", kaplica i światło, nabożeństwo, trzech księży, krzyżowy, podzwonne, klepsydry, ogłoszenie, odniesienie zwłok, prowizja przedsiębiorstwa.

300 rs. **kompletny pogrzeb wystawny.**

Trumna metałowa bogata z przyborami, karawan 4-ro konny ozdobny z żałobnikami i latarniami, nabożeństwo, 5 księży, kaplica ze światłem, kwiaty, śpiewy, klepsydry, ogłoszenia, grób na „starym cmentarzu", odniesienie zwłok, prowizja przedsięb.

675 rs. **kompletny pogrzeb b. wystawny. Sarkofag metalowy, bogaty z przyborami** lutowaniem i odniesieniem.—Karawan kl. I z 8 latarniami, miejsce dziedziczne na „starym cmentarzu" lub katakomby na rok.—Wystawienie **w kościele górnym** lub kir, katafalk, światła i szwajcar w mieszkaniu, kwiaty, śpiewy, klepsydry wielkie i zaproszenia, 7 księży, 3 msze, jedną z asystą, 4 ogłoszenia, akt zejścia, 2 wieńce z szarfami, mary, 3 karety i prowizja przedsiębiorstwa.

☞ Ceny 4 klas odnoszą się do wszystkich kościołów z wyjątkiem parafji Ś-go Aleksandra i stanowią najniższą cenę.

UWAGA. Pogrzeby prawosławne i ewangelickie, podług umowy. 2306R

Magazyn i Fabryka

Wyrobów Złotych,

Srebrnych i Brylantowych

M. WIŚNICKIEGO,

W WARSZAWIE,

ul. Senatorska Nr 12 obok Ratusza,

(t. z. Blanka pałac),

Sprzedaje wyroby **złote** po cenach najtańszych, przyjmuje również wszelkie obstalunki i reperacje i wykonywa takowe szybko i sumiennie.

Niezależnie od powyższego Magazynu, właściciel posiada drugi magazyn przy ulicy 2477R

Elektoralnej Nr 20.

MŁYN

poszukuje się wspólnika z kapitałem rs. 3,000, celem rozwinięcia już istniejącego przedsiębiorstwa, mianowicie: młyna amerykańskiego na wielkiej wodzie, o 2 kołach, 4 gankach i 3 cylindrach. Walce są systemu Kühne, para jedna, cureka, sztos, maszyna i jagielnik.— Bliższe wiadomości **ul. Żurawia Nr 9, mieszk. 20.** 2230

BOGUSŁAW HERSE
SENATORSKA 10.

poleca w wielkim wyborze: 2456R

FICHUS, UBRANKA,
KWIATY, PIÓRA.

Wina Krymskie
B-cia Kempner
Długa № 5.
i Kaukazkie

2486R

CZYTELNIA
Kazimiery Paszkowskiej,
Chmielna 14,

poleca nowości treści belletrystycznej i naukowej w pięciu językach, wybór książek dla dzieci i pisma polskie, russkie i zagraniczne.

Książki kupują się na żądanie abonentów. 2461R



FABRYKA
Puszków Łabędzich
do pudru.

Najlepszy wyrób z prawdziwych skórek łabędzich zagranicznych cena tuz. od kop. 80 do rs. 3.—Dla pp. Kupców z prowincji, mała ilość wysyła się pocztą lub z innemi towarami wysłać się mającemi z Warszawy (do dopakowania). — Nowa-Praga № 57.—J. Baron. 2216

Oryginalne tylko z poniższą marką.

Huste-Nicht
Gerichtl. geschützt

NIE KASZLAJ.
Ekstrakt słodowy Miodowo-Zielisty
i Karmelki
L. H. PIETSCH & Comp.
w WROCŁAWIU.

Świadectwo dra G. W. Wignera w Londynie:

Wypróbowałem działanie Ekstraktu słodowego miodowo - zielistego, jako środka specjalnego w kaszlu, zapaleniu organów gardłowych i t. p. i przekonałem się, że tenże składa się ze słodu, miodu i różnych roślin, które wywierają silniejsze działanie przy leczeniu kaszlu i bronchitis aniżeli zwyczajny ekstrakt słodowy. Smak ma przyjemny z powodu miodu, który będąc sam przez się ingredjencyą pożyteczną, neutralizuje niemiły smak ziół.

Słod spreparowany jest bardzo starannie i nie zawiera żadnych szkodliwych pierwiastków.

London, d. 7 Kwietnia 1886 r.
Prof. Dr G. W. Wigner.

Cena za butelkę rs. 2 kop. 40.
Karmelki 30 i 50 kop.

Opakowanie i przesyłka liczą się osobno. Skład główny dla Rosji w Petersburgu u W. Auricha, Stremiannaja № 4. (w Warszawie u L. Spiessa i Syna, Plac Teatralny, obok cukierni PP. Kanoniczek. 1624R

Egzystujący od roku 1858
Skład Szkła stołowego, Porcelany, Fajansu i Majoliki
F. IZDEBSKIEGO

Senatorska, dom Piotrowskiego Nr 496 (nowy 6), **róg Miodowej,**

OTRZYMAŁ:

Serwisy stołowe porcelanowe i fajansowe.
Serwisy do kawy i herbaty.
Porcelanę białą do malowania w nowych fasonach.
Serwisy stołowe z kryształu krajowe, czeskie i francuzkie (Baccarat).
Serwisy do likieru fantazyjne nowe.
Garnitury do umywalni w wielkim wyborze.
Kandelabry, Zegary, Kosze do owoców, Patery, Talerze ścienne, Figury, Żardinierki, Wazony i wiele innych nowości z porcelany ozdobnej, majoliki i terracoty.
Przyjmuje zamówienia na serwisy stołowe z herbami i monogramami.

CENY NIZKIE. 2436R

MAGAZYN GALANTERYJNY
W. GOLIŃSKIEJ,
w gmachu Teatralnym,
przy wejściu do Teatru Rozmaitości.
CENY NIZKIE.
2481R

ZŁOTO i SREBRO

Kupuje, zamieniam i płacę najlepiej Najtaniej sprzedaję różną Biżuterję.—**Obrączki dukatowe 94 próby** najtaniej.—Reperacje i odnawianie sreber szybko. **61 Nowy-Świat,** 1-e piętro, mieszk. 15, (gdzie fotografja p. Brandel). 149R

Henryk Juwiler, jubiler.

Dla kaszlących i osłabionych

Nagrodzone na Warszawskiej Wystawie Hygienicznej listem pochwalnym i medalem na Wystawie Krakowskiej analizowane, uznane i koncessjonowane przez Radę Lekarską

Ekstrakt i Karmelki
Miodowo-Ziołowo-Słodowe,
FABRYKI
„LELIWA"
w Warszawie, **ul. Zgoda № 6.**

Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych **w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie,** 50% tańsze od zagranicznych. **Flaszka** ekstraktu kop. **75,** **paczka** karmelków kop. **15.** 1686R

Skład Węgli, Drzewa i Cementu
K. Gagatnickiego,

ul. Pańska № 70. — Telefonu № 587.

Za korzec Renarda kop. 90. korzec węgli drzewnych kop. 90, sążeń drzewa sosnowego rs. 15, ¼ sążnia rąbanego rs. 4.15. 2229

Przygotowanie i sprzedaż niżej wymienionego środka, jako niezawierającego w swym składzie żadnych części szkodliwych zdrowiu, dozwala się na ogólnych zasadach handlu.

„The Guard's Hair-Dye"
GWARDYJSKA FARBA DO WŁOSÓW.

Natychmiast zamienia czerwone i siwe włosy na kolor trwały czarny lub ciemny, bez szkody włosów i skóry.

Sprzedaż Główna w Centralnym Składzie Perfum i Kosmetyków.

JANA KALINOWSKIEGO,
dawniej Aleksandra Kocha,

ulica Krakowskie-Przedmieście № 65 i w drugim magazynie ulica Marszałkowska № 135 oraz w znaczniejszych magazynach perfumeryjnych. 2256

Towarzystwo Ubezpieczeń
„ROSSYA"
W Petersburgu, Wielka Morska 13.

Jeneralna Reprezentacja w Warszawie,
144. MARSZAŁKOWSKA 144.

Towarzystwo zawiera:

Ubezpieczenia na życie
t. j. kapitałów i rent na korzystnych warunkach i z udziałem ubezpieczonych w zyskach Towarzystwa;

Ubezpieczenia od ognia
ruchomości i nieruchomości wszelkiego rodzaju;

Ubezpieczenia transportów
rzecznych, lądowych i morskich.

AJENTURY Towarzystwa znajdują się we wszystkich miastach Państwa Rossyjskiego.

Broszury o ubezpieczeniach życiowych wydają i rozsyłają się na żądanie bezpłatnie. 2490R

SKŁAD RYCIN
KAROLA SOMMER,
Miodowa Nr 4,

poleca swój asortowany **Skład Farb i wszelkich Przyborów Malarskich, Ramek** do fotografij i przyjmuje **Sztychy i Oleodruki** do oprawy. 2437R

BOGUSŁAW HERSE

SENATORSKA 10.

poleca w wielkim wyborze: 2455R

Rękawiczki paryzkie i Wachlarze.

SKŁAD DYWANÓW

ALBINA GENELI

Miodowa Nr 17, dom barona Lessera,

poleca wielki wybór 2451R

Dywanów, Kołder i Chodników.

Przygotowanie i sprzedaż niżej wymienionego środka, jako nie zawierającego w swym składzie żadnych części szkodliwych zdrowiu, dozwala się na ogólnych zasadach handlu.

MUSBRATT,

Płyn do farbowania włosów,

Po jednem użyciu powyższego płynu, włosy siwe i rude otrzymują kolor trwały stosownie do życzenia: blond, szatyn i brunatny, nie tracąc swej miękkości i mocy, a przez czas nie przybierają barwy zielonej i rudej (jak to ma miejsce po innych płynach), lecz przeciwnie dostają piękniejszego połysku.—Cena pudełka większego rs. 3, mniejszego rs. 2, z przesyłką pocztą 50 kop. drożej.—Przy kupnie należy wymienić żądany kolor..

Skład główny w Centralnym magazynie perfum i kosmetyków **Jana Kalinowskiego, dawniej Aleksandra Kocha w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście № 65** i w drugim magazynie ulica Marszałkowska № 135, oraz jest do nabycia w Perfumerji pp.: Aleksandra i Marcellego, plac Teatralny № 8; w Moskwie u Teodora, Kuzniecki most № 1, w Kijowie u A. Aleksis. 2257

Russkie Towarzystwo

Ubezpieczeń Kapitałów i Dochodów

założone w 1835 r.

Pierwsze i jedyne zajmujące się wyłącznie ubezpieczeniem życia podług wszelkich możliwych kombinacyj, a mianowicie:

1. Ubezpieczenie kapitałów płatnych po śmierci ubezpieczonego.
2. Ubezpieczenie kapitału płatnego po upływie pewnej liczby lat samemu ubezpieczonemu lub w razie wcześniejszej jego śmierci, sukcesorom.
3. Ubezpieczenie kapitału z wypłatą 50% ubezpieczonej sumy samemu ubezpieczonemu po upływie pewnej liczby lat, a niezależnie od tego całkowita ubezpieczona suma wypłaconą zostanie sukcesorom ubezpieczonego.
4. Ubezpieczenia posagów dla dzieci.
5. Ubezpieczenia pensyj i rent dożywotnich.
6. Ubezpieczenia stypendjów na wychowanie dzieci.
7. Ubezpieczenia na koszta pogrzebu.

Wszystkich bliższych informacyj udziela

Jeneralna Reprezentacja

na

KRÓLESTWO POLSKIE

w Warszawie, Bielańska Nr 4,

oraz Agenci we wszystkich znaczniejszych miastach.

Przytem zwraca się uwagę, że ubezpieczeni nie ponoszą żadnych kosztów za polisy i nie opłacają marek stemplowych.

Jeneralny Reprezentant

ANTONI ODECHOWSKI.

2505R

Dep. Przem. i Handlu St.-Petersburg № 1260, Wiedeń № 4932, Budapeszt № 1528.



Nagrodzony na warszawskich wystawach w roku 1885 i 1886.

„EXSICCATOR”

Na Krajowej Wystawie Krakowskiej w r. 1887-m odznaczony medalem zasługi.

Osusza wilgoć, zabezpiecza drzewo od gnicia, grzybka i pękania; **zastępuje olejne farby** i t. d.

II-ie wydanie broszurki obejmującej wiele **pożytecznych** i praktycznych, a **niezbędnych** dla wszystkich, dbających o swe ruchome i nieruchome własności, **wskazówek** z ilustracjami, wysyłamy franco bezpłatnie.

2221

Wynalazca Inż. Techn. **G. RITTER, Królewska 39.**

Telegramy i listy: **Ritter—Warszawa.** Poszukuję reprezentantów.

Skład Wyrobów Blacharskich i Metalowych

K. JUNGA,

ulica Mazowiecka № 5,

poleca wszelkiego rodzaju Naczynia gospodarskie i kuchenne.

po cenach przystępnych. 2377R

Pierwsza krajowa fabryka

ROBÓT DŻETOWYCH

KAZIMIERZA KARASIEWICZA.

Fabryka — Leszno Nr 20. Sklep: Niecała Nr 6.

Nagrodzona medalem na Wystawie Muzeum Przemysłu i Handlu w roku 1887.

Poleca wielki wybór dolmanów, pelerynek, przodów, boków, garniturów, tiuli i koronek we wszystkich ko lorach, po cenach bardzo przystępnych.

Przyjmuje również zamówienia podług dawnych wzorów. 2370R

PERFUMERJA PANAMA

najmodniejsza,

z kwiatów egzotycznych:

MYDŁO	PANAMA	....	kawałek	50 kop.
BUKIET	PANAMA	perfumy	flakon	75 kop.
WODA	PANAMA	toaletowa	„	100 kop.
OCET	PANAMA	toaletowy	„	100 kop.
PUDER	PANAMA	najdelikatniejszy, pudełko	„	50 kop.
OLEJEK	PANAMA	do włosów	flakon	100 kop.

Wyłączna własność

WARSZAWSKIEGO LABORATORJUM CHEMICZNEGO.

1) róg Miodowej i Senatorskiej, 3) Krakowskie-Przedm. № 1, | 2) róg Granicznej i Królewskiej, 4) ulica Nalewki № 31. 2375R

SKŁAD WIN,

Towarów Kolonjalnych, Delikatesów i Cygar Hawańskich

W WARSZAWIE,

przy ul. Wierzbowej Nr 9,

ANT. STĘPKOWSKI.

2440R

BOGUSŁAW HERSE

SENATORSKA 10.

poleca w wielkim wyborze:

MATERJAŁY NA OKRYCIA BALOWE

które wykończa w krótkim czasie. 2457R

FABRYKA

Drzwiczek Hermetycznych

Kominków Żelaznych Polerowanych,

wszelkich

Przyborów piecowych i kuchennych

ADOLFA HAENSEL

W WARSZAWIE 2443R

ul. Chłodna Nr 16.

CENTRALNY SKŁAD PERFUM I KOSMETYKÓW

JANA KALINOWSKIEGO,

dawniej A. KOCHA,

65. Krakowskie-Przedmieście 65.

Poleca wielki wybór wytworów perfumeryjnych z najlepszych fabryk francuskich i angielskich, mianowicie: Perfumy, Wody kolońskie i chinowe, Eliksiry, Proszki i Pasty do zębów, Pomady, Olejki, Fiksatuary do włosów, Mydła toaletowe i medyczne, Farby i Wody nadające włosom siwym na głowie i brodzie żądane kolory, mianowicie: blond, szatyn, brunatny i czarny, oraz wiele innych kosmetyków.

Wielki wybór grzebieni do czesania: szyldkretowych, z kości słoniowej, bawolich, z rogu irlandzkiego, bukszpanowych i ołowianych, z fabryki Roberta Ainé w Paryżu; grzebyki i szczoteczki kieszonkowe, szczotki do głowy patentowane „Hindes'a", szczoteczki do zębów i paznokci. pendzle do golenia i flakony do perfum, szpilki patentowane „Hindes'a" do fryzowania włosów i t. p. artykuły toaletowe, z czem poleca się Szanownej Publiczności i pp. handlującym. Obstalunki nadsyłane pocztą, załatwia się dokładnie i śpiesznie. 2254

Skład M. Maszkow

DAWNIEJ

BRACIA MASZKOW

który mieścił się poprzednio na Krakowskiem - Przedmieściu Nr 488/9, naprzeciwko kościoła św. Anny (po-bernardyńskiego).

przeniesiony został na Krakowskie-Przedmieście Nr 23, róg Trębackiej,

i poleca:

Świeżą wyborową herbatę, szczególniej zaś gatunki na cenę rs. 2 k. 16 i rs. 2 k. 66 za f.

Samowary tombak. i mosiężne w rozmaitych fasonach, z celniejszych tulskich fabryk.

Samowary dziecinne na Gwiazdkę.

Tace, Miseczki, Czajniki, Noże, Miednice, Szczoty i t. p.

Wybór znaczny. Ceny możliwie najniższe.

Przy składzie znajdują się również **Obrazy św. praw.**, Krzyżyki złote i srebrne, Łańcuszki złote i srebrne, Solniczki srebrne, Lampki i t. p.

2373R

Krakowskie-Przedmieście Nr 23, róg Trębackiej.

Fabryka Szczotek i Pędzli

K. MARTWICH,

ulica Marszałkowska Nr 1370 (147 nowy)

W WARSZAWIE. 2438R

Prywatne Progimnazjum Żeńskie

Marji Bielozierskiej,

ulica Wspólna № 16,

przyjmuje Uczennice przychodnie i Pensjonarki. 2213

FABRYKA

Farb, oraz Werniksów drukarskich i litograficznych

E. A. GLEITSMANA w Griwie,

zawiadamia niniejszem, iż wyłączną sprzedaż swoich wyrobów na Królestwo Polskie, oraz na Południowo-Zachodnie gubernje Cesarstwa, powierzyła

PP. Jakóbowi Fajans i S-ce

W WARSZAWIE.

Griwa w Grudniu 1887 r.

E. A. Gleitsman.

Powołując się na powyższe ogłoszenie, mamy honor podać niniejszem do wiadomości Szanownych Konsumentów, iż stale utrzymujemy na składzie znaczny wybór wszelkich **Farb**, oraz **Werniksów** dla Drukarń i Litografij, które po cenach fabrycznych polecamy.

Jakób Fajans i S-ka.

2468R **Warszawa, Rymarska № 8.**

Najlepszem mydłem do mycia twarzy jest

MYDŁO Z KWIATÓW TATRZAŃSKICH

Cena kawałka kop. 25.

WYRABIA JE

Warszawskie Laboratorjum Chemiczne.

Dostać można we wszystkich Aptekach, Składach Materjałów Aptecznych i Perfumerjach w Królestwie i Cesarstwie. 2376R

SKŁAD NICI

i Towarów galanteryjno-norymbergskich

HELENY BONICZKOWSKIEJ,

Krakowskie-Przedmieście Nr 41,

naprzeciwko ulicy Bednarskiej. 2487R

Dra LENGIEL'A

BALSAM BRZOZOWY,

analizowany i uznany przez Władze Lekarskie w Petersburgu i Moskwie.



Sam sok drzewny, otrzymywany z brzozy, przez wywiercenie pnia tejże, od najdawniejszych lat jest jaknajdoskonalszym środkiem upiększenia twarzy; przerobiony zaś według przepisów wynalazcy, wywiera skutki prawdziwie zadziwiające. **Pociera się nim wieczorem twarz lub inne miejsca skóry, nazajutrz już naskórek się wygładza, przez co płeć staje się nadzwyczaj białą i delikatną.**—Balsam ten wyrównywa zmarszczki na twarzy, oraz znaki ospowe, nadając jej kolor młodości, skórze nadaje białość, delikatność i świeżość, usuwa w krótkim czasie piegi, plamy wątrobiane, czerwoność nosa, węgry i inne nieczystości skóry.—**Cena słoika** wraz z przepisem **rs. 1 kop. 65.—Dra Fr. Lengiel'a Mydło Benzoesowe, sztuka kop. 50 i 35.—Oppo-Pomada** (lepsza od Cold-Creamu) **rs. 1.**—Do nabycia we wszystkich perfumerjach, składach aptecznych i zakładach fryzjerskich, w Warszawie u pp. Lud. Spiess i Syn; skład główny dla całej Rossji u W. Auricha w Petersburgu, Stremiannaja 4. 1622R

Znana ze swej dobroci, odznaczona **Medalami**, zjednała sobie zasłużone uznanie i dziś powszechnie żądaną jest

WODA KOLOŃSKA MIĘDZYRZECKA,

znajduje się we wszystkich pierwszorzędnych magazynach perfumeryjnych i galanteryjnych.—Skład u pp.: **A. Lipinka, Kalinowskiego, Ludwika, Szulca, Golińskiej, Lanera, L. Jeziorowskiego, Szlagiera, Jurczykowskiego** i wielu innych. 2310R

Skład główny E. EICHLER, Jerozolimska № 64.

Cena gazu oświetlającego w Warszawie

od Nowego-Roku zostanie zmniejszoną o pięć kopiejek na tysiącu stóp kubicznych, zaś cena gazu do celów technicznych wyniesie od 1 rs. 95 kop. do 1 rs. 75 kop. za tysiąc stóp kubicznych, stosownie do konsumcji.

Warszawa, w Grudniu 1887 r.

Zarząd Zakładu Gazowego.

2499r

Zarząd Warsz. Wojenno-Medycznego Inspektora,

podaje niniejszem do powszechnej wiadomości, że w dniu 26 Stycznia (7 Lutego) 1888 r. o godzinie 11-ej zrana, odbędzie się w Kancelarji tegoż zarządu licytacja głośna bez przetargu, na dostawę dla Warszawskiego Aptecznego Składu, niektórych pakunkowych i gospodarskich przedmiotów.

Do licytacji będą dopuszczeni tylko ci, którzy mają na to prawo.

Oprócz głośnej licytacji będą przyjmowane na imię Warszawskiego Wojenno-Medycznego Inspektora opieczętowane deklaracje, z załączeniem vadium 20% summy licytacyjnej, to jest rs. 80, ze szczegółowym wykazem składanych pieniędzy, oraz świadectwo na prawo handlu.

Deklaracja i prośba, winny być napisane na stemplu zwyczajnym ceny kop. 80, które zarazem z vadium będą przyjmowane tylko do godziny 11-ej zrana, w dniu do licytacji przeznaczonym.

Warunki licytacyjne mogą być przejrzane codziennie w Zarządzie od godziny 10-ej do 2-ej po południu, wyjąwszy Niedziel, świąt uroczystych i dni galowych.

Czasowo pełniący obowiązki Wojenno-Medycznego Inspektora, Radca Stanu **Łukomski.**

2514r

Referent Radca Kolegjalny **Ditt.**

ZAKŁAD ISTNIEJE OD ROKU 1866.

F. WORONIECKI

ZEGARMISTRZ,

ul. Czysta Nr 2 w Warszawie,

poleca w bardzo wielkim wyborze

ZEGARKI GENEWSKIE



Patek Philippe i Sp. i z innych pierwszorzędnych fabryk. **Regulatory** frejburskie, **Zegary** paryzkie, **Dewizki** złote i z trwałej kompozycji.—Szkatułki samogrające z repertuarami polskich kompozytorów.

Ceny umiarkowane stałe.

Sprzedaż i naprawa z dwuletniem poręczeniem. W niedziele i święta Skład i pracownia zamknięte.

Medale srebrne.—Warszawa 1885—87 r. 2502R

Ceny ŁYŻEW zniżone

w Składzie A. Kempińskiego,

Królewska № 39, 2513r naprzeciwko Ogrodu Saskiego.

34. Leszno 34.

Ceny niskie. Odstawa natychmiastowa.

Gatunki Węgla kamiennego

najlepsze.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

Główny kantor: Włodzimierska 5.

Składy i kantory połączone telefonami.

2266 **M. Stokalski.**



PIOTR ŚLIŻYŃSKI udziela lekcyj tańców salonowych u siebie w domu, sposobem najkrótszym, wyucza w 20-tu lekcjach 6-ciu tańców najpotrzebniejszych. **Krakowskie-Przedm. № 73.** 2264



A. W. WILCZEWSKI

Nowy-Świat 57.

sprzedaje po cenach zniżonych:

Bieliznę stołową Holenderską, bieloną na trawie.

Garnitury na 6, 12, 18 i 24 osób.

Garnitury deserowe, na 6 i 12 osób, białe i kolor.

Ręczniki i Serwetki deserowe etc., etc. 2504R

EPILOG.

—o—

— Nie uwierzysz. ma teściowa,
To, to anioł w ludzkiem ciele!
— Co ty pleciesz? Zkąd te słowa?
Toć nie przeszło dni tak wiele,
Gdyżeś chciał ją widzieć w grobie!
— Tak, to byłem głupi święcie,
Bo teściowa — przedstaw sobie,
Dziś kupiła mi w prezencie,
Za co niechaj dni ma zdrowe

Papierosy **„KOPIEJKOWE".**

2520R z fabryki

J. L. Szereszewskiego.

Ceny bardzo przystępne.



Najświeższe fasony.

2485R

Na 15 osób

piękne serwisy stołowe

z najlepszej porcelany **krajowej,** ozdobnie malowane, na żądanie z monogramami lub herbami, składające się ze **125 przedmiotów** w cenie od **rs. 50.**—Serwisy też same z dodaniem **86 przedmiotów** ze szkła kryształowego **po rs. 60.**—Serwisy do kawy i do herbaty **na 12 osób** w kwiaty malowane, zawierające **30 przedmiotów po rs. 16**—Serwisy do herbaty z 16 przedmiotów **od rs. 6.**—Garnitury do mycia kolorowane od **rs. 3 i pół.** Doniczki do kwiatów, pięknie malowane po **rs. 2 za parę.** oraz wszelką porcelanę malowaną po cenach tak zadziwiająco niskich sprzedaje **wyłącznie** skład i malarnia porcelany, szkła i fajansu

Ryszarda Fijałkowskiego.

Krakowskie-Przedmieście № 2, wprost Kopernika, w lokalu prywatnym. 2519R

Buty z cholewami

radzą Doktorzy

w celu zachowania zdrowia, oraz są niezbędne do wielu specjalnych zajęć, a że gospodarstwu i wszelkiemu sportowi, również poświęcają się i **Damy,** przeto mamy zaszczyt polecić się z tą specjalnością naszej firmy.

S. Hiszpański,

2476R Szewc męski i damski.

Szkoła Żeńska
Kroju Sukien Damskich

zatwierdzona dnia 1-go Czerwca 1886 roku przez najwyższą władzę w Warszawie, **otwartą została dnia 4 Września r. b.** przy ulicy **Krakowskie-Przedmieście № 47,** obok apteki Wiorogórskiego; zawiadamiając o tem Sz. Panie, donoszę zarazem iż wykład w szkole mej, oparty na wyrachowaniu **technicznem** p. Burżua, jest tak **zrozumiały,** iż uczennica **kroić może** stanikі po **czwartej** lekcji bez poprawki, całą zaś naukę **kończy** w **12-tu lekcjach.** Uczennice **moje** zajmują wybitne stanowiska w pierwszych magazynach tak w Królestwie jak i Cesarstwie. Kurs cały nauki rs. 8.

2083 **Tekla Zaleska.**

SANKI

duże, familijne, mało używane, zdatne do miasta i na wieś, niedrogo do sprzedania.—Hoża № 5, mieszk. 11. 2224

Dla pp. Kupców.

Fabryka specjalna poleca gotowe: dzwonki do sanek, janczarki, dzwonki norymberskie.—Warszawa, Łucka № 11. 2260

Simons i S-ka.

30 piechotny Półtawski pułk,

wzywa niniejszem życzących podjąć się

dostawy Mięsa i Sadła

dla niższych stopni tegoż pułku w ciągu 1888 roku, ażeby się raczyli zgłosić w d. 21 Grudnia (2 Stycznia) 1887—8 r., przed godziną 11-tą rano, do kancelarji pułkowej, mieszczącej się w powązkowskich koszarach, przedstawiwszy wadjum w kwocie rs. 2,000, poświadczenie policji, o zajmowaniu się rzezią bydła i świadectwo gildyjne odpowiednie **sumie dostawy, na** zasadzie rozkazu do **wojsk warszawskiego** okręgu **z r.** b. № 142. 2234

LICYTACJA
domu Nr 1081[B]

polic, № 18, przy ulicy Próżnej, gdzie mieści się zarząd **Telefonów,** wyznaczona na żądanie Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, **na 24 Grudnia (5 Stycznia) 1887/8 r., godz. 11 zrana,** u **notarjusza** Sobolewskiego, **rozpocznie** się od 37,500 rs. Pożyczka Towarzystwa **wynosi** 25,000 rs.—Wiadomość u **adwokata przysięgłego, Rodzyna,** Królewska 16. 2262

2261



SANKI

samemu do powożenia, za rs. 40, w fabryce powozów **Karola Sommer,** Leszno 36.

Do fabryki strun i instrumentów muzycznych **Ignacego Chróścickiego,** naprzeciw b. Zamku królewskiego № 97 **nowy,** nadszedł świeży transport

STRUN

rozmaitych gatunków, oraz **Skrzypiec i Wiolonczeli,** z czem polecam się pp. artystom i amatorom. 2240

Restauracja

przy ulicy **Elektoralnej** pod № **3,** wprost Banku, poleca: każdego dnia, rano od **10,** wieczór od **7,** oprócz innych, pieczeń wołową z rożna, obiady z czterech dań po k. **30,** za abonamentem kop. **25,** smacznie przyrządzone, także oprócz innych napojów piwo na kufle.

2238 **R. Grzeżułko.**



Fabryka Bryczek
K. SCHULTZ,

Leszno № 52,

posiada na składzie gotowych Bryczek różnego fasonu, Wolantów, Szarabanów, Faeton drągowy i Sanki petersburskie pojedyncze, wszystko bardzo lekkie i gustowne. 2156

Zarząd Drogi Żelaznej Nadwiślańskiej

podaje do wiadomości osób interesowanych, że w dniu 23 Grudnia (4 Stycznia) 1887/8 r., o godzinie 11-ej przed południem, w Kancelarji Zawiadowcy na przystanku „Górczewska Platforma“ drogi Obwodowej, sprzedanym zostanie na rozbiórkę przez głośną in plus licytację

Młyn-Wiatrak,

na gruntach tejże stacji znajdujący się.

Licytacja wiatraku rozpocznie się od summy rubli sr. ośmset.

Mający chęć kupna, obowiązani są przed dniem do licytacji wyznaczonym, złożyć w Kassie Głównej drogi żel. Nadwiślańskiej (Mazowiecka Nr 22), vadium w summie rubli srebrem 200 i kwit Kassowy przed rozpoczęciem licytacji przedstawić delegacji wyznaczonej do jej odbycia.

Odnośne warunki sprzedaży, mogą być przejrzane codziennie z wyjątkiem Niedziel i dni świątecznych od godziny 10-ej rano do 3-ej po południu, w Wydziale Gospodarczym Zarządu drogi i u Zawiadowcy przystanku „Górczewska Platforma,“ 2479r

NOWOŚĆ

FABRYKA TABACZNA
A. N. SZAPOSZNIKOWA

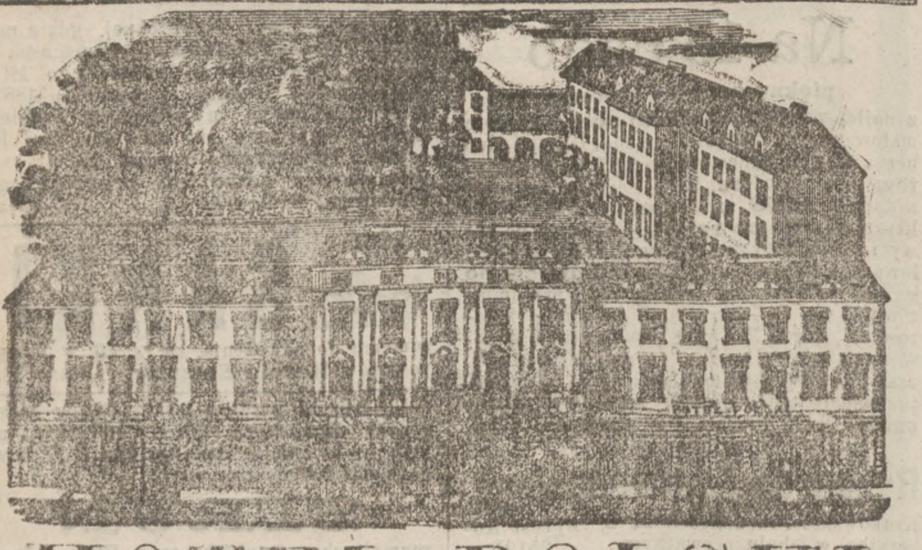
w St.-Petersburgu,

ma zaszczyt polecić Szanownej Publiczności nowy gatunek Papierosów zwijanych, niezrównanej dobroci i dużego formatu, pod nazwą

KOMMERCZESKIE,

w cenie: 10 sztuk 6 kop., 5 szt. 3 kop.

Nabywać można we wszystkich składach tabacznych i dystrybucjach, w Warszawie i na prowincji. 2421R



HOTEL POLSKI

w Warszawie,

położony w środku miasta **z gruntu odrestaurowany,** z komfortem pierwszorzędnych Hoteli zagranicznych urządzony.

Posiada 120 numerów nowo-umeblowanych, w cenie od kop. 50 do rs. 4 na dobę z pościelą.

Restauracja, Cukiernia, Wynajem karet, Pralnia, w środku dziedzińca Ogródek spacerowy.

Z Nowym-Rokiem remiza przeszła na własność hotelu, poleca się więc z zupełnie nowemi eleganckiemi ekwipażami.

Omnibusy na wszystkie pociągi.—Służba włada obcemi językami.

Nowa Administracja Hotelu poleca się względom Szanownej Publiczności. 2459R

Dla dogodności Szan. Publiki zaprowadzono telefon Nr 176.

Dwa kaucjonowane Kantory Służących
BRONISŁAWA GILLERN.

Mam honor zawiadomić Szanowną Publiczność, że kantor mój rekomendacji służących i osób poszukujących pracy z Rymarskiej № 14, od Nowego-Roku będzie przeniesiony na Chmielną № 44, tam gdzie dotąd egzystował przez lat 3 kantor W. Koryckiego.—Kantor ten będzie nadal przezemnie prowadzony z całem zadowoleniem swej klijenteli.—**Zamówione sługi natychmiast dostarczane będą przez tychże samych woźnych, którzy w ostatnich czasach byli u p. Koryckiego.**—Drugi zaś kantor mój wraz z dystrybucją na Marszałkowskiej № 136, (róg Świętokrzyzkiej w domu Hr. Komara).— W obydwóch kantorach **bardzo znaczna ilość służących zaopatrzonych w dobre świadectwa zaraz do umieszczenia.** 2168

Adres dla koresp. Skład komisowy wina, Erywańska 6.

KOMISOWA SPRZEDAŻ

detaliczna (na butelki)

Wszelkich WIN, KONIAKÓW, LIKIERÓW itp.

z Domów

Schröder & de Constans w Bordeaux,

Moët & Chandon w Epernay,

oraz **Cygar hawańskich** z domu

A. J. Reynvaan w Amsterdamie, 2166R

odbywa się codziennie **w Składzie przy ul. Erywańskiej № 6,** od godziny 10-ej rano do 5-ej po południu, a w Niedziele i Święta do 12-ej w południe.

Wina wszelkie należycie wystałe, a stołowe począwszy od rs. 1 za butelkę.

Ceny umiarkowane, stałe.—Wybór wielki.—Cennik na żądanie.

Obstalunki zamiejscowe wysyłają się pierwszemi pociągami.—**Telefonu № 61.**

Adres dla telegramów: Maurycy, Warszawa

Istniejące od 1858 r.

St.-Petersburskie Towarzystwo Ubezpieczeń
od Ognia i na Życie,

z kapitałem zakładowym całkowicie wpłaconym rs. 2,400.000.

„ rezerwowym po koniec 1886 roku rs. 4,842,682.

Przyjmuje na dogodnych warunkach:

I. Ubezpieczenia od ognia, wszelkiego ruchomego i nieruchomego mienia.

II. Ubezpieczenia na życiu ludzkiem oparte: a) Kapitałów płatnych sukcesorom po śmierci ubezpieczonego; b) Kapitałów płatnych po dojściu do pewnego wieku; c) Posagów, rent wdowich i stypendjów.

Bliższych informacyj oraz broszur udziela

Jeneralna Ajentura w Warszawie

№ 13. Zielony Plac № 13.

2491R **Jak również Agenci we wszystkich miastach.**

MAKUCHY Konopne po 60 kop. pud.

Makuchy rzepakowe po 90 kop. pud.
Makuchy lniane po 95 kop. pud.
Oliwa maszynowa roślinna,
Oliwa maszynowa mineralna.
Pokost i Olej lniany.

przy rogatkach Ząbkowskich na Pradze w fabryce

ST. SIKORSKI,

Warecka № 14, Warszawa.—Telefon № 228. 2489R

SKŁAD SZKŁA,
Porcelany, Fajansu, Kryształów,
Szyb do okien

z fabryk francuskich, angielskich, czeskich, belgijskich i krajowych

JÓZEFA PETRYCH I S-ki

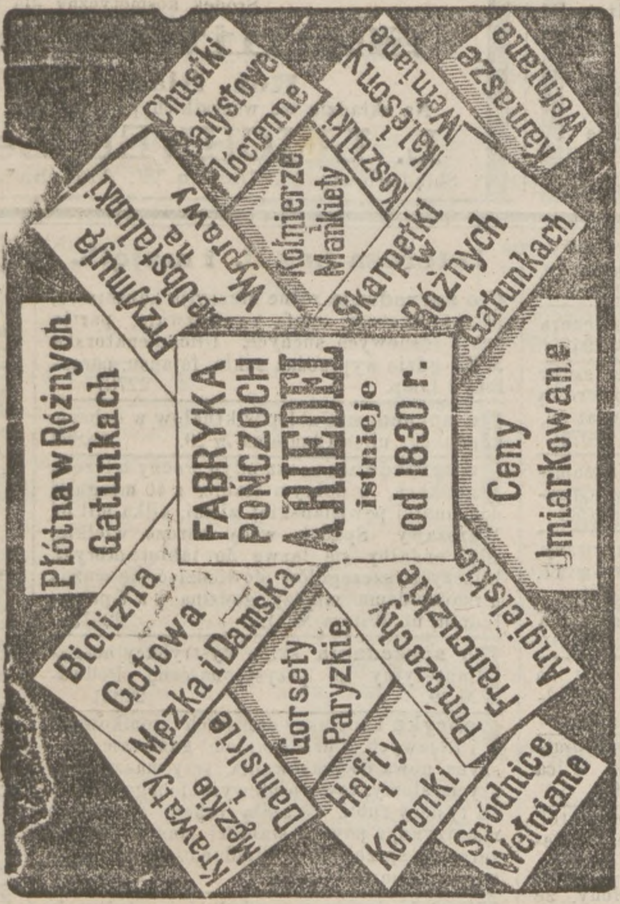
W WARSZAWIE, 2372R

róg Rymarskiej i Senatorskiej Nr 471/2.

POLSKI SKŁAD NICI i WARSZAWSKA FABRYKA POŃCZOCH i TRYKOTAŻY

przysposobiła na bieżący sezon: Skarpetki, Pończochy damskie i dziecinne, Halki, Jersey, Gorsety i Szpilki paryzkie, Grzebienie. Wyroby wełniane: Kaftany mezkie, damskie i dziecinne, Spódniczki, Koszulki, Kamasze, Pończochy myśliwskie i t. p., wszystko w wielkim wyborze, od gatunków zwyczajnych do najwykwintniejszych.—Ulica Hr. Berga Nr 11 i Marszałkowska Nr 152. 2026

Pończochy bawełniane i wełniane.
Pończoszki, Skarpetki.
Koszulki zdrowia, Kalesony.
Rękawiczki jedwabne.
Pasy na żołądek.
Kamizelki włóczkowe do polowania.
Spódnice.
Chustki i Szale sznelowe.
Kamasze i Mitynki.
Garnitury kutnerowe, mogące zastąpić futro.
Płótna, Perkale, Batysty.
Bielizna damska i mezka.
Hafty.
Chustki do nosa.
Chustki jedwabne.
Kołnierze, Mankiety.
Ręczniki.



Szelki, Spinki.
Rękawiczki dla służby.
Kołnierze.
Znaczenie bielizny i Monogramy.

Na nadchodzący

KARNAWAŁ

w wielkim wyborze:

Pończochy i Skarpetki balowe.
Gorsety najzgrabniejsze francuzkie.
Koszule mezkie prane od rs. 1 kop. 75.
Krawaty białe i kolorowe najmodniejsze.
Halki Jersey w gatunkach i fasonach doskonałych.

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 15 i ŚWIĘTOKRZYZKA № 9.
Płótno krajowe i zagraniczne z najlepszych fabryk.
Obstalunki wykonywa się prędko i starannie. 2470R

Dla naszych pięknych tancerek
KSIĘGARNIA i SKŁAD NUT
Ferdynanda Hösick'a

wysłała już w świat pierwsze dzielne swe forpoczty karnawałowe, w postaci całego zbioru dziarskich i skocznych tańców.

W pierwszym z tych kompletów zatytułowanym „Nadwiślanka" i opatrzonym śliczną główką warszawianki,—znajdujemy między innemi kontredans Straussa, mazura i polkę Lewandowskiego (Wincentego, autora mazura „Zagłoba"), mazury Osmańskiego i Namysłowskiego, polki Komzaka Wolfthala i udatny marsz Neidchardta, osnuty na tak zw. „fiakerlied" owym „cheval de bataille," słynnego Girardiego—nuconym już od roku przez cały Wiedeń.

Drugi zbiór zatytułowany „Wesołe kółko", ozdobiony również zręczną winietą, obejmuje szereg udatnych tańców Osmańskiego, tegoż „Zbiór Obertasów i Kujawiaków" stanowiący 4-ty zeszyt „Tańców Polskich" zaś: „Wieczorek u lalki" potrafi sprawić małym naszym „pocieszkom" wielką pociechę, gdyż obejmuje zbiór łatwych tańców bardzo dostępnych dla wykonania przez dziatwę dla dziatwy. 2371R

SYROP ROŚLINNY
D-ra Karwackiego,

znany od lat 30, usuwa u dorosłych jak i u dzieci najuporczywszy kaszel, chrypkę, zaflegmienie dróg oddechowych, z wielkim skutkiem łagodzi i skróca przeciągłość kokluszu, wogóle jest wybornym środkiem we wszystkich katarowych dolegliwościach.—Wyrabiany jest i tylko można dostać w aptece F. Fijałkowskiego, na placu Teatralnym w Warszawie. 2265



ALEKSANDRA FEIST
w Warszawie
przy ulicy Senatorskiej № 467 b. 2458R

SZCZOTKI i PENDZLE toaletowe, gospodarskie, fabryczne, rękodzielnicze i wszelkiego rodzaju, do użytku technicznego.

Największy
a przytem najtańszy skład towarów łokciowych i białych
W WARSZAWIE,
jest bez zaprzeczenia
Główny Skład Fabryczny
na Krakowskiem-Przedmieściu № 62 nowy, w gmachu dobroczynności w byłym sklepie żyrardowskim, gdyż sprzedają wszystkie towary po cenach
ściśle fabrycznych

1 webka (płótno krajowe) $30^1/_2$ ł. rs. 4.
1 sztuczka madapolamu wyborowego 31 łokci rs. 4 k. 75.
Creas półpłótno najlepsze po 10, 11, 12 i 13 kop. łokieć.
Perkal wyborowy 20 werszk. po $12^1/_2$ k.
Purpur na wsypy, po 16, 18, 20 i 25 k. ł.
Prześcieradłowe płótno $2^1/_2$ łokcia szerokie, po 25 kop.
Płótno Jarosławskie ręcznej roboty na murawie blichowane, 33 łok. 7 rs.
Kołdry watowe dla sług po rs. 2.50, 3 i 3.50
Kołdry wełniane tak zwane sławuckie od rs. 2 do rs. 6.
Kołdry jedwabne, atłasowe, watowe wyborowe, rs. 13.
Creton najlepszy, zwany zdrowia, po 14 i 15 kop. łok.
Tuzin Chustek białych do nosa k. 90.
Dymka na gacie najtrwalsza, w pasy, po kop. 16 i 17.
Barchan multon najlepszy i najcieplejszy kop. 15.
Bielizna damska i mezka po cenach nigdzie niebywałych. 2253

NOWY PATENTOWANY WYNALAZEK.

Niejednokrotne doniesienia gazet russkich i innych, o wypadkach chorób zakaźnych jakim podlegali palący papierosy, sklejane ręką i ślinieniem robotników, spowodowały fabrykę naszą do śledzenia za wszelkiemi ulepszeniami w sposobach wyrabiania papierosów w celu ustrzeżenia licznych konsumentów tychże od podobnych wydarzeń.

Obecnie przyszedł nam w tem z pomocą, nowy patentowany wynalazek, za pomocą którego wyrabiamy papierosy bez użycia kleju, a spajane jedynie za pomocą maszyny.

Wynalazek ten ma jeszcze i tę zaletę, że oprócz zabezpieczenia konsumenta od wszelkich złych następstw, dozwala jeszcze lubować się prawdziwym aromatem tytoniu, nie popsutym przez klej.

Zawiadamiając o tem Szanownych naszych konsumentów, mamy honor dodać, iż papierosy nasze, a mianowicie:
№ 6, po rs. 2 za 100 sztuk; № 5, po rs. 1 kop. 50 za 100 sztuk; № 4, po rs. 1 kop. 20 za 100 sztuk, № 3, po rs. 1 za 100 sztuk; № 2, po rs. 1 za 100 sztuk, wyrabiane są z najlepszego tureckiego tytoniu i z prawdziwej bibułki „Abadie."

2449R

Bracia Polakiewicz.

Potrzebni są zaraz
młodzi ludzie i młode panienki.

Zgłaszać się można codziennie do kasy cyrku. 2512r

Do wydzierżawienia od 1 Kwietnia 1888-go roku
kilka Folwarków

razem lub oddzielnie, z inwentarzem, w gubernji i powiecie Grodzieńskim. — Życzący wziąć w dzierżawę mogą się zgłosić do hr. Stanisława Kossakowskiego, ulica Nowy-Świat № 19, dnia 1, 2 i 3-go stycznia, od godziny 10 do 12 w południe. 2249

Lekcyj Tańca
udzielam u siebie, w domach prywatnych i pensjach. 2220
Elektoralna 53. W. Puchalski.

DOULTON & C°

Londyn—Paryż—Warszawa.

INŻYNIERZY sanitarni i fabrykanci różnych urządzeń w domach, jak: filtrów, zlewów i t. d.

Magazyn oświetlony jest gazem **Albo-Karbonowym.**

W Magazynach, składach i t. p. używających gazu albo-karbonowego oświetlenie gazowe jest silniejsze i płomień bielszy, jednocześnie osiąga się mniejsze spożycie gazu. przez co zyskuje się na oszczędności. Zastosować się daje i do zwyczajnych brennerów. 1848R

Leichner's Fettpuder

TŁUSTY PUDER LEICHNER'A.

Cena pudełka rs. 1.

Najlepszy puder na wieczory, również i na dzień!—Nie widoczny na skórze!

Środek kosmetyczny dla upiększenia skóry!

Szminki teatralne!

Róż, Blansz i ołówki do brwi!

Na składzie we wszystkich perfumerjach i składach materjałów aptecznych

L. LEICHNER, Berlin, dostawca Teatrów Belgijskich i Dworu.

Skład główny dla Rossji u **W. Auricha w Petersburgu,** Stremiennaja № 4. 1842R

Nauka i wychowanie.

Dyplomowany zakład rękodzielniczy J. Swinarskiej. Marszałkowska 123. Zaczynają się świeże kursa różnych przedmiotów. 22850

Lekcje gry na cytrze, według metody przystępnej udziela Bolesław Kowalski. Piękna № 4, od 4-ej do 6-ej. 22802

Nauczycielka ze śpiewem artystycznym, muzyką, francuzką, francuzkim, literaturą i innemi przedmiotami szuka miejsca. Nowolipie № 9, mieszkania 14. 22854

Guwerner potrzebny jest na wieś, do przygotowania ucznia do klasy III-ej realnej, ze znajomością języka francuzkiego. Proszę zgłaszać się: Krochmalna № 48, mieszk. 21, od 4-ej do 5-ej wieczorem. 22976

Niemki freblówki, muzykalne, młode, żądają umieszczeń. Krakowskie-Przedmieście 7. Biuro nauczycielskie Dąbrowska. 22982

Niemieckiego języka udziela w konwersacji, z wykładem polskim, russkim, francuzkim i angielskim nauczyciel i autor najnowszych metod. Marszałkowska № 151, mieszkania 9, blizko Saskiego ogrodu. 20782

Student russki, filolog, poszukuje lekcyj. Nowy-Świat 48, m. 9. 22637

Stancja dla uczniów, u doświadczonego nauczyciela. Opieka, dozór, korepetycje zapewnione. Cena umiarkowana. Nowy-Świat 21, mieszkania 13. 22885

Student gruntownie posiadający języki i matematykę, udziela lekcyj. Złota 31. Oferty uprasza zostawiać u stróża. 22980

Student uniwersytetu poszukuje korepetycyj. Ulica Krochmalna № 76, m. 8. 3234

Za skromne wynagrodzenie potrzebny wykładający buchhalterję. Nowolipie 23, mieszkania 10. 1324

Posady i prace.

Do pracowni W. Rossowieckiej potrzebna zdolna upinaczka, umiejąca dobrze pasować staniki. Elektoralna 5, szkoła rzemiosł dla kobiet. 22954

Kiper doświadczony, dobremi świadectwami, potrzebny do hurtowego handlu win w Warszawie. Oferty składać w kantorze tego pisma pod „№ 575". 22741

Krawiecczyzny trzy dni na tydzień robię za stałe mieszkanie z życiem. Złota № 22, mieszkania 2. 22953

Młody człowiek, obeznany ze sprzedażą bielizny i galanterji, a głównie z urządzeniem wystaw sklepowych, potrzebnym jest do Magazynu Hipolita. Ulica Marszałkowska 111. 22987

Panna, niemka z Górno-Szlązka, dobrej familji, szuka miejsca do towarzystwa lub dzieci w domu chrześcijańskim. Marszałkowska 129, drugie piętro, prawe drzwi. 22683

Potrzebne są prasowaczki na drobiazgi, które berlińskiem żelazem robią. Nowolipie № 15, mieszkania 11. 22585

Panny do bielizny, maszynistka, podręczna i uczennica potrzebne zaraz. Nowy-Świat № 44, m. 4. 22894

Potrzebne są panny kompletnie zdolne do staników, Rymarska 10, m. 9. 22948

Pomocnik gorzelniczy z dobremi świadectwami, poszukuje miejsca w parowej gorzelni zaraz. Wiadomość № 54 Krochmalna u rządcy domu. 22952

Z kaucją kilku tysięcy rs. i pierwszorzędnemi referencjami człowiek żonaty, inteligentny (izraelita) poszukuje posady kasjera, jego pomocnika, magazyniera, inkasenta lub administratora domu. Wiadomość Nowolipie 23, m. 10. 3215

Kupno i sprzedaż.

Do sprzedania fortepian krótki, prawie nowy, garnitur mebli używanych. Wiadomość ulica Petersburska № 5, na 2 piętrze, mieszkania 9. 22769

Do sprzedania lisiura, pokryta sieraczkiem u krawca Pokucińskiego. Krakowskie-Przedmieście № 12, m. 13, trzecie piętro od frontu, wprost św. Krzyża. 22771

Dwa łóżka jesionowe z materacami sprężynowemi, używane za 20 rs. Chmielna № 10, mieszkania № 6. 22800

Fortepian fabryki wiedeńskiej Streichera do sprzedania. Orla 11, m. 1. 22949

Futro męzkie, wcale nie używane, szopy najlepszego gatunku, syberyną wyborową kryte, do sprzedania tanio. Nowy-Świat 56, mieszkania 12. 22975

Futra dwa skunksy i jedno oposy, aksamitem kryte, używane, do sprzedania. Grzybowska 2, m. 16, od godz. 2 do 4. 22988

Fortepian zagraniczny, mało używany, krótki, 7 oktaw za rs. 280. Królewska 17, mieszk. 6. 22794

Fortepian Kralla Seidlera do sprzedania za rubli 210, Zielna 21, m. 1. 3229

Gnój koński z cyrku Schumanna, jest do sprzedania. Wiadomość w cyrku u Stalmajstra. 22830

Garnitur mebli, łóżka, szafy, szeslong, biurko, tualeta, kredens, stół, krzesła. Ulica Szpitalna 5. 22798

Garnitur mebli, łóżka, szafy, kredens, stół, krzesła, biurko, szeslong, otomana, tualeta Świętokrzyzka 39, mieszk. 2. 22862

Koń wierzchowy, rasy perskiej, młody, ze wsi sprowadzony, do sprzedania. Ujazdowska 23. 22857

Kupuje, sprzedaje wszelkie stare książki księgarnia Długa 20, wprost soboru. 22786

Koni para zdrowych, młodych, ze wsi, rosłych, siwych. Wiadomość Złota № 31, mieszkania 17. 22677

Kredensy, stoły, krzesła, łóżka, szafki, biura sprzedaję. Świętokrzyzka № 31, stolarz. 22693

Meble: garnitur salonowy, krzesełka fantazyjne, kolumny, kandelabry, urządzenie jadalni dębowe, szafy, łóżka, umywalnia, tualeta, otomana, biurko, bib'joteka, garnitur gabinetowy, szafka lustrzana, żardinierki, lustra, do sprzedania, Marszałkowska 119, na dole, w drugiej bramie, mieszk. № 15. 22562

Meble, garnitury, szeslongi, otomany, szafy, lustra, kredensy, tualety i inne po niepraktykowanie nizkich cenach. Krakowskie-Przedm. 10, m. 4. 22867

Meble używane rozmaite tanio, poleca zakład wyłącznie używanych przedmiotów, Makow, Solna 18. 22707

Mleczarnia dobrze procentująca do sprzedania. Wiadomość kiosk, róg Alei i Nowego Światu. 22639

Meble za bezcen! Garnitur czarny orzechowy, lustra, rozmaite inne meble, szafy, kredens, stół, krzesła, łóżka, biuro, szeslong, firanki. Róg Chmielnej № 37 i od ulicy Marszałkowskiej № 108, m. 30. 22974

Palto damskie do sprzedania. Ulica Zgoda № 2, mieszkania 12. 22973

Pies wyżeł jest do sprzedania. Piwna 15.— Wiadomość u stróża. 22958

Para kasztanów, rosłe klacze kareciane są do sprzedania z powodu wyjazdu. Widzieć można w ułańskim pułku w Łazienkach, zapytać wachmistrza 1-go szwadronu. 22813

Sobolowa szuba nowa, zapłacona 1100 rs. sprzedaje się za pół ceny. Obejrzeć można od 4 do 7 wieczór u adwokata Sawickiego. — Ślepa 12, wprost Kapitulnej. 22881

Sążnie sosnowe suche po rs. 11.50 w 24 godzin po zamówieniu dostawian, począwszy od pół sążnia, także węgiel drzewny suchy, twardy, w większych partjach. Nowy-Świat № 12, mieszkania 24. 22640

Sanek dwoje, pojedyncze i parokonne, do sprzedania pod № 71 Leszno. Wiadomość u stróża. 22803

Tanio garnitur mebli francuzkich, używany, jutą kryty, szafa orzechowa, różna garderoba damska, dwa szeslongi, maszyna Wilsona, bransoleta koralowa. Wierzbowa № 7, sklep pieczywa. 22951

Z powodu zaszłych wypadków są różne rzeczy: garnitur dębowy, wyściełany, kanapy, stoły, łóżka, pościel, bielizna, garderoba tanio do sprzedania, oraz mieszkanie do wynajęcia. Nowogrodzka 21, mieszkania 12, od 10 do 4 po południu. 22606

Interesa handl. i majątk.

Do sprzedania różne utensylja kantorowe, 2 sieczkarnie, szafa ogniotrwała, partja desek sosnowych suchych. Ulica Senatorska № 27, gdzie wyprzedaż szkła, fajansu, porcelany i lamp. 22787

Do sprzedania sklep wiktuałów w dobrym punkcie, ulica Chmielna № 29. 22852

Do sprzedania zaraz młyn wodny o trzech gankach, w dobrym stanie, z 40 morgami doskonałej powiślańskiej ziemi, kilka mil od Warszawy. Spadek wody bardzo wielkiej siły, nadałby się łatwo do jakiej fabryki. Bliższych szczegółów dowiedzieć się można u rządcy domu między godziną 4 a 7 po południu, ul. Wilcza № 21. 22673

Do sprzedania sklep dystrybucyjno-galanteryjny za przystępną cenę. Podwale № 29. 22831

Fabryka kapeluszy damskich słomkowych i filcowych, z urządzeniem gazowem, maszyna nowa do prasowania, trzy maszyny do szycia słomy, towaru niewyrobionego za kilka tysięcy rubli, ze stałą robotą do dużego magazynu, z powodu słabości właściciela, jest zaraz do sprzedania. Wiadomość w kantorze tegoż pisma pod lit. F. F. 22715

Handel win i towarów kolonjalnych jest do sprzedania od N. Roku 1888. Wiad. Krakowskie-Przedmieście № 9, w składzie tabacznym. 22946

Interes odpowiedni dla kobiety, dający utrzymanie kilku osobom, do odstąpienia. — Wiadomość w kiosku róg Jerozolimskiej i Marszałkowskiej. 22834

Kupiec samotny, poszukuje wdowy inteligentnej z kapitałem niewielkim, do wspólnego prowadzenia handlu zaraz. Wiadomość ulica Marszałkowska № 98. Zakład mleczny. 22981

Kawiarnia do sprzedania przy targu. Wązki Dunaj № 5. 3193

Młody człowiek, urzędnik etatowy, uprasza szanownych filantropów o pożyczenie na nieduży procent 150 rs. na rok, w celu zapłacenia lichwiarskiego długu. Łaskawe oferty w kantorze tegoż pisma. Pomoc. 22809

Na dogodnych i korzystnych warunkach propinacja do wydzierżawienia w okolicy ludnej i handlowej, przy zbiegu kilku szos i traktów. Do takowej należą: pomieszczenie obszerne na karczmę wraz z mieszkaniem, piwnicą, oraz stajnią zajezdną. Wszystko w w najlepszym stanie. Na żądanie może być dodanem ze znajdujących się obok niej gruntów od 8 do 10 mórg. Bliższa wiadomość i warunki Nowy-Świat № 53, w kantorze najmu powozów od godziny 11 do 1 przed południem. 22914

Posiadający 500 rs., może mieć stale 20 r. miesięcznie przy bezwzględnem bezpieczeństwie kapitału. Oferty S. T. w kantorze Kurjera. 22825

Poszukuje się dzierżawy lub kupna zabudowań fabrycznych, zdatnych na fabrykę żelazną, z dostatecznym placem i jeżeli można z motorem, o sile 10 do 20 koni. Łaskawe oferty proszę nadesłać do kantoru Kurjera Warsz. pod lit. J. P. K. 22961

Rubli 300—400 potrzeba na 2 № hypoteki nieruchomości w Warszawie; pożyczka pomieści się w czwartej części wartości domu. Wiadomość Jerozolimska 67, m. 18. 22921

Skład węgli z wyrobioną klijentelą i kontraktem do sprzedania. Wiadomość Hoża № 11, mieszkania 8. 22900

Sklep wiktuałów do sprzedania z powodu wyjazdu. Ulica Sienna № 71. 22719

Skład węgli do sprzedania z powodu słabości. Twarda 59, m. 6. 22663

Sklepik wiktuałów w dobrym punkcie, do sprzedania zaraz. Wiadomość na miejscu. Leszno № 89. 22610

Skład węgli do sprzedania. Ulica Świętojerska № 5. 22836

Sklep spożywczy zaraz do odstąpienia. Mokotowska № 58. 22839

Sklep wiktuałów jest zaraz do sprzedania z powodu interesów familijnych. Ulica Wilcza № 39. 22964

Zdolny kupiec, wyjeżdżający we wtorek w interesach własnych do miast Królestwa, życzy sobie wziąść w komis na sprzedaż wszelkie artykuły, które mają popyt w Królestwie za umówioną prowizję. Adresy zostawić w administracji Kurjera pod „Helpself." 22950

5,000 rs. zamykające 15 tysięcy na zastąpienie takiejże kwoty (na 9%) potrzebne na nieruchomość, przynoszącą rs. 3,000 rocznie, od lat 27 w jednych rękach zostającą. Wiadomość zostawić proszę w kantorze sub „5,000". 22955

Lokale.

Belle-etage'u gmachu teatralnego, mieszkania № 18, każnego czasu pokój duży, meblowany, opałem, samowarem, usługą, na ratusz widokiem. 22899

Dwa pokoje, kuchnia do wynajęcia zaraz. Wspólna 4, od placu. 22717

Do wynajęcia 2 pokoje od 1 stycznia, na 3-m piętrze, dla emeryta, lub małżeństwa bezdzietnego. Plac Zamkowy № 97. 22783

Do wynajęcia od Nowego Roku, przy ul. Leszno 27, 4 pokoje, przedpokój, kuchnia, za 400 rs. rocznie; 2 pokoje za 10 rs. miesięcznie Mogą być z meblami, usługą i życiem. 22642

Pokój, przedpokój, kuchnia, suche, ciepłe, zlew, wodociąg, zaraz do najęcia. Prosta 5, róg Twardej. 22902

Pokój duży do wynajęcia. Może być dla uczniów lub akademików, całodziennem utrzymaniem; tamże pokój dla osoby pojedyńczej, lub panien uczących się. Na żądanie fortepian. Bracka 8, mieszkania 18. 22971

Pokój osobny przy familji, dla przyzwoitej osoby, z całem utrzymaniem lub bez, zaraz do najęcia. Marszałkowska № 58, mieszkania 4. 22753

Pomieszczenie dla osoby żeńskiej, przy wdowie. Przejazd 9, mieszkania 24. 22668

Sklep przy ulicy Marszałkowskiej, odpowiedni na skład kolonjalnych towarów, do wynajęcia zaraz; tamże urządzenie do sprzedania. Bliższą wiadomość powziąść można: Wspólna 23, m. 19. 22909

Stajnie nowo-wymurowane na 24 konie i 2 wozownie takież, mogące służyć na składy lub zakład fabryczny, z mieszkaniami przy nich, do wynajęcia zaraz. Marszałkowska 35 domu. 22493

Zaraz do wynajęcia: 1, 2 lub 3 pokoje, z przedpokojem, (z których jeden o 4-ch oknach), może być z meblami, opałem lub bez tego. Nowolipie 23, m. 10. 3213

Wdowa, bezdzietna, poszukuje współlokatorki, kobiety inteligentnej. Nowogrodzka № 9, mieszkania 16. 22875

Doniesienia rozmaite.

Akuszerka b. starsza instytutu położniczego, zaopatrzona utensyljami gwarantującemi zdrowie położnic, radzi w krytycznych okolicznościach, przyjmuje damy sekretne, pokoje oddzielne. Słabość, umieszczenie dziecka od 15 rubli. Złota 16, parter frontowy. 22879

Bukowska akuszerka dla pań spodziewających się słabości, ma pokoje oddzielne i wspólne. Opieka. Umieszczenie dziecięcia. Opieka względna. Bednarska 21. 22937

Idąc od Karmelickiej Nowolipkami na Przejazd, zgubiono bransoletkę z szafirem. Znalazca zechce zostawić swój adres pod wyrazem „Zguba" w kantorze Kurjera. Nagrody 3 ruble zapewniam. 22994

Pies przybłąkał się czarny, duży, odebrać można: Hortensja 3, wiad. u stróża. 22849

Pianistka znana z gry dobrej do tańca, przyjmuje zamówienia. Freta № 29, mieszkania 4. 22984

Tapicer przyjmuje wszelkie obstalunki: meble, rolety i przerabiam meble po domach, po cenie znižonej. Orla № 10. 22812

Udzielam lekcje kroju sukien i okryć po domach, za nader przystępne warunki. Ul. Dobra № 8, mieszkania 13. 22947

Zginął temi dniami pies ceter, żółty, wabi się Atar, znalazca za nagrodą 2 rubli zechce odprowadzić go do stróża domu pod № 123, na Marszałkowską. 3228

KŁOSY

CZASOPISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE,

POŚWIĘCONE LITERATURZE, NAUCE I SZTUCE,

wychodzić będą i w roku przyszłym co tydzień we Czwartek, w objętości 2-ch arkuszy, drukiem garmontowym na interliniach, **z dwoma dodatkami bezpłatnemi,** z których jeden zwyczajny zawierać będzie powieść tłómaczoną, drugi zaś **nadzwyczajny:**

DZIEŁA MICHAŁA BAŁUCKIEGO,

oba te dodatki czyniące blizko 1800 stronnic druku, czyli od 8 — 10 tomów zwykłego książkowego wydania, **bez żadnéj dopłaty** prenumeratorom naszym rozsyłać będziemy.

Jako **Premium zaś artystyczne** damy reprodukcyą jednego z ostatnich obrazów

HENRYKA SIEMIRADZKIEGO,

o którego wybór odnieśliśmy się z prośbą do Mistrza.

Na rok 1888 Redakcya Kłosów ogłasza następujące Konkursa:

KONKURS NA NOWELLĘ,

która wynosić ma od 800 do 1000 wierszy druku ustanawiając za *bezwzględnie* najlepszą **150** rs. nagrody, oprócz wzykłego honoraryum za wydrukowanie jéj w Kłosach.

Nadto zaś, wyłącznie dla prenumeratorów Kłosów

KONKURS
NA MALOWIDŁA DEKORACYJNE,

to jest na drzewie, porcelanie, atłasie i t. p.,

którym dzisiaj płeć piękna oddaje się z takiém zamiłowaniem, równie przez amatorstwo, jak i dla zarobku. Malowidło w którymbądź ze wskazanych rodzajów, za najlepsze bezwzlędnie uznane, otrzyma premium w summie rs. 100 z pozostawieniem prawa własności przy jego autorze, oraz będzie, jeżeli się nada do tego, repredukowane w drzeworycie na kartach Kłosów; wszystkie zaś będą wystawione w naszéj redakcyi co przy liczném jej nawiedzaniu nie jednego może nastręczyć nabywcę. O wszystkich też będzie umieszczone w naszem piśmie sprawozdanie krytyczne z którego pracownicy na tém polu niewątpliwie odniosą rzeczywisty pożytek. Dla prenumeratorek i prenumeratorów zarówno

cztery razy do roku będziemy ogłaszali temata do roztrząsania z zakresu etyki i kwestyi społecznych,

a z nich za te, które okażą się godnemi umieszczenia w Kłosach, autorowie lub autorki, otrzymają prócz zwykłego honoraryum, według własnego wyboru książki w kraju wydane wyrównywające wartości 10 rubli.

* * *

Zachęceni znakomitym powodzeniem, jakiego wydane naszem nakładem trzy serye dzieł Orzeszkowéj doznały, ogłaszamy niniéjszym prenumeratę na seryą czwartą, a to na tych samych warunkach, na jakich trzy poprzednie serye nabyte zostały.

SERYA CZWARTA
TANIEGO WYDANIA DZIEŁ ELIZY ORZESZKOWEJ

będzie wychodzić, od końca Stycznia r. p. począwszy, po jednym tomie co miesiąc w téj saméj objętości, na tym samym papierze i tym samym drukiem, co serye poprzednie. Cena ustanawia się dwojaka: dla prenumeratorów Kłosów lub Tygodnika Romansów i Powieści w Warszawie po kop. 65 za tom; z przesyłką pocztową na prowincyą Cesarstwa lub Królestwa po kop. 85 za tom. Płacący z góry za cały rok uiszcza za 12 tomów zamiast rs. 7 kop. 80 *tylko* rs. 7, a z przesyłką pocztową zamiast rs. 10 kop. 20 *tylko* rs. 9 kop. 40. Nie prenumerujący Kłosów lub Tygodnika Romansów i Powieści płacą w Warszawie po rs. 1 za tom, a z przesyłką pocztową po rs. 1 kop. 20. Życzący sobie posiadać exemplarze oprawne, dopłacaja za oprawę po kop. 45 do każdego tomu.

Wyszłe w latach 1884, 1885 i 1886 serye taniego zbiorowego wydania dzieł *Orzeszkowéj* znajdują się w dostatecznym zapasie na składzie i nabywać je można na warunkach następujących: pojedyńczemi tomami licząc po *rublu* tom, lub seryami po 12 tomów odrazu, za które płaci się *tylko* rs. 9 k. 60 zamiast rs. 12. Nabywający zaś odrazu tomów 24 lub całe 36, jeszcze większe mają ustępstwo, bo za 24 tom. płacą *tylko* rs. 17 a za 36 tomów rs. 25 k. 50. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do 12 tomów rs. 1 kop. 40, do 24 tomów rs. 3, a do 36 tomów rs. 3 kop. 50; przy wysyłce zaś pojedyńczego tomu kop. 20.

WARUNKI KONKURSÓW:

1 Termin na nowellę oznacza się na dzień 1 Marca r. 1888; każdy rękopism powinien być opatrzony godłem, wypisanem również na zapieczętowanéj kopercie, w któréj znajdować się powinno właściwe nazwisko i miejsce zamieszkania autora lub autorki.

Nagrodę rs. **150** za bezwzględnie dobrą nowellę Redakcya wypłaca natychmiast po jéj przyznaniu, pozostawiając sobie wyłączne prawo druku za oddzielném honoraryum w Kłosach praktykowaném.

2 i 3 Prenumeratorzy nasi ubiegający się o nagrodę, ustanowioną za najlepszą pracę malarską w zakresie sztuki ornamentacyjnéj lub rozwiązania zagadnień, winni przy nadsyłaniu swych prac jednocześnie przesłać także kwity z opłaconéj prenumeraty, a to z uwagi, że konkursa ad 2 i 3 ustanowione są wyłącznie tylko dla prenumeratorów Kłosów. Termin nadesłania oznacza się na dzień 15 Marca 1888 roku.

Cena „KŁOSÓW" pozostaje i nadal niezmienioną, a mianowicie: **w Warszawie** rocznie rs. 8; półrocz. rs. **4**; kwart. rs. **2**; miesięcz. kop. **67½**.

Na prowincyi w Królestwie i Cesarstwie wraz z przesyłką pocztową: rocznie rs. **12**; półrocznie rs. **6**; kwartalnie rs. 3.

ZA GRANICĄ:

przy przesyłce wprost do Redakcyi Rs. **3** kwartalnie, lub

w Państwie Niemieckiem za pośrednictwem *Leitgebera* oraz innych księgarni **w Poznaniu** kwartalnie **4** Marki. Z przesyłką pocztową w obrębie całego Cesarstwa Niemieckiego kwartalnie **4** Marki i **50** fen.

w Państwie Austryackiem za pośrednictwem *D. E. Friedleina* oraz innych księgarni **w Krakowie** kwartalnie **2** gul. **50** kr. Z przesyłką pocztową w obrębie całéj Austryi kwart. **3** guld. **20** kr.

w Państwie Austryackiem za pośrednictwem *Gubrynowicza i Schmidta* oraz innych księgarni **we Lwowie** kwartalnie **2** guld. **80** kr. Z przesyłką pocztową w obrębie całéj Austryi kwartalnie **3** guldeny **60** kr.

Prospekta i Nra okazowe „Kłosów" na żądanie przesyłamy bezpłatnie.

Adres: Redakcya „Kłosów" w Warszawie, Nowy-Świat 41.

TYGODNIK
ROMANSÓW i POWIEŚCI.

Od lat dziewietnastu znany jest zaszczytnie Publiczności czytającéj pod względem obfitości i doboru swéj treści, jakoteż niezwykłéj taniości.

Pismo to wychodzi raz na tydzień w Sobotę, obejmując 16 kolumn w dwie szpalty ścisłego garmontowego druku.

CENA PRENUMERATY WYNOSI: **w Warszawie,** rocznie rs. **3**, półrocznie rs. **1** kop. **50**, kwartalnie kop. **75**. **Na prowincyi i w Cesarstwie,** rocznie rs. **4**, półrocznie rs. **2**, kwartalnie rs. **1**.

Roczni prenumeratorzy **Kłosów** lub **Tygodnika Romansów i Powieści** otrzymywać mogą o ile zapasy starczą, za zgłoszeniem się do Redakcyi, jako premium bezpłatne: Portret nieodżałowanéj pamięci **J. I. Kraszewskiego,** rysowany przez *St. Witkiewicza*, lub też: Kraszewski w otoczeniu wybitniejszych postaci i scen z najcelniejszych Jego utworów, rysowany przez *Juliusza Kossaka*. Zgłaszający się z prowincyi zechcą na koszta portoryi przesłać kop. **50.**

BIBLIOTEKA
NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW LITERATURY EUROPEJSKIEJ,

wychodzi raz na tydzień, w objętości dwu lub trzech arkuszy druku, w formacie większéj ósemki, mieszcząc w sobie *najznakomitsze płody poetyckie, dramatyczne, powieściowe, historyczne i moralno filozoficzne wszystkich narodów Europy*, z szczególném jednak uwzględnieniem literatury ojczystéj.

CENA PRENUMERATY WYNOSI: **w Warszawie, oraz na prowincyi i w Cesarstwie,** rocznie rs. **6**, półrocznie rs. **3**, kwartalnie rs. **1** kop. **50**.

Adres: *Redakcya „Tygodnika Romansów i Powieści" i „Biblioteki Najcel. Utw. Lit. Europejskiéj" w Warszawie, Nowy-Świat Nr. 41.*

Prenumeratorzy *„Kłosów"* lub *„Tygodnika Romansów i Powieści"* otrzymywać mogą **po wyjątkowo dla nich zniżonéj cenie** następujące dzieła:

Komplet powieści
JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

składający się z 7-miu tomów, zamiast rs. 5 k. 95 w Warszawie *tylko* za rs. 3 k. 60, a z przesyłką na prowincyą i do Cesarstwa zamiast rs. 6 k. 85 *tylko* za rs. 4 k. 10.

KOMPLET POWIEŚCI
MICHAŁA BAŁUCKIEGO,

składający się 7-miu tomów, zamiast rs. 7 k. 95 w Warszawie *tylko* za rs 4 k. 75, a z przesyłką pocztową zamiast rs. 9 *tylko* za rs. 5 k. 40

ZUPEŁNE WYDANIE DZIEŁ
JÓZEFA KREMERA,

w 12 dużych tomach, wielu illustracyami zdobnych, zamiast rs. 12, w Warszawie *tylko* rs. 7, a z przesyłką pocztową zamiast rs. 14 *tylko* rs. 9.

DZIEŁA
IG. KRASICKIEGO,

(Wydanie najkompletniejsze ze wszystkich dotychczasowych) 6 dużych tomów o blisko 500 stron. druku każdy, zamiast rs. 5 w Warszawie *tylko* rs. 3, a z przesyłką pocztową zamiast rs. 6 k. 50 *tylko* rs. 4 kop. 50.

TOWARZYSTWO KREDYTOWE ZIEMSKIE
w Królestwie Polskiem
i KREDYT ROLNY,

przez J. Kirszrota-Prawnickiego, zamiast rs. 3 k. 50 w Warszawie *tylko* rs. 2 a z przesyłką pocztową rs. 2 k. 20.

WYBÓR POWIEŚCI HONORYUSZA BALZACA,

tomów 9 zamiast rs. 8 k. 20 w Warszawie *tylko* rs. 5. z przesyłką pocztową na prowincyę zamiast rs. 9 k. 60 *tylko* rs. 6 k. 40.

BOHATERKI
POEZYI POLSKIÉJ,

Illustrowane przez M. E. Andriolego zamiast rs. 2 w Warszawie *tylko* rs. 1 k. 50 a z przesyłką pocztową na prowincyę zamiast rs. 2 k. 50 *tylko* rs. 2. Exemplarze w oprawie ozdobnéj na sposób zagraniczny, w Warszawie zamiast rs. 3 k. 50 *tylko* rs. 3 a z przesyłką na prowincyę zamiast rs. 4 k. 50 *tylko* rs. 4.

Łukasza Górnickiego

DZIEŁA WSZYSTKIE.

Pierwsze wydanie Zbiorowe, przygotowane do druku przez Dr. Rafała Loewenfelda a wstępem i słowniczkiem archaizmów opatrzone przez Dr. Piotra Chmielowskiego, tomów III, w Warszawie zamiast rs. 3 *tylko* rs. 2 a z przesyłką pocztową zamiast rs. 3 k 45 *tylko* rs. 2 k. 45.

MORSZTYN J. A.
Poezye oryginalne i tłomaczone,

W Warszawie zamiast rs. 1 k. 50 *tylko* rs. 1 a z przesyłką pocztową zamiast rs. 1 k. 65 *tylko* rs. 1 k. 15.

NARUSZEWICZ A. S.
WYBÓR POEZYI,

W Warszawie zamiast rs. 1 k. 50 *tylko* rs. 1 a z przesyłką na prowincyę zamiast rs. 1 k. 65 *tylko* rs. 1 k. 15.

JEŻ T. T.
WYBÓR POWIEŚCI, TOMÓW 4,

(Dachijszczyzna — Narzeczona Harambaszy — Uskoki — Rotułowicze), w Warszawie zamiast rs. 4 *tylko* rs. 3 a z przesyłką naprowincyą zamiast rs. 4 k. 60 *tylko* rs. 3 k. 60.

NAJBARDZIEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE

KURJER WARSZAWSKI.

Wychodzi codziennie, w dni powszednie wieczorem, w Niedziele i Święta rano.

Nadto wychodzą stale w dni powszednie, z wyjątkiem dni poświątecznych:

BEZPŁATNE DODATKI PORANNE,

zawierające wszelkie najnowsze wiadomości z ostatnich 12-tu godzin. Tym sposobem czytelnicy otrzymują tygodniowo 7 półto[...] do dwuarkuszowych numerów głównych i 5 półarkuszowych *dodatków porannych.*

KURJER WARSZAWSKI

liczy rok 68 istnienia i jest w stosunku do bogatej i urozmaiconej swej treści

NAJTAŃSZEM PISMEM POLSKIEM.

WARUNKI PRENUMERATY:

(wraz z dodatkiem porannym):

W Warszawie: rocznie rs. 9, półrocznie rs. 4 kop. 50, kwartalnie rs. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75.

Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie kop. 5.

Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3, miesięcznie rs. 1.

Za granicą: rocznie rs. 18, pórocznie rs. 9, kwartalnie rs. 4 kop. 50, miesięcznie rs. 1 k. 50.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

Małe ogłoszenia: za jeden *wyraz* po 2 kop. każdy raz.

Zwyczajne ogłoszenia: za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce pierwszy raz 10 kop., każdy następny raz 8 kop.

Nekrologja: za jeden wiersz kop. 15.

Reklamy: za jeden wiersz garmo[...] towy albo za jego miejsce pierwszy [...] 25 kop. każdy następny raz 20 kop.

Nadesłane: za jeden wiersz garmo[...] towy rs. 1.

Na szczególną uwagę zasługuje dział *własnych telegramów* Kurjera, oraz przeróżnych wiadomości z pierwszéj ręki czerpanych. W feljetonie *Kurj[...] Warszawski* drukuje kroniki tygodniowe, najnowsze romanse, powieści, nowelle i humoreski najznakomitszych autorów polskich; nauka i sztuka traktowane są prz[...] najznakomitszych popularyzatorów. W programat *Kurjera Warszawskiego* wchodzą przeglądy polityczne, artykuły wstępne w sprawach społecznych, ekonomiczny[...] oraz innych bieżących krajowych i zagranicznych; wiadomości administracyjne oraz wiadomości bieżące z życia publicznego i społecznego, tak miejscowe, ja[...] też z prowincyi i innych krajów; głosy gazet rosyjskich i zagranicznych; sprawozdania sądowe i porady prawne; sprawozdania, kursa i telegramy giełdowe, zbo[...]żowe i z handlu wszelkiemi innemi produktami; wskazówki praktyczne dla gospodarstwa domowego; odpowiedzi od redakcji na wszelkie zapytania czytelników[...] wiadomości kościelne i urzędowe, wykazy wylosowanych papierów publicznych; logogryfy, szarady, zadania arytmetyczne, szachowe i t. p.; wreszcie ogło[...]szenia prywatne.

Wielka poczytność „Kurjera Warszawskiego“ czyni go **najodpowiedniejszem pismem dla wszelkich ogłoszeń.** *Poczytność [...] którą co najmniéj na kilka kroć sto tysięcy osób liczyć można, w połączeniu ze znakomitą liczbą egzemplarzy, w jakiéj Kurjer Warszawski się odbija, zapewnia ogłaszającym [...] w nim najlepsze rezultaty i robi owe ogłoszenia w porównaniu z innemi pismami nietylko* **najtańszemi,** *ale samo przez się* **niezmiernie taniemi.**

Wszelkie zlecenia ogłoszeniowe lub prenumeracyjne tak z miasta jak i z prowincji natychmiast są załatwiane.

Przedpłatę przyjmuje się w każdym czasie, licząc jej termin od każdego 1-go według kalendarza nowego stylu.

Prenumeratorowie „Kurjera Warszawskiego“ nabywać mogą **po zniżonéj cenie** za nadesłaniem przedpłaty do Administracji Kurjera Warszawskiego:

POEZJE I DRAMATA WACŁAWA SZYMANOWSKIEGO W 5-ciu TOMACH

zamiast rs. 6 w Warszawie **tylko rs. 3,** a z przesyłką pocztową zamiast rs. 6 kop. 60 **tylko rs. 3 kop. 60.**

KOMPLET POWIEŚCI JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO

składający się z 7-u tomów (p. t.: *Kollokacya* kop. 75. *Spekulant* kop. 75. *Wędrówki Oryginała* kop. 75, *Nowe Wędrówki Oryginała* w dwóch tomach rs. 1 k. 20. *Emeryt* rs. 1 k. 20 *Garbaty* rs. 1), zamiast rs. 5 k. 95 w Warszawie **tylko za rs. 3 k. 60,** a z przesyłką na prowincyę i do Cesarstwa zamiast rs. 6 k. 85 **tylko za rs. 4 k. 10.**

KOMPLET POWIEŚCI MICHAŁA BAŁUCKIEGO

składający się z 7-u tomów p. t.: *Byle wyżéj* rs 1 k. 20. *Błyszczące nędze* rs. 1 k. 20. *Ostatnia stawka* kop. 75. *Sabina* rs. 1 k. 20. *O kawał ziemi* rs. 1 k. 20. *Żydówka* rs. 1 k. 20 *Biały murzyn* rs. 1 k. 20), zamiast rs. 7 k. 95 w Warszawie **tylko za rs. 4 k. 75,** a z przesyłką pocztową zamiast rs. 9 **tylko za rs. 5 k. 40.**

Towarzystwo Kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem i Kredyt rolny

przez J. Kirszrota-Prawnickiego, zamiast rs. 3 k. 50 w Warszawie **tylko rs. 2,** a z przesyłką pocztową **rs. 2 k. 20.**

ZUPEŁNE WYDANIE DZIEŁ JÓZEFA KREMERA

w 12 dużych tomach, wielu illustracyami zdobnych, zamiast rs. 12 w Warszawie **tylko rs. 7,** a z przesyłką pocztową zamiast rs. 14 **tylko rs. 9.**

DZIEŁA IGNACEGO KRASICKIEGO

(Wydanie najkompletniejsze ze wszystkich dotychczasowych) 6 dużych tomów o blisko 500 stron. druku każdy, zamiast rs. 5 w Warszawie **tylko rs. 3,** a z przesyłką pocztową zamiast rs. 6 k. 50 **tylko rs. 4 kop. 50.**

WYBÓR POWIEŚCI HONORJUSZA BALZACA

tomów 9 zamiast rs. 8 k. 20 w Warszawie **tylko rs. 5,** a z przesyłką pocztową zamiast rs. 9 k. 60 **tylko rs. 6 kop. 40.**

Adres: Administracja „Kurjera Warszawskiego“, Plac Teatralny Nr 9, telefonu Nr 141.

Drukiem *Kurjera Warszawskiego*—Plac Teatralny Nr 743c (nowy 9) i *S. Lewentala*, Nowy-Świat Nr 41. Дозволено Цензурою Варшава 19 (31) Декабря 1887 г.
Redaktor Franciszek Olszewski. — Wydawcy Wacław Szymanowski i Antoni Pietkiewicz (Adam Plug).